DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom VI.

LWÓW,

Druk i nakład E. Winiarza.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie VI.

I. Żywoty Świętych, legendy i rozmaite historje święte:

stronica:

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historji polskiej:

III. Wiersze:

IV. Piękne przykłady:

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki:

VI. Różności:

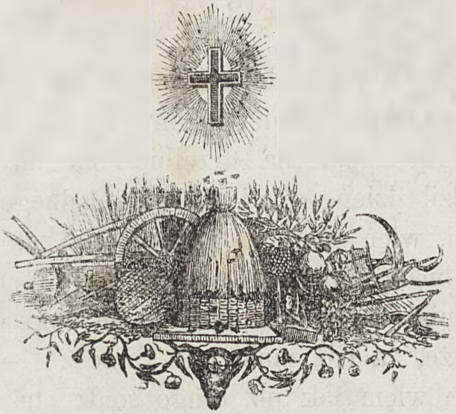
Myśli:

Tom VI. Nr. 1.

1. Stycznia 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Powrót wygnańca.

Między owemi krajami, co są pod Moskalem, jest także jeden kraj zwący się *Sybir*, a kraj to pusty i nieurodzajny, bo wieczne tam śniegi leżą i wieczna panuje zima. Aleć Moskalowi bardzo jest przydatna ona kraina pusta, zimna, i gdzieś za światem leżąca, bo jak mu się kto bodaj na włos sprzeciwi, to go każe porwać od ojca i matki, od żony i dzieci, i wiezie tam het, aż w głąb tych śniegów, i tam za karę na wieczne czasy w pustej chałupce osadza.

Oh, ileż tam już naszych rodaków zginęło w tych śniegach z żalu i tęsknoty za rodzinnym krajem! A nie mieli oni ani księdza przy śmierci; ani dziecko własne, ani brat rodzony nie zamykali im oczu; nikt ze swoich nie płakał tam nad wygnańcem, ani nie złożył jego zwłok do trumny gładko wystruganej, nie rzucił bodaj grudki ziemi, tej ziemi najlekszej, rodzinnej! Oh, a iluż tam naszych rodaków zginęło pod pałkami srogiego Moskala, za to tylko, że swojej wiary świętej porzucić nie chcieli!

Ot, patrzcie! Tam w głębi sybirskich śniegów, w trzęsącej się od wiatrów chałupce, siedzi biedny wygnaniec tuląc się od zimna. Siedzi, a ręce oparł na strzelbie i smutno spogląda przed siebie, bo schodził dzień cały i nie ubił żadnego *sobola* na kożuch dla Moskali, więc smutny, bo go będą zato bić i katować!

Westchnął biedny wygnaniec i łzy mu w oczach zabłysły, bo sobie wspomniał na żonę i dzieci i na zagrodę rodzinną:

— Oh, Boże, za cóż mnie tak karzesz! — zawołał żałośnie — Sam nie wiem jak już długo siedzę tu na tej puszczy śnieżnej i bezludnej, a za co? Za to tylko, żem nie chciał odstąpić od świętej wiary moich ojców, żem nie chciał chodzić do ich moskiewskiej cerkwi, żem nie chciał słuchać ich moskiewskiego, brodatego popa! Oh, zbili mię wtedy, żem ledwie został przy życiu, a potem przykuli razem z innymi do sztaby żelaznej i tak pędzili to w prochu to w śniegu, kilkaset mil jak bydło! Jeszcze dziś mam krwawe znaki na rękach od tego ostrego żelaza! Tutaj siedzę samiutki, bez ludzi, cierpię głód i zimno, i chodzę ze strzelbiną na sobole dla Moskali, bo oni jak zwierzęta drapieżne wpadają od czasu do czasu do mojej chałupki, i jak nie mam dla nich sobolej skóry, to biją pałkami. Oh, Boże, za cóż mnie tak karzesz?!

Tak narzekał wygnaniec nieszczęśliwy, i ocierał łzy sznurkiem po twarzy płynące. Smutek, głód i próżne chodzenie za sobolem zmęczyły go bardzo, tak, że prawie sił nie miał podnieść się z ławy; oparł więc głowę o berwiona ściany mchem poutykanej, i tak znużony i płaczący zasnął.

Na świecie była już noc ciemna, bo tam dzień bardzo krótki i także nie jasny. Na szarem niebie błyskała tylko gdzie niegdzie samotna gwiazdka, na ziemi, jakeś tylko daleko okiem mógł zasiągnąć, leżał tylko śnieg szczery, i całe góry śniegu, a wiater mroźny hulał sobie po tych stepach, kurzył w oczy, i niby białe płachty podnosił w górę chmury śniegowe.

Biedny wygnaniec spał chwilę twardo, aż nagle śnić mu się coś poczęło. I ujrzał we śnie jasne słońce, i biały, ciepły dzionek boży, młodem liściem okryte jesiony i kwitnące lipy, i białe brzózki na cmentarzu. Serce w nim uderzyło mocno, bo mu się zdało, że to jakieś swojskie, znajome, więc wytężył

jeszcze bardziej oczy i ujrzał dzwonnicę i nowy dach na cerkwi, i ujrzał ulicę wiejską między rzędem sadów i zagród. A wtedy zdało mu się, że ma skrzydła i że leci tą ulicą, i poznaje, że to jego wieś rodzinna! Tchu mu w piersiach zabrakło, uderzył jeszcze raz skrzydłami, i upadł przed swoją własną zagrodą. Na szum i łomot skrzydeł, wybiegła na próg chaty młoda i żwawa kobieta, to jego żona! Mocny krzyk wyrwał się z jej piersi... I na ten krzyk obudził się nieszczęśliwy, sybirski osadnik.

Zerwał się na równe nogi, i dzikim wzrokiem spoglądnął w koło siebie. Ach, to jego zimna chata w pośród śniegów! Nie chciał temu wierzyć; wybiegł na dwór, i spojrzał w około po ziemi, a świeże łzy stanęły mu w oczach.

— Mój Boże, to sen tylko, taki śliczny! — zająknął nieszczęśliwy, i podniosłszy oczy w górę spoglądał po niebie. Na południu błyszczała jedna gwiazdka, ale tak jasna i miła, i tak niby przyjaźnie mrugała na biednego osadnika, że nie mógł oczów oderwać od niej.

— Może ty mi szczęście przepowiadasz gwiazdeczko mała — pomyślał wygnaniec — może ty mię wabisz tam na południe, gdzie moja wieś rodzinna, żona i dzieci moje! Ha, ten sen mógł być tylko od Boga zesłany, o, ja nie mogę wytrwać tutaj dłużej. Pójdę, ucieknę: może zginę w śniegach, może mię w drodze złapią Moskale i oddam ducha pod ich pałkami... Lecz cóż mię tu lepszego czeka? Także sromotne pałki, a potem pewna śmierć z tęsknoty!

I biednemu jakoś cieplej zrobiło się w piersiach; nabrał odwagi i otuchy, wrócił do chaty, a wziąwszy strzelbę na ramię, cieplejszy łach na siebie i resztę suchego czarnego chleba, wyszedł napowrót. I tu na dworze, pod ciemnem sklepieniem nieba ukląkł i zmówił cichy pacierz, a zdawszy wszystko na wolę boską, ruszył w świat — uciekł!

Któżby powtórzył jakiemi drogami i ścieżkami, jakiemi lasami i manowcami przechodził biedny wygnaniec! Pan Jezus go prowadził, więc szedł szczęśliwie, i nie wpadł nigdzie w ręce okrutnych Moskali. Czasem tylko, gdy mu głód bardzo dokuczał, to zastukał do jakiej samotnej chaty. Na całym świecie

są źli i dobrzy ludzie; więc jego pan Jezus prowadził zawsze do dobrych, a ci go nakarmili czem tylko było, ogrzali i odziali, i jeszcze na drogę dawali kawał chleba i sera, i wyprowadzali znowu na manowce, żeby nikt nie widział, pokazując stronę, której się ma trzymać. Lecz zimno było wszędzie i śnieg leżał wszędzie, tak, że biedny wygnaniec myślał, iż to wszystko Sybir, i że mu już nigdy nie wyjść z niego! Szedł już bardzo wiele dni i nocy, wysechł jak szczypa od głodu, mrozu i wiatru, a zawsze jeszcze była zima. Tyle go tylko cieszyło, że choć mowę ludzką zaczął lepiej rozumieć, a jak się zapytał gdzie jest, to mu mówili, że na Rusi, ale nazywali przytem różne wsie i miasta, o których wygnaniec nigdy wprzód nie słyszał.

— Ja także jestem Rusin! — mówił on — ale u nas na Rusi nie ma ciągłego śniegu i ciągłej zimy, a to u was mróz i śnieg, zima i zima!

A ludzie odpowiadali mu na to:

— I u nas była wiosna i ciepłe lato, ale teraz zima i ciężka zima, bo to koniec Grudnia!

Więc zasłyszawszy to, ucieszył się bardzo wygnaniec, bo on biedak nawet nie wiedział, jaki to rok i miesiąc, i myślał, że trafi w Rusi na lato. Ucieszył się tem bardzo, a serce mu powiadało, że już niedaleko swoi. Więc z podwójną siłą i z podwójną nadzieją szedł i szedł dalej a ciągle przez bory, i już mu się zdawało, że gdzieś pamięta te lesiste strony, więc jeszcze prędzej, reszty sił dobywał, żeby tylko dojść. Ale nie było gdzieś końca owym borom. Dwa dni i dwie nocy szedł, i nie mógł wyjść z nich, pożywienie wszystko mu już wyszło, mróz i głód coraz bardziej dokuczał. Aż trzeciego dnia nad ranem minął już ostatnie drzewa, a znużony i znękany ledwo że się wlókł dalej. Słońce zeszło jasno i czysto; przed nim rozwidniła się okolica, Boże, jakaś znana! Spogląda po polach, znane mu pola, spogląda po drzewach, znane mu drzewa, i znana mu kopułka cerkiewna co się krzyżykiem z poza drzew wychyla, i znany mu głos dzwonka, co ludzi na nabożeństwo zwołuje. Przeciera sobie oczy wygnaniec i nie chce wierzyć uszom, i patrzy, a to jego wieś rodzinna!

— Wielki Boże, dzięki Tobie! — zawołał radośnie, i zdawało mu się, że będzie mógł lecieć, jak wówczas na Sybirze we śnie, lecz uczuł dopiero wielki ból w opuchniętych nogach i wielką niemoc we wszystkich członkach. I powoli musiał się wlec, i wlókł się jak stary dziad o kiju, a prosto do cerkwi.

Uroczyste nabożeństwo noworoczne sprowadziło pełną cerkiew ludzi; a ci co jeszcze nadążali, ściskali się, i życzyli sobie nowego roku i wiele w nim szczęścia. Ostatni dociągnął się biedny wygnaniec, i weszedł w próg pańskiego przybytku. Lecz jakaż boleść ścisnęła go za serce: moskiewski pop brodaty, moskiewskim trybem odprawiał mszę św. u tego samego ołtarza, u którego on jeszcze swojego księdza i świętą wiarę ojców zapamiętał.

Nie mógł więc wytrzymać w boleści. Krzyknął wielkim głosem, i zwalił się bez zmysłów na ziemię.

Wielki ruch zrobił się między ludźmi w cerkwi: obstąpili go, poznali, i wynieśli na cmentarz. Dzieci rzuciły mu się na piersi, całowały i płakały; a żona płakać i radować się nie mogła, bo już od roku nie żyła!

Omdlałego wygnańca odwieźli ludzie do jego własnej zagrody, a tam okryli ciepło i krzysili. Przyszedł do siebie na chwilę; zamglonym wzrokiem oglądał dzieci i przyciskał do swych piersi, a wreszcie zapytał słabym głosem:

— A gdzież moja żona Hanna?

A sąsiad z łzami w oczach, odrzekł:

— Nie żyje!

— Nie żyje! — zawołał wygnaniec, i ruszył się mocno na łóżku.

— Zdaj to na Boga — pocieszali go ludzie — masz dzieci kwitnące i dobre!

A biedny wygnaniec otworzył wtedy oczy żałośne, i jeszcze słabszym głosem rzekł:

— Nie żyje moja Hanna, i ja za nią idę! Zostawiam was dzieci w opiece Bożej, żyjcie szczęśliwe. Jabym już nie mógł żyć szczęśliwie w tem siole, gdzie ojców świętą wiarę porzucili ludzie. Ja za moją wiarę siedziałem lat dziesięć w lodach i śniegach Sybiru, i z tą samą wiarą pójdę na sąd Boży. Wam,

niech ten ojciec najmiłościwszy przebaczy, a niech surowo osądzi tych, co was na swoją moskiewską wiarę zmusili!

A to powiedziawszy, oddał Bogu ducha wygnaniec nieszczęśliwy śród płaczu dzieci, sąsiadów i całej gromady. A był w tej jego śmierci palec miłosierdzia Bożego, bo cóż byłby on biedny robił zostawszy przy życiu? On uciekł Moskalom z Sybiru, więc nie mógł był zostać w swojej wsi rodzinnej, boby go byli ci okrutnicy złapali i pod pałkami zabili. A cóż, czy miał iść dalej znowu w cudze kraje? Lepiej, że go Bóg zabrał do swej Ojczyzny niebieskiej, bo smutna nam padła dola z Moskalem, iżeśmy niewolnikami na naszej własnej ziemi!

Módlmy się za naszych rodaków, wygnańców na Sybirze, i w innej niewoli moskiewskiej, i za tych co zmarli męczeńską śmiercią, i polecajmy Bogu w modłach ziemię naszą i lud nasz utrapiony!

Na nowy rok.

Smutno sercu, jak jaskółce za zieloną wiosną,
I po twarzy żal się skarzy, a łzy w oczach rosną;
Zimno sercu, jak jaskółce na dnie chłodnej wody,
A nadzieje?... cóż je grzeje, chyba śnieg i lody!...
A czemuż ty roku stary
Takiś nam był zły?
Twoje dary, cierpkie dary:
Smutek, ból i łzy!

Smutna ziemio, a jak tobie w tej odziewce białej?
Czy nie ziębi ziarna w głębi mróz i wiatr zuchwały?
Piękna ziemio, czy nie ciężko tobie dźwigać złego,
Co nas męczy, i w snach dręczy, i żre do żywego?
Oj, jak tobie ciężko ziemio,
To się rozstąp w bród:
I płomieńmi, co tam drzemią,
Pochłoń złego ród!

Koniec roku!.. Kiedyż smutkom naszym koniec będzie?
Czy w twem oku nowy roku weselsze orędzie?

Czy ty niesiesz karę złemu a dobremu płacę?
Czy w twe wrota ja sierota nie darmo kołacę?
Och, a patrzże roku nowy
Na ten smutny kraj:
Płaczą córki, żebrzą wdowy:
Chwilę szczęścia daj!

Wróć nam, wróć nam roku nowy, dawne szczęścia chwile!
My płaczemy i żebrzemy, ślemy modłów tyle!
Wróć nam wiosnę! A tym braciom z których bluszcz już rośnie,
Niech choć ptaszę śpiewki nasze wydzwoni radośnie!
Wróć nam szczęście! Niech przepadnie
Ziemi naszej wróg:
A wnet szczęście świat owładnie,
Dopomoże Bóg!

Grześ z Mogiły.

Dwaj skąpcy.

W jednej wsi było dwu gospodarzy, którzy tylko o płot jeden sąsiadowali ze sobą. Nie mieli oni ani gruntów wielkich, ani ogrodów i sadów, ani bydła dużo; a przecie rozpowiadali o nich ludziska, że mają wiele pieniędzy, i trzymają je gdzieś schowane w garnkach i beczułkach. Nie gadał ta nikt aby oni kradli, rabowali albo choć sami robili pieniądze: ale wszyscy byliby przysięgli, że mają grosza co niemiara.

Osobliwi bo to byli chłopi ci dwaj sąsiedzi! Cały dzień zabita u nich chałupa, że tam nikt nie zajrzał ani ztamtąd nie wyjrzał; nigdy się prawie u nich nic nie gotowało; jak przyszła niedziela, to szedł zawsze jeden do kościoła, ale bosy, w czarnej koszuli, w podartym kożuchu, w słomianej okopciałej kapeluszynie, jeszcze gdzieś od Adama i Ewy, a opasany kawałkiem powroza. Tam się u nich nikt nie pożywił, bo chleb ich to po prostu placek z makucha, wyki i plew jęczmiennych, a strawa na stole, to pożal się Boże! Nie mieli nikogo w chałupie, tylko sobie oba i gotowali i piekli, i tak tylko oba zawsze razem żyli. Jeżli się zdarzyło, że tam zaszedł kto po co, to zaraz odpowiadali:

— My biedacy! My nie mamy z czego żyć, trzeba nam iść pomiędzy ludzi, aby z głodu nie zginąć.

Jak przyszła noc, to cała wieś spała, a oni obaj nie spali, tylko obchodzili zagrody swe do koła, a potem zamykali sień, i w izbinie drzemali aż do rana. Nawet i szczypki nie było u nich w chacie, bo gadali:

— Teraz każde drewienko droższe niż sól, i trudno sobie patyk jaki wyprosić, a kupić nie ma za co.

Jak było żałobne nabożeństwo w kościele, to oni stali między dziadkami; jak dawali we dworze co niedziela jałmużnę dziadkom starym i kalekom, to oni tam szli, a zawsze skuleni i wzdychający, jakby już gineli. Gdy im kto wypominal, że przecie mają dukaty, to mówili:

— Wolno sobie żartować z biednego bogatym! My nie mamy za co soli kupić, i jemy bez soli; nawet nie mamy za co okien sprawić, to też szmatami i słomą zatykamy okna przed deszczem i wiatrem.

Ale prawdę ludzie mówili, że oni mieli dukaty. Raz w nocy poszli obadwaj sąsiedzi do lasu i tam pod dębem grubym coś kopali; aleć gdy zakopali i mieli odejść, słyszą z dęba z góry jakiś głos:

— O głupcze, głupcze jeden z drugim! Schowaliście dukaty, aby ani sobie ani biednym ludziom nic nie dać, a jeżli jutro rano jeden z was umrze, cóż będzie z jego dukatami?

Na te słowa stanęli obaj skąpcy prawie słupem, i chcieli znowu wykopać dukaty i zabrać. Ale każdy sobie tak myśli i rachuje:

— Jeżeli tamten umrze a ja zostanę, toć ja zabiorę wszystko i będzie dwa kociołki razem.

A ponieważ nie wiedzieli, który z nich umrze, a który zostanie, więc nie chciał jeden drugiemu dać wykopać, i zaczęli się kłócić i bić, i bili się i kłócili prawie do wschodu słonka. Aż tu z poza dęba wychodzi sobie śmierć straszna z kosą, i mówi:

— Żegnajcie się z dukatami! One tu pod dębem zostaną, i ani jednego nie weźmiecie z sobą!

I machnęła kosą po nad ich głowami, aż zadzwoniło, a jeden skąpiec upadł i ani dychnął więcej.

Śmierć sucha i czarna znikła, jeden leży umarły na ziemi, a drugi stoi ledwie żywy i oniemiały. Powoli, powoli przyszedł do pamięci, zaczął patrzyć, czy śmierć nie ruszyła co z kociołka którego', zaczął się uśmiechać, że mu przybył drugi kociołek, ale nagle pomyślał sobie:

— A nuż tu kto przyjdzie i trupa zobaczy, gotów tu co szukać i wybrać moje szczęście całe, na co ja całe życie pracuję i tyle się pocę.

I wziął trupa na plecy, i niósł go daleko od dęba i rzucił na ziemię, a sam wrócił do chałupki.

Już tydzień dobry minął od onej nocy, aż ktoś doniósł do wsi, że w polu leży umarły dziad. Poznali ludzie, co to za jeden, a gdy nie było zaco kupić desek na trumnę, pochowali go z miłosierdzia, a skąpiec żywy i sąsiad dawny nie kazał nawet umarłemu zadzwonić, ani się nie zgłosił, choć zabrał kociołek dukatów, ani nawet za trumną jego nie poszedł. Jeszcze pierwej przetrząsł on całą chałupinę skąpca nieboszczyka, i co tylko było, to zabrał do siebie i wystąpił z żądaniem, że chałupina do niego należy, mówiąc:

— Nieboszczyk u mnie ciągle przesiadywał, jadł ze mną, pożyczał sobie u mnie wszystkiego, a teraz mnie się należy tyle a tyle — i wyrachował na palcach tyle długu u nieboszczyka, że po sprzedaniu chałupiny jeszcze mu się nie wróciło wszystko.

Ależ wiecie dobrze, że skąpstwo to straszny grzech: bo tu człowiek i sobie i drugim żałuje, a duszęby dał za jednego trojaka. Takie grzechy cierpi nieraz długo pan Jezus, ale też i karze, jeżli nie tu to na tamtym świecie.

Otóż i ów skąpiec poszedł sobie pod dęba popatrzyć, czy tam kociołki są schowane. Zobaczył on ziemię niby poruszoną i tak się przestraszył, że upadł, bo bez dukatów to mu jeno umrzeć!

Aż tu śmierć pokazuje mu się z poza dęba i nuż wywijać nad nim kosą, a on mówi:

— Jeszcze choć dzień pozwól mi przeżyć, bobym chciał

za życia sprzedać chałupinę i graty moje, a potem to tam już mogę umierać.

— Więc śmierć mu na to:

— No dobrze! ale zrób porządek jak się patrzy z temi kociołkami, pamiętaj!

Na tę mowę nastraszył się skąpiec, bo sobie pomyślał: Gotowa mi zabrać kociołki, skoro już wie o nich! Wstał z miejsca, poszedł do chałupiny, sprzedał ją i wtedy legł chory pod ścianą sąsiada. Sąsiad przyprowadził mu księdza, a ksiądz do niego tak mówi:

— Mój człowieku! Ludzie powiadają, że macie dukaty. Radzę wam jeszcze przed śmiercią, abyście to obrócili na coś dobrego. Tyle wdów i sierot jest tu w naszej wsi, dajcie im to, a będą się modlić za was; albo dajcie co na szkołę, bo teraz mamy tu szkołę fundować, a pan Jezus odpłaci to waszej duszy.

A na to skąpiec:

— A gdzież ja mam dukaty, mój jegomość, gdzie! Ot gadają sobie, ta niech gadają zdrowi; jabym sam wziął, gdyby mi kto co podał, bo ot, leżę pod cudzą ścianą!

Więc ksiądz rzecze znowu do skąpca:

— Bójcie się Boga! Tać sprzedaliście dopiero chałupę, to choć te kilka reńskich ofiarujcie na szkołę; jeżeli wyzdrowiejecie, to wam oddam, i sam wam podam kawałek chleba! A z czemże wy staniecie na sądzie bożym?

A skąpiec na to:

— Ja nie mam ani szelążka, co wy chcecie odemnie! — I przewrócił się na bok, bo tu miał zaszyte papierki w koszuli, które wziął dopiero za chałupinę swoją.

A ksiądz pokiwał głową, pokropił go wodą święconą, przeżegnał i odszedł, mówiąc:

— Na sądzie bożym dowiem ja się kiedyś i ty się dowiesz może dziś jeszcze, czy to prawda co mówią ludzie o twych dukatach.

Niezadługo umarł skąpiec, jak mu to śmierć powiedziała. Kociołki zostały w lesie, papierki wziął do trumny, bo go z koszulą starą do trumny włożyli, a pogrzebu nikt nie spra-

wił, tylko ksiądz pokropił i przeżegnał trupa, dzwonek konający brzęknął kilka razy na dzwonicy, trumna stanęła koło grobu, grobarz ją spuścił i przykrył ziemią świętą, a po skąpcach i ich dukatach nie zostało między ludźmi ani dobrego słowa. Tylko sobie we wsi rozpowiadali, że coś w lesie pod wielkim dębem straszy, że stęka, że płacze, że łamie konary, że na tym dębie ani wrona, ani sroka, ani żaden ptak nie siada, ani gniazda nie ściele, że dąb usycha i co rok ma mniej liścia. A za cóżto miałoby straszyć koło onego dęba?

Oto posłuchajcie, co się stało z duszami skąpców.

Rad czy nierad musi każdy zdać rachunek z życia po śmierci; więc i dusza skąpca stanęła przed panem Jezusem, a on Syn Boży tak się do niej odezwie:

— Powiedz duszo coś robiła na ziemi przez pięćdziesiąt lat życia?

Na to zadrzała jak listek dusza skąpca i mówi:

— Zrobiłem majątek: oto zostały dwa kociołki dukatów pod dębem, a szmat papierków jest w trumnie, w dobrym schowku.

Więc pan Jezus rzecze do aniołów:

— Podajcie tu anieli te kociołki i te papierki!

Aż się ucieszyła dusza skąpca, że będzie miała dukaty przy sobie. Ale gdzie tam! Na co innego kazał pan Jezus podać dukaty. Oto stała tam waga, a koło niej stał anioł pilnujący, żeby na włos nie było niesprawiedliwości.

Na jednej ważce był napis: Tu się kładą grzechy każdego człowieka. A na drugiej znowu tak stało: Tu się kładą dobre uczynki każdego człowieka.

Więc też pan Jezus rzecze do aniołów:

— Połóżcie te kociołki i papierki na tę wagę, aby się ta dusza przekonała sprawiedliwie, co ona warta tutaj!

I legły kociołki z papierkami na wadze, a anioł-stróż pilnujący spoglądał uważnie jak skazówka wagi pokazuje; czy na złą, czy na dobrą stronę. A oto poszła do góry waga z pieniędzmi.

Na to pan Jezus odezwie się do duszy:

— Patrzaj, twoje dukaty nie ważą tu ani tyle, ile piórko na ziemi!

A dusza mówi:

— Bo pewnie nie ma nic w kociołkach, a papierki może robaki w grobie zjadły!

Więc na to pan Jezus uczynił surowe oblicze i powie:

— Idź, popatrz i policz, a nie braknie ci tam ani jednego grosza, z tych coś miała na ziemi.

I było tam wszyściuteńko, nawet tak ułożone, jak było pod dębem schowane i do koszuli przyszyte.

Dusza skąpca przelękła i zdziwiła się bardzo mówiąc:

— Jakto być może, żeby dukaty nic a nic nie ważyły? Tażto cięższe od żelaza. Na ziemi to one najwięcej znaczą, a tuby nic nie miały znaczyć i ważyć?

A na te słowa rzeknie Anioł pański:

— Na sądzie bożym to tylko znaczy wiele, co człowiek dobrego zrobi za życia. Majątek sam nic nie waży u nas; u nas wtedy majątek popłaca, jeżli go posiadacz na wszystko dobre obraca.

I w końcu podniósł głos sam pan Jezus sprawiedliwy:

— Oto dałem ci pieniądze, ale tyś je pomnażał lichwą, boś na wysoki procent biednym pożyczał i zdzierałeś ich w najgorszym czasie; tyś skupował zboże i nie dałeś nikomu ziarneczka, lecz trzymałeś do przednowku i wtedyś sprzedawał, a choćby był kto zginął pod twoim progiem z głodu, toś mu nie dał jałmużny darmo; tyś brał łąki i zagonki od biednych za pół darmo, jak oni chcieli u ciebie pożyczyć na podatek lub biedę; tyś brał fanty od ludzi i te przepadały u ciebie, jak termin minął i wiele podobnych grzechów popełniłeś za życia!

A dusza na to rzecze:

— Przecież to na ziemi robią tak prawie wszyscy dziś!

A pan Jezus odpowie:

— Wszyscy ci co tak czynią, staną tu i ich życie zważy się jak twoje. A ponieważ twoje dukaty nie są zebrane miłością; ponieważ dawałem ci tyle razy napomnienie: raz głosem z nieba, drugi raz śmiercią twego wspólnika, trzeci raz znowu chorobą ciężką i przez usta księdza słałem ci napomnienie, a

tyś tego nie słuchał, tylkoś w ziemi zostawił dukaty: to też one nic nie wartają, nic nie zaważą na tej boskiej wadze! I teraz za takie łakomstwo i skąpstwo pójdziesz na pokutę pod tego dęba tak długo, aż się ktoś znajdzie, że odgrzebie te dukaty i zrobi z nich jaki fundusz miłosierny.

A po tych słowach odprowadził anioł duszę na miejsce wyznaczone; i dlatego też uciekają teraz ptaszki ztamtąd, a dąb usycha od płaczu nieszczęśliwej duszy, a Anioł tam stoi na warcie i czeka jej wykupu.

O, sąd to sprawiedliwy, a wy grzesznicy, którzy to słyszycie, czyńcie dobre ofiary z darów bożych, abyście tak nie pokutowali po śmierci, jak ten skąpiec stary!

Ks. Wojciech z Medyki.

Prawdy gospodarskie.

Przez starych gospodarzy na zapytania i odpowiedzi ułożone.

Żeby młodzi tak robili,
Jak to starzy uradzili.

1. Czy może być dobry gnój bez dobrej paszy. — W żaden sposób być nie może.

Jak z samej wody nie nawarzysz piwa,
Tak z lichej paszy tłusty gnój nie bywa.

2. Jaki nawóz trzeba w pole wywozić? — Słomiasty w piaszczystym gruncie suszy rolę, a przegniły nie rozkrusza gliny; więc powiadają starzy:

Na ścisły, gliniasty,
Dobry gnój słomiasty;
A na piaszczysty,
Przegniły maścisty.

3. Jak należy gnojowisko urządzać? —

Obrać na to miejsce suche, osłonięte od południa budynkiem, albo drzewiną, a dla wody deszczowej porobić odcieki, żeby do gnojowiska nie zachodziła; gnój z obory za każdym wyrzuceniem równo układać.

4. Co się jeszcze gospodarzowi na gnój przydać może? Wszystko coby inaczej zmarniało: błoto i śmiecie z podwórza, popiół z ogniska, kępiny i rumowiska.

Spłuczyny i domowe śmiecie,
Na nawóz zdadzą się przecie.

5. Jak się gospodarz powinien obchodzić z gnojem wywiezionym w pole? — Zaraz rozrzucić, niebawem brać pod skibę, osobliwie przegniły, bo marnieje bez przyorki. Dla tego powiadają:

Jak pokryjesz gnojem rolę,
Ładuj zaraz pługi w pole.

6. Czy dobrze jest trzymać na pola gnój długo na kupkach? — Bardzo źle, bo go słońce i wiatry wysuszają.

Gnoju w polu nie przybywa,
Lecz co pacierz to ubywa.

7. Czy gospodarz powinien się starać o osuszanie gruntu mokrego? — Powinien, bo mokra rola chleba nie da.

I pracy człeka tam szkoda,
Gdzie na roli stoi woda.

Ale i to też wielkie marnowanie, kiedy kawał ziemi dla mokrości nic człowiekowi nie przynosi; a dałby dobry urodzaj, byle go jak należy osuszyć.

8. Czy gospodarz powinien, choćby mu z tego nic nie przyszło, pomódz sąsiadowi do odprowadzenia wody? — Powinien, bo zasłania ludzi, bliźnich swoich od straty; z takim też będzie błogosławieństwo Boże.

Kto od szkody chroni braci,
Temu stokroć pan Bóg płaci.

9. Jakie ziarno powinno się brać do siewu? — Celne zdrowe i czyste, czyli sucho zebrane, zdrowo przechowane, dobrze oczyszczone.

10. Jak gospodarz powinien uprawę ugoru prowadzić? — Podorywki nie opóźniać: dalszej órki nie przynaglać; ale z pługiem i radłem iść w pole kiedy chwasty zaczną puszczać.

Jak już zobaczysz rolę zieloną,
Dopiero ruszaj z pługiem i broną.

11. W jakim gruncie siać należy pszenicę? — W żyznym i dobrze uprawnym od dawien dawna, a nigdy w chudym i zaniedbanym.

Pszenny kołacz lepiej smakuje od żytniego chleba; ale też mówi stare przysłowie:

Bez pracy
Nie będzie kołaczy.

12. Na co gospodarz zważać powinien w zasiewie oziminy? — Żeby przed tem rola już uprawiona dobrze się odleżała.

Rola co się odleży
Daje plon jak należy.

13. Co gospodarz po zasiewie oziminy zrobić jeszcze powinien? — Brózdy przeorać, przegon przepędzić aby się woda nigdzie zatrzymać nie mogła.

14. Kiedy najlepiej siać żyto? — Ile możności w porze suchej; dla tego mówią:

Gdy się w zasiewie za broną kurzy,
To przede żniwy żyto się burzy.

15. A czy z wiosennym siewem naglić trzeba? — Osobliwie też z wiosennym, póki rola z wilgoci nie obeschła, mówią też starzy:

Kto siew owsa spieszy
Ten się plonem cieszy.

16. Które zboże z wiosny najprzód się zasiewa? — Jare żyto; bo jarka do siewu szparka.

17. Jak się gospodarz obrządzać powinien z siewem jęczmienia? — Siać go powinien już w rolę dobrze ogrzaną od słońca; dla tego starzy powiadają:

Gdy brzoza pęka a słonko grzeje,
Wtedy się jęczmień najlepiej sieje.

18. Jak często można jedno miejsce grochem obsiewać? — Najwięcej co sześć lat; tak też się i mówi:

Grunt grochowi rad,
Ledwo co sześć lat.

19. Co gospodarz powinien mieć na baczeniu kiedy sadzi ziemniaki? — Żeby grunt był gnojny i dobrze uprawiony;

Grunt jałowy lada jaki,
Liche wydaje ziemniaki.

20. Co gospodazz dobry oprócz zboża i ziemniaków powinien na gruncie zasiewać? — Koniczynę, wykę, trawy i wszystko co na siano przydatne; boć ze słomy podściołka dobra, ale pasza chuda, a z koniczyny i innych traw pasza najprzedniejsza; a przy dobrej paszy to i większa korzyść z dobytku i tłusty gnój.

Kto sieje trawy pastewne,
To się dobrze ma na pewne;
Już tam i lepszy dobytek,
I z roli większy pożytek.

21. Iloraka bywa koniczyna? — Dwojaka: biała i czerwona; biała na pastwisko, czerwona na siano.

22. Kiedy trzeba siać koniczynę? — Na wiosnę w gruncie żyznym i dobrze uprawionym, w jęczmieniu, w owsie, pszenicy a nawet w życie.

23. Czy można koniczynę w pierwszym roku przed zimą kosić lub spasać? — Nie można; bo jak zima nastąpi ostra, to koniczynę wymrozi.

Na zimę z koniczyny,
Jak z dzieciny,
Nie zdejmuj pierzyny.

24. Jak często można jedno miejsce koniczyną obsiewać? — Nigdy prędzej jak co sześć lat, tak samo jak i groch.

25. Jak długo można koniczynę w roli utrzymywać? — Najdłużej lat dwa; a w trzecim roku trzeba ją przeorywać, bo się zaczyna przerzadzać, więc z niej mało pożytku a rola się zachwaszcza.

26. Kiedy się zbiera pierwszy pokos czerwonej koniczyny? — Chcesz siana przedniego, więc skoro się kwiat nieco zaczerwieni, wtedy koniczynę koś a nie dopuszczaj żeby w nasienie poszła.

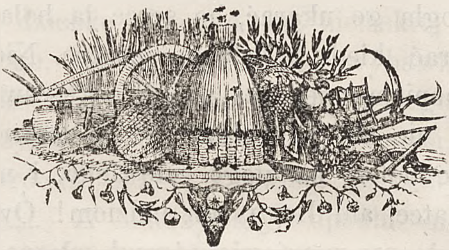
(Przyjaciel Ludu.)

Wydawca odpowiedzialny za redakcyą: E. Winiarz.

Tom VI. **Nr. 2.**

11. Stycznia **1862.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BRZOZA GRYŻYŃSKA.

Cud wam opowiem dziateczki wiejskie, i wiejskie mateczki, a cud nie żaden wymyślony, ale Boski, osobliwy, ku ludzkiemu dobru i nauczeniu. Stało się to w naszej Polskiej Ziemi, która cała cudami słynąca, a w tej części, co się zowie Wielkopolską i dziś pod rządem Prusaka, a stało się koło miasta Kościana w wiosce nazwanej Gryżyna. Dawnemi laty stał przy tej wiosce kościół św. Marcina; lecz dziś już tylko gruzy z niego, a gruzy te ocienia biała brzoza, rosnąca między grobami. Ta smutna biała brzoza rośnie tam od niepamiętnych czasów, a gdy kto obcy przechodzi lub przejeżdża i zobaczywszy białą brzozę spyta się ciekawy zkąd ona się tam wzięła: to mu każdy człowiek Gryżyński o niej opowie, bo tam nawet małe dziecko zna tę brzozę i umie o niej powiedzieć.

Onego czasu, któż wie ile lat temu, żyła w Gryżynie wdowa, która miała jednego synka Antosia, a że go tylko jednego miała, to tak go kochała, tak pieściła, dogadzała, że dziecku wszystko wolno było, a nigdy nie zaznał słowa skar-

cenia od matki. Matka zaślepiona w synku, żeby mogła toby mu była niebo i gwiazdy sprowadziła na ziemię, a gdy co zawinił to nie mogła go ukarać, bo serce ją bolało, jakby tu takie dziecko karać, kiedy to dziecko jeszcze. Nie wiedziała ona, że takiem kochaniem nie robi się dziecku swemu dobrze ale źle, bo dziecko nie ukarane nigdy za zły uczynek, rośnie w tem złem i wyrośnie potem na złego człowieka, i nie będzie z niego pociechy ani matce, ani Bogu, ani ludziom! Ów chłopczyk tak się też popsuł, że raz w gniewie uderzył własną matkę! Grzech to wielki i zasługujący na karę: ale matka nie miała serca i nie ukarała go i bardzo źle zrobiła, bo coby to mógł z tego dziecka wyróść za niewdzięczny syn, co matki rodzonej poszanować by nie umiał! Lecz nie chciał tego Pan Jezus, i sprawił, że niedługo potem zachorował ten chłopczyk i umarł.

Płakała strasznie i wyrzekała biedna matka, chciała pójść za dzieckiem do grobu, ale nic to nie pomogło; Antosia schowali do zielonej mogiłki na cmentarzu, a biedna matka w pustej chacie dnie i noce płakała. Tymczasem na cmentarzu dziwne rzeczy się zaczęły dziać. Idzie grobarz ścieżeczką, patrzy, a oto dziwo! z świeżej mogiły Antosia mała rączka się wysuwa. Strwożony grobarz biegnie do księdza i opowiada całą rzecz; więc ksiądz pobożny, wielce się zadziwił, wziął krzyż i stułę i poszedł na miejsce cudu. Tam w gorącej modlitwie upadł na kolana, modlił się, modlił i żegnał, i sam rączkę wcisnął w grób, ale daremnie! Rączka znowu wyszła z ziemi, i biała jak śnieg wyrasta z zielonej mogiły. Nie pomogły modlitwy księdza, kazał więc zadzwonić i zwołać całą wieś na cmentarz, a kiedy wszyscy potrwożeni starce, młodzi, kobiety i dzieci w koło mogiły stanęli, zapytał ksiądz matki co to znaczy, że jej dziecko nie ma w grobie pokoju, tylko ciągle rączkę ze ziemi wysuwa.

— Ty sama musisz wiedzieć o tej tajemnicy — rzekł ksiądz do płaczącej matki — i musisz ją wyjawić, jeśli się lękasz kary Bożej i chcesz zbawienia twojego dziecka!

Nieszczęśliwa matka wzbraniała się długo, nareszcie zmuszona zaklęciem księdza, z jękiem i płaczem wielkim wyznała, że synek uderzył ją raz w gniewie, a ona go nie ukarała

za to. A wtedy rzekł do niej ksiądz z Bożem jakiemś natchnieniem:

— Twoje dziecko domaga się ziemskiej kary za swoją przewinę, dla tego, aby Bóg miłosierny wybawił je od wiecznej. Weź więc matko rózgę i uderz rączkę twojego dziecka!

Na wpół żywa matka, ledwie nie skonała, ale pociągnięta do grobu, odwróciła oczy i z jękiem strasznym dokonała tej okropnej kary..... A uderzywszy upadła nieszczęśliwa kobieta, lecz też i biała rączka, na wielki dziw wszystkich ludzi, sama się do grobu schowała.

Dreszcz śmiertelny przeszedł po zgromadzonych; ksiądz zaś wziął ową rózgę i zasadził na grobie, a owo drugi cud Pan Bóg pokazał, bo z pierwszą wiosną rózga puściła pączki i rozwinęła się, a z czasem urosła z niej ta brzoza wysoka, która po dziś dzień stoi i przypomina Gryżyńskim ludziom i wszystkim rodzicom na polskiej Ziemi, aby dobrze dzieci chowali, a wszystkim dzieciom aby słuchały i szanowały rodziców.

Od sioła do sioła, od miasta do miasta, leci i słynie powieść o Gryżyńskiej brzozie. Dziatki Gryżyńskie przychodzą nieraz i spoglądają na nią ze strachem, a matki nawet z innych wiosek robią sobie z niej rózeczki i wieszają w chatach, aby karać nieposłuszne dzieci.

Otóż, wy moje matki, jedna drugiej powiadajcie o tym cudzie Boskim, a postanówcie sobie rozumnie z waszemi dziećmi poczynać, aby to i łagodnie i dobrze, a znowu kiedy potrzeba i skarcić choć przez gwałt macierzyńskiego serca, bo was kiedyś Pan Jezus zapyta: — Coście zrobili z temi, które wam dałem? — i trzeba będzie ścisły rachunek zdać z wychowania dzieci. Dla tego więcej sobie ważcie zbawienie duszy swojego dziecka jak jego ciało, i jak wszelkie inne zatrudnienie, i jak własne serce. Bo duszyczkę niewinną i białą daje Pan Bóg dziecinie, a co wy tam włożycie to zostanie; więc niech z was każdą Matka Boska uchowa, abyście tę duszyczkę zbrudziły albo i zatraciły. Oto ofiarujcie najpierwej wasze dziatki Panu Bogu i Matce Najświętszej i Aniołowi Stróżowi, a potem same strzeżcie i pilnujcie, uczcie i zaprawiajcie do cnoty i uczciwości: a pomoże wam i pobłogosławi Ojciec niebieski. Wy zaś

dziateńki moje, słuchajcie święcie ojca i matki, nie gniewajcie ich nigdy i nie zasmucajcie brzydkiem słowem albo złym uczynkiem, szanujcie i kochajcie serdecznie rodziców, bo nikt już was w życiu tak kochać nie będzie jak oni, i nikt wam tak dobrze nie będzie życzył jak oni. Pomagajcie im z ochotą w pracy, z wdzięczności za wszystkie trudy ojcowskie i macierzyńskie, bądźcie im wdzięczni i pokorni do samej śmierci, a Pan Bóg was błogosławić będzie, i nie opuści was nigdy!

Przedmowa do książki,
w której jest żywot św. Jana Chrzciciela spisany.

Wszystkim, co w Panu swą nadzieję mają,
Te się o wielkim Świętym książki dają;
Aby tem większą jeszcze ufność mieli,
I każde słowo ztąd do serca wzięli.
W krótkich wyrazach znajdzie się tu siła,
I sprawa krótka, a nad podziw miła;
Tak, że czytając te ubogie słowy,
Człek się tej rzeczy przygląda domowej,
A jeśli tylko dusza będzie czysta,
To mu się bratem wyda ów Baptysta.

O! czytelniku z dalekiej podróży,
Woń ci przynoszę Jerychońskiej róży:
Czytajże tedy i bądź myśli słusznej,
Coć tu spisałem na pożytek duszny
O pacholęcym Jana młodym wieku,
A bacz na jakiem wykarmił się mleku,
Że nie na złościach, ani na przekleństwach,
Lecz na miłościach i błogosławieństwach.
Na pozdrowieniach anielskich się chował,
Ów, który prawdę wieczną umiłował,
I umrzeć musiał nie biorąc oręża,
I paść upadkiem onym, co zwycięża.

Wejrzyj na dziecko co jeszcze nie gada,
Jak w kolebeczce na krzyż rączki składa;
Jak niemowlątko na matczynem łonie,
Na imię Marja pleszcze w drobne dłonie.

Jak, gdy w niem wyższa rozmaga się wola,
Z izdebki swojej ucieka na pola,
I między zbożem jak nikczemne ptasze
Swoje anielskie śpiewa Ojczenasze —
Gdy z okna za nim patrzący rodzice,
Zwilżone łzami ocierają lice.
A niebo jasne i kraina cała
Z każdego drzewa śpiewa: Panu chwała.
I Magnifikat i prorockie psalmy,
Zdają się liściem w takt wybijać palmy,
Gdy święte dziecię w bujnych kłosów lesie,
Cieniuchnym głosem w śpiewach się zaniesie.

Patrz czytelniku jak coraz to dalej
W pustynię wchodzi, kędy Pana chwali,
Jak leśnym miodem i korzonki żyje,
Przypominając proroka Eliję.
Na widok kupców jak spiesznie z daleka
Pomiędzy krzewy najgęstsze ucieka,
Którzy prowadząc wielbłądy z Damaszku,
Dziwy o świętym powiadają ptaszku.

Mój czytelniku a podziw się ino,
Jak na tę puszczę Bóg schodzi gościną.
Oto Najświętsza i Józef i Panię
Odpoczywają z Janem przy Jordanie,
Który im służy pokornie a szczerze;
Trawa ich obrus, a liście talerze.
Za napój Panu kropla czystej wody,
Którego pszczoły słodkie noszą miody,
A wino rodzi złociste jagody.

Józef staruszek jak się to ciekawie
Jezusa z Janem przygląda zabawie,
Jak w każdym ruchu Boże znaki czyta,
Jak okiem, uchem, sercem, niebo chwyta.
Głos tylko Boży dolata do ucha,
I cisza taka, że cały świat słucha...
Głuchną szczebioty i ptasie zamieszki,
Gdy zabrzmi wdzięczny głos: prostujcie ścieżki!

Józef, staruszek letni ale krzepki,
Wkłada na zwierzę podróżne torebki,

Matka Panienka na osiołku jedzie,
A Jezus z Janem bokami po przedzie,
Sercem anielską wydając prostotę,
Biegną przy matce jak motylki złote.
Na dni boleści potrzeba oddechu,
Zaziemskiej woni, świętego uśmiechu:
To nabierz w piersi wesołości wcześnie,
Byś sobie niebo przypomniał choć we śnie.

Patrz jak w pustyni przed gmin stając mnogi,
Prostójcie, woła, bracia wasze drogi!
Bowiem się zbliża, już widna, już w sieniach,
Ta postać biała, ta głowa w promieniach.
Niechajże każdy z was sercem ugości
To zmiłowanie Boże, te jasności! —
I nieustannie powtarza te słowa,
Pokąd nie spadnie owa święta głowa,
Pod miecz poddana z cichością ofiarną,
Jako kwiat spada gdy dojrzewa ziarno.

O! spiesz za niemi, naśladuj ich kroki,
Poznasz ich przyjście po ciszy głębokiej,
I po jasności i po słodkiej woni,
I po rzewności która łzami dzwoni.
Ani się powstydź bracie twej chudoby,
Bacząc na owe pobielane groby,
Co z wierzchu piękne, ale wewnętrz szpetne;
W skałach chropawych śpią kruszce szlachetne,
Wzgardzony ślimak wdzięczną perłę chowa,
I z bagien woda wytryska źródłowa.
Idź za Jezusem, a zajdziesz bezpieczny
Do szczęśliwości doczesnej i wiecznej.
Szukaj wciąż nieba, a strudzonej nodze
Ziemię ojczystą zdarzyć Bóg po drodze
A trwogi nie znaj, choć po drodze zdradnie
Kamień ze skały lub zwierz na cię spadnie,
Bo żaden żeglarz brzegu by nie dostał,
Gdyby na drodze złym wichrom nie sprostał.
Chwal Boga sercem i czystemi słowy,
I bądź na wszystko co Bóg da gotowy;
Tak, byś odchodząc swoich bez powrotu,
Nie pożałował ziemi ni namiotu,

Bo trudno temu przebyć rajskie wrota,
Kto w pajęczynę ziemską się obmota,
I jeno dobra ukocha śmiertelne:
Łacniej wielbłądom przez ucho igielne,
Niż przejść do nieba po ziemsku bogatym,
I nieba dostać z tęsknotą za światem.

Teofil Lenartowicz.

O św. Janie Chrzcicielu na puszczy.

(Teofil Lenartowicz, którego wiersze czytywaliście w Dzwonku, napisał i do druku podaje Żywot świętego Jana Chrzciciela, z którego parę rozdziałów nam przesłał razem z przedmową. Otóż, wydrukowaliśmy wam przedmowę, a teraz podajemy ustęp z owego ślicznego Żywota).

Powiedziano jest w życiu Jezusa Chrystusa Pana naszego, że pustynia którą przechodziła Najświętsza Panienka ze świętym Józefem uciekając do Egiptu, była po drugiej stronie Jordanu.

Także powiedziano jest: jako św. Jan Chrzciciel na tę samą odprawił się pustynię, aby czynić tam pokutę przez lat siedm, i że na takowej pierwszym pustelnikiem on był; owóż św. Jan oddalił się na pustynię dla dobra duszy swojej i umartwienia ciała swojego, bez czego nie mógł chwalić Boga i Syna Jego jednorodzonego, którato sprawa była mu nadewszystko pożądaną.

Ku temu dążyła i wołała nań dusza jego i ciało jego, jak powiada Ewangielia święta; szedł tedy na pustynię wołając dzień i noc: Prostójcie drogi Pańskie, czyńcie proste ścieżki Jego, oto idzie, prostójcie szczerze!... i wołał te słowa wciąż głosem wielkim, osobliwie wtedy, kiedy widział przechodzących przez pustynię.

I wołał: Czyńcie pokutę, albowiem przybliża się królestwo niebieskie.

I wielekroć był niewidzialny, i tylko głos jego słyszany był, a ci co go widzieli, zbliżyć się do niego nie mogli, albowiem podnosząc ręce oddalał się.

I oto co czyniło owe błogosławione chłopię, nie znając innego towarzystwa jak dzikich bestyj, jako to: lwów pustyni, tygrysów i innych zwierząt, które mu pod rękę przychodziły, aby je obejmował przez miłość Tego, który ich stworzył.

A kiedy zwierz mały czy wielki wydawał ryk około niego, Jan święty rozumiejąc, iż w taki sposób chwalą Boga, podnosił głos i chwalił Pana wespół; także z ptakami pustyni znał się, na gniazdach siedzące ręką swoją głaskał, i wołał: Chwalmy Boga, Stwórcę naszego, a pisklęta poruszały skrzydłami i otwierały dzióby, jakby na widok starych, które im pożywienie nosiły.

A błogosławiony Jan patrząc na nie rozumiał, iż cieszą się ze słów jego, i dziwił się dziełu Boga i tym rzeczom, które widział i znajdował, i rozmyślał nad duszą swoją i mówił:

— O ty! któryś to wszystko stworzył, daj mi godnie chwalić siebie, pokąd mi życia wystarczy! — i tak płonął cały miłością Bożą coraz większą.

Pożywienie jego było nie jak małej dzieciny, ale jak człowieka dojrzałego, nauczonego od Boga jako się zachować, i zkąd brać to pożywienie, co wszystko czynił z podziękowaniem Bogu i chwałą, jako prawdziwy pustelnik.

Noc przepędzał w kąciku przez dzień upatrzonym, a najczęściej pod jałowcem, bacząc na słowa proroka Elijasza, który pod krzakiem jałowcowym często spoczywał, jako Ewangielia mówi o nim, iż miał ducha i cnotę Elijaszową, i jako nam wiadomo, iż Jan święty naśladował Elijasza w świętości i dobroci jego, jako najdoskonalszego sługi Pana Boga.

I pod onym jałowcem modlił się przypominając co Bóg uczynił, i mówił do Elijasza pod takąż samą jałowcową krzaczyną, i nie pragnął nic innego nad on podpłomyk biały, pieczony pod popiołem, którym się Elijasz żywił, a to przez nabożeństwo więcej jak przez głód, i może mu tam i Pan Bóg posyłał dla większej miłości swojej.

Odpoczywał tedy święty Jan Chrzciciel pod jałowcem jedząc mało, a sypiając jeszcze mniej.

Będąc św. Jan Chrzciciel na pustyni doczekał się onego czasu, w którym Anioł przelatywał do Egiptu niosący Józefowi wieść: jako już było upłynęło lat siedm wygnania, i że już wrócić może z matką i synaczkiem do ziemi Izraelskiej, ziemi swojej. Więc odprawił się błogosławiony Józef z matką i synaczkiem w tę długą drogę, a przechodząc przez pustynię przyszli na miejsce kędy znajdował się Jan Chrzciciel, który jak tylko z daleka zobaczył Najświętszą na osiołku siedzącą, św. Józefa z narzędziami ciesielskiemi, więc z piłą i liniją i długim kijem w ręku, a przedewszystkiem Zbawiciela świata, małego Jezusa Chrystusa, od którego się nietylko pustynia ale i świat cały rozświecił: począł biedz naprzeciw co mu tchu starczyło, owy, który zawdy uciekał widząc ludzi tego świata. Tedy i dzieciątko Jezus poczęło biedz naprzeciw, i tak zbliżywszy się Jan rzucił się na ziemię całować stopy Jezusa umiłowanego, zaś Jezus podniósł go i objął ramionami i czoło jego ucałował mówiąc: Pokój tobie, który biegniesz przedemną; tedy Jan odpowiedział: Bogu dzięki.

I wziął go Jezus i poprowadził ku matce swojej i Józefowi, przed którymi Jan u nóg Najświętszej z pokorą przykląkł, a Panna przeczysta powitała go z taką wesołością i miłością, że tego i opowiedzieć trudno.

I objęła go ramionami swemi i rzekła: Pokój tobie synaczku najukochańszy.

Tedy Jezus powiedział Józefowi jako to jest Jan Zacharjaszowy, który się też coprędzej do onego młodzieniaszka zwrócił, a Jan do nóg mu przypadł, i z największem uszanowaniem czcigodnego powitał staruszka.

Poczem Najświętsza Panna jęła się dopytywać Jana: Synaczku, a cóż porabiają Zacharjasz i Elżbieta siostra moja? A dziecię odpowiedziało: O! przeczysta panienko, kochają bardzo Pana Boga, ale ja ich już dawno nie widziałem, odkąd na tej pustyni siedzę. A po chwili odpoczynku rzekł Jan: Najświętsza, miejsce to blizkie jest bardzo drogi, którą przejeżdżają kupcy i drugie ludzie, gdybyście chcieli poprowadziłbym was ztąd niedaleko w inne miejsce, które ja wiem, gdzie moglibyście odpocząć tak długo jakbyście chcieli. Tedy

rzekli: Idźmy błogosławiony synaczku, a ty pokazuj drogę. I szedł posłuszny Jan a Jezus pobok albo przodem, zawsze blisko siebie, po drodze, której nigdy pierwej ludzka stopa nie dotykała, pełnej paproci, ziół, kwiatów i krzewów rozmaitych, i tak przybyli na prześliczną łąkę znajomą Janowi, kędy do koła rosły ogromne jałowce i inne drzewa, i kędy na boku wytryskał strumień czystej wody, któreto źródła musiały być liczne w tych stronach, oraz drzewa daktylowe, o których czytamy w żywotach ojców. I cieszyli się wszyscy, a bydlątko Józefowe porykało radośnie.

Tedy Józef wydobył z worka króbkę do picia wody, którą Jan wziąwszy pobiegł ku strumieniowi, i Jezus za nim śmiejący się i uradowany; a Matka Najświętsza szła z tyłu z Józefem, mówiąc to o świętości, to o zbawieniu, i zasiedli około wody, a Jezus nosił pić Najświętszej i św. Józefowi, i tak im posługiwało tych dwoje błogosławionych chłopiąt, i wesele i uciecha były tak wielkie, widzący ich wszystkich razem, że tego żadnem słowem wypowiedziećby nie można. Józef wydobył z worka zeschłego chleba kawałek, a Jan nazbierał żołędzi, kilka dzikich jabłek i daktyli na pagórkach pustynnych pod drzewami które tam rosły, i o których mówił że były bardzo dobre, i przysposabiać począł swoje jedzenie. Jezus także biegał z nim i powracał zbierając owe opadłe owoce, a Matka Najświętsza i św. Józef cieszyli się patrzący na nich jako się uwijają, a potem zasiedli wszystko czworo do posiłku.

W takiem zebraniu zaprawdę wielkie to tam było święto: Aniołowie dziwili się po bokach latający, i cały czysty świat rozradowany, to jest drzewa i ptastwo i słońce i niebiosa okazywały jakoby radość.

A po posiłku podnieśli się z miejsca, na którem zostawali i oddawali Chwałę Ojcu Przedwiecznemu, i znowu modlili się, i tak czas na niebieskich upływał im rozkoszach.

Na modlitwach każde znajdowało się osobno, i tylko Janek wciąż się do Jezusa przygarniał, i chciał coś mówić do Niego, ale mu to nie szło, i przez jakąś bojaźń, czy przez nie-

śmiałość nie mógł. Tedy Jezus widzący skrytości serca, rzekł do niego: Janie, powiedzże mi, czegóż byś ty chciał? A Jan odpowie: Paniczu, chciałbym ja Tobie powiedzieć, ale tylko Tobie samemu, że Ty masz prawdziwą mądrość Bożą, i że Ty jesteś Syn Boży, a tylko dla tego człowiek, żebyś nas zbawił. Ojciec mój mówił mnie to wielekroć, do któregoś Ty posłał anioła Twojego, zapowiadając jako ja mam nauczać i sposobić ludzi do zbawienia, i zapowiadać im królestwo niebieskie i naukę zbawienną, i wołać: żeby się nawrócili. Dlatego ja Tobie powiadam Panie, że ja uciekłem od ludzi, i sam siedzę tu i pokutę czynię na puszczy, jako anioł mówił: że mnie iść potrzeba nauczać rodzaj ludzki, i ja uciekłem ani wiedząc dostatecznie jaka jest wola Twoja, i tyle tylko wiem, że widząc przechodzący naród wołam całym głosem: prostójcie drogi Pańskie i czyńcie pokutę, albowiem zbliża się ku wam królestwo niebieskie, i uciekam dalej na pustynię. Otóż paniczu, Panie proszę cię, powiedz mnie co Ty chcesz żebym ja czynił w tym czasie, i co Ty chcesz żebym ja czynił w tej godzinie. Powiedz mnie i naucz mnie woli Twojej, a ja gotów jestem wypełnić wszystko przy Twej pomocy i dobroci.

I patrzał Jan twarzą w twarz Jezusa, i zdawało mu się, iż jest w raju, i był w obawie przez wielką cześć, albowiem w twarzy Jezusa widział jakoby blask, co też może pochodziło z miłości, która na widok Jezusa Chrystusa wzmagała się.

Tedy Jezus rzekł do Jana: Cokolwiek uczyniłeś aż dotąd, podoba się Ojcu mojemu niebieskiemu, albowiem to On który ci to czynić kazał, i który posłał aniołów swoich ażeby cię strzegli i pilnowali, i ażeby cię nauczali co masz czynić. Idź więc dalej jakoś rozpoczął ku końcowi pustyni, albowiem przyjdą którzy będą szukali ciebie dla wielkiej chwały, która się o tobie rozejdzie po wszystkiej Judei, i nie będzie człowieka któryby cię nie chciał widzieć i słyszeć. Wtedy już nie uciekaj od nich ale zostań, i nauczaj królestwa niebieskiego i sprawiedliwości jego, a potem potrzeba ażebyś poszedł dalej, i żeby cię zobaczyła wielość ludzi, i żebyś ich nauczał i karcił nałogi ich złe, i bojaźń Bożą krzewił w nich i przysposabiał dusze ich do przyjęcia zbawienia. A potem pójdziesz nad rzekę Jordan i

będziesz oczyszczał naród w wodzie, co będzie chrztem, to jest obmyciem w kościele nowym, a pokuta którąś czynił i którą uczynisz jeszcze jest bardzo dobra, albowiem kto chce uczyć drugich, od siebie zaczynać powinien, i dlatego wszystko coś ty zrobił jest dobre. Spokojny tedy bądź bracie mój, i czyń dalej wszystkie te rzeczy, albowiem ja będę z tobą i z daleka widzieć mnie będziesz.

Kiedy Jan usłyszał siebie nazwanym imieniem brata, i kiedy usłyszał że będzie zawsze z Nim, uczuł w sobie taką miłość, że jej wypowiedzieć nie można, i począł całować nogi Jezusa, nie mogąc zrozumieć jakby mógł już być bez Niego.

A Pan Jezus podniósł go i rzekł: Podnieś się Janie, albowiem ja mam ci powiedzieć drugie rzeczy. I błogosławiony podniósł się i stał i słuchał.

A Jezus mówił: Widzisz, oto ja zobaczę ciebie nad brzegiem Jordanu, i przyjdę tam i ty mię wodą ochrzcisz, i ujrzysz Ducha świętego nademną i usłyszysz głos Ojca mojego, który zaświadczy jakom ja Jego, i rozkaże ażeby mnie słuchano. I tak ja będę ochrzczony przez ciebie, a potem pójdę na pustynię na te tam góry i będę w pośród dziczy leśnej przez dni czterdzieści i przez nocy czterdzieści, nie jedząc i nie pijąc; albowiem pokutę czynić mam przed rozpoczęciem nauczania, i dlatego nie dziw się, jeśli tobie potrzeba pierwej czynić aniżeli nauczać. A potem mówił mu, jak zejdzie z góry, i jak powoła dwunastu apostołów, i jak pójdzie nauczając i czyniąc cuda, wreszcie począł mówić o końcu, to jest o męce i śmierci swojej, i rzekł: Jako czytałeś dobrze proroków, wiesz co świadczą o mnie, ale wszystkiego jeszcze nie wiesz! I począł proroctwa jakich nigdy o nim nie powiedziano, o narodzeniu, życiu, śmierci, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu swojem, a przyszedłszy do męki swojej, począł Jezus powiadać wszystkie niesprawiedliwości i obrzydliwości, których miał doświadczać, jak miał być wzięty, wiązany i prowadzony przed książęta i przed kapłany, jak miał być policzkowany i oplwany na twarzy, jak mu mieli wyrywać włosy z brody i biczować u słupa, i cały porządek męki.

Tedy Jan przez wielką miłość Chrystusa padł na ziemię i był jakoby martwy, a Jezus podniósł go i umacniał i mówił mu o swojem chwalebnem zmartwychwstaniu, i o wniebowstąpieniu, i o przyjściu Ducha świętego, i rzekł Jezus: Żeby zasnąć, zważaj, zachowaj ciszę i słowa moje w sercu twojem, a nie rozpowiadaj co tobie powiedziałem nikomu.

I tak wrócili ze słodyczą do Matki przenajświętszej, która ich otwartemi rękami przyjęła, i pokładli się na sen, jeden obok drugiego.

Niedługo zasypiała przenajświętsza rodzina, i jak tylko ranek zaczął się bielić na niebie, pierwej nim jeszcze słonko otworzyło oko, pierwej już patrzała na świat Matka Boska, Pan Jezus, św. Jan i św. Józef, i mówili do siebie po słóweczku. I mówiła Matka Boska do św. Józefa: Jeśli wam to po myśli, tedy dobrze byłoby żebyśmy wstąpili do domu Zacharyjasza i Elżbiety, i żebyśmy u nich jakie kilka dni odpoczęli, którzy tak pragnęli oglądać synaczka Bożego, i żebyśmy wzięli Jana ze sobą dla tem większej radości.

A Jan słysząc te słowa, które mówiła Matka Boska do św. Józefa, spoglądał na twarz Pana Jezusa, i mówił: Gdybyżeś to tak zrobił jako Najświętsza powiedziała. A Pan Jezus odpowiedział: Wola Matki mojej wola moja, a cokolwiek Ona zechce i ja toż samo.

Więc się Jan coprędzej zebrał do wkładania juków na osiołka, wszystkie torby i kije Józefowe, i co tylko mieli ci bogacze niebiescy, i tak ruszyli społem chwaląc i błogosławiąc Pana Boga.

Tedy Jan jako mieszkaniec onej puszczy i znający drogę poganiał osiołka i Pan Jezus z nim, a kiedy przeszli kawałek św. Józef wsadził Pana Jezusa, który się uśmiechał jadący, a potem Matka Boska jechała na osiołku i tak przez cały dzień, a Jan trzymał uzdeczkę i prowadził wciąż po wiadomych sobie drogach środkiem zarośli, między któremi miał swoje skrytki, i tak przybyli dobrze pod wieczór, żeby nie być poznawanym od sąsiadów.

Prawdy gospodarskie,

przez starych gospodarzy na zapytania i odpowiedzi ułożone.

Żeby młodzi tak robili,
Jak to starzy uradzili.

27. Co jeszcze więcej gospodarz zasiewać powinien? Len i konopie; bo z włókna będzie płótno.

Jak bielizny pełna chata,
Toć chędoga i bogata!

28. A prócz dobytku z czego jeszcze gospodarz pożytek i korzyść nie lada mieć może? Z drobiu, z pszczół i sadu.

Z sadu za trud, jest owoc i chłód;
Dla miodu z pszczoły, nie trzeba stodoły;
A z drobiu choć szkody, to więcej wygody.

29. Jak gospodarz się obrządzać powinien z łąkami? Mokre rowami obsuszać, suche zwilżać, kretowiska rozrzucać, krzaki karczować; rowy odnawiać, bydłem z wiosny nie tratować.

Mokra łąka zaniedbana,
Nie da ci dobrego siana;
A stratujesz ją o wiośnie,
Pewno bujnie nie porośnie.

30. Kiedy trzeba łąkę kosić? Jak tylko trawy na niej zakwitną; bo jeśli pójdą w nasienie, to w nich pół żyzności ubywa.

Tylko niedbalcy i lenie,
Puszczają trawy w nasienie.

31. Jak się łąka kosić powinna? Jak najniżej: prawie przy samej ziemi a równo.

Gdy łodyżka wczas usycha,
Potraw wcześniej się wypycha.

32. Czy gospodarz dobrze robi kiedy słomę i siano sprzedaje, zamiast spasać dobytkiem na gruncie? Bardzo źle robi, bo i bydlę to nędzi i rolę niszczy.

Siano i słoma wywożone z doma,
Dla roli rabunek, dla głowy frasunek.

33. Czy godzi się bydlę katować i nad niem pastwić? Nie godzi się:

Boć bydlątko stworzenie Boże,
Nawet zapłakać nie może.

34. Czy dobrze to ludzie we wsi robią, kiedy drzewa łamią, albo z kory obdzierają? Bardzo źle robią:

Boćto ludzka praca, marnie się zatraca!
Nie będzie cienia, ni pożywienia;
Za drzew łamanie, za korę zdartą,
Oj, dobrym kijem, szkodnika warto.

35. Czy rozmyślne szkody w łąkach i zbożu są obrazą siódmego przykazania? Są wielką obrazą, boćto nie co innego tylko kradzież. Pamiętajże: co tobie nie miło drugiemu nie masz czynić:

Cudza praca,
Nie zbogaca.
A z cudzej krzywdy toć pomstowanie,
Ludzka nieprzyjaźń, Boskie karanie.

36. A szkoda w lesie czy jest kradzieżą? Jest istną kradzieżą i gorszą niż w zbożu; bo szkoda w zbożu to na jeden rok, a szkoda w lesie to na wiele lat; jak tamto cudze tak i to nie twoje.

Czy po cudzą gałązkę,
Po snopek albo wiązkę
Skradasz się cicho:
Jedno to licho.

37. Czy pijaństwo jest wielkim grzechem? Jest grzechem ciężkim, bo człowiek zabija w sobie rozum, największy dar Boży; dawno to już ludzie wiedzą:

Od wódki rozum krótki;
Człek marnieje,
I grzech sieje.

38. Jakie są skutki pijaństwa? W domu bieda i obraza Boska: za domem potyrka i pośmiewisko ludzkie; za życia nędza i choroba: po śmierci kara Boża.

Pijak podobny do zwierza,
Ni roboty ni pacierza.

39. Czy gospodarz powinien być dbałym o swoje budynki? Bardzo powinien; bo najgorzej raz budynki zaniedbać, to potem trzeba siła pracy i pieniędzy aby je podźwignąć; a bez budynków biada gospodarzowi. — Budynek sam sobie nie poradzi bez gospodarza, niby dziecko bez matki.

Co dzieciom matuś,
To budynkom tatuś.

(Przyjaciel Ludu.)

RÓŻNOŚCI.

Dobry targ. Idzie sobie gospodarz Fedor do Kulikowa, i niesie w kobiałce dwa koguty na targ: jednego młodego, a drugiego starego. Jeszcze nie zaszedł na rynek, chwyta go żydek Kulikowski, i pyta:

— Gospodarzu, co chcecie za te koguty?

— Za młodego pół cwancygiera, a za starego cwancygiera!

— To bardzo dużo, gospodarzu!

— Nie, inaczej nie dam! — rzeknie Fedor i zabiera się odchodzić.

— Ny, poczekajcie, co wam się tak spieszy? Macie tu pół cwancygiera i dajcie młodego kogutka.

I dał żyd pół cwancygiera, a gospodarz młodego kogutka, i na tem się rozeszli. Aleć nie minęło i trzy Zdrowaś Marja, wraca żydek do Fedora, i prawi:

-- Słuchajcie-no gospodarzu! prawda, że ja wam dał pół cwancygiera za kogutka?

— A prawda!

— To ja wam dam jeszcze tego kogutka; prawda, że on kosztuje pół cwancygiera?

— A prawda!

— No, to słuchajcie, macie tam pół cwancygiera i kogutka za pół cwancygiera, a pół i pół, to cały cwancygier. Dajcież mi więc tego starego koguta, bo tyle za niego cenicie!

Fedor wytrzeszczył oczy i słucha.

— No, cóż Fedore, to wam wszystko jedno!

-- Taże wszystko jedno! — odrzekł gospodarz i dał żydowi starego koguta, a z młodym poszedł dalej na rynek.

Nie prawdaż, że tęgi targ zrobił Fedor! Jak wchodził do miasta, to miał dwa koguty za półtora cwancygiera, a jak wlazł na ranek, to miał już pół cwancygiera w świcie, i młodego kogutka, także za pół cwancygiera, a pół cwancygiera fiut! żyd zabrał oszukanym sposobem, i dochodźże z nim końca!

— A czyjaż w tem wina?

— A jużci Fedora, że był taki głupi i dał się oszukać. Zaśpiewała mu też baba w domu, zaśpiewała, że ruski miesiąc pamiętał! —

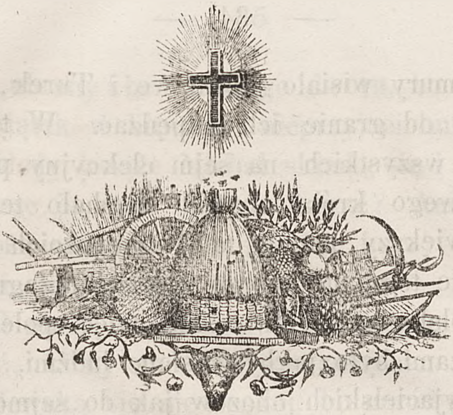
Wydawca odpowiedzialny za redakcję: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 3.

21. Stycznia 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KRÓL MICHAŁ.

Statecznie przetrzymała Ziemia nasza nawałę szwedzką i moskiewską i inne rozliczne nieszczęścia od Boga zesłane, a przecież nie wiele się poprawili ludzie, nie wiele już było dobrego między swymi, i prędzej zasłyszałeś swary i kłótnie, jak dobre słowo, z miłości ku bliźniemu bratu pochodzące.

Owe kłótnie i swary zaczęły się jeszcze przed tem, nim król Kaźmierz do Francji odjechał, a to z tej przyczyny, że królowa, rodem Francuzka, chciała koniecznie to u panów wyrobić, żeby po Janie Kaźmierzu jeden z jej znajomych książąt francuzkich na tron polski przyszedł. A gdy panowie w żaden sposób nie chcieli na to przystać, obstając przy prawie wolnego obrania na króla tego, kogo zechcą: tak babski upór królowej do tego przyprowadził, że król aż wojnę toczył ze swoim wielkim hetmanem Lubomirskim, nic i tak nie wskórawszy.

Swary te stały się jeszcze gorsze, skoro Jan Kaźmierz koronę złożył, i nastało bezkrólewie. Wtedy to każdy ciągnął w swoją stronę, zgody za grosz nie było, a tu nad krajem jak

dwie czarne chmury wisiało kozactwo i Turek, i lada chwila trzeba było iść od granic ich odpędzać. W takiej to chwili zwołał Prymas wszystkich na sejm elekcyjny pod Warszawę, żeby sobie nowego króla obrali. Zjechało też siła luda na elekcję, a co większy pan to tam miał swoich zwolenników i stawał po stronie tego lub owego z książąt zagranicznych, co się o koronę polską ubiegali. Całe więc pole między wsią Wolą a Powązkami było jakby zasiane ludźmi, a podobniejsze zgoła do nieprzyjacielskich obozów jak do sejmowego zgromadzenia, bo mnóstwo tam było szlachty, nakształt wojska od stóp do głów uzbrojonej, a ci byli gotowi nietylko słowem ale i bronią zdanie swoje poprzeć. I rzeczywiście stało się, że gdy ktoś z panów zachwalał księcia francuzkiego na tron polski, to kilku ze szlachty, co dobrze pamiętali jakie to wojny z królową były o tego Francuza, wymierzyli fuzje w oną stronę i strzelili, zkąd wielki powstał popłoch i krzyk, że to rozbój, że to wojna, ale nie sejm. Taki to już był nieład podonczas!

W kilka dni dopiero, skoro już strachy przeminęły, zebrali się znowu senatorowie na naradę, a wtedy jedna część szlachty, widząc, że jak tylko którego z obcych książąt podadzą, to musi być kłótnia i niezgoda, postanowili obrać swego, i dalejże krzyczyć z całej siły:

— Niech żyje Piast! — co znaczyło, niech żyje król z pomiędzy swoich obrany.

A w tem odezwały się głosy:

— Niech żyje *król Michał!*

— Jaki *Michał?* — pytają inni.

— Król Michał Wiśniowiecki, syn księcia Jeremiasza! — wołają tamci.

A szlachta zasłyszawszy o księciu Jeremiaszu Wiśniowieckim, który za życia bardzo mężnie bronił ojczyzny od Kozackich i Tatarskich najazdów, wdzięcznością poruszona zgodziła się odrazu na jego syna Michała, i dalejże wołać teraz wszyscy jak jeden człowiek:

— Niech żyje król Michał! —

Więc senatorowie, słysząc taką wolę zgromadzenia, idą szukać owego księcia Michała, a on sobie gdzieś między inny-

mi, skromnie ubrany i bez żadnego dworu, bo ojciec jego przetracił cały majątek w bitwach z nieprzyjaciołmi kochanej ojczyzny. Więc młody książę Michał składa się i rzecze:

— A jakże ja wam będę królować? Ani ja majątku, ani ja wieku i doświadczenia tyle jak kto inny!

A panowie mu na to:

— Naród obrał cię królem Mości książę, więc musisz narodowi służyć, kiedy w tobie ma zaufanie. A o bogactwa i świetność królewską się nie troskaj, bo naród stać jeszcze na to.

Jakoż na drugi dzień zaczęły się sypać jakby gradem bogate podarunki na dwór królewski. Pyszne konie i powozy, srebro, złoto, djamenty i drogie kamienie, wszystko co kto miał najdroższego i najpiękniejszego, to składał w ofierze dla króla. I widoczny był w tem palec Boży, który pokornych podnosi a poniża pysznych, bo owóż i zgromadzonych na sejmie duchem świętym natchnął, aby tego pokornego i nieznanego nikomu księcia Michała, na króla sobie obrali. Więc książę dziękował Bogu gorąco, i ze łzami w oczach jechał zaraz do matki, aby jej oznajmić o tem zrządzeniu Ducha świętego. A działo się to roku pańskiego 1669.

Lecz złość i zazdrość ludzka tak się już były podonczas rozgnieździły w naszej polskiej Ziemi, że Michałowi stały się lata królowania wnet latami przykrości i nieszczęścia. Różni ludzie dokuczali mu w różnoraki sposób; a on też zanadto miał dobre serce, żeby ich za to karać, i tem sobie coraz bardziej szkodził. A oto, na dobitkę wybuchły świeże rozruchy między Kozakami, którzy udawszy się do Turków, wielką ich czarniawę na kraj nasz sprowadzili. Dwór królewski i hetman i inni panowie myśleli o kłótniach między sobą, ale nie o obronie ojczyzny; więc Turek nie znalazłszy oporu przeszedł przez rzekę Dniestr, zajął gród tamże zbudowany *Kamieniec*, i ciągnął dalej aż pod Lwów. A cóż nasi wtedy zrobili? aż wstyd powiedzieć! Zamiast zebrać się i iść wojować wroga, wysłali do niego posłów prosząc o pokój. Turek, że sam był w strachu, przystał na tę prożbę, i oto stanął z wielką naszą hańbą pokój w mieście *Buczaczu* na Podolu spisany, gdzie Turkowi *Kamieniec* razem z Podolem oddano, i jeszcze obiecali mu nasi

płacić rokrocznie dwadzieścia i dwa tysiące dukatów, byle tylko cicho siedział! Spisany był ten hańbiący pokój we dwa lata po wstąpieniu na tron króla Michała.

Widzicie do czego to już zeszło, że naród polski przed którym dotychczas wszyscy wrogowie jak liść osiczyny drzeli, musiał teraz słuchać Turka poganina i jemu się opłacać!

Ciężko to było bardzo dobremu sercu króla Michała; zwołał więc znowu sejm do Warszawy, żeby jakoś o obronie ojczyzny pomyśleć, na czem też po długich rozprawach stanęło. Szlachta jęła myśleć o wojnie i zbierała się powoli zbrojno na nieprzyjaciela, a król, chcąc sam ich prowadzić do boju, wybrał się w drogę do Lwowa; lecz Pan Bóg nie użyczył mu tego szczęścia, bo go właśnie podonczas zabrał z tego świata. Zachorował w drodze król Michał, a przyjechawszy do Lwowa w roku 1673 umarł, po niepełnych pięciu latach panowania.

Znowu więc Polska w ciężkiej z Turkiem chwili została bez króla; lecz kto wie czy to nie ku naszej pomocy obrócił tak Pan Bóg, bo król Michał jakkolwiek bardzo dobry, łagodny i mądry, zanadto słabego serca był na te nieszczęśliwe czasy.

Wiano królewnej.

„Głośne po całem mieście nowiny;
„Przybyli wielcy panowie:
„Po ich odzieży poznać i mowie,
„Że jadą z obcej krainy.

„Stoją na rynku: nieś skorą nogę,
„Nieś tę nowinę staroście:
„Jeden do zamku pytał o drogę...
„Może do króla to goście?

„Bo zacni jacyś: ten co na przedzie
„Mnogo ma srebra na sobie;
„A koń, na którym ten starszy jedzie,
„Godzien przy króla stać żłobie!“

Takiemi słowy gwarzą mieszkańce
Budy, węgierskiej stolicy,
Bieżąc na zamek, kędy wysłańce
Polskiej jechali ziemicy.

Kiedy tak gwarzy ciekawy lud,
Tymczasem zacne te goście,
Starą ulicą, w królewski gród
Wjeżdżali bramą po moście.
I po stolicy biega nowina:
Księcia polskiego to posły;
Wysłał ich książę, aby dla syna
Oblubienicę przyniosły.
Król Bela zasiadł w złotej stolicy,
Młodziuchny przy nim królewic,
Śliczna królewna w ojca lewicy,
Kinga z orszakiem swych dziewic. *)
Zasłona z miękkich snuła się włosów
Na twarz myślącej dziewicy:
W ręku paciorki miała z kokosów,
Z obrazkiem Boga-Rodzicy.
Weszli posłowie, schyleniem głowy
Oddali pokłon Monarsze:
I łacińskiemi przemówił słowy
Poseł, co lica miał starsze.
Król Bela dobrą dał im odprawę:
Tem się nie mało radował,
Że mir z sąsiadem, krajowi sławę
I bezpieczeństwo zachował.
Więc do królewnej czoło swe nagnie,
I rzecze: „Boska w tem wola:
„Bolesław ciebie za żonę pragnie,
„Dobra z nim czeka cię dola.
„Zatem wyprawę dłonie niewieście
„Niech szyją we dnie i w nocy;
„I rzemieślnika, co w mojem mieście,
„Przydać do prędkiej pomocy.
„O miła córko! w posagu tobie
„Dam srebra siedem tysięcy,
„Abyś w przystojnej była ozdobie
„W nowej stolicy książęcej."
Umilkł — i długo milczy królewna,
Zdarzeniem zdziwiona nowem:
Niby chce mówić, niby niepewna
Jakim odezwać się słowem.
Utkwiła w niebo ślicznych ócz dwoje,
I mówi: „Stań się twa wola!

*) **Kinga czyli Kunegunda.**

„Głos Boży płynie w to serce moje
„Ustami ojca i króla.

„Więc ja ojcowską szanując wolę
„Pójdę w tę ziemię nieznaną,
„Alić nie srebrem jaśnieć na czole:
„Inne przystało mi wiano.“ —

I posłów wzywa: Niechaj ogłoszą
Swojego kraju potrzeby. —
Ci mówią: „Srebro obcy nam znoszą
„Za nasze miody i chleby.

„Garniem owoce z sadów i roli,
„Ni nam żelaza nie braknie:
„Na jednej jeno zbywa nam soli...
„Ach! soli naród nasz łaknie!“

A Kinga: — „Królu! jeżeli z wianem
„Masz twoją wyprawić córę,
„Z gór twoich solnych daj jedną górę,
„Oddam ją moim poddanym.“

Król rozśmieszony taką przemową
Odpowie: — „Dobrze me dziecię!
„Weź sobie górę, weź Stefanową,
„W niej soli leży obficie.“

Na to królewna pierścionek zdjąwszy
Daje ten posłu, znak niby,
By na Stefana górze stanąwszy,
Pierścionek wpuścił w dno szyby.

Odjechał poseł: nim zapadł dzionek
Wypełnił ten rozkaz pani,
Cechę królewnej, złoty pierścionek
Wpuścił do solnej otchłani.

W tem gdy się sprawił, wracał do Budy
Tak myśląc: „Będzie miał król
„I koszta wielkie, i wielkie trudy
„Z dala przewozić tę sól.“ —

Wraz się odbyły zwykłe obrzędy:
I Kinga z dziewic orszakiem,
Na koniu strojnym w bogate rzędy
Polskim puściła się szlakiem.

Przebywszy wielkie góry i wody,
W mieście Wieliczką nazwanem,
Wita się z żoną Bolesław młody,
Kinga z swym mężem i panem.

A odsłoniwszy dłoń z rękawiczki
Niby szukając pierścionka,
Rzecze: „Tu kopcie, w rynku Wieliczki,
„Kopcie do zachodu słonka.“
Bolesław lubo nie pojął zrazu
Słów wymówionych znaczenia,
Powtórzył słowa Kingi rozkazu,
I kazał szukać pierścienia.
A lud jął kopać, wozów nie mało
Ziemi wyciągnął ze studni:
Gdy się motyka otarła z skałą.
I kamień pod nią zadudni.
Po ciężkiej pracy, już z głębokości
Wydobyta na wierzch bryła:
„To sól!“ wykrzyknął naród z radości,
Bo solna skała to była.
Jeszcze się ludy temu dziwiły,
A Kinga znowu zaleci
Rozbijać bryłę, i oto z bryły
Pierścień świecący wyleci!
A Kinga rzeknie: „Węgierski król
„Srebra i soli jest panem;
„Chciał córkę z srebrnem wyprawić wianem,
„Kinga prosiła o sól.
„Król solną górę dał swojej córze,
„Dziś Matce dobrych Polaków:
„A Bóg rozkazał tej solnej górze,
„By sól przeniosła pod Kraków.
„Składając Bogu dzięki powinne
„Naród niech dzisiaj się szczyci:
„Solą żywiły go kraje inne,
„Dziś solą inne nasyci.“

Historja o Katarzynie, złej słudze.

Jedni młodzi państwo z miasta kupili sobie mały folwarczek na wsi i zaczęli gospodarować. Mało mieli, i mało co umieli gospodarować, nieraz im też dała się bieda we znaki, i nieraz musieli zapłacić za naukę. Ale że mieli szczere chęci, poczciwe serce, i przywiązali się serdecznie do tej pracy koło

świętej ziemi i do ludu wiejskiego: więc nie dali się zaraz zniechęcić różnemu niepowodzeniu, ale imali się szczerze pracy, i przy kłopotach, przy frasunkach dalej gospodarowali na swoim kawałeczku ojczystej ziemi, i za nic w świecie nie byliby go porzucili. Więc pracowali nieprzymierzając jak ten młody a słaby jeszcze żeniec, który stanie rano na swoim zagonie, słońce piecze, krzyże bolą, ręce ustają i do wieczora daleko, ale on westchnąwszy żnie a żnie i nie zejdzie z zagona aż słoneczko zajdzie. Mieli ci młodzi gospodarze kilkoro chudoby w oborze i pole do uprawy, więc potrzebowali sług. Jakoś we dwa roki po początku swojego gospodarowania, trafił im się porządny parobek z tej samej wsi, co sługiwał od dzieciństwa i ochędóstwo miał należyte; więc z ochotą przyjął go młody pan, bo Paweł znał się na gospodarstwie i dobrze robił w polu, a takiego trzeba było właśnie młodemu niedoświadczonemu gospodarzowi. Pani zaś młodziutka, razem z dzieciątkiem niemowlęciem, nie mogła sobie rady dać i szukała jakiej służącej coby i jeść ugotowała, i uprała, i rozumiała coś przecie koło domu. Właśnie jej się odprawiła służąca, dziewczyna z miasta, bo jej się nie chciało służyć na wsi, bez muzyki i bez kawalera: więc młoda pani szukała sobie jakiej wiejskiej, coby ją sobie przyuczyła, i spuścić się na nią mogła.

Jednego wieczora w zimie, ostry mróz był i śnieg sypał; świeca się paliła na folwarku, a pani kołysała dziecko i robota jej leżała na kolanach. Pan zapisywał młocków, najęta dziewczyna paliła w piecu, gdy zapukał ktoś do drzwi, i weszła kobieta w nędznej, odartej płótniance, w przemokłych chodakach, trzęsąc się od zimna. Był wtedy rok bardzo głodny, i przed ubóstwem nie zamykały się drzwi: opatrzyli ją więc litościwi państwo tak chętnie jak każdego ubogiego, a ona przyjąwszy jałmużnę, rzekła, że szuka za służbą, i nie może nigdzie dostać, że jest wdowa z niedalekiej wsi, że sługiwała już po dworach i umie robotę. Litościwym duszom nie wiele trzeba było: spoglądnęli po sobie, i bacząc na nędzę kobiety przyjęli ją i zostawili u siebie. Więc Katarzyna, bo tak się nazywała ona kobieta, została się z wielką wdzięcznością i obiecywała, że będzie wiernie służyć choćby do śmierci dobremu państwu.

Niedługo służyła Katarzyna na folwarku, a wnet się pokazało, że była bardzo zręczna, i tem umiała sobie zyskać takie zaufanie młodej pani, iż potem miała wszystko pod sobą. Ona szła sama do spiżarni, do szpichlerza, do bielizny; ona rozporządzała nabiałem, gotowała i wszędzie sama gospodarzyła. Źle to robiła pani, bo to najlepiej nie dawać sługom sposobności do pokusy, a wielka jest w tem prawda, że gdzie nie doglądniesz okiem, tam dołożysz workiem! Ale nie ma się co dziwić młodziutkiej pani: ona myślała, że każdy taki poczciwy jak ona, coby na włosek nikomu krzywdy nie zrobiła. Nie miała też biedaczka nieraz czasu, dzieciątko jej drugie przybyło, a ona sama karmiła i bawiła, bo nie była w stanie trzymać piastunki; obszyć musiała męża i dzieci, w izbach czysto uprzątnąć, rada więc była mieć się na kogo spuścić. A tymczasem, któżby się był spodział, Katarzyna niemiłosiernie kradła dobrą panię!

Ludzie tamtejsi widzieli co się na folwarku święci i kiwali głowami, ale żadne nie śmiało powiedzieć głośno. Niemal co piątku wypraszała się Katarzyna do miasta, a nigdy nie szła próżno; pani tylko nie wiedziała o tem. Więc ona złodziejka oporządziła się wnet we wszystkiem, i piękniej się ubierała jak najbogatsza gospodyni we wsi. Niedługo za nią przyszedł do folwarku i syn jej, mały chłopiec dwunastoletni, o którym nic nie mówiła że go ma, a przyszedł obdarty i nędzny; zmiłowali się państwo i pozwolili mu być przy matce: pasła go więc matka, a on jadł, spał, a do roboty płakał. Drugiej służącej nie mogła Katarzyna ścierpieć przy sobie, i choć się trafiała dwa razy, to ona ją wygryzła aby nie było nikomu ją podglądać, a dobrej pani tłómaczyła, że nie ma potrzeby trzymać drugą, bo ona sama wszystko zrobi. Z Pawłem parobkiem, który się z początku krzywo na nią patrzał, prędko sobie dała rady, i tak go ugłaskała, że się szalone chłopisko w niej rozmiłowało, a ona go namawiała, żeby się z nią ożenił, i póty biegała to do kabalarki, to do bab, i płaciła im aby go czarowały, póty mu rozgadywała jak im będzie dobrze gdy się pobierą, aż chłop się dał namówić, i zaniósł na zapowiedzi. Katarzynie podobały się pieniądze, które Paweł miał po ludziach,

podobały jej się dwa byczki czarne co stały u państwa na stajni, i podobał jej się młody chłop, głupi a potulny, dla tego tak gorąco zachodziła koło niego.

Odtąd więc, porozumiawszy się wszystko troje, okradali też we trójkę biedne młode państwo. Gdy się mąka zmełła w młynie, to gdzieś minęła piorunem; gdy się wieprzak karmny zabił, to omasta rozeszła się duchem, i tak było ze wszystkiem. A gdy się pani dziwiła, albo zaczynała podejrzywać Katarzynę, to ta tak umiała mądrze panią przekonać, że biedaczka uwierzyła i wzdychała jak to ciężko wyjść na małem gospodarstwie; pan zaś widząc jak nie może nastarczyć na życie, gniewał się i nieraz bywało pokrzyczał jeszcze na żonę.

A trzeba wiedzieć, że żyli oni bardzo skromnie, rzadko kiedy mieli mięsa kawałek na objad, a na Wielkanoc nieraz dość im była pszenna bułka, a czeladzi zawsze uczciwe święta sprawiali. Niepoczciwa Katarzyna okradała ich i ich dzieci, choć oni jej dziecko przygarnęli i ją z nędzy wyciągli. Ale Pan Bóg sprawiedliwy, czy prędzej czy później karze krzywdę ludzką!

Owóż w kilka niedziel ożenił się Paweł z Katarzyną, państwo im wesele sprawili, pan dał im na odrobek ogród, a Paweł sprzedał swoje byczki i kupił chałupę, którą postawił w ogrodzie. Po trzech latach służby, szli teraz na swoje, a nie było tam wszystko swoje, bo było i kradzione, a Pawłowie nie pamiętali na tę gadkę ludzką, że cudze nie grzeje! Nie darzył też Pan Bóg ich robocie, ludzka krzywda nie dała spokojnie używać dobytku. Póki było lato, to jako tako, ale jak przyszła zima, przyszła bieda, Katarzyna i chłopczysko nic pracować nie chcieli, z gotowego się ciągło na chleb, na sól i na życie. Więc niezadługo wzięli się na sposób: Katarzyna namówiła męża, i w nocy wyprawiła go do pańskiej stodoły po zboże w snopach, ale że wtedy lepsi byli słudzy na folwarku, więc złapali go i dali znać o tem. Pan puścił Pawła z łaski, ale odtąd już nie mieli przystępu do folwarku, i nic o nich nie chciał pan wiedzieć. Mógł ich nawet wypędzić z ogrodu swojego, ale miłosierne miał serce, i co komu udzielił to już nie chciał odbierać. Siedzieli więc Pawłowie w chałupie swo-

jej i Bóg wie jak tam żyli i z czego żyli; nieraz tylko Paweł między ludźmi żałował, że się ożenił i służbę porzucił, bo nie tak to łatwo było w one bardzo drogie lata żyć bez gruntu na chałupie i nie zarabiać, a robić im się strasznie nie chciało. Na służbie łyżka i miska była gotowa, i nieraz się jeszcze przebierało i wymyślało, a na swojem nie było nieraz suchego kawałka chleba.

Gdy im w końcu bieda dobrze się dała we znaki, poszła sobie Katarzyna z chłopcem gdzieś, czy za proszonym chlebem, czy do swoich jak mówiła, a Bóg wie gdzie tam ci swoi byli, i zostawiła Pawła chorego w pustej i zimnej chałupie. Zaniemógł nieboraczysko na nogę, i o swojej sile stanąć nie mógł, a niepoczciwa żona porzuciła go. Leżał w koszuli czarnej jak noc, nędza go nasiadła, i nie było komu łyżki wody podać, tylko jedna litościwa sąsiadka, która albo mu przyniosła strawy albo i nie, a wszyscy mówili do siebie, że krzywda ludzka zaczyna wychodzić. Pawlisko jednego dnia wygłodniały i zczerniały wylazł z chałupy na rękach i na nogach, i tak czworakami przywlókł się aż na folwark, i z płaczem zaczął przepraszać i prosić ratunku, narzekając na złą żonę i przeklinając ją, że go do wszystkiego nieszczęścia przywiodła. Pani ze łzami w oczach, dała mu maści na ranę, nakarmiła i pożałowała go szczerze, a mówiła mu aby żony nie przeklinał, tylko jak Pan Bóg da zdrowie aby się wziął do pracy, i nie obrażał Pana Boga grzechami. Paweł żałował serdecznie, dziękował, i przy pomocy Boskiej i miłosiernego państwa przyszedł znowu do sił, ale nie chciał już słyszeć o złej żonie, jeno poszedł na służbę do gospodarza na drugą wieś.

Tymczasem Katarzyna wróciła z chłopcem do chałupy, i co przesiedzieli jaki tydzień o tem co przynieśli, to wyprawiali się znowu gdzieś po świecie; woleli żebrać jak pracować. Aż wreszcie z końcem wiosny, na najcięższym przednowku, przyszła zkądeś Katarzyna bardzo zmieniona i słaba, i położyła się w chałupie w sieniach na garści słomy. Teraz na nią Pan Bóg zesłał kolej. Wpadła w niebezpieczną chorobę, która się nazywa tyfus. Leżała w strasznej gorączce, i zdawało się, że już śmierć niedaleka. Skoro się o tem pani z folwarku do-

wiedziała, tak przybiegła zaraz, niepamiętna żadnej urazy ani żadnej krzywdy. Straszny zastała widok: we własnem plugastwie leżała Katarzyna na garści słomy, sama jedna jak trup zmieniona, bez głosu prawie; przytomna jednak była i poznała panią, tę samą panią, której tyle krzywdy wyrządziła. Pocieszała ją pani, i czem mogła starała się jej ulgę przynieść; własną ręką podścieliła jej słomę, głowę obwiązała i chłodzącym napojem zalewała. Katarzyna nie mogła mówić, tylko patrzyła na nią takiemi oczami wlepionemi, jakby ją przebłagać chciała. Po dwóch dniach zrobiło się gorzej; wieczorem zlękła się pani o jej życie, a dbając więcej jeszcze o duszę jak o ciało, spytała Katarzyny, czy chce przyjąć Najświętsze Sakramenta. Słaba jęknęła grobowym głosem, że bardzo pragnie; więc pani natychmiast w nocy pobiegła do jednej baby poczciwej, co ją znała dobrze, i sprowadziła ją aby zrobiła porządek w chacie, a Katarzynę przeniosła do izby i czysto oblekła.

Tak minęło do rana. Równo ze świtem wybrał się ksiądz proboszcz do słabej. Dzwonek sługi cerkiewnego zwiastował wzdłuż wsi, że Jezus Chrystus idzie sam posilić umierającego, więc ludzie klękali po drodze i żegnali się. Pani tymczasem modliła się gorąco za tę duszę, która miała stanąć przed Boskim sądem sprawiedliwym, a po odbytej spowiedzi i przyjęciu Najświętszego Sakramentu przyszła znowu do Katarzyny, która w chacie na ławkach okryta czysto leżała, a przy niej siedział jej chłopiec, który właśnie przyszedł z żebraniny i stara kobieta ze wsi. Katarzyna wdzięcznie spojrzała na panią, była spokojna, a nawet zdawało się, że jakoś jej lepiej. Przemówiła cicho i bardzo dziękowała pani, że przez nią nie umrze bez Pana Boga, a łzy jej płynęły z ócz. Ale Pan Bóg inaczej chciał; nie umarła Katarzyna, lecz owszem od tego dnia zaczęło jej się powoli polepszać. Pani codzień przybiegała donosząc co miała najlepszego; a kradła się biedaczka przed własnemi sługami, i od ust odejmowała, bo wstyd jej było aby wszyscy wiedzieli, że ona tak ratuje Katarzynę, bo już to kto dobrze robi nie powinien szukać chwały u ludzi.

Niebawem przyszła Katarzyna zupełnie do zdrowia. A myślicie moi ludzie, że ta kobieta się upamiętała przez strach

śmierci i porzuciła grzechy swoje? Oj, nie! twarde było jej serce na głos Boski!

Oto, nie upłynął jeszcze ani miesiąc od czasu kiedy wyzdrowiała, w same Zielone Święta, na folwarku byli goście; krewni zjechali z daleka, i młoda pani przysposobiła sobie naprzód co mogła. I zdarzyło się, iż idzie jednego dnia do piwnicy za czemś pilnem, patrzy, i aż się zapomniała! W piwnicy nie było ani masła, ani sera, ani śmietany, ani nawet naczynia z tego wszystkiego! Zafrasowała się bardzo młoda pani, bo jej to wielką robiło szkodę, jeszcze przy gościach; dziewczęta dwie, które służyły u niej, popłakały się aż ze żalu, bo na nich posądzenie padło, a wszyscy się dziwili, bo kłódka do piwnicy była zamknięta i nie ruszana. Żeby to na tem koniec! ale to jeszcze dwa razy powtarzały się te kradzieże z piwnicy, a śladu nie było żadnego. Nie mało było szkody i nie mało frasunku. Aż chciał przypadek, że pewnego dnia jeden z tamtejszych gospodarzy schwycił na gorącym uczynku chłopaka Katarzyny, kiedy ciągnął z płota koszulę jego do siebie na podwórze; narobił hałasu, zawołał wójta i przysięgłego, i domagał się aby chłopca ukarać i wybadać o co więcej, bo dawno miała go wieś w posądzeniu. Wójt zabrał się do niego srodze, a chłopiec przelękniony jął wszystko wypowiadać co tylko ukradł, a do wszystkiego matka mu pomagała albo mu kazała ukraść. I tak wyszła na jaw kurka sąsiada, gęś wójtowa, sztuka płótna Karolowej, i pańskie masło i ser z piwnicy. Do tej nieszczęśliwej piwnicy spuszczała go matka w nocy okienkiem na sznurze, i wyciągała najpierwej naczynia a potem jego. Patrzcież moi ludzie! Zdumieli się też wszyscy nad niewdzięcznością i niepoczciwością Katarzyny, a przyprowadzono ją do karczmy aby i jej wymierzyć sprawiedliwą karę. Wójt chodził naumyślnie do państwa z doniesieniem o tem złodziejstwie i pytał się, jak sobie życzą aby ukarać złodziejów. Pan za swoją pracę nie chciał żadnej kary, ale za inne sprawki wójt nie podarował, a pani biedna aż osłupiała z żalu, gdy sobie przypomniała Katarzynę na śmiertelnej pościeli, której ciało i duszę ratowała. Westchnęła sobie w duchu i spuściła

głowę, bo gdzież tu już na świecie szukać odpłaty za dobry uczynek!

Ale Pan Bóg stawia nieraz naumyślnie przed oczy ludzkie takie niedobre przykłady, aby pokazać jakto idzie do wielkich grzechów ten, kto sobie w małem złem pofolguje, i jaki bywa koniec takich grzesznych ludzi!

Od czasu ostatnich kradzieży Katarzyna, shańbiona i wypędzona ze wsi, poszła i nie pokazała się więcej. Ogród nie odrobiony wrócił do pana, chatę przedał mu Paweł i rozebrali ją. Często wspominano we wsi o Katarzynie, lecz długo nikt nie wiedział gdzie się obraca. W rok dopiero, zimą, zjawił się po żebrach chłopiec Katarzyny i zaszedł do folwarku za jałmużną. Nie odmówili mu jej, bo nigdy biedny nie odszedł ztamtąd bez opatrzenia, a gdy zapytano go o matkę, powiedział, że słaba była i nie miała siły chodzić, to on ją porzucił, a w Kulikowie powiedzieli mu, że jego matka przed miesiącem umarła w areszcie. Nie było tam ani iskry żalu w tym zatwardziałym synalku. Jakiego wychowała takiego miała owa niedobra matka, i jeszcze tej boleści przed śmiercią zaznała, że ją dziecko własne porzuciło. A umarła nędznie, bez Świętych Sakramentów, opuszczona i w areszcie. Dobra pani z folwarku dała na mszę za jej duszę i westchnęła do Boga, aby jej odpuścił ciężkie grzechy. Więcej nikt nie wspomniał o niej; ale wie tam Pan Jezus o niej i o jej wszystkich uczynkach, bo On ciężko karze w tem i w przyszłem życiu kradzież i krzywdę ludzką. - A choć nieraz i ludzie nie widzą, to Pan Bóg widzi i zapisuje wszystko, a porachuje na sądzie ostatecznym. *B. E.*

Prawdy gospodarskie,

przez starych gospodarzy na zapytania i odpowiedzi ułożone.

Żeby młodzi tak robili,
Jak to starzy uradzili.

40. Jakie powinno być u gospodarza i każdego robotnika wszelkie narzędzia do każdej roboty? — Powinno być dobre, ostre i dobrze wyszykowane, żeby robotę sporzyło a pracy ubyło.

Wielka to dla ręki męka,
Gdy człek nad narzędziem stęka;
Bo choć ręka pracy rada,
To dwa dni na jeden składa.

41. Czy gospodarz dobrze robi, kiedy z byle ćwiartką zboża jeździ na targi albo jarmarki? — Bardzo źle robi; bo i grosz po próżnicy szasta i czas mitręży. Jest o tem taka gadka między ludźmi:

Kto często jarmarczy,
Temu na sól nie starczy.

42. Czy gospodarz sam sobie powinien radzić, nie oglądając się na cudzą pomoc? — Taki już widać nie na gospodarza stworzony, który sobie zaradzić nie umie; bo kto z łaski Boga ma kawałek roli i ręce do pracy, o tem powinien myśleć, aby i sam miał co jeść i drugim co udzielić.

Kto rachuje i oszczędza, nie zajrzy mu w oczy nędza;
I sam się powoli wzmoże, i drugiemu dopomoże.

43. Czem tedy ma sobie zaradzić gospodarz, żeby się nie potrzebował oglądać na zapomogi i pożyczki? — Oszczednością i rachunkiem; żeby dobrze wyrachował wszystko co ma i wszystko co mu potrzeba; żeby sprzedawał to tylko co od potrzeby domowej zbywa; żeby dobrze grosz obejrzał nim go wyda, a o zapasie zawsze pamiętał. Stare przysłowie mówi:

Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka;
A do grosza grosz, to się napcha trzos.

44. Czy dobrze gospodarz robi kiedy na jesień spieszy ze sprzedażą zboża, jakby go kto gonił? — Bardzo źle robi, boć wiosna chlebowi rada równo jak jesień.

Gęba nie próżnuje, cały rok chleb żuje;
A kto w jesieni wyprawia zapusty,
U tego wiosną będzie szpichlerz pusty.

45. A czy to poczciwie i po sąsiedzku łamać cudze płoty i wyciągać kołki na ogień? — Strasznie niepoczciwie; bo to już początek złodziejstwa.

Od kołeczka, do snopeczka,
Od snopeczka do komory,
Od komory do obory,
Od obory do koniczka,
A na końcu i do stryczka.

46. Na co gospodarz w chałupie swej baczyć powinien? — Żeby w niej nie było obrazy Boskiej. Więc się wystrzegać swarów, łajania, przekleństwa i wszelkiego zgorszenia. Uczciwie ma być i cicho; a choć ubogo byle chędogo. Dzieci i czeladź niech się ze samego patrzenia uczą trzeźwości, pracowitości, poszanowania starszych. A jeszcze i na to baczyć ma gospodarz, żeby we wszystkiem był ład i skład; żeby każda rzecz stała na swojem miejscu, a robota robocie nie zawadzała.

47. Jakim gospodarz powinien być dla sąsiadów? — Zgodnym, rzetelnym i życzliwym. Języka pilnować, żeby nie plótł wszystkiego co oczy widzą a uszy słyszą, bo ztąd obmowa, kłótnia i obraza Boska; sąsiedniego dobra nie tykać ani odrobiny; owszem strzedz w przypadku jakby swego; być zawżdy z rękoma gotowemi do pomocy i poratunku.

Zagroda przy zagrodzie, w poczciwości i zgodzie.
Żyją sobie sąsiady, nigdy obmów ni zwady;
Szkody sobie nie broją, wzajem za siebie stoją;
W biedzie rada serdeczna, zawdy pomoc stateczna.
Tak to ludziom być trzeba, żeby łaskę mieć z nieba.

48. Co się od dzieci starym rodzicom należy? — Poszanowanie, opieka i wszędzie, — czy w chałupie, czy na dworze, czy przy misce, czy na wozie, — pierwsze miejsce przed wszystkiemi.

Bo jak czcisz rodzice swoje,
Tak cię uczczą dzieci twoje.

Dla tego sam Bóg w przykazaniu czwartem powiedział: Czcij Ojca twego i Matkę twoją, jeżeli chcesz żyć długo na świecie.

49. Czy powinny dzieci chodzić do ochronki albo szkółki. gdzie tylko jest? — Powinny, bo się tam świętej religii i obyczajności, czytania i pisania i innych rzeczy pożytecznych nauczą, żeby wyjść na uczciwych i rozumnych ludzi.

Z uczciwością, przy rozumie,
To człek biedy się nie boi,
A niech jeszcze czytać umie:
Siła rzeczy w książkach stoi.

Boże Wszechmogący, w miłości nieprzebrany! Na każdego, kto czytać lub słuchać będzie te prawdy gospodarskie, spuść ducha łaski Twojej, aby każde słowo wziął do serca i o niem nigdy nie zapomniał. Dozwól, Ojcze Niebieski. aby poczciwy lud wiejski coraz się więcej garnął do pracy, do poczciwości i nauki, bo one dają pomyślność doczesną i dopomagają do szczęścia wiecznego. (Przyjaciel Ludu.)

Wydawca odpowiedzialny za redakcja: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 4.

1. Lutego. 1862.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ŚWIĘTY BŁAŻEJ,

BISKUP I MĘCZENNIK.

Męczeństwo świętego Błażeja biskupa, stało się dwieście dziewięćdziesiąt lat po narodzeniu Chrystusa Pana. W on czas cesarze rzymscy całemu prawie panowali światu; podbiwszy jako poganie mieczem obce narody, trzymali je w poddaństwie i okrutnej niewoli. W każdym podbitym kraju siedział starosta, któremu dawali dużo wojska, aby daniny od narodu i wszystkie bogactwa krajowe łatwo zabierać i na dwór cesarski przysełać mógł. To też owi pogańscy cesarze i wszyscy starostowie i urzędnicy ich, mając tyle skarbów ze wszystkich ziem świata wydartych, puścili się na rozpustę i zbrodnie wielkie. A już wtenczas nauka naszego Zbawiciela, nakazująca miłować a nie gnębić bliźniego, poczęła się krzewić szeroko między narodami, niosąc im osłodę w cierpieniach na ziemi i wieczne życie po śmierci. Usłyszawszy cesarze i starostowie ich o tej nauce miłości, zatrwożyli się bardzo mówiąc:

— Oto miłość rodzi cnoty w ludziach; jeżeli chcemy jak dawniej rządzić i panować, nie dozwólmy być ludziom cnotliwymi.

Więc poczęli okrutnie prześladować i męczyć pierwszych chrześcijan.

I stało się, że pewien starosta cesarski imieniem Agrykolaus, słynął z okrucieństwa w mieście zwącem się Sebasta, gdzie w on czas Błażej święty urząd biskupa sprawował. Zatem wielu chrześcijan domy i majętności opuściwszy, ukrywało się w górach i lasach, gdzie jagodami i korzonkami żyjąc, głód wielki cierpieć woleli, niżeliby w mękach ciężkich, któremi wiernych tak okrutnie katowano, Pana się swego zaprzeć i zbawienie utracić mieli. A tak gdy jedni już męczeńską śmiercią poginęli, a drudzy na wygnaniu nędzne życie wiedli, i w mieście onem chrześcijan więcej nie było, Błażej święty ostatni udał się za trzodą swą na pustynię i tam w jaskini ciemnej, długie lata samotnie i świątobliwie pędził.

Ale starosta ów, gorliwy sługa cesarski w zaciekłości swej chcąc do szczętu chrześcijan wygubić, wysłał razu pewnego żołnierzy w góry, aby wszystkich pobożnie na pustyni żyjących łapali. Ci okrutni myśliwi wielu chrześcijan pojmawszy, dali dzikim zwierzętom na pożarcie, a Błażeja świętego biskupa przed starostę przywiedli. Widząc mąż święty, iż wola Boża jest, aby jako kapłan Pana Jezusa naśladując, ze krwi swej ofiarę uczynił, uradował się bardzo i idąc chwalił głośno Pana Boga, że go na męczeństwo wzywać raczy, tak iż się żołnierze i posługacze urzędowi dziwili. Co widząc ludzie, drogę świętemu zastępowali prosząc o błogosławieństwo, którego on wszystkim udzielał upominając, aby się tem srogiem prześladowaniem od wiary świętej odstraszyć nie dali.

Stawiony przed starostę, gdy mężnie imię Pana swego głosił i wyznawał, najprzód go ten starosta Agrykolaus biczmi bić kazał, mówiąc:

— Pokłoń się bogom, każe cesarz.

A Błażej święty mówił:

— Niemy a głuchy człowiecze, czemu się twoim kamieniom kłaniać mam; bogów twoich nie znam, jeno jednego

Pana mego Jezusa; mniemasz abyś mnie takiem biciem ustraszyć miał?

Zbitego srodze wsadzono do więzienia, a gdy dnia drugiego starosta go upominał aby wolę cesarską uczynił, Błażej święty rzekł:

— Czynię wolę Pana cesarzów wszystkich, nieśmiertelnego Boga mego, a twemi bałwanami się brzydzę.

Więc kazał go drugi raz na palu zawiesić i żelazami kaleczyć. A święty mówił:

— Nigdy mnie takiem katowaniem od Pana mego nie odłączysz; jeszcze ich więcej wymyślaj, czyń co chcesz z ciałem mojem, a niechaj tobie i cesarzowi Pan Bóg przebaczy.

Kazał go tedy okrutny starosta zdjąć i do więzienia zanieść, na dalsze zachowując męki.

W tem ujrzano, że siedm wiernych niewiast zbierają z ziemi krew świętego biskupa; poczem się wydały, że były chrześcijanki. I wnet je porwano i grożąc śmiercią namawiano, aby ofiary bogom czyniły. A one rzekły:

— Niechaj starosta każe bogi swoje w wór zawiązać i zanieść nad jezioro, a my umywszy się wodą tego jeziora, pokłonimy się im.

Był temu rad starosta i kazał tak uczynić. A one wziąwszy ten wór z bałwanami, wrzuciły w wodę na głębinę i utopiły.

Więc za to wszystkie poprzód ogniem palone, wśród mąk okrutnych pościnano.

A jedna z nich dwoje dziateczek drobnych miała, które matki odstąpić nie chciały, prosząc się także na śmierć. Ale ich teraz nie zabito, jeno do więzienia do świętego Błażeja dano, który te dziatki małe w wierze utwierdziwszy, spokojnie z niemi czekał chwili, w której się do Pana swego udać będzie mógł.

A oto niedługo dał mu czekać starosta, bo wnet wywiódłszy z więzienia, kusił go jeszcze prosząc i grożąc, a gdy widział, iż nic uczynić nie potrafi, wydał rozkaz aby ścięty był.

I szedł Błażej święty na śmierć z jasną twarzą jako anioł Boży, a onych dziateczek dwoje szło także za nim, które on

ujrzawszy wziął za ręce, i tak te dzieci z nim pospołu śmierć męczeńską odniosły.

Chwalmy Boga w jego prorokach i męczennikach, chwalmy go i w tym wielkim męczenniku Błażeju świętym, którego pamięć na dzień 3go lutego co roku wypada, a prośmy go niech się on tam w niebie wraz z innemi świętemi za nas biednych modli.

Śpiewka furmana,

której Wojciech z pod Opatowca trochę od innych się nauczył, a trochę sam wymyślił, a którą Ignacemu Ślusarczykowi na pamiątkę posyła.

Wszystkich to ciekawość budzi,
Kto jest najszczęśliwszym z ludzi?
A ja mówię że ze stanów
Najszczęśliwszy stan furmanów.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Czy karetą czyli biedą,
Furmanowi konie idą;
Gdy z boku pełna maźnica,
Nie masz pana jak woźnica.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Czy to z góry, czy pod górę
Równo szkapy ciągną furę;
Bo jej się nie przeładuje,
Koniom owsa dosypuje.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Tych co w karczmie czas marnują,
Gospodarstwa zaniedbują,
Zaprzęgnę zaraz do brony,
I będę włóczył zagony.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Hej zaprzęgaj, ładuj bryki,
I bierz wszystkie swawolniki,

Co w lenistwie żyją marnie —
A niechże ich bies zagarnie!
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Tyth, co braci nie kochają
I krew naszą przelewają:
Wezmę także na me bryki
I wywalę gdzie do rzeki.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio!

Danaż moja, dana dana,
Nie godzien nazwy furmana,
Kto co karczma wódkę pije,
I pijany konie bije.
Het, hot, wiśta heta, hota wiśta wio! —

Sztuką, wilki tłuką.

Któż dziś opisać zdoła, ile to nasza Ziemia ucierpiała pod niewolą szwedzką za panowania króla Jana Kaźmierza? Któżby dziś powiedział o liczbie wymordowanego ludu, któżby dziś policzył gorzkie łzy niewieście i strugi krwi niewinnej przez wroga wylanej? O, zaprawdę, nie policzyć gwiazd na niebie ani piasku w morzu, i nie policzyć czystych łez niewieścich i krwi niewinnie podonczas przelanej, bo te łzy zasiałyby niebo jasnością, a krew ta piasek morski by przesiąkła! Ale przecież jak wszystkie klęski i utrapienia, tak skończyło się i to panowanie Szweda, bo Pan Jezus dał wprawdzie każdemu człowiekowi cierpliwość do znoszenia krzywd i nieprawości, i sam nauczył swą śmiercią jak wrogom przebaczać należy: lecz dał też siłę i chytrość ludziom, aby wspomagali bliźniego w złej chwili, aby go zasłaniali od szatańskiej przewrotności nieprzyjaciół, aby bronili wszystkiemi siłami ojczystej ziemi, własności narodu i dzieci swoich, od ciężkiej wroga niewoli.

Było to w zimie, lat temu dwieście, bo z końcem roku 1655, a w ziemi Wielkopolskiej i sześć mil od Poznania. Miasta i wsie były smutne, jakby pomorkiem wyludnione, bo łu-

piezkie wojska Szweda przeciągały niby stado wilków po całej polskiej Ziemi, a wreszcie ponura i mroźna zima zapędzała ludzi do chat i do ognia, gdzie choć popłakać można było nad własną niedolą. Więc i we wiosce, tuż pod miastem Kościanem położonej, pusto było i głucho, bo wiatr mroźny hulał sobie po polach, a Szwed niedowiarek panował na Kościańskim zamku. Wieczór zapadł; w chatach gdzie niegdzie widać światło z maleńkich okienek bijące i nigdzie żywego ducha, tylko Bartłomiej stoi na podwórku swojego obejścia, zdejmuje koła z wozu i osie mazią smaruje; znać trzeba mu go w drogę, do lasu czy do miasta.

Nie stary to człowiek, ale też i nie dzisiejszy, nasz Bartłomiej. Zmarszczki pracy i trosków popisały mu czoło w różne kreski i znaki, głowa od przodu wyłysiała, a resztę włosów przyprószył rzadki szron siwizny. Smutek rozlany po całej twarzy, dodawał Bartoszowi jeszcze więcej powagi, i czynił go starszym niż był rzeczywiście.

Posmarował oś, zasadził i obrócił koło, a podnosząc głowę do góry westchnął Bartosz głęboko.

— Nie dość, że rabują i drą ze skóry — mruknął półgłosem — ale się jeszcze chylać człowiek musi i pracować dla tych niedowiarków! Ho, ho, niedoczekanie wasze, żeście nam naszą Ziemię najechali, bo ona wam jeszcze kością w gardle stanie!

I zdejmował inne koła, smarował i oglądał. Cicho było na świecie a gwieździsto na niebie, więc każde westchnienie Bartłomieja odbijało się o gwiazdy i o miesiąc, i zapisywał je tam biały Anioł do księgi niewinnie cierpiących, a łzy mu przytem kapały z jasnych ocząt, bo widział ile jest boleści polskiemu ludowi pod niewolą Szweda.

Bartłomiej nasadzał już ostatnie koło, gdy naraz kopyta końskie zatętniały we wiosce. Trudno się jeszcze było zmiarkować zkąd kto jedzie i w siła koni, gdy oto na Bartoszowym dziedzińcu stanęło dwóch jeźdzców.

— W imię Ojca i Syna — szepnął Bartłomiej i zrobił krzyż święty, bo w pomroku nocnym zdało mu się, że to Szwedy niedowiarki przybyli na rabunek. Aleć przygląda się

lepiej, nie szwedzkie na wojakach odzienia; a gdy bliżej podeszedł, a owi zsiedli z koni, więc poznał żywo dworzanów od starosty z Babimostów.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powitali dworzanie uchylając czapek.

— Na wieki wieków! — odrzekł Bartosz radośnie kłaniając się do kolan — Cóż tu wielmożni panowie o tak późnej porze?

A starszy rzeknie na to:

— My tu do was Bartoszu, od pana starosty! —

Więc radość wystąpiła na twarz Bartłomieja, bo starosta Żegocki z Babimostów, to pan bardzo dobry i wspaniały, a ziemię swą nadewszystko miłujący. I sprawiedliwość wielka u tego pana, więc jeśli on co każe, to pewnie z Bożą wolą. Uradował się więc Bartosz i prosi dworzanów do izby, ale ci się wymawiają i dziękują, bo nie ma czasu na stracenie.

— Pamięta wam dobrze pan starosta — odezwie się znowu starszy dworzanin — jakoście szli z gromadą bronić jego mienia, gdy Szwed ogień zarzucił między gumna i stodoły; nie zapomni wam też nigdy jakoście go na łowach ustrzegli przed dzikiem...

— Ot, Boże zrządzenie i jego święta wola! — rzekł Bartłomiej chylając głowę pokornie.

A dworzanin położył rękę na ramieniu Bartosza i rzekł:

— Ale pan starosta widzi ztąd, że macie chętne serce dla niego, i tusząc że zawsze liczyć na was może, prosi też byście i tą razą byli mu pomocnemi w czemś, co na chwałę Bożą uczynić zamierza.

— Jestem zawsze wierny poddany pana starosty, i wszystko uczynię co on każe — odezwał się Bartosz.

Więc dworzanin oglądnąwszy się po podwórku, czy prócz nich trzech nikogo więcej nie ma, pyta:

— Czy jedziecie jutro ze sosnami do zamku? —

— Ha, kazali, to muszę jechać — rzeknie Bartosz.

— Otóż, nie wielka to rzecz co macie zrobić — ciągnął dalej dworzanin — pan starosta chce tylko, żeby wam się co zepsuło na zwodzonym moście zamkowym....

Bartłomiej wypatrzył się w zdziwieniu na mówiącego.

— No, żeby wam koło spadło, albo sforzeń zginął... toć mię rozumiecie! Bo jak się drzewo z wozu stoczy, to będzie siła zachodu z powtórnem ładowaniem...

— A do czegóż to panu staroście zdać się może? — pyta Bartłomiej.

A dworzanin na to:

— Tego ja wam już powiedzieć nie mogę; wiem jeno że to nie będzie z miłości do Szwedów, a wy wiecie jako ludzie mówią, że *sztuką wilki tłuką.*

To rzekłszy dosiedli dworzanie koni, a starszy odezwał się jeszcze:

— Więc zrobicie, tak jak chce pan starosta?

— A juści zrobię, bo wiem, że tego na dobre wielmożnym panom trzeba — odrzekł Bartosz kłaniając się odjeżdżającym.

Zatętniało więc znowu przez wieś, a potem była już grobowa cisza, bo i noc też późna, więc Bartłomiej zwrócił się do chaty, gdzie jego kobieta i dzieci spały, a łuczywo dogorywało na kominie. Wygasił ogień i sam się położył, ale nie zaraz mógł zasnąć, bo zwykła ciekawość ludzka odbierała mu sen na chwilę. Myślał sobie Bartosz, do czego pan starosta Żegocki potrzebuje, żeby mnie się niby popsuł wóz na zamkowym moście, lecz nic nie wymyślawszy obrócił się na drugi bok i zasnął.

Na drugi dzień później niż zwykle zerwał się Bartosz z pościeli. Biało już było na świecie; nocą śnieżek przeprószył, po zmarzniętej grudzie więc ponowa śliczna, a mróz przytem zwolniał. Ulicą pod sad Bartłomiejów ciągnął się jeden wóz za drugim ku lasowi; Szwed nakazał zwozić sosny do zamku, i całą wieś pędzi do tej wymuszonej roboty. Zawinął się też i Bartłomiej, zaprzągł zbiedzone konięta do wozu, i wyruszył za drugimi, ostatni.

Niebo było czyste, i słonko jasne toczyło się po niem, a w promieniach słonka świecił las jakby srebrny, bo świeży śnieg osiadł po szczytach i gałęziach sosen. Ponad lasem przelatywała czarna chmura wron przeraźliwie kracząc, a i one, choć wrony miały złote piórka, bo je słonko całowało po sze-

rokich skrzydłach. Bartłomiej szedł koło wozu i mówił litanję do Najświętszej Panny, a od czasu do czasu zawinął batem nad konikami i westchnął sobie żałośnie.

Droga prowadziła popod Kościański zamek; Bartosz siadł na wóz i raźniej popędza koniki, bo już inni o kilka stajań przed nim się toczą, więc mógłby kto z zamku jeszcze nań nakrzyczeć. I tak jadąc patrzy w zamkową bramę i na wieże słońcem oświecone, i myśli sobie:

— Mój Boże, czy to sprawiedliwość, żeby Szwed siedział w naszem gnieździe, i żeby nami rządził jak on wilk owcami?

I ledwie sobie to pomyślał, aż go mrowie po kościach przeszło, bo oto w zamku skrzypnęło coś strasznie i zabrzęczało, i z wielkim hukiem spuścili zwodzony most na zamkowe wały. I myślał Bartosz, że go już za te myśli lecą Szwedy zabijać, taka wielka mnogość ludzi ukazała się na moście, a co najprzedniejszych oficerów i komendantów. Ale tym ani w głowie nie był Bartosz, bo im dobrze w zamku, picia i jedzenia po pas, więc chcą użyć ponowy i jadą na polowanie. Łatwo to poznać, bo wszyscy z fuzjami przez plecy, a na przedzie sam pan główny komendant, landgraf, Frydryk imieniem, co ze siostrą samego króla ożeniony. A koło landgrafa strzelec suto ubrany z wielką sforą psów, a inny strzelec wygrywa na trąbce wesołe hejnały, i tak wszyscy śród śmiechu i gwaru suną na polowanie do Kościańskich lasów.

Bartłomiej zapatrzył się na panów Szwedów, zdjął czapkę pokornie, i zjechał na sam krawędź drogi, żeby im tylko zrobić miejsce. A owi przejeżdżając koło Bartosza śmieją się z jego koników i z fury, niejeden go z żartu batożkiem po plecach uderzy, inny podcina konięta, a inny przejeżdżając nad uchem mu gra z trąbki. Poczciwy Bartosz aż się kurczył i pocił, a skoro przejechali to oglądnął się ostrożnie za nimi, a potem czapkę na bakier zasadziwszy, splunął i mruknął:

— Poczekajcie Szwedy swawolniki! Chybaby już Pana Boga w niebie nie było, żeby was za naszą biedę nie pokarał!

A potem zdało mu się spoglądnąć przed siebie na las szarzejący, i widział tam jakiegoś na koniu, co sobie stał chwileczkę i niby uważnie patrzał za Szwedami, ale nie minęło

ze dwa Zdrowaś Marja, obrócił nagle konia i popędził w las. Nie wiedział dobrze Bartosz coby to był za jeden ten jeździec, ale mu się coś tak zdawało, jak gdyby to był on młodszy dworzanin, z tych co w nocy u niego byli, i przypomniała mu się obietnica jaką im dał wtedy. Więc podumał Bartosz, żeby się zdało spieszyć, a tak zaciąwszy konięta zbliżał się coraz bardziej do lasu.

Tymczasem panowie Szwedy pojechali sobie w przeciwną stronę, a za nimi znowu zgrzytło i zabrzęczało w zamku, i most zwodzony podniósł się do góry. Takich mostów zwodzonych dziś już nie używają, ale pierwej to one były po wszystkich zamkach i grodach. A były one dlatego, żeby w razie napadu utrudnić nieprzyjacielowi przystęp; bo skoro most był podniesiony, a głęboki rów na około zamku, toś wtedy długo mógł chodzić jak niedźwiedź koło barci nie wiedząc zkąd się brać do zdobywania. Jeźli zaś do zamku lub z zamku wypuszczali swoich, to wtedy rzucali na łańcuchach most przez oną fosę i była droga wygodna. Bartosz myślał sobie o tym moście jadąc, i coś niby zaczął się domyślać, na co by mogła być przydatna prośba pana starosty. Z tem wjechał do lasu za innymi, a że sosny leżały już przygotowane, więc żywo szła robota z ładowaniem ich na fury.

Różne tam były narzekania i lamenty między gospodarzami. Przeklinali Szwedów i wydziwiali na nich, ale cóż? musiał jeden z drugim słuchać, bo kto nie chciał słuchać, to go Szwed bił i katował, albo i powiesił na pierwszej lepszej gałęzi. Ot, i teraz muszą zwozić sosny i ciężko pracować, bo Szwed kazał bić ostrokoły w krąg całego zamku, żeby był trudniejszym do zdobycia.

Bartosz nie mieszał się do tych lamentów, jeno ładował czemprędzej swoją sosnę na furę i ruszył z powrotem, przypomniawszy sobie na dane przyrzeczenie. Jedzie więc i podcina konięta, a przed nim dopiero trzy fury co pilniejsze; a gdy już był blisko zamku zdało mu się obejrzeć pod las, i znowu w tem samem miejscu co poprzód ujrzał jeźdzca, a teraz już na pewne go poznał jako dworzanina pana starosty Żegockiego. Stoi jak mur i patrzy ku zamkowi, a niby za Bartoszem; więc

Bartosz przeżegnał się w imię Boga i pociągnął na zamek, kędy już most zwodzony spuszczono, bo fury zaczęły iść z lasu. A przy moście stały Szwedy na warcie, bo jak tylko fur nie było, to oni zaraz dla bezpieczeństwa most podnosili do góry.

Machnął Bartosz batogiem i wjechał także na most; a skoro był już w połowie, sięgnął ręką do wozu i wyciągnął sforzeń; potem machnął jeszcze raz batem, koniki poszły naprzód z przedniemi kołami, a reszta wozu się przewaliła i sosna legła na moście. Bartosz zaląkł się niby okropnie, a Szwedy z krzykami i groźbami przyskoczyli do wozu i zaczęli naprawiać razem z Bartłomiejem, żeby tylko czemprędzej zawlec sosnę do zamku. Aleć nie minęło i jedno Zdrowaś Marja, wrzasnęło coś ogromnie z pod lasu. Oglądają się Szwedzi, ogląda się Bartłomiej, a tu cała gromada polskiej szlachty z dobytemi szablami leci obces na zamek co tylko koń wyskoczy, a na przedzie pan starosta Żegocki. Szwedzi widząc, że mostu podnieść nie mogą, bo na nim wóz, konie, sosna i Bartłomiej, a nasi jeno chwilkę i w zamku — potracili biedacy głowy i uciekali do miasta. A w Bartoszu na ten widok zakipiała krew w żyłach; przypomniał sobie jak go Szwedy jeszcze godzinę przedtem znieważali, więc skoczył, wyrwał kłonicę od wozu.... a tuż za nim zatętniał most pod naszymi... Polecieli jak chmura gradowa, a Szwedy klękali przed nimi i prosili o łaskę, a Bartosz nie jednego tam pomacał kłonicą po łbie. Za godzinę znowu było cicho w zamku i w mieście: most zwiedziony jak zwykle i wszystko na swojem miejscu.

Tymczasem pan landgraf Frydryk razem z przedniejszymi Szwedami poluje sobie w kniei i radość tam wielka. A gdy już słonko miało się ku zachodowi, ozwały się trąbki od przeciwnych lasów, a nasi wymknęli się przez miasto, żeby ich powitać. Pan landgraf zbliża się pod zamek, i dziwno mu, że jeszcze mostu nie spuszczają: a tu z boku wypadają panowie szlachta i dalejże rąbać Szwedów.

— Stójcie, landgrafa żywcem, bo to wielki ptaszek! — woła jeden.

— Dobrze, tego żywcem — powtarzają inni i rzucają się na landgrafa, ale on dobył szpady i dalejże się bronić; więc z naszych kilku niewiedzących co to za jeden dali ognia, i upadł koń i landgraf razem. Koń zabity na miejscu, a landgraf śmiertelnie ranny w kilka godzin skonał. Szwedzi widząc, że ich pan, szwagier królewski już na ziemi, dalejże dopiero w nogi gdzie kto mógł, i na tem się skończyło.

Dopieroż radość była wielka na zamku i w mieście Kościanie. Wszystko się cieszyło a zbroiło i wraz gotowało do bójki, jeżliby Szwed chciał znowu napadać. A pan starosta z Babimostów uradowany bardzo chwali jednych a rozdaje nagrody drugim, i każe także Bartosza wołać przed siebie. Idzie Bartłomiej przed starostę i kłania się mu do nóg, a pan starosta publicznie mu dziękuje mówiąc:

— Walnie się popisałeś mój Bartoszu! Wykurzyliśmy Szwedów z zamku niby lisów z nory, a to co zostało, to już nam służyć musi, nie zaś my im. Wykurzyliśmy ich za twoją pomocą Bartoszu, a tyś się przytem poszkodował boś sforzeń zgubił na wieki. Otóż, wypada ci pomódz, żebyś sobie inny sforzeń sprawił, więc nato daje ci w dożywocie folwark, coś go to bronił od ognia przez Szwedów podrzuconego...

Jeszcze pan starosta nie skończył, a Bartłomiej upadł mu do nóg dziękując, a przytomni panowie uśmiechali się, i bardzo temu byli radzi i uciecha była powszechna.

I miała być z czego uciecha, bo na dobitek szczęścia przyjechali gońce z wiadomością, że Jasna Góra za przyczyną Przeczystej Panienki od Szwedów obroniona, i że w Nowym Sączu górale het wyrznęli tych wrogów niedowiarków. Błysnęła więc nadzieja na całą Polską Ziemię, a dał w końcu litościwy Pan Bóg że się i spełniła, choć jeszcze dużo krwi z obu stron pociekło.

Grześ z Mogiły.

Piękne przykłady.

O tegorocznej kolędzie,

list Wojciecha z pod Opatowca do Grzesia z Mogiły.

Chociaż na list pisany do was, w którym to donosiłem wam o Obrzynku w Siedliszowicach nie odebrałem odpowiedzi, jednak mimo tego taka mię jakaś miłość ku wam ciągnie, że znowu muszę wam mój miły Grzegorzu o tegorocznej kolędzie z naszego Nadwiśla donieść.

Wiem ja, że tam i koło waszego kochanego Krakowa po kolędzie chodzą, bo to już taki zwyczaj od wieków w całej naszej Polsce. Żaden też naród nie ma na uczczenie nowonarodzonego Pana Jezusa tyle pieśni, jak my Polacy. Niech-no się pochwalą Niemcy, Francuzi, Włosi, a choćby i same Hiszpany z takiemi kantyczkami jak nasze! a o Moskalach, to wam już nie wspominam, bo oni także kolędują, ale chyba na pałce, albo na bacie. Boże, pożal się naszych braci w Warszawie, bo ot kościoły ich z przyczyny Moskali i przez święta były zamknięte, ale sobie za to tem serdeczniej w domach kolędowali. Tak, polskie są tylko kantyczki; jabym też ich nie odstąpił, niechby mi kto i cały świat za nie dawał, chociaż nie chwalący się wszystkie kolędy mam w głowie.

Dzięki Bogu za te święta Bożego Narodzenia, bo to przecie wśród zimy aż lżej, gdy się człowiek doczeka Pasterskiej Mszy świętej, gdy od wioski do wioski rozlegają się kolędy; a choćbyś i jak jeszcze słodko zasnął, to gdy ci zabłyśnie gwiazda przed oknem, a kolędnicy hukną serdecznie: — A śpisz Kuba, Bartek, Maciek i ty stary Stachu, nie śpijże tak, obudźże się od wielkiego strachu! — musisz wstać, łuczywo zapalić i gości do domu przyjąć.

Jednak muszę powiedzieć wam mój Grzegorzu, że grzeszni ludzie i świętej sprawy nie wstydzą się na złe użyć; jednak złemu zawsze musi przyjść na koniec, a sprawa święta

choć na chwilę przyćmiona, musi znowu świetą zablysnąć światłością.

Tak to bywało i z onemi kolędami u nas. Zbierali się i u nas co rok na kolędę, ale kto? ot, aż wstyd wymówić sami pijacy, co wyłgany grosz, albo garść zboża od ludzi, zanieśli do karczmy, tam przepili, a nakoniec powadzili się, albo jeszcze co gorszego. Tak bywało, ale dzięki Bogu, już tak nie jest; bo i lud nasz nie uparty, gdy mu kto złe wytknie, a pokaże lepszą drogę, powraca i staje na drodze cnoty.

Otóż i w naszej parafii zakazano ludziom dorosłym chodzić po kolędzie, a pozwolono dzieciom szkolnym, i słusznie, bo to przecie pastuszkowie posłani byli od Anioła najpierwsi do nowonarodzonego Pana Jezusa, dzieciom też tylko przystoi, aby teraz kolędując roznosiły od domu do domu tę wesołą nowinę przyjścia na świat Zbawiciela naszego. A kiedy i człek wie, że to co dzieci za kolędę dostaną, na złe nie będzie obrócone, to też i chętniej poda czy grosz jaki, czy garść zboża.

Miło nam też było tego roku powitać naszych małych kolędników z szopką z Gręboszowskiej szkoły, bośmy czytali napis na onej szopce: „Na Czytelnię ludowi.“ A! pomyślałem sobie, to już co innego, to sprawa święta, dla nas bardzo dogodna, takiej i Bóg pobłogosławi, za kolędę nakupić książek pożytecznych i różne inne pisma jakie teraz drukują, a czytać jak człek czasu dopadnie, aby przecie wiedział coś o tym Bożym świecie, a nie tylko na to patrzał co się koło jego domu albo we wsi dzieje.

Pocieszyły się też biedne dzieciska nie lada, już to nie tyle w naszych biednych domach, ale prawie we wszystkich okolicznych dworach. Wszędzie im bardzo byli radzi, ale bo też i szopkę mieli nie lada jaką i lalki jakby żywe. Najświętszą Pannę z świętym Józefem i dzieciątkiem Jezus, to aż z Krakowa zakupili, prześlicznie ubrane. Byłci i Krakowiak z Krakowianką z krakowskiej ziemi rodem. Jużci takiego nigdziebyś nie dostał, jak w samym Krakowie, niby rodzoniusieńki wasz brat mój Grzesiu. Ferezja lita, sto kółek u pasa, krakuska na bakier, ale też pokłoniwszy się Najświętszej ro-

dzinie w szopce, krzesał w podkówki, jakby żywy Krakus za czasów Kościuszki. Ale też i onemu dziadkowi co to na ostatku wychodził, opłaciło się nie byle jako. Dzieciska też chyba już nigdy tego nie zapomną jak je serdecznie przyjmowali państwo w Mędrzychowie, w Bolesławiu, w Siedliszowicach, w Żelichowie, w Lubiczku, w Demblinie; a jak wam ze dwora w Kłyżu wrócili, to już nie wiedzieli od radości jak to wszystko opowiadać, zkąd zacząć i na czem skończyć.

Niech tam Pan Bóg wynagrodzi temu państwu, co im nasze dzieci tak miłemi były. Nazbierali też grosza sporo i ziarna po wsiach, za co już Dzwonek, Gwiazdkę Cieszyńską i Przyjaciela Domowego zakupili, i inne jeszcze książki mają zakupić; a co więcej jeszcze sprawią, to wam znowu kiedyś później mój Grzegorzu doniosę. A teraz wam życzę ażeby i u was i wszędy tak kolędowali, bo tylko z takiej kolędy Pan Jezus się cieszy w niebie.

Ale byłbym zapomniał, a i toby było niesprawiedliwie, bo znajomy wam wójt z Borusowy Józef Wcisło, sam poczciwiec z szkolnemi dziećmi Borusowskiemi obszedł po swojej wsi po kolędzie, ale też i dzieci śpiewałyby wam bez końca, tyle je kolęd wyuczył. Zebrał też i on trochę ziarna, i zaraz za to zakupił Dzwonek i inne książki dla dzieci do nauki.

Na zakończenie jeszcze słówko. Słyszałem, że w starym Krakowie mają naprawiać nagrobek naszego króla Kaźmierza Wielkiego. A któż się do tego powinien najbardziej przyczyniać, jeżeli nie my chłopi? Wszak to król chłopków był, nasz największy opiekun, nasz ojciec. Więc też lud polskiej Ziemi powinien pokazać światu, że i po pięćset latach kocha swego króla Kaźmierza; powinniśmy pokazać, żeśmy mu wdzięczni za to, co on naszym ojcom świadczył. Bóg z wami mój Grzegorzu.

Wojciech z pod Opatowca.

RÓŻNOŚCI.

Włóczęga. Chodzą tacy ludzie po świecie, co to nie można powiedzieć że o żebranym chlebie, ale przecie nie za uczciwą pracą ani za zarobkiem. Otóż taki człowiek, niewiedzieć zkąd i za czem, od wsi do wsi chodzący, oszukaństwem tylko żyje. Jeden chodzi i udaje mądrego doktora, a może czytać nie umie; drugi powiada że zna prawa doskonale, namawia do procesów i chwali się jak jego pan Starosta lubi, a może go niedawno z kryminału wypuścili; i wiele innych rzeczy udają i rozpowiadają, bo takim darmojadom i oszukańcom na pomysłach nie braknie, ale też na nieszczęście znajdą się zawsze głupcy, których oni w pole wywiedą, wyłudzą kieliszek wódki lub co grosza z kieszeni,, i jeszcze się potem naśmiewają. Posłuchajcie jak jeden taki włóczęga rozmawiał się z wyrobnikiem ze wsi, która się nazywa Dziewa, kiedy go do Warszawy z rakami na targ jadącego napotkał:

— Niech będzie pochwalony, zawołał włóczęga.

— Na wieki odpowiedział chłopek.

— A zkądeście wy?

— A z Dziewy.

— A gdzie to jedziecie?

— Do Warszawy.

— Boże łaskawy! I cóż to wieziecie?

— Raczki.

— Dajcież tabaczki. — Jaka też to tabaczka?

— Lewandowa.

— Dla tego taka zdrowa. Co też kosztuje?

— Czeski.

— Ojcze mój niebieski! jak to tanio. Więceście wy z Dziewy i wieziecie raczki?

— A raczki.

— To dajcież tabaczki. A gdzieście ją kupili?

— U Jacka.

— Śliczna tabaczka. Toście wy to z Dziewy! A gdzie tam wasza chałupa?

— Na rogu.

— Chwała Panu Bogu! No, teraz jedźcie sobie z Bogiem, bo już ani na jeden niuch tabaki nie macie.

Dopiero poznał wyrobnik, że ów włóczęga tylko kpiny sobie z niego robił aby tabaki dostać, i już mu chciał porządnie za to zapłacić, ale ten już był daleko.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 5.

11. Lutego. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Sobieski, król polski.

I. Wojna z Turkiem.

Było to w listopadzie 1673go roku. Umiera król Michał we Lwowie, a na Podolu pod miastem *Chocimem* stoi polskie wojsko naprzeciw tureckiego, oko w oko surowo sobie patrząc. Nierówne to tam siły, bo naszych tylko czterdzieści tysięcy, a Turków aż dwieście razy po tysiąc: lecz z nami Pan Bóg i przeczysta Panienka co już raz polską ziemię od szwedzkiej nawały uwolniła, a z poganami tylko księżyc rogaty, co sobie go na chorągwiach poprzyczepiali. Byli też z naszymi podonczas i Kozacy pod sławnym atamanem *Konaszewiczem*, chcąc swoje złe odrobić, bo ich sumienie gryzło, że oni moc turecką na matkę Polskę sprowadzili.

Trzy dni ucierali się nasi zwolna z Turkami, bo hetman *Sobieski* chce najprzód wypróbować ich siłę i odwagę, a przy tych drobnych utarczkach wstępuje duch w naszych, bo zawsze są górą. Nareszcie dnia czwartego przed wschodem słońca

uszykował hetman wojsko i dano znak do modlitwy. Uklękli wszyscy, w gorącej modlitwie siebie i Ojczyznę Bogu polecając a kapłani przejeżdżali z błogosławieństwem między szeregami. Po chwili zawołał Sobieski:

— A teraz naprzód bracia, za wiarę i ojczyznę!

Zabrzmiały trąby i kotły; okrzyk bojowy rozległ się po szeregach, a Sobieski spiąwszy konia uderzył pierwszy na pogan. Jak piorun wpadli nasi za hetmanem na obóz nieprzyjacielski; w jednej chwili spędzili Turków, a rozerwawszy wały obozowe, jak rozhukana rzeka wtargnęli do środka. Nie pomogły armaty, z których Turcy bez ustanku prażyli, bo męztwo naszych w onej chwili było niesłychane. Wnet więc ulegli poganie pod natarczywością polskich wojowników; rzucili broń i jęli uciekać którędy kto mógł, a wszystko ku rzece Dniestrowi, od której niedaleko Chocim jest pobudowany. Myśleli niebożęta, iż tam znajdą most przez siebie postawiony, a tu tymczasem mostu nie ma, bo go Polacy spalili; więc musieli się puszczać wpław Dniestrem, który jest bardzo rwący, przyczem ich wielka moc potonęła.

Tak więc odniósł Sobieski tu pod Chocimem wielkie zwycięztwo nad Turkami, a dziwnem zrządzeniem bożem wypadło to zwycięztwo w drugi dzień po śmierci króla Michała. Hetman jako dobry wojownik nie chciał poprzestać na tej jednej wygranej, ale umyślił pociągnąć za Turkiem do Wołoszczyzny i tam mu kurtę skroić. I już wszystko było do tego przygotowane, gdy oto przychodzi wieść do obozu, że król Michał już umarł. Więc jaki taki zasłyszawszy o tem, zamiast iść za poganami, wolał jechać do Warszawy na obiór nowego pana, i tak wnet wszystka szlachta się rozjechała, co widząc Sobieski, także za innymi pociągnął na sejm do Warszawy.

Tu zaczęły się znowu zatargi o koronę i o wybór króla, i trwało to przez kilka miesięcy, aż w maju przyszło do ostatecznego rozstrzygnięcia. Więc na polu elekcyjnem zawołał hetman polny Jabłonowski:

— Jan Sobieski, co pobił Turka, niech nam króluje! — A gdy i inni panowie zawołali:

— Niech żyje Jan Sobieski, nasz król! — tak owi, co

zagranicznych książąt na tron polski koniecznie wprowadzić chcieli, musieli już zamilknąć, widząc, że większość zebranej szlachty obstaje za Sobieskim. Okrzyknięty więc został królem hetman jako *Jan trzeci*, i Bogiem a prawdą, stało się tem najlepsze co się stać mogło, bo Sobieski mając lat 44, był wtedy w sile wieku, a jako roztropny i waleczny wojownik, dał już narodowi nie jeden dowód, że za całość ojczyzny nietylko majątek ale i życie gotów jest poświęcić.

Lecz nie zabawy i nie uciechy czekały króla zaraz z początku na tronie, bo oto nie dopełniwszy nawet koronacji, zebrał co mógł wojska i ruszył na Turka, który znowu się pokrzepiwszy, we dwieście tysięcy najechał polską ziemię.

Szedł król Sobieski jak mógł prędko na wroga, lecz Turek jeszcze prędzej posuwał się w głąb Polski; ziemią krew a niebem łuny szły za nim jak ogon za kometą, a poganin niepowstrzymany ciągnął dalej i przyciągnął aż pod Lwów, gdzie już czekał na niego król ze swem szczupłem wojskiem, bo go nie było nad trzydzieści i sześć tysięcy. Na kilka mil w około zaległy pola tureckie zastępy, a król rozstawił swoją garstkę po wzgórzach Lwów otaczających a tak sztucznie, że się tego niby wielka moc wydawało, i z tem oczekiwał napadu. Uderzyli Turcy, ale nie bardzo śmiało, kilkakroć już od Polaków rozumu nauczeni, a nasi całą duszą naprzód, i jak się zwarli, tak piętnaście tysięcy pogan padło na miejscu, a reszta odstąpiła od miasta.

Roztropne to odparcie wrogów zpode Lwowa wiele dobrego zrobiło, bo choć nie zniszczyło Turczyna, to przynajmniej złamało pierwszy a straszny zapęd tej nawały. Przygotowywał się więc król Sobieski do dalszych z poganami zapasów, a oni tymczasam wracając palili i niszczyli wszystko ze samej złości że im się nie wiedzie. Ustępując tak przyszli pod *Trębowlę*, zamkiem obronną i oblegli to miasto.

Niewiele rycerstwa polskiego pod wodzą *Samuela Chrzanowskiego* zawarło się w Trębowelskim zamku, a tu poganie jak mrówki obleźli do koła, a tłuką mury, i spinając się po drabinach zabijają straż. Patrzy Chrzanowski ze zamkowej wieży i widzi że trudna obrona, lecz nie tracąc ducha oddaje twierdzę

opiece boskiej i robi co może. Lecz oto część żołnierzy co bronią murów przybiega do niego i rzecze:

— Panie, wydaj zamek w ręce Turków, póki czas; jeszcze teraz można z nim robić układy i puści nas przynajmniej żywych. bo później to i życie marnie oddamy i zamku nie obronimy!

— Nie, musimy się bronić — rzeknie Chrzanowski — czyśmy to nie Polacy? —

A wtem przypada zamożniejsza szlachta:

— Poddaj się poddaj! bo cóż nam że się bronimy, kiedy z niskąd pomocy! Mamyż darmo ginąć?

Więc Chrzanowski widząc taki popłoch zwołuje całą radę z rycerstwa złożoną, aby się zastanowić nad tem czy wydać zamek w ręce Turków, czy jeszcze się dłużej bronić. Zeszła się starszyzna, roztrząsają to i owo, ten mówi tak a ów inaczej, i stanęło na tem, że trzeba się poddać, chcąc zachować życie, bo za dzień, za dwa mogą wszyscy bez pożytku zginąć.

A oto przez uchylone drzwi od radnej sali słyszała żona Chrzanowskiego smutny ten wyrok starszyzny, i jako dobrą Polkę zabolało ją mocno serce na oną mowę i pomyślała w duszy:

— Oh, jakaż hańba dotknie mój naród, jeżeli oni poddadzą miasto Turczynowi. Polak, co raczej zginąć potrafi, jak ugiąć kark pod jarzmem podłej niewoli, Polak Chrześcijanin miałby tu czołem uderzyć przed wrogiem poganinem?

I pomyślawszy tak chwyciła pani Chrzanowska wielki nóż ze ściany, wpada z nim do radnej sali, staje tu przed mężem i rzecze:

— O, jakąż hańbą chcecie wy się zmazać! Patrz Samuelu przysięgam ci na Boga żywego, że jeżeli zechcesz zamek wydać Turczynowi, to ciebie i potem siebie przebiję tym nożem. Brońcie się do upadłego! choćby wam wszystkim przyszło zginąć, bo tak na Polaków przystało.

Rumieniec wstydu oblał twarz Chrzanowskiego i twarze wszystkich rycerzy. Poczuli, że jedna niewiasta wyższą jest i odważniejszą od nich i to ich bardzo ubodło. Chciał się więc jeszcze tłomaczyć Chrzanowski, ale żona nie zważając na jego mowę wołała:

— Na Boga zaklinam was, brońcie się, a ja wam mówię że pomoc Jego i króla niedaleka!

Wtedy stanął Chrzanowski między rycerzami i w te odezwał się słowa:

— Panowie mielibyśmy mieć słabsze dusze od jednej niewiasty? My rycerze i obrońce zwycięzkiej Polski? O, zaprawdę, raczej nam wszystkim zginąć i legnąć pod gruzami tego zamku, niż żebyśmy mieli wchodzić z Turkiem w hańbiące układy.

I zaczął wydawać rozkazy, żeby naprawiono mury gdzie tylko można, żeby podwoić straże i mieć się na baczności we dnie i w nocy.

Więc podniósł się duch w Trębowelskim zamku na oną odważną groźbę tej zacnej żony i Polki. Z podwójną wytrwałością odpierano napady oblegających Turków, aż oto w kilka dni ukazały się sztuczne ognie w powietrzu od zachodniej strony, i wnet rozległa się po zamku ucieszna nowina, że król idzie na odsiecz. I dopieroż to podniosły się niezliczone modlitwy i śpiewy dziękczynne na chwałę boską, a serdeczne dziękowania dla pani Chrzanowskiej, że swem mężnem sercem załogę Trębowelską od hańby wybawiła. Jakoż na posłuch o zbliżaniu się króla, jęli się Turcy w drogę zabierać, ale ich już Sobieski na sucho z łapki nie puścił; przypadł ze swoimi a ubiwszy jeszcze kilka tysięcy poganów, wybawił oblężoną Trębowlę.

Nie poprzestał król Sobieski na tem; oswobodziwszy Trębowlan, podziękował pani Chrzanowskiej za jej czyn rycerski, i wyruszył dalej ścigać Turka, i ścigał go aż za Dniestr, bo z powodu swych małych sił nie mógł już dalej iść za nim. A uporawszy się z tem na chwilę, wrócił Sobieski do Krakowa, i tu dopiero koronował się jako prawy król, wraz ze żoną swoją imieniem Marją Kazimirą. I było tam radości wiele przy tej koronacyi, bo zdawało się, że razem z takim wojownikiem i lepsze czasy dla biednej Polski wracają.

Śpiewka smutnej dziewczyny.

Oj nieszczęśliwa dola, nieszczęśliwa dola,
Upadłeś smutku na mnie jak rosa na pola;
Oj roso, ty kwiateczki karmiesz i ty myjesz,
A ty mnie smutku palisz, a ty mnie zabijesz.

Usiadły zazuleńki na wysokim buku,
Trzepoczą skrzydełkami i wołają: kuku!
Oj, innym to na szczęście moje zazulenki,
Dla mnie tylko po trumnę lećcie do mateńki.

Stroi się macieżanka we woniące kwatki,
Pod gajem głóg rozkwita, a w polu bławatki;
Oj darmo wy kwitniecie, darmo kwatki moje,
Już ja włosów, mych włosów wami nie ustroję.

Gonią się czarne chmury po wysokim niebie,
Na słotę wilga płacze a kokoszka grzebie;
Oj czemuś moje niebo nie takie jak było?
Czemuś ty moje liczko tak się zachmurzyło!

Oj upadł śnieg na pola, upadł i na łąki,
Nie śpiewa w gaju słowik, a w niebie skowronki:
Oj nie ma dla nich słonka, nie ma dla nich wiosny,
A dla mnie szczęścia nie ma, jeno grób u sosny.

Grześ z Mogiły.

Żebrak.

We wsi Grabince na odpuście zjawił się bardzo dziwny dziad: nie miał on jednej nogi, a na plecach miał guz wielki i był dobrze garbaty, a umiał tak dobrze wyśpiewywać przeróżne pobożne pieśni, to o sądnym dniu, to o piekielnych mękach, to o karze boskiej, to o Częstochowskiej Pannie najświętszej, że go ludzie obstąpili do około i słuchali tych słów świętych jakby jakiego kazania.

I gdy on tak śpiewał i rękawem podartym łzy sobie ocierał, gospodarze wsiowi rozgadali się o nim i jeden rzeknie:

— Dla Boga świętego, jak przeraźliwie śpiewa ten dziadek biedny, aż włosy wstają na głowie.

A drugi się odzywa:

— A czy widzicie te łzy jego i te ręce złożone, te palce ściśnione na piersiach, a jak on drzy cały.

Trzeci zaś rzecze:

— A widzicie jak on każdy kawałeczek chleba, co mu kto poda do ręki, całuje i ostrożnie kładzie do torby, aby się nie kruszył i jaka okruszka nie upadła na ziemię świętą.

I tak gadając zbliżyli się do dziadka klęczącego, a gdy on przestał śpiewać, pytali go:

— A zkąd was dziadku pan Jezus prowadzi? wy widać z dalekich stron i podobno pierwszy raz na naszym odpuście.

A dziadek pokiwał głową i rzecze:

— Mój panie Jezusie miłosierny, to widać już mię i krajanie moi nie poznali; oj zmieniłem się okropnie; nie mam jednej nogi, na plecach garb jak torba sieczki, a dwie podarte torby i obszarpane łachy, to cały mój majątek.

Gdy dziad coś wspomniał o krajanach, ciekawi gospodarze nuż go dalej wypytywać i zagadywać:

— A z której to wy wsi, może gdzie blisko od nas?

A dziad westchnął i tak powiada:

— Tać ja wasz wsiowy i wasz rodak, tać ja Grzesiek Szpunar, ot po tym Walku Szpunarze, co to był tak długo karbownikiem u nieboszczyka pana, a ja służyłem za młodu we dworze jako kuchta, a potem — tu zaczął stary i garbaty dziad płakać.

Zadumali się strasznie gospodarze na to, boć oni pamiętali karbownika Walentego i znali dobrze jego syna Grześka, co to dokazywał po wsi co nie miara za młodu. Bez niego nie było ani pijatyki ani bitki, a co słowo przeklinał, nikogo nie uczcił dobrem słowem i wyrabiał różne dziwa we wsi między chłopakami.

I zaczęli sobie gospodarze przypominać różności i tak gadać między sobą:

— Ot widzicie, że to nigdy nie trza brykać, kiedy pan Jezus daje i zdrowie i chleb i urodę, boć to może znowu odebrać każdemu w jednej chwili.

Przybliżyły się też gospodynie wsiowe do dziada a między niemi była jedna najstarsza i ta przypominając sobie z dawna Grześka dworaka, tak się do niego odezwie:

— A widzisz nieboże, jakeśto ty pomiatał chlebusiem bożym po mojej sieni, pamiętasz wtedy na mojem weselu i gadałeś ze śmiechem, że chleb kwaśny, nieupieczony, bez drożdży i ze złego zboża; pamiętasz coś to ty robił z jedzeniem wsiowem, jakeś wygadywał i bluźnił na dar boski i ludzki. I zaczęła mu tak gospodyni przypominać różne zbytki z młodości, aż się druga odezwała na to:

— Dajcie temu dziadkowi spokój, on ma już za swoje dosyć od pana Jezusa: lepiej płakać nad jego biedą i brać sobie to dobrze do głowy, aby tak nie robić, jak on nieszczęśliwy i głupi wyrabiał za młodu.

A inna gospodyni przyprowadziła swoje dzieci dorosłe do dziada i tak do nich mówi:

— Otóż macie żywe pokaranie boskie na tym dziadku, a wiecie za co? Oto, bo za młodu był wielki ladaco i darem Bożym pogardzał. Z początku to jadał i kaszę niesłoną i chlebuś prosty z cebulą i czosnkiem i pościł w piątki i klękał do paciorka świętego i posłuchał i zrobił co mu kazano: ale jak sobie w roku we dworze podjadł, to już tylko łapał za chleb pytlowany i za mięso, już paciorka nie mówił na kolanach; co niedziela latał do karczmy i nie było nad niego większego zbijacza na wsi, tak że go aż nieboszczyk nasz pan musiał odprawić. A patrzcież teraz? Ot widzicie, co zrobić może pan Jezus miłosierny i sprawiedliwy z każdym człowiekiem czyli on królem, czy panem, czy chłopem, czy wojakiem, jeżeli nie umie żyć pobożnie i słuchać świętych przykazań boskich.

A dziatki słuchając tej nauki pytały się matki:

— Czy to z naszej wsi ten dziadek nieszczęśliwy?

— Ot z tamtej starej chałupy w ogrodzie, rzekła matka, gdzie teraz siedzi Szymek Szpunar, a to rodny stryk ów dziad tego Szymka.

Dziatki zadumały się niesłychanie na to i poszły do kościoła uklękły pod krzyżem pańskim i zmówiły paciorek, aby ich pan Jezus obronił od zbytkowania w jedzeniu i utrzymał ich w pobożności i posłuszeństwie dla starszych.

Zjawił się także i Szymek Szpunar i nie mógł wierzyć oczom swoim, co się stało z jego strykiem, co to był chłopem jak dąb, a ładny na twarzy jak miesiączek w pełni i tak gruby w sobie, jak wiązka słomy żytniej. I przywitał się Szymek ze strykiem żebrakiem i pytał go:

— A gdzieście wy stryku przebywali dotąd, jakeście poszli ze dworu i ze wsi naszej?

A dziad mówi z płaczem:

— Już to temu dobre trzydzieści lat, jak ja wyszedł z tej wsi, a było mi tu bardzo dobrze; mój ojciec był karbownikiem, miał chleb i pracę, nas było czworo dzieci rodnych, ale żadne nie dorobiło się niczego, bo wszystkie były hultajami a ja największy między niemi. Miałem bardzo dobrą służbę u nieboszczyka pana, ale kto ma dużo wszystkiego, ten najczęściej jako głupi, traci na końcu wszystko, a traci pewnie wtedy, kiedy zapomina na Boga, na ród swój i nie dba nic nawet na duszę swoją. Kłuł mię święty chlebuś na wsi po gębie, zdawało mi się, że na świecie dalekim lepiej można mieć niż między swojakami i porzuciłem dom ojcowski i znajomych i włóczyłem się po świecie, a w końcu złapano mię i oddano do wojska.

I płakał stary i garbaty dziad, bo koło niego stali gospodarze, co to każdy miał i domek jaki taki i dzieci i życie nieostatnie i poszanowanie we wsi, a byli oni wtedy małemi dziećmi, kiedy on z rozkoszy wielkiej odchodził ze dworu i ze wsi i szedł szukać po świecie obrazy boskiej. Płakał nad tem, że on był ostatnim dziadem i pokaranym od pana Jezusa, a inni byli sobie gospodarzami i porządnymi ludźmi we wsi i na ojcowiźnie.

Tu zapytał go jeden z gospodarzy:

— A gdzieście wy Grzegorzu stracili nogę i dostali tego wielkiego guza na plecach?

A dziad mówił:

— Nogę urwała mi armatnia kula na wojnie, a tego guza dostałem ztąd: gdym leżał na wojnie na ziemi z urwaną nogą i nie mogłem się podnieść, wtedy przyszedł jakiś człowiek i chciał ze mnie łachy wojackie zedrzeć, ale ja się bronił rękami, on mię przewrócił do góry i uderzył tak mocno w plecy, że mi pacierz złamał i odtąd noszę garb na plecach.

A jeden gospodarz, co to był i rozumny i pobożny we wsi, tak do niego zaczął mówić:

— Nielepiej że to było siedzieć cicho we dworze, jeść chleb i pilnować się jak potrzeba? Ot widzicie staruszku, że niby świat duży i dużo na nim różnego narodu i dużo chleba i pieniędzy, ale zawsze najmilej między swemi; wszak tu i dom ojca i kołyska własna i ogród z sadowiną swojski i brat i swat, ksiądz i pan, po Bogu bracia i przełożeni nad nami; wszak tu i kościółek nasz z ukrzyżowanym panem Jezusem i z obrazem panny najświętszej i cmentarz, gdzie spoczywają kości dziada i babki i ojca i matki i wszystkich swojaków; na cóż to szukać po świecie czego, kiedy nasz polski kraj ma wszystko dla pana i chłopa, tylko trzeba mieć rozum i bać się pana Jezusa i pracować i pilnować.

A dziad mu odpowie:

— Mam ja teraz taki sam rozum, jak wy gospodarzu, i tak samo wiem wszystko, ale dla mnie to już za późno; dla was młodszych trzeba takiego rozumu, abyście siedzieli w domu, pilnowali roli, albo i służyli drugim ale uczciwie i dobrze, a nie włóczyli się po cudzych krajach i nie szukali złego nie potrzebnie. Szukałem ja sobie za młodu biedy, to ją mam teraz na starość; deptałem po chlebie, a teraz zbieram okruszki do torby, aby nie umrzeć z głodu; wydziwiałem we dworze i po chałupach, we wsi i na wojaczce, a teraz nie mam ani kącika dla siebie, trza umierać Bóg wie gdzie i nie wiem, kto mi grób wykopie i na jakim cmentarzu! Naponiewierałem się nie mało go świecie, a dziś mam za to guz na plecach i nogę przez pół urwaną, i kij żebraka w rękach; ale przynajmniej dziękuję Bogu, że mnie za życia między swoich przyprowadził

i że jeszcze są ci, co mnie znają. O Boże! znają mnie jako chłopa walnego a dziś widzą dziada i kalekę przed sobą!

I płakał stary Grzegorz na biedę swoją, ale dobrzy gospodarze mówili mu:

— Nie frasujcie się dziadku, między swoimi nie zaginiecie! my wam tu poradzimy.

I został dziad Grzegorz we wsi, i opowiadał różności o swych przygodach. A gdzie on teraz? Oto umarł jako poprawiony grzesznik, co się przecie raz upamiętał i poznał choć na starość, że to zawsze ten szczęśliwy, kto w swoim domu siedzi i Pana Boga chwali, i pilnuje swego a nie łaknie cudzego.

A ja wam to opowiadam, moi kochani, abyście wy nie próbowali podobnego szczęścia; lepiej służyć cicho i uczciwie to po dworach, to na plebanji, to u gospodarza, bo swój swego zawsze poratuje w nieszczęściu i nie wygoni na starość.

Ks. Wojciech z Medyki.

Rozmowa o śniegu.

W ciepły dzień zimowy stał sobie pan Józef, organista i nauczyciel wiejski przed domkiem i patrzał po okolicznych pagórkach, bielutkich jeszcze od śniegu, gdy tymczasem cała wioska i bliskie pola czerniały ziemią. Wtem podszedł ku niemu sąsiad gospodarz i po zwykłem powitaniu chrześcijańskiem rzecze:

— Zdaje się, że to już po zimie. Słoneczko przygrzewa i wnet wszystek śnieg roztopi, wprawdzie dużo błota, ale to jakoś człowiek chętniej znosi, bo sobie prędką wiosnę wróży.

— Ho, ho! daleko jeszcze do wiosny, do zieloności, odpowie pan Józef; patrzcie co tam śniegu jeszcze leży na pagórkach, na polach, w lasach; trzebaby na niego dobrze ciepłych dni żeby ustąpił.

— Proszę was, panie Józefie, czemu też to jedno słońce tak niejednakowo śnieg roztapia; przecież ztąd do owych pa-

górków nie tak daleko, a oto tu śniegu dawno niema a tam jeszcze leży? Albo co jeszcze dziwnego, to że w mieście śnieg najpierwej topnieje?

Na to odpowiedział pan Józef:

— Trzeba wam wiedzieć, że słońce wszędzie jednakowo grzeje, ma się rozumieć jeżeli o miejscach nie bardzo od siebie oddalonych mówimy, a jeżeli się one nie jednakowo rozgrzewają, to słońce temu nic a nic nie winno. Żebyście to dobrze zrozumieli, powiem wam, że promienie słoneczne padają w prostym kierunku, a jak natrafią na jaką rzecz przez którą przejść nie mogą, wtedy odbijają się od niej, jak na przykład kamień od muru. Jeżliście szli kiedy w mieście w dzień gorący ulicą po pod białe mury, to musieliście czuć, że i z góry grzeje i od muru gorąco. Zatem śnieg w mieście topnieje prędzej, bo leży między murami, przez co grzeją go nietylko promienie z góry padające, ale też i te, które się od murów odbijają. Ale co jeszcze rzecz ważna to kolor biały śniegu, który ma to do siebie, że ze wszystkich kolorów najbardziej promienie słoneczne odbija. Połóżcie na śniegu kawałki sukna różnego koloru, a przekonacie się, że pod czarnem suknem śnieg najpierwej stopnieje, potem pod niebieskiem i zielonem, a najpóźniej pod białem. Otóż wiedząc to nie będziecie się dziwować, czemu w mieście i tu oto we wsi śnieg prędzej znika jak na polach: bo nie jest biały, ale zabrudzony od błota i różnych nieczystości.

— Prawda: a że to człowiek od razu na to nie przyjdzie, kiedy oto w lecie dobrze czuje, że czarna sukmana bardziej grzeje jak biała.

— Dobrze mówicie, bo tu także kolor ciemny nie odbija promieni od siebie jak biały, ale je w sobie pochłania i przez to się bardziej rozgrzewa.

— To przecie dobrze ludzie powiadają, choć nie wiedzą dla czego, że czarna rola ciepła a żółta i gliniasta zimna. Ale proszę was panie Józefie, kiedyście mi już tyle wyjaśnili, powiedzcież mi jak też mogą wytrzymać owi nieboracy murzyni, cali czarni, co to jakeście nam ostatniej niedzieli czytali, tam gdzieś w najgorętszych krajach mieszkają? To się tam te biedaki spalą od słońca!

— Tu jest inna rzecz. Prawda że czarne ciało murzyna, więcej pochłania w siebie promieni słonecznych, ale za to nie cierpi tyle od palącego słońca, co ciało białego człowieka, które te promienie odbija. Włóżcie na ręce sukienne rękawice, jedną białą, drugą czarną, i potrzymajcie je na słońcu, a przekonacie się, że pod czarną choć będzie gorącej, skóra pozostanie wilgotną; pod białą zaś rękawicą, będzie w prawdzie chłodniej, ale się ręka opali, a nawet bąble wystąpią. Dla tego to, choć murzynom gorzej na słońcu jak białym, ale im za to zdrowiej, i mogą dłużej gorąco wytrzymać.

Na tem skończył pan Józef, a potem rzekł:

— Mój Boże, jakże to wszystko cudownie i mądrze urządzone na tym świecie! każda rzecz, która się w oczach naszych dzieje, ma swoją przyczynę i nigdy nic się na darmo nie stanie, a człowiek ma na to dany rozum od Boga, aby tego wszystkiego dociekał i wolą swoją także podobnie się rządził.

Obowiązki rolników.

Nikt temu zaprzeczyć nie może, że stan rolników ze wszystkich stanów jest najpierwszy i najpotrzebniejszy; albowiem bez niego żaden stan ostać się nie może. Najpierwej chodzi każdemu o otrzymanie życia, a dopiero, skoro to sobie zabezpieczy, myśli o wygodach, przyjemności, bezpieczeństwie, nauce. A zkąd to mamy utrzymanie życia? z ziemi, z roli. Z niej jemy w pracach po wszystkie dni żywota naszego; w pocie oblicza naszego pożywamy chleb, aż się wrócim do ziemi, z której jesteśmy wzięci. Z pracy więc koło roli utrzymujemy życie. Wszystkie przeto stany wyprzedził stan rolniczy, od niego wszystkie inne pochodzą.

Jakie zatem są jego obowiązki?

Chociaż ten stan najwięcej ma trudów i mozołów, bo ziemia według wyroku Bożego ciernie i osty rodzić nam będzie i w pocie oblicza chleb pożywać nam przychodzi; mamy jed-

nak Bogu dziękować za tę łaskę, że nas do tego stanu powołać raczył, że obsypuje nas codziennie swem widocznem błogosławieństwem, że z Jego ręki wszystkie dary odbieramy. A przeto cenić mamy wysoko ten stan najpierwszy i najpotrzebniejszy.

Lecz nic nie możemy umieć bez nauki, a stan rolniczy wiele nauki wymaga i doświadczenia. Dla tego uczyć się ma rolnik codziennie, i co chwila, aż do grobowej deski. Nie mów: tak mój ojciec robił, i było dobrze. Nie jedno teraz jest lepsze, a więc się tego ucz i doświadczaj, a co twój ojciec dobrze robił to zostaw, i tak samo rób. Ale nie bądź uprzedzony, bo młodsza głowa może więcej umieć od siwizny.

Korzystaj głównie z czasu, podziel dni i godziny, nie odkładaj pracy na jutro, ale kiedy możesz, to zaraz rób, bo jutro to nie twoje. Zawczasu zrób wszystko, a pozostanie ci jeszcze dosyć czasu i do wytchnienia i do zabawy.

Jeżeli jesteś gospodarzem, to pamiętaj, że nie ten dobry gospodarz, co sam ciągle rękoma pracuje, ale tylko ten, co wszędzie go pełno i całego gospodarstwa dojrzy, bo oko pańskie konia tuczy, a czego nie dojrzysz okiem, to dołożysz workiem.

Najpierw zrób to, co jest ci koniecznem, bez czego na żaden sposób obejść się nie możesz, potem dopiero to, co ci jest potrzebnem, a nakoniec, co przyjemnem. Podobnie sobie postępuj z kupowaniem, najpierw kup sobie to, bez czego obejść się nie możesz a potem, jeżeli pieniądze ci wystarczą to, co ci jest potrzebnem, a nakoniec jeżli masz za wiele pieniędzy, to co ci przyjemność sprawi.

A strzeż się bracie, kłótni, procesów, gniewu, zazdrości, pijaństwa, i krzywdy ludzkiej.

Bo słuchaj co mówią starzy, a mądrze mówią:

Grosz jeden ukrzywdzony wyciągnie ci z kieszeni dziesięć poczciwie zapracowanych.

Lepsza słomiana zgoda, a niżeli złoty proces. Dla zgody nieraz trzeba być głuchym i ślepym.

Nie odwlekaj roboty, bo tego zawsze pożałujesz.

Próżniactwa i boskiej obrazy.
Unikaj jako zarazy.

Swego nie marnuj, cudzego nie pragnij.

Lepiej jest krzywdę ponosić, jak czynić.

Wstrzemięźliwość daje zdrowie, a czyste sumienie spokojność.

Na te rady starszych pamiętaj zawsze i wszędzie, naucz się ich na pamięć, a będzie ci z tem dobrze.

A nakoniec ze zwierzętami obchodź się po ludzku, nie męcz ich bez potrzeby, bo i one są stworzeniami boskiemi danemi tobie ku pomocy i ulżeniu w pracy, ale nie na to, abyś się nad niemi pastwił. Miej litość nad niemi i wtenczas, gdy je zabijasz na swój pożytek, ukróć im bolu o ile tylko możesz; bo człowiek bez litości to potwór prawdziwy. A wtenczas, kiedy i nad najdrobniejszym robaczkiem litość mieć będziesz, to i Pan Bóg nad tobą się ulituje, i pobłogosławi tobie w pracy i w dobytku, w polu i ogrodzie, na dzieciach i wnukach rozlicznych. Bo kto nie ma litości, ten nie ma i Boga.

Szk. N.

RÓŻNOŚCI.

***Jaszczółd**, stary ułan.* Czytaliście przeszłego roku w Dzwonku strona 144, że ułan polski podporucznik Jaszczółd niezmiernie był odważnym. Dziś opowiem wam zdarzenie, z którego poznacie, że prawdziwie takim był, jak go tam opisano.

Było to wieczorem, więc wybrał się z przyjacielem swoim, który był trębaczem, na zwyczajną sobie pohulankę do szynku w mieście Stanisławowie. Tam doskonale sobie podpiwszy, ledwo za miasto na wzgórek pod wiatrak zajechali, zaczęło im w głowach okrutnie szumieć, a że i oczy się klejiły więc uwiązali konie u śmigi i pokładli się spać na trawie. Gdy nazajutrz promienie słońca przerwały sen naszych wiarusów, zerwał się Jaszczółd, a ziewając i rozciągając ręce, łamał sobie głowę, jak i po co zajechał na tę górkę pod wiatrak.

Kiedy się tak przeciąga i medytuje, zawołał na niego trębacz ledwo co obudzony a jeszcze na trawie siedzący:

— Patrzajno bracie! ot ta

prawo z daleka, to pono nie nasi, Jakiś tęgi oddział konnicy prosto na miasto maszeruje. Trzeba bodaj zmykać. I zerwawszy się z miejsca, poskoczył do konia, chcąc rychło wykonać co doradzał.

— Głupiś, odpowiedzial Jaszczółd, siadaj na konia, i ja tak zrobię, ale nie po to, aby uciekać. A dosiadłszy konia i wywijając lancą, że się biała z czerwonem chorągiewka pod słońce migała zawołał:

— Zatrąb do ataku!

— Czyś oszalał? odparł trębacz, nas dwóch, a tam więcej jak szwadron przed nami.

— Trąb, mówię ci, jeżeli nie chcesz, żebym cię zwalił na odlew. A czy nie widzisz, jaka nam pomoc na lewo pod górą idzie?

— Co za pomoc? rzekł trębacz, spojrzawszy pod rękę na dolinę, to gromada owiec.

— Tak, ale nieprzyjaciele jej nie widzą, ale co oni widzą, to tęgą kurzawę, którą barany maszerując wzbijają. Trąb, mówię ci, do ataku, potem puścimy się z kopyta do tych owiec, niby to do komendy naszej, a zobaczysz co z tego będzie. Trębacz rad nie rad zatrąbił. Jaszczółd spojrzał na prawo za górę.

— A co? widzisz? oddział nieprzyjacielski stanął w miejscu. Trąb jeszcze! A widzisz, oni myślą, że za tym kurzem nie barany ale cały nasz pułk ułanów. O patrzajno co oni robią, prawo w tył i w nogi, aż się za nimi kurzy. Myślałbyś że to druga gromada owiec. Teraz naprzód! marsz! a trąb co możesz.

I ruszyli oba pędem z góry do miasta, z którego wyszli mieszkańcy i gromadzili się przed karczmą na trakcie stojącą, wyglądając przedniej straży, z której dwóch ułanów przy odgłosie wojennej trąbki czwałem ku nim pędziło. A krzyczą wszyscy: Idą ułani, idą! Ten okrzyk przeraża siedmiu żołnierzy na czatach przy karczmie stojących; trębacz trąbi, ci coraz bardziej truchleją, oglądając się za pułkiem, który miał ciągnąć za nimi. Dalej więc w nogi, rzucają broń, kryją się jak mogą po chałupach i w karczmie. Jaszczółd przypada zdyszany aby wybadać czy nie ma nieprzyjaciela w mieście, i aby mógł ujść pojmania i wrócić do swoich, gdyby tak było. Aż tu powiadają, że nieprzyjaciel jest, ale bez broni i ukryty w chałupach. Przed takim nieprzyjacielem nie potrzeba uciekać.

— A gdzie oni są? wrzeszczy Jaszczółd. Wydać mi ich wszystkich bo to są jeńcy wojenni i dodać mi pomoc z chłopów, abym ich do mojej komendy odprowadził.

Jak rzekł, tak się stało, i Jaszczółd bez strzału, bez cięcia pałaszem, tylko za pomocą trąbki kolegi swego siedmiu jeńców zabrał i cały szwadron w pochodzie zatrzymał.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 6.

21. Lutego. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Sobieski, król Polski.

II. Odsiecz Wiednia.

Nie skończyły się kłopoty z Turkiem na Trębowelskiej obronie, bo już tak się był wszył ten poganin w Podole i Ukrainę, że trudno go było za jednym zamachem wypędzić, a jak przyszło się bić, to krok za krokiem i na upartego. Więc i po swej koronacji uganiał się król Sobieski z Turkiem, ale mu nie wiele zrobił, bo koniec końców część Podola i Ukrainy zostały pod jego panowaniem. A trzeba wiedzieć, że Turcy mieli w on czas wielkie w świecie panowanie, i że ich była taka moc jak mrówek w mrowisku, więc się ono pogaństwo rozłaziło i zdobywało obce narody. I szczególnej łasce boskiej a odwadze i męztwu polskiego rycerstwa przypisać to należy, że naszej Ziemi całej nie zalali, a jeno od granicy co mogli to udarli, bo innych Słowian południowych i Węgrów het zawojowali, a nawet z wielką siłą szli dalej ku zachodowi na Niemców nieboraków.

A działo się to w roku 1683, kiedy nieprzeliczona ćma Turków wpadła do niemieckich krajów, i słaby znajdując opór, stanęła pod samym Wiedniem. Strach wielki padł na Niemców, wszystko uciekało jak od morowej zarazy, a sam nawet Cesarz niemiecki Leopold wziął nogi za pas, nie zostawiwszy w stolicy nad szesnaście tysięcy wojska, co nie było jak na jeden ząb dla tureckiej czarniawy. Turcy przez dwa miesiące biją już z armat do miasta, dziurawią mury i zapalają domy, a Niemcy nieboraki rozesławszy o pomoc do sąsiadów na śmierć się już gotują, taki strach ogarnął cały Wiedeń.

Zaszły i do króla Sobieskiego posłuchy o tem. A oto pewnego razu, gdy sobie szedł w Krakowie na mszę świętą, zastąpili mu drogę dwaj ludzie upadłszy na kolana. Byli to dwaj posłowie: jeden od niemieckiego Cesarza, a drugi od Ojca św.

Król Sobieski nachylił się ku nim łaskawie, pytając czego by żądali, a poseł cesarski zawoła na to:

— Ratuj Wiedeń Najjaśniejszy królu!

— I Chrześcijaństwo ratuj — dodał poseł papiezki.

Poruszyło się szlachetne serce w naszym królu na te ich prożby pokorne, więc nie odwlekając jął zaraz zbierać wojsko, jedno pod Lwów dla obrony własnych granic, a drugie pod Kraków, ażeby z nim zaraz na pomoc Niemcom wyruszyć. Sam Sobieski udał się na Jasną Górę, i tam krzyżem leżąc przed cudownym obrazem Marji Panny, oddał jej siebie i wojsko w opiekę, bacząc na to, że pomoc boska w dziełach ludzkich najwięcej waży. Toż potem pokrzepiony, siadłszy na konia, odezwał się wesoło do swoich.

— Proszę tylko pana Boga, abym zastał jeszcze Turczyna pod Wiedniem, a nie będzie w Polsce trudno o tureckie konie.

Więc z wielką ufnością i ochotą wyruszyło trzydzieści tysięcy rycerstwa polskiego za nim, ciągnąc ku Wiedniowi, który jest o sześćdziesiąt mil od Krakowa oddalony. Było to na schyłku lata, bo dnia 12 sierpnia.

Blisko miesiąc potem, bo dopiero 10 września, stanęło polskie rycerstwo pod lasem Wiedeń otaczającym. Tutaj udzielił naszym błogosławieństwo poseł ojca świętego, poczem przez dzień na-

stępny wypocząwszy, zaraz na trzecią noc jęli się szykować do bitwy. Innych byłaby tam może odwaga odeszła, jakoże Turków dziesięć razy większa była liczba, ale w naszych zamiast strachu rosło męztwo, bo mieli ufność w Bogu i w Pannie Najświętszej. Liczył też król Sobieski, że i Niemcom więcej sił przybędzie, skoro ujrzą że pomoc jest blisko.

Była to 3cia godzina po północy; król zajął ze swojemi hufcami jednę z gór okolicznych, zkąd oblężony Wiedeń łatwo było widać, i ztąd puścił trzy ogniste kule na znak, że jest do boju gotowy. Potem ustawiono co rychlej ołtarz polowy z bębnów, przy którym odprawiał mszę św. spowiednik królewski, a sam król leżał krzyżem podczas nabożeństwa.

Rozwidniło się było tymczasem zupełnie, i nasi ujrzeli dopiero całą czarniawę pogaństwa na około miasta rozłożoną. Więc król siadł na swego konia, co go zwał *Pałaszem*, a przywoławszy jednego ze swoich poruczników, ukazał palcem w pewną stronę nieprzyjacielskiego obozu, i pyta:

— Widzisz waść tę kupkę Turków? —

— Widzę, miłościwy Panie — odparł porucznik.

A nato król:

— Otóż tam stoi najstarszy wódz Turków, ich *Wezyr;* skocz tam waść ze swoimi ludźmi i uderz ostro w ten namiot.

Porucznik skoczył duchem do swoich ludzi, a nastawiwszy kopie ruszył z nimi z kopyta we wskazane miejsce. Turcy widząc małą garstkę rzucili się na naszych. I powstała wielka wrzawa i kurz tak wielki, że nikogo widać nie było; tylko raz po raz polska chorągiew z białym orłem błyskała nad głowami naszych. Wtedy król dobył drzewa krzyża świętego i tem żegnał z daleka dzielnych mówiąc:

— Boże Abrahamów, Izaków, Jakubów zmiłuj się nad ludem Twoim. — I widać było na razie opiekę Bożą nad naszymi, bo w pół godziny wrócił ów porucznik, straciwszy tylko kilkunastu ze swoich, a narobił między Turkami bigosu co niemiara.

W imię Boże więc rozpoczął się bój całą siłę. Uporczywie i mężnie bronili się Turcy, ale im to nie wiele pomogło. Z jednej strony nasi z walecznym królem na czele dojeżdżali im do żywego, a z tyłu znów Niemcy widząc że nasi mężnie

stawają, jęli się wyprawiać za mury tłukąc co wlazło tylko pod rękę. Całe jedenaście godzin trwała ta uporczywa bitwa; ważyło się na obie strony, aż ci w końcu Turcy tył podali; 40 tysięcy legło na miejscu, bardzo wiele potopiono w rzece *Dunaju*, który popod Wiedeń płynie, reszta rozleciała się na cztery wiatry, zostawiwszy dużo jeńców w rękach zwycięzców. I otóż tego samego dnia wieczór rozłożyło się polskie wojsko w tureckim obozie, a sam król nocował pod namiotem tureckiego wezyra. Nie potrzeba i wspominać, jaka była radość nazajutrz między Niemcami nieborakami, skoro ujrzeli, że już nie ma pogan pod murami miasta; przedniejsi ich jenerałowie i książęta zeszli się do królewskiego namiotu, i tam całując ręce naszego Sobieskiego sławili jego serce szlachetne i męztwo dzielnych Polaków. A była też i naszym radość nie mała, jużto z chwały że wroga zwyciężyli, jużto z bogactw, jakie w obozie tureckim znaleźli. Było tam złota i kosztowności co nie miara, a były też różne specjały do jedzenia i pachnidła, jako że z wielkiemi wygodami wyprawiali się Turcy na wojnę.

Król Sobieski z radością przyjmował podziękowania i pokłony Niemców, ale sam jak zawsze zaszedł myślą do Boga bacząc, że Jemu się największa podzięka należy, więc że to był właśnie dzień niedzielny, siadł na koń i wraz z innymi panami pojechał do miasta na nabożeństwo. Witały go tu wielkie okrzyki ludu i wielkie tłumy towarzyszyły mu aż do kościoła św. Szczepana, kędy krzyżem leżąc mszy świętej wysłuchał.

Nie było jeszcze tylko samego cesarza niemieckiego, bo to pan pyszny, dopiero trzeciego dnia przyjechał a i to się wprzód naradzał, czy ma naszego króla witać i dziękować, czy nie. Zrzucił wreszcie pychę z serca i zjechał się konno z naszym Sobieskim na polu pod Wiedniem. Tu jakoże niby starszy nie chciał cesarz zdjąć pierwszy kapelusza przed królem; Sobieski też hardy za swoją grzeczność czapki zdejmować nie myślał, a widząc tak cesarza zafrasowanego uśmiechnął się i podniósł rękę, by podkręcić sumiastego wąsa. Cesarzowi się zdało, że król chce czapkę zdejmować, i zerwał czemprędzej swój kapelusz z głowy, co też ujrzawszy Sobieski ukłonem ukłon odpłacił. Śmieszna to rzecz, kto przed kim ma czapkę zdejmować, a oto przecie wi-

dno już i w tem, jaka była niewdzięczność niemiecka ku Polakom, za tak rozliczne ku ich dobru poniesione trudy a nawet krew przelaną.

Wielkie miało znaczenie w świecie to świetne zwycięztwo Sobieskiego nad Turkami. Kto wie, gdyby nie pomoc polska, toby dziś Niemcy a może i inne narody nie mogły żyć w świętej wierze chrześcijańskiej; możeby na ich kościołach zamiast krzyżów rogate księżyce były pozatykane; możeby ich córki i żony musiały dziś Turkom za podłe nałożnice służyć. Polacy przyczynili się najwięcej do odwrócenia tej wielkiej klęski od świata, ale zwykłym trybem nie doczekali się wdzięczności, lecz niewdzięczność musieli przyjąć w zamianę! —

Uczcie się, bracia rolnicy!

Uczcie się, bracia, starzy i młodzi,
Bo przy nauce łatwiej przychodzi
Wszelka myśl piękna i świeża,
I łatwiej pojąć słowa pacierza,
I łatwiej poznać dobro bliźniego
Wedle przykazu idąc bożego,
Snadniej czuć miłość własnej ziemicy;
A więc się uczcie, bracia rolnicy!

Uczcie się, bracia, jako w swej wierze
Żyć po bożemu, dobrze a szczerze,
W jakich się cnotach utrwalać trzeba,
By się tem pewniej dostać do nieba;
Jakiemi grzechy trzeba się brzydzić,
I jak podłości trzeba się wstydzić;
By na sąd boży stać po prawicy:
Tego się uczcie, bracia rolnicy!

Uczcie się, bracia, jak z dobrą wolą
Człek wiele może, trudniąc się rolą,
Kiedy nietylko myśli o sobie,
Lecz i o innych: czy to w chorobie,

Czyli to w nędzy, w ciężkiej niedoli,
Albo o ziomkach swoich w niewoli,
Których pognali w plen najezdnicy;
Uczcie się, myślcie, bracia rolnicy!

Uczcie się także, by wasza gleba
Wydała zawsze taki kęs chleba,
By też i innym można zostawić;
Ale ją trzeba mądrze uprawić,
Nie gardząc książką i dobrą radą,
Którą wam w umysł i w serca kładą
Uczeńsi bracia, wasi sternicy:
Uczcie się, wierzcie, bracia rolnicy!

Uczcie się, bracia, jak ma być wszędzie
Ład i porządek, bo gdy tak będzie,
Za ładem prędzej przyjdzie dostatek
Do waszych wiejskich domów i chatek;
Obejście będzie schludniej trzymane,
I staną ściany powybielane,
I pełne brogi złotej pszenicy:
A więc się uczcie, bracia rolnicy!

Uczcie się, bracia, jak na tej ziemi,
Wciąż uprawianej dłońmi waszemi,
Było przed laty, za dawnych czasów;
Jakich to ona z wrogiem zapasów
Wciąż doznawała, i z jakiem męztwem
Nie jednem wielkiem świeci zwycięztwem,
Póki wzywano Bogarodzicy:
Tego się uczcie, bracia rolnicy!

Uczcie się, bracia, jak mądrze radzić,
A tak serdecznie, by się nie wadzić,
Lecz dobro wspólne mieć przed oczyma;
Serce też wasze niech z tymi trzyma,
Co dobrze radzą gminie, krajowi,
Co też nie krzywi są kościołowi,
A stoją w cnotach jako w zbroicy:
Tego się uczcie, bracia rolnicy!

Uczcie się, bracia, by przykre swary
Znikły na zawsze jak senne mary;
Wtenczas ojczyzna znów będzie świetną;
A kto ma tylko duszę szlachetną,

Będzie szlachcicem — prawym i czystym,
I będzie poczczon w kraju ojczystym,
Czy to w kontuszu. czy to w górnicy:
Tylko się uczcie, bracia rolnicy!

Uczcie się, bracia, tego wszystkiego,
Co nam z przykazu trzeba bożego
Wiedzieć i wierzyć, czynić obficie,
Żyć jak mąż dzielnie, a jako dziecię
Niewinnie, zgodnie, pięknie, miłośnie;
Bo z tego w kraju szczęście urośnie;
I Bóg do niebios wpuści świetlicy:
A więc się uczcie, bracia rolnicy!

X. S. G.

Zbrodnia i pokuta.

Dużo już odtąd upłynęło czasu, jak w Przyłbicach żyli brat i siostra, Jan i Marysia, rodzeństwo po zmarłym Wojciechu Giełyszu.

Oboje sieroty, bo w dzieciństwie jeszcze odumarła ich matka, a ojciec nie doczekawszy się także tej pociechy, aby obaczyć syna żonatego, a córkę zamężną, poszli do grobu na kilka tygodni przed chwilą, od której wam to zaczynam opowiadać. Jan Giełysz, walny parobek, objął wedle woli ojca spore gospodarstwo, opiekował się młodszą siostrą, i miał ją potem, gdyby się uczciwy znalazł parobczak, wydać za mąż, i połowę ojcowizny odstąpić. I nie ma co mówić, wypełniał Jan święcie ostatnią wolę ojca: siostry strzegł gdyby własnego oka w głowie i sam był trzeźwy i gospodarny, jak się należy.

Marysia kończyła już tedy lat osiemnaście, a że była składną i udatną, toż i siła chłopców miało się do niej. A między innymi przypytywał się też do niej Wasyl Kuźma, co niedawno przyszedł z wojska na urlop do domu, a był sobie pijanica i próżniaczysko nielada. Ale ponieważ w świecie nabrał trochę obrotu i jak to mówią był kręty i cięty jak ostra siekiera, a kuty bity na dwa boki, to też jakoś najbardziej dziewusze za-

wrócił głowę, i ona jemu w cale nie była krzywa. Tymczasem brat jej jakoś w żadnym parobczaku, a już co najmniej w Wasylu, nie mógł sobie dobrego upatrzyć szwagra.

Bywało nieraz, gdy oboje w chacie zasiędą to brat się do siostry odezwie:

— Czego ty mi zawsze taka markotna Marysiu? Czy już ci się uprzykrzyło siedzieć w chacie razem z bratem, czy radabyś może, abym cię już wydał za mąż?

A Marysia spuściwszy oczy w dół, bawi się zapaską i cedzi przez zęby, że jej nic nie brakuje, ale można było poznać po minie, że jej coś cięży na sercu.

— Ej, nie udawaj Marysiu, nie udawaj — odrzecze jej brat — bo ja wiem dobrze, że tobie Wasyl zakręcił całkiem głowę. Ale jakem twój brat starszy i opiekun, to nigdy ciebie za niego nie wydam, bo bym ściągnął na siebie przekleństwo rodziców. Jakim by on był mężem dla ciebie Marysiu, kiedy on się do własnego ojca bić zabiera a rodzonej matce dobrego słowa nie da, i całe dnie i noce w karczmie przesiaduje? Poczekaj jeszcze chwilę Marysiu, jest przecie porządnych parobczaków dosyć, a ja ci pewnie przeciw twojej woli męża nie narzucę, i krzywdy twojej części nie zrobię, jeżeli jeszcze dobytku nie przysporzę.

I Marysia przystała niby na wszystko, podała wieczerzę i przez parę dni była znowu weselszą. Kilka niedziel upłynęło potem, a było to już po żniwach, wybrał się Jan do miasteczka na jarmark bo chciał sobie kupić jeszcze jedną krowinę, i niektóre mniejsze sprawunki załatwić, Marysia sama została w domu. I otóż przyszedł do niej Wasyl, i przyniósł ze sobą flaszkę słodkiej wódki, i przysiadłszy się blisko Marysi zaczął ją częstować i przechwalać się, że on ją bardzo miłuje, i że bez niej prawie żyć nie może.

— Oj, jakież smutne to nasze życie — biedował Wasyl — że my się pobrać nie możemy! I na cóż twoja uroda i na co twoje wiano jeśli się wydać nie możesz, jeśli nie możesz sama dla siebie gospodynią zostać.

— Ha, no i cóż ja temu poradzę — rzeknie Marysia —

kiedy nieboszczyk tatuś wyraźnie mnie bratu pod opiekę dali, toż muszę go słuchać.

— A cóż, on się sprzeciwia?

— Jużci nie chce, żebym za ciebie poszła.

A Wasyl przytulił się w tej chwili jeszcze bliżej do Marysi i spojrzawszy jej w oczy rzeknie:

— Cóż, a bez brata nie możesz ty pójść za mnie? Toć przecie własna wola więcej znaczy.

— I na cóżby się to zdało, choćbym i poszła — powie na to Marysia — kiedy mi brat gospodarstwa nie da, i nie będziemy mieli gdzie siedzieć.

Wasyl przepił znów słodkiej wódki do Marysi, ona się wzbraniała, ale wzięła podany kieliszek, a potem przytulił się jeszcze bliżej do niej a spojrzawszy jeszcze dziwniej, nieprzymierzając jak on czart kusiciel, rzeknie:

— A jakby brata nie stało?

Marysię przebiegł na te słowa jakiś dreszcz po kościach; radaby była uciec, ale nie mogła, więc spuściła oczy i nic nie odpowiedziała.

— On nam i tak już dużo bruździ! — zawołał Wasyl — Ciebie wyda za jakiego starego niedołęgę, albo cię obedrze z posagu, więc trzeba go..... — i nie dokończył, tylko machnął ręką.

I od tej chwili szatan zbrodni opanował ich serca. Słowo za słowem, choć Marysia mało nie zemdlała, uradzili w końcu, żeby brata Janka sprzątnąć z tego świata, bo on im do szczęścia przeszkadza. A wtedy Wasyl, co znać już przedtem myślał o zbrodni, wyjął z zanadrza jakiś proszek w papierku, i zostawił go Marysi, ażeby bratu do strawy nasypała, i tak go otruła!

Stało się; oboje w zbrodni widzieli swoje szczęście, więc przytłumili na chwilę głos sumienia krzyczący: Nie zabijaj!

Wieczorem powrócił brat z jarmarku, i przyniósł siostrze przepiękną chustkę, śliczne wstążki, i dwa sznurki korali, — a ona patrzcie! ona opętana od złego ducha podała mu za to otrutą strawę na wieczerzę!...

I stało się, iż na drugi dzień Jan Giełysz śród ciężkich boleści młode życie zakończył.

Marysia przed ludźmi strasznie zawodziła, i rozpowiadała przed ludźmi, że ktoś jej brata urzekł, i byli tacy co uwierzyli i nad nią się litowali. A gdy pochowano brata, to siostra chcąc przed ludźmi swoją żałość okazać, postawiła mu kamienny krzyż na grobie, i myślała że nic już nie stoi na zawadzie, aby się połączyć z wspólnikiem zbrodni, z Wasylem.

Aleć niedziela za niedzielą upływały od śmierci Janka, a Wasyl jakoś ani razu nie pokazał się do Marysi; więc ona siedziała sama w chałupie, i tak jej było jakoś wstydno, markotno i ciężko na sercu, że nie umiała się między ludźmi pokazać.

Aż jednego razu siadła sobie na przyzbie pod chatą i płacze, a Wasyl przechodził drogą i ani się na nią nie popatrzył. Więc wybiegła na przeciw niemu, i płacząc mówi:

— A czemuż unikasz mnie jak upiora, a czemuż nie wstąpisz choć za próg mojej chaty?

A on odtrąciwszy ją od siebie, odrzeknie ponuro:

— Strułaś brata rodzonego, strułabyś ty i mnie młodego — i poszedł sobie dalej.

A wtedy Marysi mało serce nie pękło od wielkiej żałości.

Mijały znowu niedziela za niedzielą, i w jakiś czas potem wrócił do wsi Antek Hryciak, co był przed dwoma laty poszedł do Przemyśla na służbę, szukając lekkiego chleba. Jakoś nie wiele tam się dosłużył, bo przyszedł prawda trochę z miejska ubrany, ale w kieszeni zaledwie parę miał dudków. Ale Antek umiał tak jakoś ludziom zamydlić oczy, a osobliwie Marysi, że ta go wnet do siebie na grunt przyjęła, i tak oboje siedzieli na wiarę, gdyż Antek odciągał się czegoś od ślubu. Wasyla nie było już natenczas we wsi, bo z urlopu powołali go znowu do wojska.

Antek jako próżniak i darmojad nie długo popasał na gruncie. Zapachło mu znowu miasto i miejskie wygody więc zaczął namawiać Marysię, żeby ojcowiznę przedała i poszła z nim do miasta, a tam na przedmieściu kupią sobie jaką chałupinkę z ogrodem, i tam się pobierą i wezmą się do zarobku, i będzie im dobrze, a ludzie nie będą im w oczy ćwirkać jak tutaj.

Marysia posłuchała rady Antka, przedała grunt, chałupę i

dobytek, i poszła z próżniakiem do miasta. Myślała ona, że oddaliwszy się od tego miejsca, gdzie taką zbrodnię popełniła, od ludzi, którzy ją znali, ucieknie także przed własnem sumieniem, które ją coraz więcej dręczyć poczynało.

I przepadła gdzieś Marysia z Antkiem, jakby kamień w wodę rzucił, i przez lat dziesięć nie było o nich ni słychu ni dychu. Grunt Giełyszów orał obcy człowiek, w Giełyszowej chacie obca matka piastowała dzieci, a grób młodego Jana dziesięć razy się zielenił, i dziesięć razy leżał na nim śnieg biały. Sam krzyż kamienny pleśń osiadła i burza go poukruszała, a nawet ludzie zaczęli powoli zapominać o Marysi i o Antku, tak nikt o nich nie wiedział.

Ażci po dziesięciu latach przyszła do wsi jakaś obdarta kobieta, prowadząc dwoje dzieci za ręce. Nikt zrazu nie mógł ją poznać, bo nieznajoma zakrywała sobie oczy chustką, i aż później dowiedziano się, że to była owa Marysia, co przed dziesięcioma laty wieś rodzinną z Antkiem porzuciła. Zniknęła uroda i zniknęło mienie; żółta była jak wosk a sucha jak szczypka. Każdy poznawszy ją uciekał do chaty jak przed zarazą, bo chodziły głuche wieści, że to bratobójczyni, a Marysia poszła na cmentarz, i tam na grobie brata całą noc płakała. Na drugi dzień znalazł ją tam grobarz, pobiegł z tą nowiną do księdza, a ksiądz poszedł sam do Marysi, i przyprowadził ją na probostwo, radując się serdecznie, że będzie mógł jedną straconą owieczkę nazad Chrystusowi powrócić.

Od tego czasu zostawała Marysia koło probostwa i usługiwała co mogła swemu dobrodziejowi. Rano podczas służby Bożej siedziała zawsze pod cerkwią, a ludzie rzucali jej jałmużnę; jeżeli kto we wsi umarł, to posyłali po Marysię, a ona jako babka kościelna umywała umarłego, i siedziała potem przy nim, wieczór zaś chodziła zawsze na grób brata, i tam płacząc długo się modliła. Pielęgnowała też i swoje dzieci kaleki nieszczęśliwe i wybiedzone, ale w rok jakoś zmiłował się pan Bóg nad nią bo zabrał jej te dziecięta do chwały swojej, i umniejszył przezto codziennych trosków.

Coraz widoczniej spływała na Marysię łaska Boża, bo doczekała późnej starości, a mając już lat siedemdziesiąt pełniła

jeszcze usługi babki kościelnej, a nikt ją inaczej nie nazywał jeno starą Marysią.

Nareszcie jednego dnia Marysia zaniemogła. Ksiądz dowiedziawszy się o tem, wyspowiadał ją i posilił na drogę wieczności. W nocy po przyjęciu śś. sakramentów przyśnił się jej brat dziwnie uśmiechnięty i wesoły na twarzy, więc na drugi dzień zaprosiła do siebie Marysia starszych gromady i tak się odezwie.

— W młodości mojej popełniłam bratobójstwo i pan Bóg mnie za to ciężko ukarał. Czylim już odpokutowała za moją zbrodnię, Pan Bóg mnie po śmierci sądzić będzie. A oto z jałmużny mojej uzbierałam sobie trochę pieniędzy więc je wam oddaję, abyście niemi wyposażyli dwoje sierot, które się z sobą pobrać zechcą.

I tu Marysia wyjęła z pod poduszki spory woreczek, oddała go wójtowi, a sama wkrótce życie zakończyła. Pochowano ją koło brata, a potem przeliczono pieniędze, których było niespełna dwieście reńskich.

W rok po śmierci Marysi zauważali ludzie, że Kasia i Jędruch, oboje sieroty, co służyli pracowicie i wiernie u dwóch gospodarzy, mile jakoś spoglądali na siebie, ale nie mając własnej chaty, nie mogli się pobrać ze sobą. Więc widząc to gromada, wystawiła za Marysine pieniądze piękną chałupę, kupiła do tego kawałek gruntu i coś chudoby, a potem połączyła Kasię z Jędruchem przez małżeństwo, i nadała im tę nową zagrodę na własność.

Teraz jeszcze żyje w Przyłbicach Jędruch Biszko, dziś już zamożny gospodarz, ze swoją żoną i dwojgiem dzieci w świętej zgodzie trzeźwości i poszanowaniu u ludzi. Otóż ci Biszkowie skoro przyjdzie lato chodzą często razem z dziećmi na cmentarz, a w zimie w chacie modlą się za duszę Jana i Marysi, i co roku w dzień śmierci dają na mszę do cerkwi za duszę brata i siostry, co teraz wedle siebie w grobie spoczywają.

Jacenty z Magierowa.

Rady gospodarskie.

Zalety konia.

Dobry i piękny koń powinien być wzrostu średniego, nie za wysoki, ani za ciężki, jak konie meklemburgskie; ale też nie za mały. Niech miarę trzyma, lub ma jeden, albo i dwa cale więcej, to dostateczna. Nàsze konie polskie dla nas najlepsze, byle tylko wyrosły. Żeby zaś koń zupełnie wyrósł, nie trzeba go zarychło zaprzągać, ale niech swobodnie i wolno żyje przynajmniej do trzech lat skończonych. Potem go zwolna zaprzągaj do jazdy lekkiej i niedalekiej; ale nie do ciężaru. Po czterech latach masz wyrosłego, zdrowego i dobrego konia.

Ale wy najczęściej zaprzągacie konia już w drugim roku. To żebrak, nie koń; łatwo się wam zerwie, i nigdy nie wyrośnie; dla tego macie małe, słabe i chorowite konie; a przez to i w roli źle robicie, i lichy sprzęt macie, i bieda oczywista do domu wchodzi. Nie zaprzągajcie odtąd nigdy konia przed skończonym trzecim rokiem, a będzie wam lepiej.

Dobry i piękny koń ma krzyż długi i okrągły, piersi szerokie, wypukłe, kark wyniosły. Ucho powinno być ostre, głowa mała, oko pełne, czoło szerokie, nozdrza rozwarte, kolano suche, pęcina gładka i krótka, kopyto płaskie, grzywa miękka, szeroka i gęsta. Na odsadę także pilnie uważaj, i czy na ogonie włos jest cieńki. Sierść cała powinna być lśknięca. Jakiej zaś sierść jest maści, to jest rzeczą obojętną; bo każda maść jest dobra, byle tylko koń miał te zalety, któreśmy wam podali. Lecz znawcy uważają, że maść kara jest najtrwalsza, a gniada lub skarogniada najpiękniejsza. Długo poszukiwano mocno siwków, i nieraz ję przepłacano, bo miano w nich upodobanie; ale i to upodobanie jest zmienne, i przeminie. Wielu nawet mniema, że konie siwe i bułane są słabe i nietrwałe. Dla tego też nie zważajcie bardzo na maść konia, tylko na jego przymioty, a na tem nigdy źle nie wyjdziecie.

O kuciu konia.

Zwykłe bywają teraz wielkie ślizgawice, i jeżeli koń nie jest ostrokuty, łatwo się rozbić może. Dla tego zimą podkowa

bardzo często koniowi koniecznie potrzebna. Ale i latem nieraz się koń bez podkowy na żaden sposób obyć nie może, zwłaszcza gdy chodzi na twardych kamienistych drogach, albo na żwirówce, co wy murowanym gościńcem zwykle zowiecie. A przytem dobra podkowa nieraz już złe kopyto naprawiła. Dla tego też dobry gospodarz powinien się znać na kuciu konia, i jaka podkowa być powinna.

Dobra podkowa ma być lekka, i tak przybita, aby koń nie potrzebował stawiać nogi przeciwko swemu zwyczajowi. Ztąd to kowal powinien najpierw dobrze kopyto zmierzyć, i podług miary zrobić podkowę. A nim ją przybije, powinien róg zestrugać ku pięcie tak, ażeby kopyto z podkową było w tym samym kierunku, w jakim kopyto było z ziemią, gdy koń bosą nogą stąpał. Podkowa powinna zupełnie przystawać do krawędzi ścian kopyta. Płaskie jej strony mają być gładkie i równe, a dziurki do gwoździ mają być nie za nadto daleko od krawędzi kopyta, aby konia nie zagwoździć. Przytem na to trzeba uważać, żeby podkowa opierała się tylko na ścianie rogowej kopyta, i ażeby wewnętrznie podeszwy nie ścisnęła; powinno tam więc zawsze pozostać cokolwiek wolnego miejsca.

Jak długa ma być podkowa? — Zwykle z ocelami powinna być o pół cala dłuższa od kopyta, bo kopyto rośnie, i pociąga tem samem podkowę ku przodkowi. Ocele zaś niech będą jednakowo wysokie i grube, bo inaczej koń będzie krzywo nadeptywał.

A strzeżcie się, moi bracia, przypalania kopyta, bo przez to zupełnie je zepsujecie, i sobie potem wcale rady nie dacie. Nawet przy zrzynaniu kopyta bądźcie bardzo ostrożni; zestrużcie tylko to, co widocznie ma być zerzniętem; a nie tykajcie tego, co jest zdrowem i mocnem, bo przez to bardzo łatwo nogę uszkodzić możecie, że koń wam kuleć będzie.

Koń dobrze okuty sześć tygodni jedne i te same może mieć podkowy, chyba że wiele chodzi po żwirówkach i brukach, natenczas częściej go kuć potrzeba.

Nie żałujcie ani na dobrą podkowę, ani dobremu kowalowi, bo nie raz się zdarzało, że kto żałował na gwóźdź, przez to i konia utracił.

Odgrudzenie konia.

Często się teraz bardzo zdarza, zwłaszcza w tej porze roku, gdy gruda wielka, droga ostra, a koń wiele po takiej ostrej drodze chodzi, że się odgrudzi. Odgrudzenie niczem więcej nie jest, jak tylko zepsuciem spodu kopyta. Koń odgniecie sobie ów spód kopyta, i przez to kuleje, bo skoro na nogę odgrudzoną nastąpi, dolega go to miejsce odgniecione, a przez to prosto chodzić nie może. Zwykle koń na wszystkie cztery nogi naraz się odgrudzi; czasem tylko na jednę. Odgrudzenie łatwo po tem poznasz, iż gdy pod kopyto położysz rękę, uczujesz tam wielką gorączkę.

Skoro to spostrzeżesz, wprowadź natychmiast konia do wody, i trzymaj go tam tak długo, póki znów dobrze chodzić nie będzie. Jeżeli zaś tego nie możesz uczynić, to weź pół na pół wody i octu, maczaj w tem płaty, i obwiązuj niemi chore nogi. Jeżeliś choroby nie zaniedbał, to też niedługo chore nogi wyleczysz; później to się materja pod podeszwą zbierze. Natenczas płaty odrzuć, przerznij ostrym nożem w podeszwie to miejsce, gdzie się materja nagromadziła, aby ci całkiem wyleciała. Ranę zaś nakrapiaj olejem terpentynowym, i przykładaj maść pospolitą, która się w aptece maścią terpentynową nazywa.

Samo się rozumie, że jeżeli koń odgrudzony jest kuty, natychmiast podkowy mu oderwać potrzeba, bo by się inaczej nie wyleczył; i że wtenczas nie ma stać na twardej podłodze, ale na miękiej podściółce; aby chorej nogi urażać nie potrzebował.

Na twardej więc drodze uważajcie dobrze, czy wam się koń nie odgrudził, a wtenczas natychmiast zaradźcie złemu według wam tu danego przepisu, boć bardzo łatwo konia stracić, ale straconego powetować, to bardzo trudno, a niejednemu nawet już niepodobna. Baczność, pilność i zaradzenie w każdym przypadku, oto zalety gospodarza, bez nich gospodarz zginie. Uczcie się wszędzie i zawsze, bo tylko przez naukę możecie i w gospodarstwie i w dobytku daleko postąpić.

Kaszel bydła.

Podczas mrozu lub wilgotnego powietrza zdarza się to dosyć często, że bydlę się zaziębi, i dostanie kaszlu. Poznać łatwo można, że kaszel powstał z zaziębienia, bo krtań i kanał płu-

cowy jest zapalony. Na taki kaszel z zaziębienia radzę wam dawać bydlęciu co rano i wieczór napój z pół kwarty zwykłego piwa, do którego wmięszasz 2 łyżki miodu i łyżkę powideł bzowych.

To lekarstwo jest doświadczone, i wkrótce wam się bydlę nim wyleczy.

Lecz jeżeli kaszleć nie poprzestanie, i coraz bardziej, i częściej i mocniej kaszle, a jeżeli przytem bydlę chudnie, toć bracie mój na taki kaszel żadne lekarstwo już ci nie pomoże, bo płuca stwardły i wrzody się na nich porobiły. I dla tego lepiej takie bydlę zawczasu zabić nim schudnie, abyś większej szkody nie poniósł. Zawsze lepsza szkódka aniżeli szkoda.

Nzk. N.

RÓŻNOŚCI.

Powodzie. Pamiętny jest początek bieżącego miesiąca lutego, bo wielkie były w nim powodzie: to w Niemczech to na Węgrach, w Czechach, w Morawie, a wreszcie i u nas. W mieście *Wiedniu* wystąpiła płynąca tamtędy rzeka *Dunaj* tak szeroko, jak już dawno nie pamiętają. Telegrafy przerwało i koleje nie mogły dochodzić, a dwa wielkie przedmieścia zostały zupełnie wodą zalane. W jednej chwili porozrywało wszystkie drewniane domy, i widziałeś tylko dachy po wodzie pływające. Zginęło także coś ludzi przy tym nagłym wylewie, lecz ile, nie wiadomo: bardzo wiele osób zostało bez przytułku, liczą ich na kilka tysięcy. Z tych trzy tysiące co najuboższych utrzymuje miasto na swoim chlebie, pomieściwszy ich po kasarniach, gospodach i innych publicznych budynkach. Wielkie tam składki robią na tych nieszczęśliwych, z urzędu też wyznaczono dwieście tysięcy reńskich, ale taka tam ich jest liczba, że to ledwie na pierwsze potrzeby do życia wystarczy. Najstraszniejsze to jest, że przy ratowaniu tonących działo się bardzo dużo złodziejstwa i rabunków, oprócz tego, że ludzie kazali sobie dobrze płacić za wynajęcie łodzi lub większego statku. — Niezmierne szkody wyrządziła też nasza *Wisła*, na której także niespodzianie lody pękły, i porobiły gdzieniegdzie zatory, skąd woda w niektórych miejscach szeroko z koryta wystąpiła. Najstraszniejsze nieszczęście zrobił ten wylew w nadbrzeżnych wsiach obwodu Tarnowskiego, powyż *Radomyśla*, a poniżej *Szczucina*. Kilka wsi jakoto: *Maniów*, *Otałęż*, *Wola szczucińska*, *Lubasz* i inne są zupełnie zalane. A straszniejsza to powódź, niż choćby jak największa w lecie, bo domy są nietylko wodą zalane ale i lodem tak zawalone, że trudny jest bardzo przystęp do nich dla ludzi idących z ratunkiem. Huk przy pękaniu lodów na rzece taki był ogromny, że aż ziemia się trzęsła. Księża i panowie z okolicy zajmują się bardzo gorliwie ratunkiem nieszczęśliwych; posyłają chleb i inne pożywienie, zbierają też składki na zapomogę dla nich. Jeźli więc kto zechce się przyczynić do wspomożenia tych biednych naszych braci, to niech uzbiera co u sąsiadów i znajomych i napisawszy skąd i od kogo niech to odeszle na ręce księdza proboszcza w Szczucinie.

— „A co bliźniemu twemu uczynisz to jakbyś mnie samemu uczynił“ — powiedział pan Jezus.

Wydawca odpowiedzialny zą redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 7.

1. Marca. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Spalona karczma,

PODANIE.

Nie za górami, nie za lasami, ale w obwodzie sandeckim leży wieś Krościenko.

Ot, jak na górskie sioło, wygląda ono wcale pięknie i wesoło; a choć tam wiatry silniejsze, i śniegi gęściejsze, i drogi skaliste, i góry spadziste, i pola kamieniste, i łąki nie pasznioste, — to za to są góry wysokie aż pod obłoki, i lasy niezmierzone, zwierzem napełnione, i krynice gdyby łza czyste, a lud tęgi i rosły, gdyby jodły wieczyste, a radniejszy niż w okolicach równistych, ot zwyczajnie, jak we wszystkich stronach górzystych.

Idąc do tej wsi, bardzo cię zadziwi, że tuż wedle drogi leży sadzawka mętna, niby bagno jakie, a nad jej brzegiem leży kupa kamieni, snać dawno, bo zielskiem i chwastem obrosła. I staniesz nad tą sadzawką, i zaczniesz dumać, a z wody będą się odzywać żaby przeraźliwym głosem, i jakoś niechcący lęk cię ogarnie, i zapytasz się jakiego gazdy, co też tu stało na tem miejscu, gdzie teraz ta kupa kamieni leży, a on ci w krótkiej rozmowie następującą gadkę powie:

Dawno już temu, bo nikt we wsi tego nie pamięta, stała na tem miejscu karczma murowana, nito dwór jaki. I siedział w niéj jakiś arędarz, i na pięć mil na około nie było takiego dobrego napitku jak u niego, i nigdzie lepszej wiary i większej miary jak u niego, i nikt prędzej na lichwę nie pożyczył, jak arędarz, i nigdzie, jak to się różnie przydarza, nie było w żałości lepszej porady a w radości lepszej zabawy, jak w karczmie u arędarza.

Więc też nigdy, przenigdy karczma nie była pusta, bo każdy miał tam jakiś interes, a arędarz z jednym coś rozmawiał, drugiemu coś dawał, i kredą podwójne znaki na tabliczce zapisywał i zapisywał, a za każdą razą ręce wodą polewał i polewał.

I bywało, że nie jednemu czasu nie stało doglądnąć gospodarstwa, albo pójść na zarobek, bo musiał pójść do żyda na odrobek; drugiemu brakło często gęsto chleba dla dzieci, ale gdy potrzeba było zanieść coś do karczmy, to się zawsze znalazła lub kwarta jakiego ziarna, lub jaka chusta, chociażby potem przyszło gołemi świecić plecami, nie mając czem z żoną i dziećmi grzesznego ciała przyodziać. I tak powoli gospodarstwo, dobytek i mienie przez własne gardło do arędarskiej przechodziło kieszeni.

Ot, była to właśnie niedziela, słonko pięknie świeciło, a w kościele odprawiało się uroczyste nabożeństwo, i dobrodziej mówił przepiękne kazanie, ale w kościele jakoś luda nie wiele. Tylko na przodzie widać kilkoro dzieci i po prawej stronie trochę kobiet, ale za to na lewej klęczy tylko kilku co najstarszych gospodarzy, a żałość im widać na twarzy.

— I gdzież to jest reszta krościenieckich gospodarzy?

— Czy może ćma złośliwego nieprzyjaciela w te okolice się zwaliła? czy może, broń Boże, zaraza ich podusiła?

— Oj, nikt ci temu nie winien, moi kochani ludzie, tylko ona szkodliwa pokusa kieliszkowa, co i teraz jeszcze nie jednego człeka do złego uwiedzie.

Tymczasem w kościele skończyło się nabożeństwo, lud się porozchodził do domów, a ksiądz wziął jeszcze puszkę z przenajświętszem ciałem Jezusa Chrystusa, i szedł do chorego, aby

go posilić do życia wiecznego, a sługa kościelny, Sobek kulawy, postępował naprzód i dzwonił, a ludzie klękali po drodze i głowy schylali.

Droga szła wedle karczmy, od której już z daleka zachodziły jakieś krzyki i śpiewy, poczciwe uszy rażące. I nie dziwno, bo to dzisiaj od samego ranka w karczmie hulanka, że aż ha! Jeden z gospodarzy wyprawia dziś chrzciny, i z tej też przyczyny pospraszał znajomych i krewnych na trunek i poczęstunek, a kogo niezaproszono, ten szedł przynajmniej posłuchać muzyki, i temu wszystkiemu się przypatrzyć.

Otóż dwóch skrzypicieli siedzi w oknie i rzępoli tak skocznie od ucha, że aż nogi same podskakują, a młodzi tak siarczyście tańcują, aż czapki i kapelusze się trzęsą i z głowy spadają, a karczma cała zdaje się obracać. Zaś co starsi pozasiadali za stołami przy pełnych kuflach wódki i piwa, i rozmawiali to o tem, to o owem, czego wszystkiego, uczciwszy uszy, nawet powtórzyć się nie godzi. I między młodymi, gdy wódka i taniec rozpaliły im głowy, zaczęły się najprzód hultajskie rozmowy, a potem żarty nieprzystojne, i między niektórymi od żartu przychodziło do kłótni, a krzyki się wzmagały i wzmagały, a w kościele prawiło się nabożeństwo, a tu rosła coraz bardziej niesłychana obraza Boga, która prędzej czy później ukarana zostanie.

Tymczasem jeden z trzeźwiejszych zasłyszał bliskie dzwonienie, a rzuciwszy przez okno spojrzenie, obaczył, jak ksiądz z Panem Bogiem idzie do chorego. I powiedział o tem wszystkim zgromadzonym, a sam wyszedł na dwór, ukląknął i pokłonił się nisko przed najświętszem ciałem Jezusa Chrystusa. Ale nikt więcej nawet kapelusza nie zdjął i żadna nie ukorzyła się dusza, ale jeszcze co najwięksi zuchy zaczęli bluźnić i na księdza wygadywać, i z onego się naśmiewać, co z karczmy był wyszedł.

To już była za wielka obraza dla sprawiedliwego Boga, i dla tego też nastąpiła kara Jego.

Nie zmówiłbyś i trzech pacierzy, jak się należy, aliści duchem zasępiło się na dworze, niebo okryło się straszliwemi chmurami, setnemi zahuczało grzmotami i piorun uderzył w tę

karczmę, a nie wyszło i pół godziny, a jużci dla ciężkiej przewiny nie została się z karczmy tylko kupa rumowiska, i wszyscy pozabijani w niej ludziska, oprócz tego jednego, który pochwalił Jezusa Chrystusa w Sakramencie utajonego.

I z tych pobitych ciał wedle podań rozmaitych miały powstać żaby i jaszczurki, które powskakiwały do sadzawki, a woda przedtem czysta i jako łza przejrzysta, stała się naraz brudna i mętna. A ksiądz gdy powracał od chorego, aż zapłakał z żalu wielkiego na tem miejscu, a pomodliwszy się w szczerości Bogu za tych nieszczęśliwych, powrócił do domu w żałości.

I wielki powstał zamęt, płacz i lament w całej wsi, bo mało co nie każda chałupa kogoś utraciła, i każda prawie rodzina na głos zawodziła.

Powoli jednakże żałość minęła i ludzie poumierali, co to oglądali, ale do tego czasu jeszcze niby na wieczną pamięć i świadectwo o cudzie leży kupa kamieni z onej karczmy, a w tej mętnej sadzawce, jak bają ludziska, są jeszcze owe pierwsze żaby i jaszczurki, niby pokutujące ciała pobitych grzeszników. Może się ta pokuta już wnet skończy, i może one dusze wnet ze swoich grzechów zostaną obmyte i oczyszczone, bo miłosierdzie Boże jest nieograniczone. Ale dziś jeszcze boją się ludzie tej zaklętej sadzawki i onej kupy kamieni, a co największy zuch, toby o zmroku nie postąpił tam ani kroku bez lęku.

Ano i jako przykład żywy widzicie, bracia moi, jakie to pokaranie Boże pijatyka i hulatyka na ludzi sprowadzić może.

Jacenty z Magierowa.

Pieśń

do Matki Boskiej Częstochowskiej.

(Na nutę: Bądź pozdrowiona.)

Królowo polska do Ciebie wołamy,
Przyjdź na ratunek, o pomoc wzywamy,
Ratuj nas, ratuj, Maryjo litości,
Stłum nieprzyjaciół uporczywe złości.

Wejrzyj, o Matko, na nas biednych ludzi,
Niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi,
Weź nasz kraj polski pod Twoją obronę,
Oddal Maryjo wszystko złe na stronę.

Pocieszycielko ludzi utrapionych,
Pod ciężkiem jarzmem srodze udręczonych,
Do Ciebie z płaczem wołamy znękani,
Królowo polska przyczyń się za nami.

Uproś nam, Matko, pomyślność szczęśliwą,
A oddal od nas Moskwę uporczywą,
Niechaj doznamy Twej świętej opieki
Teraz i zawsze i po wszystkie wieki.

Wysłuchaj Jezu Matki Twej kochanej,
Racz nam przywrócić pokój pożądany,
A my Cię za to z Świętemi społecznie,
Chwalić będziemy na wiek wieków, wiecznie,

Historja miasta Żółkwi.

Jednej niedzieli w Marcinkowe lato, siedziałam sobie pod moją gruszą i patrzyłam na Żółkiew. A trzeba wam wiedzieć, że jest u mnie w sadzie na kraju taka stara grusza, bardzo stara i bardzo gruba, co dawne, dawne czasy pamięta. Posadził ją chłopek jeden przed dawnemi laty; dziś już popioły z niego na cmentarzu za cerkwią, i tylko prawnuki przypominają nieraz dziada po tej gruszy. W lecie najmilszy cień pod tą gruszą, bo taka rozłożysta i gałęzista, a gałęzie w koło tak się splatają gęsto w górze, a dołem tak się schylają aż do ziemi prawie, że siedzisz jak pod wielkiem nakryciem, a nawet od deszczu można się tam schronić. Z pod tej gruszy śliczny widok, bo drzewo na wzgórzu, a pod wzgórzem ściele się równina szeroka; wkoło równiny od północy las, a na zachód widać Żółkiew. Jak słoneczko zachodzi, to zawsze się chowa za królewską górę nad Żółkwią co się nazywa *Haraj,* a całe miasto wtenczas wydaje się w ogniu. Znowu jak słoneczko wstaje

z przeciwnej strony, to Żółkiew siedzi cała biała między ziemią i niebem ciemnym, i świeci swojemi trzema kościołami, które niby królują nad nią, tak się wysoko wznoszą nad miastem. Otóż zapatrzyłam się na tę Żółkiew, a dzwony żółkiewskie na nieszpór dolatywały mnie wyraźnie po równinie. Choć to Marcinkowe lato, liście opadły z gruszy, a słońce niziutko gdzieś za głową chodziło, ale ciepło było i pogodnie, więc zadumałam się jakoś: — Mój Boże! co tam starych pamiątek, co tam dawnej sławy, co tam popiołów świętych spoczywa w tej Żółkwi! Co ona nie pamięta! Co ona nie widziała dni wielkiej chwały naszej polskiej, i co ona nie ucierpiała! — I przyszło mi zaraz na myśl, jakto dziś każdy powinien wiedzieć co się dawniej działo w naszej ojczyźnie, i powinien się chętnie dowiadywać o każdej pamiątce dawnej, o ojcach swoich, o królach swoich, o ziemi swojej. A nasza ziemia cała pełna takich pamiątek! Gdzie stąpić, to albo miejsca cudowne albo jakieś zabytki dawnej polskiej sławy, polskiej krwi przelanej. Każde miasto i miasteczko ma swoje pamiątki i wspomnienia święte, swoje kościoły i w kościołach groby gdzie spoczywają popioły cnotliwych Polaków, często gęsto mają swoje sławne spominki, a po całym kraju polskim rozsiane tu i owdzie stare zamki, gdzie mieszkali dzielni i pobożni panowie, albo mogiły gdzie leżą kości poległych za wiarę i ojczyznę. I ta część naszej wielkiej Polski, która się nazywa Rusią Czerwoną, i gdzie jest Żółkiew, bogata jest bardzo w święte pamiątki i w mogiły, a Żółkiew sama słynie na całą Polskę ze swoich kościołów, swojego zamku i z dawnej wspaniałości. — Otóż pomyślałam sobie zaraz, że muszę coś do Dzwonka o tej Żółkwi napisać.

Żółkiew założył sławny Stanisław *Żółkiewski*, o którym czytaliście już jako za Zygmunta III. zbił tak dzielnie Moskali pod Kłuszynem i przyprowadził królowi carów wziętych do niewoli. Ten Stanisław Żółkiewski, mąż wielkich cnót i wielkiego męztwa, urodził się o małą milę za Żółkwią we wsi Turynce i powiadają o nim taką historję. Skoro był jeszcze małem dzieciątkiem, takci piastunka zostawiła go raz w polu i zapomniała; skwar był wielki i południe dopiekało strasznie, dzieciątko tam mogło na gorącu osłabnąć nie mogąc się poratować: aż tu

piastunka przypomniawszy sobie biegnie go szukać, i cóż zobaczyła? Oto dziecię spało cichuteńko, a nad nim wielki orzeł biały siedzi z rozpostartemi skrzydłami i zasłania od słońca. Był to jakiś znak cudowny Boskiej opieki szczególnej. Cały też żywot Stanisława Żółkiewskiego poświęcony był na usługę świętej wiary i kochanej ojczyzny. On to w roku 1594 zaczął budować zamek Żółkiewski i kościół a przedtem nie było tam żadnego miasta tylko wieś Winniki; że zaś często napadali Tatarzy i postuszyli okolice, dla tego dla obrony wystawił ten zamek i murami mocnemi otoczył, i miasto które w tych murach zaczęło powstawać nazwał Żółkwią. Koło tych murów najwięcej pracowali Tatarzy, których pobrał w niewolę w różnych bitwach. A że w onych pobożnych czasach nic się nie działo bez chwały boskiej, dla tego też Stanisław Żółkiewski wystawił i kościół wspaniały, w którym modlił się z rodziną swoją, w którym spoczęły jego zwłoki, i w którym do dziś dnia modlą się księża za duszę jego. Ten kościół nazywa się farą, a co w nim jest sławnego i pięknego, to wam niżej opowiem.

Żółkiewski już był stary i słaby kiedy go król wysłał na Turków i Tatarów do Multan. Wziął syna jedynaka ostatnią swoją nadzieję i poszedł bić pogan, a po nim żałoba wielka nastała w zamku żółkiewskim; żona płacząc modliła się nieustannie. Nie wrócił już Żółkiewski, zginął pod Cecorą śmiercią chwalebną, a Turcy w radości obwozili głowę jego. Syn dostał się do niewoli. Na wykupienie ciała i za uwolnienie syna Turcy wzięli trzy miliony. Dopiero z płaczem i żałobą wielką przyjmowała wdowa te zwłoki szanowne i Żółkiew cała płakała, a w kościele farnym je pochowali. Po wiek wieków pamiętać go będą i błogosławić polskie dzieci. Syn niedługo przeżył ojca i położył się także pod ołtarzem, a po nim matka, która była opiekunką sierot i biednych.

Żółkiew przeszła potem pod rządy *Daniłowicza,* za którym była córka Żółkiewskiego; a tej córki córka, za Jakóbem Sobieskim powiła sławnego *Jana Sobieskiego,* który został królem polskim. Ten Jan Sobieski i brat jego starszy Marek odebrali bardzo staranne wychowanie od swoich rodziców. Ojciec ich umierając jeszcze zalecił im pod ojcowskiem błogosławień-

stwem aby wiary świętej i kościoła katolickiego bronili i wspierali ile się poda okazja, radą, mową i ręką. To też ci dwaj bracia bronili szczególniej tej wiary świętej całe życie swoje; starszy niedługo bo dopiero 24 lat miał kiedy zginął pod *Batowem*, w bitwie z Kozakami, a Jan zasłynął potem jako największy obrońca chrześcijaństwa. W owe czasy pchało się to pogaństwo tureckie do Polski strasznie, chcąc ją zawojować i przez nią dostać się i do innych krajów chrześcijańskich i wszędzie swoją bezbożną wiarą zalać świat, ale Polska nasza stała jak mur broniąc tamtych krajów i całego chrześcijaństwa, cała kąpała się we krwi własnej i mogiłami się ubierała, a odpierała pogańskie napaście i walczyła do upadłego. Jan Sobieski nim jeszcze królem został śmiertelne z niemi odbywał harce; zbił ich jak wiecie pod Chocimem na Podolu i z pod samego Lwowa napędził. Ucierpiała nieraz i Żółkiew od Tatarów i Turków, a pola w koło Żółkwi nie jedną kość tatarską chowają.

Skoro Jan Sobieski został królem, Żółkiew dostąpiła wielkiej wspaniałości. Tu lubił król najlepiej spoczywać po swoich trudach, odnowił zamek, założył zwierzyniec, i na górze nad Żółkwią zbudował sobie pałac letni, a tak sobie upodobał to wzgórze, że przesiadywał tam często, i raz lubując sobie w ślicznym widoku, jaki się z tamtąd rozciąga daleko, zawołał jakby sam do siebie! — Ha, raj! — i od tego to czasu ta góra nazywa się *Haraj*, a za ten królewski Haraj zachodzi zawsze słońce to samo co patrzyło na naszego króla Jana, gdy dumał na Haraju i wzdychał do Pana Boga.

Matka króla Jana, niewiasta bogobojna i święta, wystawiła w Żółkwi kościół i klasztor Dominikanów, po śmierci swego starszego syna, którego osobliwie kochała, na pamiątkę tej swojej miłości i wielkiego żalu. W tym kościele spoczywają oboje, a księża Dominikanie modlą się za nich dziś jeszcze. Sam król Jan fundował znowu cerkiew księży Bazylianów; i oto te trzy kościoły: fara, dominikanie i bazylianie stoją dotychczas królując nad Żółkwią, i sprawiają chwałę Boską i przechowują pamięć swoich założycieli. Było tam jeszcze więcej kościołów ale te już w gruzy poszły.

Po sławnej odsieczy Wiednia i po wielu jeszcze bitwach z Turkami na Węgrzech, powrócił król Jan do Żółkwi i tam odprawiał wielkie nabożeństwo dziękczynne, bo nie sobie a wszystko przypisywał Bogu. Wielki był zjazd i wspaniała uroczystość jakiej nigdy Żółkiew nie widziała i już więcej widzieć nie miała. Osierociała też bardzo Żółkiew po śmierci walecznego króla Sobieskiego, swego dobroczyńcy i Ojca.

Po śmierci króla jeszcze dwóch synów jego, którzy odsunięci byli od tronu, mieszkali w Żółkwi i obydwa leżą u fary pod wielkim ołtarzem. Ostatnia to była droga krew Sobieskich i ostatnie to jeszcze były czasy doli i dobra dla Żółkwi. Potem przeszło to miasto pod innych panów polskich Radziwiłłów, którzy pamiętali o kościołach, o poddanych i starym zamku królewskim, a potem — potem skończyło się w Polsce panowanie własnych królów polskich, i skończyła się wolność i szczęście w całej ziemi naszej; posmutniała i królewska Żółkiew, a zamek niszczeć zaczął, a dziś ze wszystkiego ogołocony w smutnej jest poniewierce! Jakże to boleśnie patrzeć się na te dawne pamiątki! Jak się człowiek zaduma nad tem spustoszeniem, to serce płacze i zdaje się że dusza jest także sierotą po tych dawnych czasach i dawnej sławie, po dawnej wolności i świętych Ojcach!

Tak i na ten zamek żółkiewski kto tylko dziś spojrzy, to westchnie i zapłakać musi. Nie ma już zwierzyńca, nie ma jeziora, nie ma pałacu Sobieskiego na Haraju, tylko ulica modrzewiowa została, co prowadziła do niego; mury się rozsypały, tylko gdzie niegdzie kawały sterczą zielskiem obrośnięte, a z czterech bram zostało się dwie tylko. W szczątkach zamkowych są teraz urzędy. Jest tam jeszcze na froncie posąg wielki króla Jana z kamienia wykuty, w zbroi żelaznej, z koroną na głowie, ale obszarpany bardzo, że aż zgroza patrzeć. Naprzeciw zamku stoi wspaniała fara zbudowana przez Stanisława Żółkiewskiego, z ciosowego kamienia w formie krzyża, i największą jest ozdobą Żółkwi. W niej to najwięcej pamiątek sławnych się przechowało. Dom Boży poświęcany umiał je uszanować, bo wszystko co polskie było zawsze z chwałą boską połączone. Na każdym rogu kościoła z wierzchu unosi się biały

orzeł, dawne godło Polski, bo ptak ten który prowadził walecznych na pogańskie hordy, który osłaniał Stanisława Żółkiewskiego we śnie, zawsze godnym jest majestat Boski zdobić. We wnętrzu kościoła są tam cztery obrazy ogromne jak cała ściana, jakich niema w całej Polsce. Na jednym z nich jest wymalowana odsiecz Wiednia przez Sobieskiego. Sam król na dzielnym koniu bułanym pod którego nogami wije się Turek, nad królem anioł z palmą, wkoło niego waleczne wojsko polskie a nad wojskiem orzeł biały, dalej Turcy uciekający, i miasto Wiedeń okryte dymem i płomieniami.—Na drugim obrazie wymalowana jest inna bitwa na Węgrach stoczona, która się odbyła w cztery tygodnie po oswobodzeniu Wiednia. Tu także król jak i na tamtym obrazie, przodkuje swoim. Dalej widać Dunaj rzekę i ogromną tłuszczę Tatarów spieszącą przeprawić się, a most zburzony tonie w rzece. Anioł nad głową Sobieskiego unosi się i trzyma napis łaciński na wstążce, który znaczy po polsku: Wionął duch pański i zatonęli jak ołów we wodach. — Na trzecim obrazie jest zwycięztwo Sobieskiego pod Chocimem, kiedy jeszcze był hetmanem, a na czwartym sławna bitwa pod Kłuszynem z Moskalami, przez Stanisława Żółkiewskiego chwalebnie stoczona. Są tam jeszcze w tym pięknym kościele portrety matki i żony Stanisława Żółkiewskiego w zakonnych habitach i z koronkami w ręku, bo tak się polskie niewiasty ubierały gdy mężowie na wojnach się bawili, bo tak się kładły do trumny i tak żyły pobożnie i surowo jak zakonnice. Są tam nagrobki wspaniałe Daniłowicza, Jakuba Sobieskiego ojca króla, posągi obódwu Żółkiewskich ojca i syna, wszystko w żelaznych zbrojach; są tam obrazy jeszcze innych Sobieskich i króla polskiego Augusta II., są kapy zrobione z chorągwi tureckich z pod Wiednia, różne puszki i kielichy, a wszystko dary Żółkiewskich, fundatorów.

Kościół Dominikański, piękny i bogaty, fundowany przez matkę króla Sobieskiego, ma także nagrobki szanownej matrony i jej ulubionego syna Marka. A cerkiew bazylianów nie mniejszej doznawała opieki tak od Żółkiewskich jak i od Sobieskich.

Jeżeli który z was kiedy, moi ludzie, będzie w Żółkwi,

bo któż to wie, gdzie człowiek być może, albo jeżeli kto to czytać będzie, co blisko Żółkwi mieszka: niech się też pokłoni sponiewieranemu posągowi króla Jana na osieroconym zamku, niech się serdecznie pomodli u fary za dusze naszych Żółkiewskich i Sobieskich, i niech prosi Boga o łaskę i miłosierdzie dla naszej ojczyzny, za którą i oni w niebie modlą się orędownicy nasi. Niech się przypatrzy wielkim obrazom i nagrobkom czarnym, i niech westchnie za tymi, po których wszyscy kmiecie i panowie, biedni i możni, zostali sierotami.

Kochajcie dzieci, kochajcie tę naszą ziemię świętą! Uczcie się o jej sławie i o jej nieszczęściach, i szanujcie każdą pamiątkę swoją.

B. E.

Piękne przykłady.

Jak to Pan Bóg dobrym dzieciom nagradza.

Opowiem wam moi ludzie piękny przykład jednej dobrej bardzo poczciwej córki, i to nie żadną próżną gadkę, ale czystą prawdę, i rzecz, co się dopiero tego przeszłego lata wydarzyła, i to niedaleko odemnie, bo we wsi *Jaworniku*, co do niego z Myślenic ani pół godziny iść nie potrzeba.

Otóż w tym *Jaworniku* jest wdowa komornica, zapomniałam w tej chwili jak się nazywa, a jest już babina podletnia. Nie miała ci ona większej chudoby, ani majątku, tylko jedną już dorosłą córkę, i tę widząc, że nie ma czego przy niej czasu marnować, dała w służbę do jakiegoś porządnego gospodarza. Sama zaś niezdatna już do wielkiej pracy, nie chciała jeszcze jak to mówią drażnić psów po wsi łażąc po żebraninie, więc co mogła to robiła dla posługi ludzkiej ot aby się tylko pożywić. I bywało, jak stara komornica przyjdzie z kilkoma jajkami do miasta, do jakiej dobrej pani, to owa widząc jej biedę, nie raz jej podarowała, czy to krupek trochę, czy bodaj chleba kawałątko. Ale to wszystko nie było by jej tyle w biedzie pomocą, ile jej poczciwa kochana córka, co była w służbie. Otóż owa co tylko mogła, to sobie od gęby odjęła,

a za przyzwoleniem gospodarza, matce zanosiła; a co inne dziewczęta dbają o stroje, to ona ostatnią prawie przyodziewkę z siebie zdjęła, a matce dała, aby sobie za nie kupiła jakiego pożywienia, lub co innego do wygody, jako że starowinie było potrzeba.

Razu jednego, kupiła sobie dobra córka spodniczkę ładną, nakrapianą, i bardzo się tą spodniczką cieszyła. Aleć ledwie ją raz włożyła na siebie, gdy jej ludzie powiedzieli, że matka zaniemogła i potrzeba jej delikatniejszego pożywienia; więc ona córka od razu zdjęła swoją ulubioną spodniczkę i sprzedała, czy też zastawiła dla matki. Biedna kobiecina aż płakała, i nie chciała żadną miarą wziąść dziecku tej spodniczki, ale nic nie pomogło, a stanęło, jak córka chciała. Więc błogosławiła tę poczciwę córkę uboga matka, i dziękowała w duszy panu Jezusowi, że choć przy jej ubóstwie, a takim wielkim skarbem ją obdarzył, takiem cnotliwem i poczciwem dzieckiem, i modliła się za nią dzień i noc. I wysłuchał widać pan Jezus ubogą matkę, wynagradzając wdzięcznej i poczciwej córce, jej miłość dziecięcą.

Był tam w okolicy krawiec, ot wsiowy krawiec, przystojny i pracowity chłopak, i krótko mówiąc człowiek jak się patrzy. Wszystkie co zamożniejsze dziewczęta okrutnie miały oczko na niego, i pierwsza jaka wójtowna, ba może i z miasta byłaby nim nie wzgardziła: ale on czegoś jakby na przekorę o żeniaczce nie myślał, i tak nie jedną utrzymywał w niepewności. Aż dopiero tego przeszłego lata, gruchnęła na raz taka mowa po wsi, że ten majster zdatny, ten krawiec chodzi na zaloty, do kogoż? zgadnijcie! Oto do tej biednej służebnej dziewki, do tej poczciwej córki owej ubogiej wdowy.

Zrazu jaki taki roześmiał się, i wierzyć temu nie chciał, aby on, co mu dawali kmiece córki z gruntem, aby on zaś wolał sierotę w jednej koszuli, córkę komornicy? To się ludziom w głowach pomieścić nie mogło. Ale Bóg jest sprawiedliwy, miłosierny, a hojny w odpłaceniu dobrego, i u Niego nie ma nic nie podobnego; to też nie pomogły wszystkie dziwowiska ludzkie, ani odradzania, bo ów krawiec, jak się dowiedział o tem dobrem sercu biednej dziewczyny ku rodzonej matce, o tej jej ostatniej spodniczce:

to tak się mu spodobała, i takie do niej powziął kochanie, że ani sobie rzeknąć o innej nie dał, tylko ją biedną ubogą w jednej koszuli pojął za żonę. I żyje z nią szczęśliwy, a ona nie przestała być taką samą dobrą córką, za co też Pan Jezus opatrzył ją losem i szczęściem, o jakiem się jej i nie śniło!

Widzicie, ludzie kochani, jak to Bóg często gęsto już na tym świecie dzieciom dobrym nagradza, a dopiero tam jaka ich to czeka nagroda! Dla tego, moje dziewczęta, starajcie się wszystkie być takiemi córkami, jak ta była w Jaworniku, com tu o niej opowiedziała, a nie minie was błogosławieństwo i tu na ziemi, i tam w niebie u Pana Jezusa.

Ludka z Myślenic.

Rady gospodarskie.

Szpat koński.

Szpat czyli wilcza kość jest spuchnięcie kości przez natężenie lub uderzenie na stronie wewnętrznej u zadnich nóg niżej stawu kolanowego. Pokazuje on się u młodych koni najmniej w czwartym roku, a nawet i w późniejszych latach. Utrzymują niektórzy, że ta wada jest wrodzoną i dziedziczną, ale jest wielu, którzy się z tem zdaniem nie zgadzają. Koń mający szpat kuleje, lecz z początku nie ciągle, tylko czasami. U niektórych koni kulawizna ta pokazuje się zaraz, gdy go się wyprowadza ze stajni; u innych dopiero wtenczas, gdy się noga namoże.

Ażeby rozróżnić kulawiznę szpatową od innej, trzeba najpierw uważać na chód. Gdy bowiem koń powłóczy nogę kopytem po ziemi, i kuleje kilka kroków więcej, i znów kilka kroków mniej, już jest dowodem, że koń cierpi na szpat. Gdy zaś stoi, to nigdy się nie opiera dokładnie na nodze chorej, tylko ją podnosi, i opiera lekko koniec kopyta o ziemię.

Leczenie tej wady jest wtenczas trudne, gdy ta wada jest zaniedbaną; jeżeli się ją z początku dostrzeże, można ją przez

smarowanie tęgiemi maściami wyleczyć. Maść ta składa się z następujących części: Bierze się łót złotokostu, który się w aptece operment nazywa, i łót much hiszpańskich czyli kantarydy; również z apteki jeden łót euforbium dwa łuty terpentyny i dwa łuty wieprzowego tłuszczu. Z tego wszystkiego umiesza się maść, nasmaruje plaster i przykłada się na miejsce napuchłe; albo się kopystką naciera. To się powtarza 4 do 6 razy w przeciągu najdalej dwóch tygodni.

Inni w nowszych czasach polecają jako skuteczny środek na tę kulawiznę dobrze gorący tran, którym się noga smaruje dwa lub trzy razy na dzień również przez dwa tygodnie.

W wielu razach te środki nie pomagają, zwłaszcza, gdy ta wada jest przestała; natenczas trzeba użyć rozpalonego żelaza, którem się punkciki palą lub linijki na krzyż na napuchłem miejscu. W takim razie radziłbym użyć dobrego i biegłego konowała, bo przez nieumiejętne palenie można konia zupełnie zepsuć. —

O puszczaniu krwi.

Każdy gospodarz powinien mieć w domu puszczadło, aby w razie potrzeby go użyć, mianowicie przy ochwacie i różnych zapaleniach, bo w tych razach jedna chwila stanowi, a gdy ją zaniedbasz, łatwo utracisz konia lub bydlę.

Każdy gospodarz powinien umieć krew puszczać, bo gdzież szukać weterynarza, którego końskim doktorem zowiecie, a rzadko się taki zaraz we wsi znajdzie, który się zna na tem. Dla tego uważajcie dobrze, jak macie krew puszczać, bo to rzecz bardzo łatwa.

Po obydwóch stronach szyi idzie żyła, z której się krew puszcza. Abyś ją lepiej poznał, ściągasz szyję sznurkiem jakim, przezco żyła nabrzmieje. Potem podnieś zwierzęciu głowę do góry, i zmaczaj to miejsce ciepłą wodą, a przez to żyła jeszcze ci bardziej wystąpi. Teraz na dłoń szeroko od głowy przecinaj żyłę puszczadłem, które się do żyły przykłada, i okragłem drewnem mocno uderza, aby od razu żyłę przecięło. Tu dobrze uważaj, żeby puszczadło było ostre i czyste, niezardzewiałe, aby się rana prędko zagoiła; a nie przecinaj, bracie, żyły nigdy w poprzek, ale zawsze wzdłuż, bo mógłbyś żyłę zupełnie prze-

ciąć. Krwi zaś nigdy nie wypuszczaj na ziemię, tylko w jakie naczynie, abyś wiedział, ileś jej upuścił.

A wiesz ty ile masz krwi upuścić? — Prawda, że to jest trudno dokładnie oznaczyć; ale zwykle upuszcza się większym zwierzętom jednę, dwie, a najwięcej półtrzeciej kwarty; zależy to od choroby i krwistości zwierzęcia; mniejszym zaś zwierzętom jednę do trzech kwaterek. Lecz gdy już częściej krew puszczasz temu samemu zwierzęciu, to przestań na mniejszej ilości.

Skoro już dosyć krwi puściłeś, odwiąż sznurek, ranę przetknij szpilką, włosiem z ogona zwiąż ją na trzy węzełki, i zostaw zwierzę w spokoju. Dopiero po kilku godzinach możesz mu co podać; a konia i wołu tego samego dnia nie zaprzęgaj. Po dwóch dniach wyjmij szpilkę, bo się już rana zagoiła.

Tak się postępuje z końmi i bydłem. Z owcami i kozami podobnie, tylko z tą różnicą, że się im mniej krwi upuszcza, tak od pół do półtorej kwaterki najwięcej; a owcom trzeba pierw na żyle wełnę obciąć, ażeby była znaczniejszą, i abyś łatwiej mógł krew puścić.

U świń nadzwyczajnie trudno znaleść żyłę szyjową, dla tego nikt im z szyi krwi nie puszcza; narzyna się ucho jedno i drugie i ogon na końcu; a gdy krew wyciecze, goją się te rany najlepiej niesolonem masłem lub innym jakim tłuszczem, ale niesolonym.

Każdy więc gospodarz bardzo łatwo może krew swemu bydłu puścić, przezco się uchroni nieraz od nieszczęścia. Ale czyńcie to tylko w razie potrzeby, a nie miejcie zwyczaju puszczać jej przy najmniejszych chorobach, gdzieby się i bez tego obyło, bo przez to niepotrzebnie zasłabnie wam bydlę, zesmutnieje, i życie prędzej utraci, od czego niech was Bóg wszystkich zachowa!

Krew jest potrzebna do życia i do rośnięcia, tak człowiekowi jak i wszystkim innym zwierzętom; dlatego nigdy jej nie ma za wiele, bo wszystka co jest, jest do życia potrzebna. Więc bardzo rzadko, a tylko wtedy jeśli jest mocne zapalenie, złej trochę krwi tak ludziom jak i zwierzętom się upuszcza, bo inaczej krwi się pozbawiać to szkoda nieodżałowana.

Sz. N.

RÓŻNOŚCI.

Jeszcze o powodzi. Dopiero teraz piszą ludzie powoli, jakie to zniszczenie wyrządziła powódź na Powiślu. Dwadzieścia wsi i folwarków zalane były wodą tak, że cała owa okolica na pięć mil szeroko niby jedno wielkie jezioro wyglądała. Stało się to dnia 8. lutego o czwartej godzinie zrana; zatamowane pod wsią *Słupiec* lody wstrzymały bieg rzeki, woda jęła się podnosić w korycie, nareszcie przerwała usypane nad brzegami wały, i do 6 godziny stała już cała okolica pod wodą, miejscami tylko na półtora łokcia głęboko, ale miejscami na trzy łokcie i głębiej. Ostatnia wielka powódz była przed pięćdziesięciu laty, w roku 1813 ale przecie nie porównać ją do tegorocznej, bo takiej to i najstarsi ludzie nie pamiętają. Najgorzej jednak to, że prawie jeszcze w nocy, woda groble przerwała, bo natrafiła na siła ludzi spiących, tak, iż niejeden był w niebezpieczeństwie życia, a prawie wszyscy na strych musieli uciekać przed wodą. I nicby to wszystko, gdyby' było ciepło; aleć tu na drugi dzień jak nie pociągnie wiater mroźny, tak ci odrazu stanął lód na wodzie, a zmoczeni ludzie poodmrażali uszy, ręce i nogi. W *Maniowie* umarła nawet kobieta z przemarznięcia; gospodarzowi *Wojciechowi Lechowi*, zmarzło dwanaście sztuk bydła w stajni, które nie mógł z wody wyratować. Najsmutniej atoli trafiło się w *Słupcu.* Gdy pełno już było po domach wody, tak jeden z gospodarzy chcąc choć nieco rzeczy uratować, wynosił co najpotrzebniejsze na strych. Na około noc i nie widno, a tu woda szumi i lody o ściany uderzają; gospodarz po pas w wodzie zwija się jak może, wyłazi wreszcie na strych, ale tu także ciemno, i kroku postąpić trudno. Woła więc gospodarz na żonę żeby mu poświeciła, a żona też za pala smolną szczypę, przyświeca, aż tu nagle jak nie huknie na około, i cała strzecha w płomieniach! Okropne to położenie! nad głową ogień pod nogami woda! Nieszczęśliwym ludziom zakręciło się w głowie, nie wiedzieli co robić na razie; rzucają się wreszcie do wody, i za pomocą bożą przepłynęli jakoś do pobliskiej chaty, ale z własnej ich zagrody zgorzało wszystko co było nad wodą, a najboleśniejsza strata, że i dwoje dzieciątek zginęło przy tym strasznym wypadku.

Ratowali tam ludzie jak mogli nieszczęśliwych zatopionych, ale przecie dużo rodzin zostało bez majątku i chleba. Woda do dziś opadła zupełnie, i tylko lód pozostał, nie stopiony, bo zimno. Miejże tam panie Jezusie w opiece swej nieszczęśliwych, nakarm i ogrzej ich ciepłą litością serc ludzkich!

Wydawca odpowiedzialny za redakcję: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 8.

11. Marca. 1862.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Józef, Marji Panny Oblubieniec.

Wysoką godnością obdarzył Pan Bóg Józefa, ubogiego cieślę, który aczkolwiek z królewskiego domu ród swój wyprowadzał, przecież jako biedny rzemieślnik w niewielkiem stał u ludzi znaczeniu. I była ta godność wyższa nad wszystkie światowe godności, bo uczynił Józefa towarzyszem i oblubieńcem przeczystej Panienki, Dziewic królowej, a piastunem Boga żywego, Syna swego jedynego, Jezusa Chrystusa.

Nie w bogactwach i nie w pałacach żyli Józef z Marją, ale żyli w pocie czoła i z pracy rąk własnych. I była im ta praca szczęściem i spokojem, pomnażała w nich skromność i pokorę, a taką napełniała serca ich słodyczą, że Pan Bóg upodobał sobie w tej cichej parze ludzi i postanowił przez nich posłać Syna swego na ziemię. Więc zawoławszy Gabriela Archanioła rozkazał mu iść zwiastować Marji Pannie, iż powije. A ona klęczała wtedy w modlitwie zagłębiona, więc ono dziwne przyjście Anielskie wielce ją zatrwożyło; na rozkaz Boski

jednak przyjęła z pokorą niespodzianą nowinę, i stało się jak zwiastował Archanioł Gabriel.

O, dziw się tu człowiecze głębokiej Boga mądrości! Nie obrał On królewskich ni książęcych domów na swego Syna kolebkę, lecz obrał cichą chatę ubogiego cieśli, bo wiedział, że ubodzy prędzej potrafią ugościć Boga między sobą, że prędzej go uznają i do serc swoich przytulą. I chciał tem dalej okazać Stwórca, że nie urodzenie wysokie, ani majątek choćby jak wielki stanowią o człowieku, ale stanowią cnoty jego, miłość, uczciwość i sumienność, bo tylko tem ludzie dobrzy są nad złych wyższymi, a co wagę ma na ziemi, nie zawsze w niebie wagę znajdzie! Więc okiem wszechwidzącem ujrzawszy słodycz cnót w sercach Józefa i Marji, uczynił ich Stwórca Syna swego kolebką.

W skutek zrządzenia Bożego nie dosięgła Chrystusa krwawa dłoń Heroda; więc karmiony miłością matki swej Marji i pod okiem opiekuńczem Józefa świętego, wzrastał Jezus, świata i ludzi przyszły Odkupiciel. I był dziwny a boski ład w tej rodzinie świętej: Dzieciątko Jezus ulegało Matce z pokorą i posłuszeństwem, a przeczysta Panienka w cichości niewieściej uznawała wyższość i rząd Józefa, swego oblubieńca. Dziwili się też ludzie zgodzie ich pożycia; a gdy rodzina święta wróciła z Egiptu do miłej ojczyzny, jakiemż współczuciem i przyjaźnią otaczali ich krewni i sąsiedzi, dobrocią ich serca za serce porwani.

A oto Józefowa cnota okazuje się tu największą, iż on choć tylko opiekun a nie ojciec Jezusa Chrystusa, przecież wszystkich obowiązków ojcowskich sumiennie dopełniał, a troski rodzicielskie w cichości znosząc, większą od wielu ojców miał miłość w swem sercu ku Synaczkowi Bożemu. Więc umiał i Jezus odwdzięczać się Józefowi za jego troski i przywiązanie. A odwdzięczał mu się synowską pokorą i uległością, i oznakami szacunku i poważania, jakie mu w obec ludzi nito ojcu oddawał.

Z pracy rąk swoich żył Józef święty, i pracą tą utrzymywał Marję z dzieciątkiem. Podrosłszy więc do lat chłopięcych nie sromał się Jezus pomagać w rzemieśle swemu piastunowi.

A tak choć syn Stwórcy, Pana nad Pany najwyższego, obrabiał kłody siekierą i heblem jako czeladnik ciesielski, a nie poniżała, lecz owszem wywyższała go ta praca mozolna, jako że wszelka uczciwa praca ludzi uszlachetnia, a przynosząc im korzyść, przynosi im też spokój sumienia i swobodę myśli. I mówili ludzie widząc Chrystusa w pracy pogrążonego:

— Patrzcie oto Syn dobry, staremu piastunowi z pomocą idący.

A skoro Chrystus przyszedł do lat, i naukę swą ogłaszał i cuda jął czynić, wtedy mówili ci sami ludzie:

— Między nami wychowany jest, znamy jego powinne, i znamy cnoty jego lat młodych.

I zaiste, dziwnym byłeś robotnikiem Nauczycielu nasz! Tyś urobił niebo i ziemię i co na nich jest, a przecież na nasz przykład pokornie, jako jeden rzemieślnik ubogi się poniżyłeś! I byłeś potem opiekunem i podporą matki jedynej, bo oto piastuna Twego powołał wnet pan Bóg do siebie, nie chcąc aby widział okropne męczeństwo Twoje, rozdzierając tem sobie serce miłujące.

Niemocą na łoże powalonego staruszka, Józefa świętego, pielęgnowała z wszelką starannością przeczysta Panienka. Dzień i noc chodziła koło niego czyniąc mu ulgę, jaką tylko czynić było można, a potem przywołała Jezusa Chrystusa, który go błogosławił, i duszę staruszka Ojcu swojemu w niebiesiech polecił.

W dniu 19. Marca obchodzimy pamięć tego świętego piastuna Jezusowego; obchodzimy ją w chwili, kiedy wiosna topi już śniegi i lody na polach, kiedy płaszcz zielonych traw po ziemi rzucać się zaczyna, kiedy bocian z dalekich stron gniazda rodzinnego szukać przylatuje. Czyjeż serce ta pierwsza chwila wiosny nie rozrzewnia? Któż nie czuje w sobie głosu niewinnej radości? O niechże w takiej chwili złoży każdy ręce do modlitwy, a Józef święty, Marji Oblubieniec, może tam usłyszy serdeczne życzenia nasze i przed tron Boga zaniesie.

Śpiewki wiosenne.

Do Skowronka,

wymyślił Wojciech z pod Opatowca, i posyła Ignacemu Ślusarczykowi w podarunku.

Hej skowronku, polski ptaku, wracaj w nasze strony,
Bo już lody i śnieg biały na polach stopiony;
I robaczki i muszeczki na pokarm gotowe,
Nawet słonko takie ciepłe, jak gdyby majowe.
Wracaj ptaku, bo bez ciebie, choć na swojej roli,
Czegoś smutno, choć przy pracy, czegoś serce boli.

Gdy ty wzlecisz ponad pola piejąc pieśni miłe,
To ja rolnik chętniej robię i podwajam siłę;
A pracując często wzdycham do Boga na niebie,
Kiedy w górze śpiew twój słyszę i patrzę na ciebie.
I tak oba chwalim Boga, ty śpiewem ja pracą,
I za to nam żyznym plonem co rok nieba płacą.

Wracaj ptaku, polski ptaku, a słuchaj mej rady,
Chcąc szczęśliwie wszystkie w drodze pominąć zawady:
W locie twoim mijaj Niemcy, gdzie do cię strzelają,
W stronę Wisły patrz z daleka, bo cię tu kochają;
Wolność pewną znajdziesz ptaszku na polskim zagonie,
A w złej doli stanieć każdy chętnie ku obronie.

Ku Warszawie leć śpiewaku, gdzie braci mogiły,
I ukryty z poza chmury śpiewaj z całej siły;
Niechaj głos twój w górę wzleci aż do tronu Boga,
Niosąc prośbę za strapionych, a skargę na wroga;
I od Boga zleć ku ziemi z radosną nadzieją
Dla tych ludzi, co dziś tylko łzy ronić umieją.

Do Jaskółki,

Grzesiowi z Mogiły na pamiątkę.

Tak to późno jaskółeczko, pod mą strzechę wracasz?
Maj już mija, ty raz pierwszy piórka w Wiśle maczasz!
W inne lata o tej porze pół gniazdkaś zlepiła,
Opowiedz no jaskółeczko gdzieś tak długo była?

Jaskółka.

W polskim kraju, w polskiej chacie matka mię zrodziła,
I tu długo pod twą strzechą dzieci swe karmiła;
Więc choć zima w obce kraje co rok lecieć każe,
To ja tęsknię i spłakana wciąż o Polsce marzę.
A że teraz później wracam, to przyczyna taka,
Że za morzem heń daleka znalazłam Polaka;
Tam tułacze serca nasze zaraz się poznały,
I nad biedą wspólną płacząc szczerze pokochały;
On mnie swoje, ja mu moje skargi rozwodziła,
I dla tegom się z powrotem tak długo spóźniła.
Ja szczęśliwa, bom już znowu na rodzinnej ziemi,
Ale on tam biedny cierpi, bo między obcymi.

Wojciech z pod Opatowca.

O prześladowaniu św. Jana Chrzciciela.

(*W drugim numerku z tego roku wydrukowaliśmy wam kilka rozdziałków o św. Janie na puszczy. Teraz podajemy historję prześladowania Jana św. przez tego samego pisarza spisaną.*)

Po dniach czterdziestu Jezus zeszedłszy z góry na której odbywał pokutę, rozpoczął nauczanie i uczniowie Jego szli za Nim jak powiada ewanielja święta; Jan zaś wciąż kazał na pustyni, kędy dowiedziawszy się że Herod nie odmienił drogi swojej, i że się dopuszczał grzechów, tak iż obrzydł całemu ludowi, podniósł głos i nauczał i mówił wiele przeciwko temuż księciu, i wołał:

— Obmierzły jest, i grzechami się parający. — I przypodobał go drzewu skazanemu na wycięcie.

Tedy szpiegowie i zausznikowie ponieśli słowa Janowe do Heroda, który począł się obruszać w sercu swojem, albowiem grzechów zaprzestać nie chciał, ani też być odkrytym przed ludem od człowieka tak świętego i tak wielkiego uważania. I otóż sposobność zdarzyła się dla miłośnicy Herodowej, która coprędzej jęła się do poruszania gniewu Herodowego, ile ją było na to stać, i byłaby natychmiast Jana o śmierć przyprawiła gdyby czas jego już był nadszedł, i gdyby Jan mniej

był uważanym od ludu mogącego każdej chwili ponieść zniszczenie na pałac Herodowy.

Kazał tedy Jan bezpiecznie aż dopóty i mówił: — Nie ma bydź w tych czasach król, który podaje rozum swój pod złą wolą i namiętności bydlęce i daje nad sobą panować im.

I Jezus także nauczał i czynić począł cuda, a była to granica kazania Janowego. Jan kończył służby swoje napominaniem książąt, kiedy Jezus rozpoczynał napominaniem ludów i ludzi i powracaniem do życia umarłych, jako Pan i Bóg, a tu jest rozeznanie mądrości. —

Kiedy zgromadzone rzesze ujrzały cuda Jezusowe, poczęły garnąć się za nim i odstawać od Jana, który i owszem odprawiał je za nim, a nie jako czynią ludzie tego świata chwały żądni.

I cuda mnożyły się, i chwała Zbawicielowa poczęła się rozszerzać w Judei, i po wszystkich stronach, a uczniowie Janowi szemrali i mówili jako to może być, albowiem niemasz świętszego człowieka nad Jana, i zaiste nie było kromie Boga wcielonego.

I mówili do Jana: — Otóż ów któregoś ty chwalił, tak bardzo odciąga rodzaj ten od ciebie i dozwala nazywać się *Rabbi*, i widzisz że lud cały za nim idzie — i okazowali jako im to było nie po sercu. A św. Jan począł objaśniać ich i mówić:

— O głupi, ażaliż wam nie mówiłem, iż potrzeba żeby on wznosił się a ja uniżał, i nie przypominacież sobie com opowiedział książętom i arcykapłanom, iż ja chrzczę wodą ale po mnie przyjdzie który był przedemną, i ten was będzie chrzcił duchem świętym, któremu ja niegodzien rozwiązać rzemyczek obuwia jego. Ażaliżem ja to mówił jako wieszczbiarz, albo pochlebnik? Zaprawdę nie, i to co mówiłem powtarzam wam, jako ja sługa jestem posłany aby przygotować drogi Jego, aby lud uwierzył weń, i w prawdę Jego, która jest prawdą wieczną. Przypatrzcież się ludy, o bracia moi, jako ja przekładam miłość Jego nad miłość siebie, i wszystko cokolwiek uczyniłem uczyniłem ku czci Jego, a dla siebie nic, albowiem jestem prochem i niczem, a On jest wszelkiem dobrem i ja bez Niego nie uczyniłbym nic. Tedy jeśli mi chwałę dajecie, oddajcie ją Temu

a nie mnie, i wierzajcie mi, iż ktokolwiek pójdzie za Nim nie będzie chodził w ciemnościach, albowiem On jest światłem które przyszło na świat, i któremu ja świadczę jeszcze z żywota matki mojej. —

I rozgorzał Jan św. i mówił: — Idźcie słuchać Baranka niepokalanego, idźcie słuchać prawdy Zbawiciela! Oto ukazałem Go palcem moim, ten ci jest Baranek Boży który gładzi grzechy świata a błogosławiony, który uwierzy weń! On jest nauczycielem moim i Zbawicielem moim od dzieciństwa i pierwej. On jest słowem które było na początku u Boga a Bogiem było słowo, i wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało co się stało. —

Tedy rzesza i uczniowie dziwili się bardzo słysząc te słowa, a drudzy, dusze dobre, obracały się za Chrystusem, i uczniowie też więcej jeszcze kochali Jana doświadczywszy pokory Jego, kiedy uwielbiał Chrystusa a o sobie mówił jako jest niczem, niezdolni jednak byli zrozumieć rzeczy której Jan nauczał, a rzesze coraz zmniejszały się i poczęło się między niemi rozdwojenie i spór który był większy: Jan czy Chrystus. Tedy złośliwi mówili, oto Jan opowiada rzeczy ażeby drugich w błąd wprowadził, i rozpoczęła się szyzma czyli rozdział, która też była powodem śmierci Janowej a większej chwały Zbawiciela, albowiem odtąd miał bydź nauczyciel jeden, to jest Chrystus.

A w owym czasie przyszły wieści do Heroda i miłośnicy jego, jako się naród oddziela od Jana i jako szemranie przeciwko niemu rozchodzi się, i jako opowiadał rzeczy pewne o Chrystusie niebardzo zrozumiałe, a które książętom ludu i prawu sprzeciwiają się.

Tedy ucieszył się Herod wielce, i począł śmiać się i z miłośnicą swoją rozprawiać głośno, i rzekł:

— Teraz tedy możemy ściągnąć rękę na niego, który tyle nam szkodził usty swemi, a osobliwie kiedy widzimy, iż lud przeciw niemu szemrze. — I weselili się bardzo wespół myśląc: — Teraz tedy poczniemy wedle woli naszej, i zapytamy się go o rachunek. — A knując tak pomiędzy sobą chytra niewiasta zbiegła w przedsionki pałacowe ażeby mimochodem

usłyszeć coś z krzyków miejskich, i czy nie szemrzą przeciwko Janowi, albowiem Herod miał strach przed ludem, chociaż paranie się z tą niewiastą sprawiało, że czynił wszystko wedle woli jej. Tedy usłyszawszy jako rzesza coraz mniej gromadnie ku pustyni się obraca, rzekli: — Poślijmy doń, a niech mu się zdaje iż się chcemy nawrócić i też spowiadać się z czynów naszych, i uczyńmy wielkie ceremonje na przyjęcie jego, niechaj tak będzie z nami wiele dni i będziemy się go pytać co mówi i co mówił. A jeśli obaczymy że lud upomina się oń, tedy go wypuścimy i powiemy, żeśmy się go radzili jak mamy czynić, a jeśli zobaczymy zaś przeciwnie że lud mało się o niego troska, pomyślimy jako około niego się wziąść.

Jakoż i przywołali dwoje ze służby swojej, osoby uczone, i nie okazując im żadnego znaku złej woli, rozkazali i rzekli: — Idźcie do tego świętego męża, to jest do Jana Zacharjaszowego i proście go pokornie i uniżenie, ażeby przyszedł do nas, od którego chcemy zasięgnąć rady co do pewnych czynności naszych.

Więc posłańcy szli do św. Jana i bardzo rozumnie odbyli poselstwo swoje, a św. Jan przyjął ich życzliwie i rzekł: — Wracajcie do Heroda i zanieście mu że przyjdę, i owszem przyjdę.

Zatem wrócili posłańcy i przynieśli odpowiedź Janową, ale Herod był rozgniewany niewidząc Jana pomiędzy nimi, i bał się ażeby mu się z rąk nie wymknął, czego Bóg nie dopuścił dla korony męczeńskiej którą mu przygotował, jako że miał umrzeć dla sprawiedliwości. A po odejściu posłów Herodowych, przez łaskę Pana Chrystusa Jan łacno odgadł i widział na siebie złą wolę książęcą, i jaką śmiercią umrzeć miał, albowiem mu to sam Pan Bóg objawił.

Zebrawszy tedy rzesze utwierdził je w prawdzie Chrystusowej i pobłogosławił je i odszedł, a znalazłszy łódkę na brzegu Jordanowym wstąpił w nią z dwoma uczniami swymi, i tak przeprawił się na drogę do Jerozolimy.

A kiedy przyszedł Jan z uczniami swymi do miasta do zamku w tej części Galilei w której panował Herod, rozmawiając wciąż o sprawach nie z tego świata, powiedział im, jako Herod przysłał po niego k'woli zasiągnięcia rady. Tedy owi

wzbraniali się wejść do miasta podczas dnia; wyprawił więc dwóch drugich i niektórego przyjaciela dla powzięcia wieści, jeżeli Chrystus znajduje się w mieście, a jeśliby był, gdzieby go szukał.

I uczyniono tak i rzeczono mu, iż Jezus znajduje się w mieście i w tem miejscu.

Tedy Jan wziąwszy kilku z uczniów swoich odprawił się do Jezusa, którego widząc pan wyciągnął ręce k niemu, a Jan rzucił się na ziemię i nie powstał, aż podniesiony ręką Pańską, który na czole jego złożył pocałunek pokoju.

A będący sami bez świadków poczęli rozmawiać ze sobą, jak Herod posłał do Jana posłańce swe, a Jezus opowiedział mu całą zdradę, jaką Herod knował, jakoby na dłoni swojej napisaną i nauczył go jak ma odpowiadać Herodowi, i kiedy odpowiadać a kiedy milczeć, i rzekł:

— Wrzucony będziesz do więzienia i otoczony przez szpiegów, którzy głosu twego we snach słuchać będą, i pójdziesz twarz okazując wesołą, albowiem przybliża się chwała! — A kiedy z ust Pańskich wychodziły te słowa, Jan stawał się pełnym żywota i bojaźń śmierci znikła w nim, i miłość rozgorywała i ogarniała go tak: że mu się wesołe serce ku Zbawicielowi wydzierało, i padł na ziemię i rzekł: — Panie, ty wiesz z jaką wesołością czyniłem wolę Ojca Twego, i jedno tylko chciałbym widzieć, zwycięztwo Twoje w świecie i nad światem. Wszelako wierząc iż Ojciec dał ci władzę na niebie i na ziemi, wiem i wyznaję, iż Tyś zwycięzca i teraz i do skończenia wieków, i już i tę ostatnią chęć moją ofiaruję Tobie, ale Cię proszę Panie, przyjdź do więzienia mego kiedy godzina śmierci będzie blizką i czas odejścia od świata tego, a to iżbym umarł pełny Ciebie. I jeszcze błagam Cię najsłodszy mistrzu mój, ażebym widział matkę Twoją wprzód niż umrę, którą miłuję więcej od najukochańszej matki mojej, ale nadewszystko Ciebie Panie mój miłościwy, królu mój, radości moja!

A Jezus patrząc nań jakoby z wysokości odpowiedział: — Niech tak będzie — i nauczał go jeszcze innych rzeczy i mówili też o uczniach Janowych, którzy dotąd mieli być Chrystusowymi dla trwałości kościoła.

A kiedy się przybliżył dzień i światło słoneczne poczęło kamienie oświecać, Jezus błogosławił Jana schylonego u stóp swoich, który wołał: —Panie, oto polecam Tobie uczniów moich i wszystkich, którzy uwierzyli słowu któregoś Ty mnie nauczył, a Jezus odpowiedział: — Niech tak będzie, idź w pokoju najukochańszy bracie mój, walcz stale, albowiem zwycięztwo pewne. A Jan św pochylił głowę i rzekł: — Chwała Tobie Panie — i odszedł. —

I wróciwszy do uczniów swoich rzekł im: —Oto ja idę do pałacu Heroda, a proszę was niechaj nikt z mieszkańców niewie o tem, aby nie czyniono krzyków, ani się pytano o Jana, który był, która rzecz jest próżna - a mówił przeto, iżby nie przeszkodził w niczem woli Herodowej, a potem wziął dwóch którzy mu się zdali najwytrwalszymi, aby ich poprowadził z sobą a innym rzekł: — Idźcie, a rychło wiedzieć będziecie na jakie miejsca was powołam — i odprawił ich w pokoju a sam poszedł do domu Herodowego, i stał w przedsionkach, czekając pokąd nie przyjdzie kto ze służby książęcej, któryby powiedział Herodowi, jako przyszedł. A służba dziwiła się patrząc z cześcią na męża sprawiedliwego, i ani wiedząc co go spotkać miało od Pana ich.

Tedy Herod usłyszawszy, iż Jan przyszedł, rozradował się wielce, a miłośnica jego nad podziw, i każe go przystawić przed się, i Jan św. szedł otoczony służbą, prowadzony po szerokich schodach z kamienia przywożonego z dalekich stron, a twarz miał spokojną i uradowaną. Więc na ten widok ogarnęła ich złość tak, iż ciężko im było nietylko okazać mu cześć, ale nawet jakąkolwiek uprzejmość. A po chwili rzekli do uczniów jego ażeby się oddalili ze służbą, i służba odwiodła ich pomiędzy słupy liczne, i odchodzili i zeszli.

Kiedy Jan został sam jeden z temi dwojgiem, przystąpił do niego król i rzekł: —Oskarżałeś mnie i mówiłeś przed ludem iż ci jestem obrzydliwym i podburzałeś rzesze; owóż chcemy wiedzieć jestli to prawda i co ty rzeczesz?—A Jan św. odpowiedział spokojnie tak jak niegdyś przed ludem mówił:

— Herodzie, przecz ci potrzeba większego świadectwa,

ażaliż nie mówiłem ci w twarz i potajemnie, a ty jakiżeś z tego użytek zrobił?

— Tedy ważyłeś się potwarzać mnię przed całym ludem?

A św. Jan: — Ażaliż grzechy twoje nie są znajome wszemu światu? Gdybyś był uczynił poprawę, aby maluczką, wżdy pomagałbym ci i okrywał cię, ale widząc zatwardzenie twoje w grzechu, obrzydziłem cię sobie w sercu mojem, jako ogłaszający słowo Boże, i rzekący prawdę bez uwagi na rodzaj i na urząd i sąd.

Tedy Herod pochylił głowę i rzekł: — A teraz wierz ty mojemu słowu, zaiste pożałujesz słów Twoich.

A św. Jan: — Niech cię Bóg strzeże, albowiem wielka pycha w tobie! I śmierć mi możesz dać, i gardło moje wziąść, ale dusza moja nie twoja i wola moja nie twoja i słowo moje nie twoje, i ani będzie po wieki; i wiedz człowieku zły, iż wszystkie rzeczy mają dokończenie swoje, jeno ta prawda jest wiekuistą i ta będzie świadczyć przeciwko tobie, iżeś był mężobójca i cudzołożnik.

Tedy Herod porwał się z siedzenia i począł biegać jak szalony i żarł się w sobie, i jawnogrzesznica jego ściągnęła ręce na Jana i poczęła wyrzucać z plugawej gęby swojej plugawsze jeszcze słowa, i zęby jej się trzęsły i paznogcie jej się wyciągały i była, jakoby wojsko piekielne w niej się poruszało, a Jan stał cichy i nie odpowiadał.

Wówczas Herod zwrócił się ku miłośnicy i rzekł: — Powstrzymaj słowa swoje, albowiem człowiek ten żałować będzie wszystkiego co przeciwko nam mówi; ja w tem. —

Tedy przywołał służbę swą, najwierniejszych dworu swojego, i rzekł: — Zaprowadźcie tego św. męża i uczniów jego do tej tam izby i strzeżcie aby nie odszedł; mamy z nim albowiem wiele do rozmowy i także czynić ważne rzeczy razem — i nie pokazywał żadnej odmiany na obliczu swojem, ani żadnej złej woli ku świętemu, i był uprzejmie miły, jako więc panowie świata, którzy obrażeni być nie mogą, i rozkazał jedno aby mu niedozwolonem było mówić z nikim, i wreszcie aby mu czyniono wszelkie posługi.

Zaprowadzony zatem św. Jan do wielkiej izby, która się

znajdowała w przedsionkach, razem z uczniami swymi był spokojny i cichy jak ów po dokonaniu rzeczy, a uczniowie pytali go:—Nauczycielu, ażaliż Herod naprawił się? A św. Jan odpowiedział:—Synaczkowie, módlcie się i proście Boga, ażeby się spełniła wola Jego; więcej wam nie mogę rzec.

I uczniowie uspokoili się, ufając i wierząc iż Herod się nawrócił, albo iż jakaś dobra rzecz się stanie, i poczęli modlić się dzień i noc. A przez ten czas Herod i miłośnica jego rozpływali się i słuchali wieści co mówią o Janie uczniowie jego i rzesza ludu co trzyma o nim, i ażali szukają go i czynią sobie troskę około tej sprawy. A kiedy zebrała się około Heroda służba jego i dostojniki królestwa, pytał się ich, czy nie wiedzą co się dzieje z Janem.

A owi odpowiedzieli:—Królu, alboż nie wiesz, iż oddalił się od rzeki Jordanu i rozpuścił rzesze, jakoby nie mając już powrócić?—Tedy król:—A cóż więc mówią, gdzieby się znajdował? — A owi odpowiedzieli: — Nie wiadomo.

A Herod:—Rzesza zasię cóż powiada? Tedy jeden, iż nie pytają się, drudzy iż szemranie słychać między ludem, i ten mówi to, inny owo, a inny jeszcze, że dla chwały, jaką czynił, Jezusa Nazareńskiego, wielka rzesza odwróciła się od niego, ciekawa cudów nowego proroka; a inny z dworzan wtrącił, iż na tego Jezusa wielkie mają podejrzenie ludzie uczeni w prawie...

Poczem naradzał się Herod z nędznicą swą i mówił: — Cóż uczynimy z Janem?—A ona chciała, aby był zabity, nie odwłócząc.

Zatem Herod rzekł:—Trzeba to uczynić rozumnie, albowiem sprawa jego a sprawa Nazarejczyka zda się być jedną, który się uczynił wielkim pomiędzy ludem; jeśli więc temu weźmiemy gardło, niebezpieczeństwo ściągnąć możemy na siebie. Owóż lepiej będzie, jeśli go wrzucimy do więzienia, bo tym sposobem będziemy wymówieni, iżeśmy to czynili przez gorliwość sprawiedliwości i w obronie prawa, i powiemy, iżeśmy go chcieli badać około niektórych błędów przeciwko prawu, a jeśli zobaczymy, że się rzesza nie troska oń, w onczas zrobimy swoje.

I kazał przywołać św. Jana w obec, i badał go o tem, co mówił o Chrystusie, a św. Jan odpowiedział wszystko i wię-

cej. Tedy Herod przywołał służbę i straż noszącą halabardy, i rzekł: — Weźmijcie tego człowieka i uczniów jego i do więzienia ich wrzućcie, albowiem bluźnierca to przeciwko Bogu i przeciwko prawu, i chcemy aby był wybadany przez starszych sędziów, i aby uczynili z nim wedle prawa. — Tedy Jan św. obrócił się i prosił, aby choć uczniowie jego nie byli wodzeni do więzienia, jako bez winy przeciwko majestatowi królewskiemu.

I tak wzięty był Jan Chrzciciel i posadzony w więzieniu pomiędzy drugie nieszczęśliwe, a uczniowie szli z nim płacząc, albowiem nie spodziewali się, aby to na nich przyjść miało. I żądali wejść z nim do więzienia płacząc i mówiąc: — Ojcze dobrotliwy, uczyń, abyśmy z tobą byli w więzieniu, albowiem chcemy z tobą żyć i przy tobie umierać — i poczęli tak boleśnie zawodzić, że służba i żołdacy prowadzący Jana do więzienia płakali z nimi i narzekali, albowiem i im rzecz ta wydała się złą.

Tedy św. Jan zwrócił się i rzekł do uczniów swoich: — Nie płaczcie, braciszkowie moi, albowiem to jest zwycięztwo moje i wieniec chwały mojej, a wierzcie, iż przyszedł czas, w którym się zyskuje i zyszcze królestwo niebieskie, które, jak wam rzekłem, przybliżyło się do nas. Idźcie raczej do drugich braci i utwierdzajcie ich, i powiedzcie, ażeby przyszli do mnie, tylko proszę was, nie czyńcie hałasu między rzeszą — i odprawił ich w pokoju.

A potem Jan św. wrzucony był do więzienia i zamknięty mocno, i nakazano stróżom, ażeby go pilnowali bacznie. A kiedy uczniowie ujrzeli mistrza swojego w więzieniu i drzwi zamknięte za nim, podnieśli krzyk płaczliwy i głowami uderzali o drzwi żelazne, a odchodząc obracali ku ziemi twarz, i byli jako ludzie błędni, i roznosili wieść pomiędzy inne, którzy znowu słysząc, iż nauczyciel ich wrzucon jest do więzienia, podnieśli krzyk i łamali ręce i uderzali się w piersi i mówili: — Niestetyż, przybliża się czas śmierci sprawiedliwego, której spodziewaliśmy się od czasu, odkąd począł przeciw królowi kazać! — I znowu pytali, co się stało, a uczniowie powtarzali im całą sprawę i też słowa Janowe, aby nie czynili hałasu i zachowali się jako przystoi na pokrzywdzone przed obliczem Pana.

I znowu zaczynały się płacze i tak było przez wiele dni, poczem znaleźli się między nimi, którzy podnieśli się i rzekli: — Idźmy i zanieśmy mu jeść i zapytajmy się też, ażali nie żąda jakich drugich rzeczy. I poszli dwaj do niego, jeden, który już był z nim w więzieniu, i ponieśli mu chleb i dzban napełniony wodą, i rzekli do naczelnika straży, prosząc, aby im było wolno do krat więziennych się przybliżyć, kędy było dozwolone z więźniami rozmawiać.

A św. Jan, który znajdował się w kącie lochu na modlitwie, nie myśląc o jadle ani napoju, powstał i zbliżył się do kraty, która była wilgotna i podwójna, a miał oblicze spokojne, jasne i dziwnie słodkie. Tedy uczniowie widząc go stojącego w ciemności więziennej, poczęli bić się w piersi i płakać mocno i ręce drżały im, kiedy wyciągali dzbanek swój i chleb zeschły.

A Jan św. z rozweselonem obliczem obrócił do nich mowę i rzekł: — Braciszkowie moi, nie troszczcie się o to życie, które przechodzi, i o zmienność tego świata, ani o tych, którzy zabijają ciało nie mogąc zabić duszy, ale o królestwo niebieskie i o sprawiedliwość jego, które będzie chwałą naszą. I pamiętajcie na ojców naszych, którzy pomarli dla sprawiedliwości, ani się troskajcie o to co Bóg dopuszcza, owszem pozwólcie niechaj świat czyni swoje! Idźcie w pokoju a powracajcie, jeno nie w liczbie, albowiem tak będzie lepiej. — I św. Jan nieustannie modlił się, a kiedy nauczał straż i nieszczęśliwych, którzy w temże więzieniu zostawali, poruszał serca żołdaków i więźniów, którzy słuchali go siedząc i ręce mając na kolanach założone. I byli, którzy zostawiali halabardy i odchodzili dla mocy prawdy, która czyniła w nich zmianę.

I tak dozwolonem było zbliżać się Janowym uczniom do mistrza swego i mówić z nim; Herod zaś utwierdzał się w złości swojej, widząc, iż lud nie podnosił się i że spokojnie po mieście chadzał. Tedy dostojniki królestwa pytali się go, co chce czynić z tym wielkim sługą Bożym i aby mu nie czynił złego, bacząc na pobite proroki i na pomstę Bożą za tę sprawę. Więc słowa te wchodziły weń, i zdał się mieć trwogę, ale miłość wszetecznicy onej odnosiła zwycięztwo, i nie mógł nic czynić przeciwko woli jej.

Widząc Jan św. iż się przybliża czas śmierci jego, odsyłał uczniów swoich do Chrystusa, którzy odchodzili i oglądali cuda Boże, które działał pomiędzy ludem, i znowu powracali do Jana pełni miłości i uwielbienia. Tedy św. Jan radował się radością wielką i rzekł: Zaiste, wierzajcie, iż to jest Syn Boży, a błogosławiony, który się z niego nie zgorszy.

A oni upadali na ziemię i mówili: — Ojcze, a jakoż nam opuszczać prawdę twoją — i tak powracali do domów rozmawiając o nowych wielkich rzeczach, które się stały przez Pana Chrystusa.

Teofil Lenartowicz.

RÓŻNOŚCI.

Dziwna zapłata za dobry uczynek. Działo się to w Czechach a zeszłego lata. Przez miasteczko Bohdaniec sunie sobie młynarczyk nazwiskiem *Luczniczka*, sunie i śpiewa, bo wesół i krzepki jak ryba. Aleć ledwo wyszedł za miasto, patrzy, a tu pod młynem na głębiźnie bije coś rękami we wodę, i krzyczy stłumionym głosem: — Gwałtu, ratujcie! —

Młynarczyk widząc że ktoś tonie, skacze niewiele myślący tak jak był do wody, i z niebezpieczeństwem własnego życia wyciągnął na brzeg młodego chłopca. No, wyciągnął, ta i koniec, a żeby się był tylko zamoczył to nic, ale biedny młynarczyk spojrzał po sobie i widzi suknie swoje do szczętu podarte.

— O, źle — myśli sobie — cóż ja teraz zrobię, kiedy innych szat nie mam; cóż ja teraz zrobię ubogi młynarczyk? — Więc dumał chwilkę, a potem wrócił do miasteczka i stanął przed urzędem miejskim.

— Czego chcesz? pytają młynarczyka. — A on rzecze:

— Moi panowie, oto wyratowałem tonącego chłopca, a ratując go zawadziłem gdzieś o pniak, czy co, i podarłem het szaty na sobie. Gdybym był z całą suknią z wody wylazł, to byłbym się tu pewnie nie pokazywał, bo obowiązkiem każdego człowieka jest nieść pomoc bliźniemu bez wszelkiej za to nagrody; ale ja oto ubogi jestem i nie wiem kiedy bym sobie drugą suknię mógł sprawić, więc jeśli możecie to się postarajcie łaskawie, aby ta suknia, którą przy ratowaniu tonącego podarłem, była mi nagrodzoną.

Wysłuchali tej mowy urzędnicy, i napisali prośbę o nagrodę, a on podpisawszy ruszył sobie dalej do domu, zapewniony, że prośba jego nie będzie bez skutku.

Tak minęło kilka miesięcy; aż tu pewnego razu przychodzi pismo do młynarczyka, kędy stało napisano, że ponieważ Luczniczka dobrze umie pływać, to ratując tonącego tak sobie mógł pływać, żeby sukni nie podrzeć, i dlatego odmawia mu się wszelkiego wynagrodzenia. Zasmucił się biedny chłopiec, że mu tak płacą za jego dobre serce, ale już nic nie mówił; zdziwienie jednak wielkie go opadło, gdy we trzy miesiące znowu mu inne pismo przynoszą. A cóż w tem piśmie stało, zgadnijcie? Otóż tak tam stało napisano:

„Ponieważ młynarczyk Luczniczka prośbę swoją do urzędu w Bohdańcu nie na stęplu podał, jako być powinno, więc nazakuje mu się zapłacić kary 72 centy!“

Patrzcież, co poczciwego chłopaka spotkało za jego uczynek chrześcijański! Nie tylko że zaopatrzenia na suknię nie otrzymał, ale mu jeszcze kazali zapłacić za to, że wyratował tonącego! Ot, bo też dziwnie się nieraz plecie, na tym tu bożym świecie.

Dobrzy ludzie. Raduje się serce każde, jeśli idzie posłuch o dobrych uczynkach ludzkich, a jużci radość największa podnosi dziś człowieka na wiadomość, jeśli gdzie ludzie nad oświeceniem własnem gorliwie pracują. Wspominało się już nieraz o wójcie w Borusowej, jako się tem z całych sił zajmuje, a otóż jest w tej samej wsi i inny gospodarz imieniem *Kawa*, co nietylko że Bogu na chwałę kapliczkę wystawił, ale teraz i własną zagrodę dla dzieci na szkołę oddał i sam tam nad niemi siedzi i uczy bez żadnej za to nagrody. O, takie uczynki choćby tu na ziemi bez uznania przeszły, to nie przejdą bez uznania u Pana Jezusa, który także dziateczki małe nauczał.

Umarły a żywy. Niedawno temu taki się trafił wypadek we francuzkim kraju. Pewien mieszczanin zamożny umarł zostawiwszy żonę i dwoje dzieci; no, ale w tem nic dziwnego, bo każdy kiedyś umierać musi. Więc płakali ludzie i żałowali dobrego człowieka, a trzeciego dnia złożyli go do trumny, i poszli z pogrzebem do kościoła, żeby tam jeszcze nad ciałem umarłego pieśni nabożne prześpiewać. Złożyli więc ciało na katafalku w kościele, a świec jarzących na około wielka liczba, księża śpiewają, ludzie się modlą — aż tu nagle jak nie zastuka w trumnie, to aż się cały katafalk poruszył. Niejednemu włosy na głowie stanęły, strach wielki, aż co odważniejsi przyskoczyli, odbijają trumnę, a tu mój pan oczy otwiera, żywy! Zabrali go też czemprędzej i do łóżka do domu, a radość była niemała dla żony i dla dzieci, bo po kilku tygodniach znowu był ów pan taki zdrów jak i przedtem.

No i patrzcie, jak się to czasem dziwnie trafia! Przez całe sześćdziesiąt godzin leżał on słaby bez ducha, a nie była to śmierć prawdziwa, jeno p o z o r n a, zwiąca się *letarg*, albo *przeumieranie*, jak to w niektórych stronach nasi nazywają.

Wydawca odpowiedzialny za redakcję: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 9.

21. Marca. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jan Sobieski, król polski.

III. Dalszy jego żywot i śmierć.

Nie skończyła się wojna z Turkiem na odsieczy Wiednia, bo gdzież to jest w mocy ludzkiej, aby całą chmurę pogaństwa zdławić tak odrazu, żeby i śladu po nich nie zostało? Więc też i Turcy, choć odstąpili z pod austryjackiej stolicy, to cofając się do domu niszczyli węgierskie kraje po drodze, a nieraz bywało, zaparłszy się w jakim grodzie, nie chcą zeń ustępować. Szedł więc nasz król Sobieski aż do węgierskiej ziemi za Turczynem, i tam musiał mu się jeszcze nieraz dać we znaki, aż go wreszcie nagonił het, do własnej nory. I wielka była sława dla Polski z onych wszystkich bitew, ale nie było żadnego pożytku, bo Niemcy wylazłszy raz z niebezpieczeństwa, zupełnie się już o naszych nie troskali ani nie szli z pomocą, tak, że Sobieski zbiedzony i wygłodzony, musiał czemprędzej z wojownikami swymi wracać do ojczyzny, nie chcąc już zmarnieć zupełnie. I tak wrócili nasi z wielką ra-

dością do domów swoich, a nie jednego nie doliczono się tam w szeregach, bo wielu w obronie chrześcijaństwa na obcej ziemi gdzieś kości położyło.

A był to już wtedy jakiś taki czas, że nie mogłeś cicho w domu siedzieć, bo cię darli na wszystkie strony, a byliby i zjedli, gdybyś się nie był oganiał. Toż i Moskal zaczął wtedy coś z Kozakami nadrabiać i srożyć się na naszych, a Turek sobie swoim dworem, choć w jednym końcu pobity, przecie na Podolu siedział i siedział, jak gdyby przyrosły. Chcąc więc nasz król Sobieski z Turkiem się do reszty uporać, wysłał jednego z wojewodów do moskiewskiej stolicy, żeby tam z Moskalem pokój na jakiś czas zawrzeć. Jużci wojewoda ugodził się na pokój z Moskwą, ale nie za darmo, bo hardy Moskal korzystając z chwili, koniecznie chciał coś za to, że cicho będzie siedzieć. Więc wypadły te układy na naszą niekorzyść, bośmy musieli ustąpić sztukę ziemi Moskalowi i miast znacznych kilka, a między temi i Kijów, ową stolicę Rusi jeszcze przez Bolesława Chrobrego do Polski przyłączoną.

I pół biedy by jeszcze było, gdyby król, jak poprzód sławę i korzyść narodu mając na oku, zawierał pokój z Moskalem i szedł na pogan. Ale gdzie tam, inaczej się to składało, a to z tego powodu że i królowa Marja Kazimiera jęła się do rządów mieszać, wielki na króla wpływ wywierając. I wszystko to było nic potem, bo przecie rzecz stara jako ludzie mówią: że gdzie diabeł poradzić nie umie tam babę posyła.

Owóż królowa, rodem francuzka, a z polskiemi zwyczajami dobrze już obeznana, wielce była przebiegłą niewiastą. Jako matce trzech synów, chodziło jej najwięcej o to, aby im los świetny na przyszłość zgotować; a wiedząc dobrze jak to królów w Polsce obierają, troskała się już zawczasu, żeby synowie jej w królewskiej świetności żyć mogli, choćby też i żaden z nich nie był na tronie posadzony. Bywało więc mawia do Sobieskiego:

— Mój królu, tobie jako szlachcicowi i hetmanowi wystarczał odziedziczony po ojcach majątek, i znaczną nawet stano-

wił fortunę; ale czemże on jest w obec przepychu i znaczenia królewskiego?

A Sobieski rzecze:

— Moja Marysieńko, a nacóż mi majątków, kiedy mam cały naród pod swoją opieką, i nie pojedyńczy folwark, ale całą tę ziemię polską położył pan Bóg na mojem sercu, abym się nią jak własną i najdroższą ojcowizną opiekował.

— To masz tyle jak długoś królem — rzecze pyszna francuzica. — Ale cóż będzie z naszymi dziećmi, jeśli żadne z nich na polskim tronie nie zostanie? Wychowani na dworze królewskim i do królewskich przepychów włożeni, jakże potem żyć będą ze szczupłej fortuny? A choćby nawet jeden z synów królem został, to cóż inni dwaj uczynią?

— Ha cóż — mówi król — jeśli naród zasług moich, nie uwzględniając żadnego ze synów, na pana nie obierze, to sobie będą żyć jak mogli, byle uczciwie i sumiennie, a wielkość majątku toć najmniejsza moja Marysieńko!

A królowa na to zaperzyła się niby wielkim żalem i płacząc mówi:

— Ty nie dbasz o mnie i o moje dzieci, o ja nieszczęśliwa!

Więc dobremu królowi miękło zaraz serce, zbliża się a przepraszając pyta:

— I cóż ja mam zrobić, jak temu zaradzić?

Wtedy przebiegła francuzka jęła mu tłomaczyć, jako on chcąc być dobrym ojcem o dzieci starać się powinien, i jakoby mu to łatwo było idąc wrzkomo na Turka uderzyć na Wołoszczyznę, a poganom ją odebrawszy pod panowanie jednego z synów swoich oddać. I oto wymownemi słowy i różnemi chytremi sztuczkami niewieściemi umiała wnet króla ku sobie i swej myśli nakłonić, tak, że ów istotnie jął sobie brać do serca Wołoską wyprawę.

Jako się rzekło, Turcy siedzieli jeszcze podonczas na naszem Podolu, zajmując Kamieniec, warowną tegoż twierdzę. Więc król Sobieski, chcąc niby pogan do reszty już z kraju wyforować, zaczął zbierać wojsko, i zebrawszy go do czterdziestu tysięcy ruszył ku Rusi, ale zamiast Turka na Podolu poturbować, to on poszedł do Wołoszczyzny i tamte kraje wojo-

wał. A otoż nie była ta cała sprawa zupełnie sprawiedliwą, gdyż ją król nie tyle dla dobra kraju ile dla własnego zysku podejmował, z narażeniem życia swych poddanych i z ich krwi rozlewem. Więc też Sobieski, zawsze i wszędzie wódz dzielny i zwycięzca, przegrywał teraz we wszystkich utarczkach i nic nie mógł wskórać, bo rzecz ta szła zupełnie bez pomocy bożej, jako że pan Bóg nigdy nie dopomaga sprawom niesprawiedliwym.

Atoli czem trudniej szło to wojowanie Wołoszczyzny, tem bardziej zaciekał się król Sobieski, tak, że przez siedm lat całych, prowadził oną krwawą wojnę: czterykroć wyprawiał się na Multany i obsadzał kraj swojem wojskiem, ale zawsze w końcu orężem nieprzyjacielskim lub głodem i nędzą wyruszony, powrócić musiał do kraju bez żadnej korzyści. I była ta zaciekłość plamą królewskiego serca, bo nikomu nie dał pan Bóg prawa iść i gwałtem obce narody podbijać, a sroga kara czeka wszystkich zaborców, co chlebem drugich ludów się żywią, przemocą je zwojowawszy.

Więc też, po nadaremnych siedmioletnich utarczkach, wrócił Sobieski ze swoimi do kraju, a strapiony i znękany opuścił ręce zupełnie, i choć sławny obrońca Wiednia i wojownik nad wojowniki, dał się przecie ze wszystkiem zawojować żonie swej, francuzce. Nie on, ale ona rządziła krajem: ona rozdawała a raczej sprzedawała urzędy, ona dopuszczała się różnych przekupstw i niegodziwości, a że król na to nic nie mówił, jeno sobie we *Wilanowie* pod Warszawą siedział, ogrodem się zabawiając; tedy naród cały obrzydził sobie bardzo brudne rządy onej francuzicy, i przyszło nawet do tego, że wielu zaczęło myśleć o odebraniu korony królowi!

A patrzcież, co to złego narobiła przewrotność jednej niewiasty! Ubóstwianego nietylko przez swych rodaków, ale i przez cały świat chrześcijański uwielbianego wojownika, pogrążyła ona w dziwną bezczynność, w której on o niczem, jeno o zbieraniu skarbów dla swoich dzieci przemyśliwał; ona obaliła w całym kraju ład, choć na chwilę przez króla przywrócony; ona zasiała ziarno nieznanych między nami grzechów: kłamstwa, niewiary i przekupstwa.

Lecz pan Bóg, opuściwszy Sobieskiego w jego ostatnich

wojennych wyprawach, nie chciał przecie poniżyć go bardzo w obliczu narodu, mając na względzie jego niezmierną zasługę i obronę Chrześcijaństwa przed turecką nawałą, i powołał go do swojej chwały właśnie w chwili, gdy wiele dobrego psować się już zaczęło. Umarł król Jan trzeci z końcem sierpnia roku 1696, po dwudziestu dwóch latach szczęśliwego i nieszczęśliwego panowania, w sześćdziesiątym szóstym roku życia, a umarł śród zgryzot i umartwień, w pałacu swoim w Wilanowie pod Warszawą, kędy przepyszny ogród był założył. Gdyby Sobieskiego zabierał pan Bóg z tej ziemi jako hetmana wszędzie zwycięzkiego, byłby naród śmiercią jego wielce zasmucony; a tak nie wielka boleść ogarnęła ludzi na wiadomość o zgonie króla, bo w ostatnich latach jego panowania tyle było złego, iż niejednemu ono spokojny żywot zatruło, a świętość dawnych zwycięztw i dawnej chwały zupełnie z pamięci wyrugowało. Umarł król, a zostało po nim trzech synów Jakób, Alexander i Konstanty, i została wdowa francuzka, umartwień i śmierci jego przyczyna. I oto w samem ich łonie wszczęły się kłótnie tak, iż naród nikogo z nich na tron swój nie wyniósł, a swarząc się o osobę wybrać się mającego króla, popadał w coraz większe grzechy i nieszczęścia.

Moja piosneczka.

Ziemio moja śliczna, ziemio malowana,
Czemużeś ty smutna, czemuś zapłakana?
Czemużeś ty ziemio taka rozmodlona,
Taka zaśpiewana, taka rozżalona?

Zdawna twoje wody płyną krwią i łzami,
Anioł boży stoi nad twemi grobami,
I opieka boża płynie tobie zdawna,
Boś ty twoją wiarą i dziejami sławna.

Ziemio, ty nad życie dzieciom twoim miła,
A cicha i lekka w łonie twem mogiła,
Ziemio moja śliczna, pracą poświęcana,
Tyś samemu panu Bogu ukochana.

Niebiescy Anieli wiarę ci przynieśli,
I kmiecia na króla pierwszego wynieśli,
Więc w światłości Świętych i w krwi męczenników
Świecisz jak w koronie z pereł i z krwawników.

I masz ty Królowę, samą tę Najświętszą,
Maryję Panienkę najprzecudowniejszą,
Cudami słynącą w starej Częstochowie,
W Ostrej bramie Litwy, w ruskim Poczajowie.

Ziemio moja święta, niby z trzech a jedna,
Polsko, Litwo, Rusi, Ziemio moja biedna!
Niech cię ma w swej pieczy Matka Częstochowska,
I ta Ostrobramska i ta Poczajowska.

Niechaj prosi Panna u swojego Syna
Szczęścia tobie ziemio słoneczna, jedyna,
A ja pójdę wesół i umrę za ciebie,
I będę się za cię jeszcze modlić w niebie.

B. E.

Sąd komisarski,

czyli:

komu kukułka zakukała.

Działo się to w tej części naszej ziemi świętej, co jest dziś pod Moskalem, a w jednej wsi kędy żyło dwóch braci. Starszy zwał się Michał, młodszy Andruch. Żyli oni długo w zgodzie i miłości jak na braci przystało, to też pan Bóg im błogosławił; aż raz na wiosnę, skusiło ich licho wyjść razem na sianożęć, co ją mieli pod lasem. Słoneczko boże ledwo co wyjrzało, ranek był śliczny, i znaczyło się na pogodę. Idą bracia, cicho jeszcze, bo ptaki dopiero co zaczęły się budzić, aż tu naraz w pobliskim lesie kukułka zakukała.

— Słyszysz Andruchu jak kukułka kuka? — rzeknie Michał.

— A jużci słyszę, od czegóż bym miał uszy!

— Ba, nie sztuka słyszeć, ale czy ty wiesz co to kukanie znaczy? — zapyta znów Michał.

— O wa! wielka rzecz! A toć przed chwilą takem sobie myślał: Trzeba mi jutro pójść na targ do miasta, a jak mi kukułka na szczęście zakuka, to powiezę też i żyto na sprzedaż. No i cóż! kukułka zakukała, to ja sobie powiezę na targ żyto, i wezmę huk pieniędzy!

— Baj baju, widzisz go! zawoła Michał — a zkądże ty wiesz, że się to tobie ono kukanie patrzy? Oj głuptasie, głuptasie! Toć to mnie, a nie komu innemu, bo ja sobie idący tak rozważałem: — Czy też się człowiek doczeka przychówku od tej cieliczki po krasuli, co ma dwie niedziele?! — I ledwie sobie to pomyślałem, a tu kuka! Widzisz więc durny Andruchu że to na szczęście dla mego przychowku!

A Andruch nuż się śmiać co siły:

— Ha, ha, patrzajcie, to jemu zakukało! Oj, ponoć to nic z tego nie będzie.

A Michał już w złości:

— Nie śmiej się kiedy ja ci tak mówię, bo dalibóg...

— No to co dalibóg?

I tak od słowa do słowa, jęli pomstować na czem świat stoi, a potem nuż się brać za łby, i tak się szkaradnie wywodzili i pobili, że już od tej chwili nie było między nimi ani zgody ani spokoju.

Na drugi dzień, rychło świt, zwlókł się Michał z pościeli, wziął cieliczkę na sznurek, a westchnąwszy sobie głęboko idzie do moskiewskiego urzędnika, co to niby komisarz.

Komisarz stał sobie właśnie w oknie i palił fajkę, a Michał wchodzi na dziedziniec.

— Cóż tam powiesz?—rzeknie więc zaraz komisarz do niego.

A Michał pokłoniwszy się nisko dalejże rozpowiadać całą rzecz od początku do końca, okazując też sińce z owej braterskiej bójki.

— A pocóż tę cieliczkę tu przyprowadziłeś? — pyta komisarz.

A Michał na to:

— Ja tę cieliczkę przyprowadziłem do pana komisarza,

jeno coby pokazać jak wielka jest moja krzywda. Wiele razy na godzinę ta cieliczka ogonem kiwnie, tyle razy Andruch powiedział mi: psiawiara!.. Ja tylko dlatego daję tę cieliczkę panu komisarzowi.

— Dobrze moje dziecko — odpowiedział komisarz — skoro ty jeno dla tego cieliczkę przypędziłeś, to zostawże ją tu, a sam przyjdź za godzinę. Pokaże się to pokaże, komu kukułka zakukała, bo ja tu na to jestem.

Więc Michał uradowany pokłonił się i odeszedł; alić ledwie się za nim wrota zaparły, wchodzi Andruch, zgięty pod worem żyta.

— Cóż tam powiesz Andruchu? — pyta komisarz.

A Andruch zwalił żyto ze siebie, i pokłoniwszy się ku ziemi, dalejże tak samo jak Michał rozpowiadać całą historję.

— A to zboże po cóż przyniosłeś? — pyta komisarz.

— Oj na to wielmożny panie komisarzu — rzeknie Andruch — oj na to, coby było widno, jaka jest wielka moja krzywda. Bo ile ziarneczek w tym worku, tyle włosów wyrwał mi brat z czupryny. Ja tylko dla tego daję panu komisarzowi.

— Dobrze moje dziecko — odpowiedział komisarz — skoro ty jeno dla tego to żyto tu przyniosłeś, to zostawże go u mnie, a sam przyjdź za godzinę. Pokaże się to pokaże, komu kukułka zakukała, bo ja tu na to jestem.

Więc Andruch uradowany pokłonił się i odeszedł, myślący po drodze, że jużci nie brat ale on będzie miał prawo za sobą.

Za godzinę przychodzą znów oba do komisarza, a komisarz siedział już za stołem, a na stole cała kupa papieru i piór, nieprzymierzając jak słoma na boisku.

— Który z was starszy? — pyta komisarz.

— Ja wielmożny panie! — rzeknie Michał.

A komisarz na to:

— Kiedyś starszy moje dziecko, to ja ci muszę dać pierwszeństwo!

A Michał na te słowa mało ze skóry nie wyskoczył od wielkiej radości, i zgiąwszy się ułapił za kolana pana komisa-

rza, myślący że już jemu kukułka zakukała. Ale komisarz nic nie mówiąc kiwnie znowu na policjanta:

— Dajże mu pięć kijów, bo jemu się należy pierwszeństwo!

Zbladł Michał od strachu jak chusta, ale mu nic nie pomogło; położyli na ławę i biją. A Andruchowi twarz się rozweseliła od wielkiej radości, i ułapił za kolana pana komisarza, myślący że już jemu kukułka zakukała. Ale komisarz nic nie mówiąc kiwnie znowu na policjanta:

— Dajże i temu pięć kijów, żeby on się nie śmiał na drugi raz jak jego brata biją, i żeby wiedział komu kukułka zakukała!

Zbladł Andruch jak chusta, ale mu nic nie pomogło; położyli na ławę i biją. A skoro mu pięć kijów odliczyli, odezwie się do nich komisarz tak:

— Teraz już wiecie komu kukułka zakukała? Ani tobie Michale, ani tobie Andruchu, jeno mnie ona zakukała! Bo wam kije — a mnie cieliczka i żyto!

To rzekłszy pokazał im wrota, żeby sobie poszli z panem Bogiem, a oni też poszli ze spuszczonemi głowami, nie przymierzając jak konie, co je z owsa wypędzą. A skoro wyszli za wrota powiedzieli sobie: Lepsza słomiana zgoda, jak złoty proces! — i podali sobie ręce, i przeprosili się, i żyli odtąd w zgodzie i miłości aż po koniec żywota.

I żyli w zgodzie i miłości, a my czy żyjemy? Żrą się i procesują u nas ludzie: procesuje chłop pana a pan chłopa, użera Rusin na Mazura a Mazur na Rusina, a jaki ztąd pożytek? ani temu ani temu, bo jak świat stara prawda, że kędy się dwóch bije, tam ich trzeci bierze za łeb.

Żałujesz ty panu lasów i pastwisk, a pan jak się czuje w prawie, to ci ich jużci darować od razu nie chce, i już kłótnia gotowa. A jak przyjdzie ciężka chwila, to ani temu ani temu nic nie zostanie, i pójdą oba z torbami. Pomstuje Rusin na Mazura, czart jeden wie o co, a Mazur też Rusinowi zjeść się nie da; a jak was trzeci za łeb weźmie, to co? Oba się potem zwijacie jak muchy w ukropie, a tu rady nie ma, i kiepsko! Oj lepiej się jak Bóg przykazał kupy trzymać, kupą

wszystko robić, bo lepiej też wtedy znać tę robotę, siła z niej pożytku, a szczęścia tyle, jak żeby sto kukułek naraz zakukało, co daj Boże!.... *Józef Sęp.*

Gospodarska pogadanka.

Było to w Niedzielę świętą z południa a tak w Marcu, jakoby dziś nieprzymierzając. Ludzie już dawno porozchodzili, się z nabożeństwa do domów, a Wojciech wygłodniawszy jakoś, jeno próg chaty przestąpił, tak dalejże wołać na kobietę, żeby mu co rychlej jeść dawała, bo głodny. Zakrzątnęła się kobiecina, a że garnki już były od dawna do ognia przystawione, więc niezadługo stanęła kurząca się miska strawy przed Wojciechem. Znak krzyża świętego uczynił gospodarz, a potem wziąwszy łyżkę zaglądnął do miski i rzecze do żony:

— Moja Maryś, a toć już od kilku tygodni nic nam innego nie warzysz jeno kapustę i ziemniaki, ziemniaki i kapustę.

— No, a cóż ty chcesz innego? — pyta gospodyni.

— A żeby choć raz garnuszek grochu!

— Tak grochu, a zkądże ci go wezmę kiedy nie ma.

— Prawda, mało go było; źle się udał przeszłego roku — mruknął Wojciech, i tak mrucząc coś dalej, zabrał się do jedzenia. Ot za łaską Bożą sprzątnął jakoś wszystko, bo głód to najlepszy kuchta, a obtarłszy gębę prawi:

— Muszę też w tym roku dopilnować grochu, bo czy go bisi nadali, już mi się coś od kilku lat nigdy nie udaje.

A Wojciechowa nato:

— Ale jeśli chcesz co zrobić, to trzeba się już dziś krzątać, bo wiesz co ludzie mówią: *Kto sieje groch w marcu gotuje go w garcu; a kto sieje w maju, gotuje go w jaju.*

— A prawda! —

— No, to wiesz co? — prawi Wojciechowa — idź ty do księdza proboszcza, a wypytaj się go dobrze, jak to sobie trzeba z grochem poczynać, aby był piękny i bujny. Wiesz przecie co to on nam przeszłego roku o uprawie warzyw się naopowiadał, a wszystko ślicznie i święta prawda, toć ja myślę że i dziś cię z kwitkiem nie odeszle.

— A prawda! — mruknął znowu Wojciech — trzeba pójść do Dobrodzieja, on tam zaraz na to poradzi. — I poszedł Wojciech zaglądnąć jeszcze tu i owdzie koło gospodarstwa, a potem wrócił do izby i wdziawszy świąteczną kapotę na siebie ruszył do księdza proboszcza.

Na bożym świecie ciepły i słoneczny był dzionek, czułeś jako wiosna całemi piersiami dyszała i w ziemi i w powietrzu, więc ksiądz proboszcz, spożywszy już dary boże, siedział na ławce przed plebanją z fajeczką na długim cybuchu, i cieszył się jasnem słonkiem, co mu ślicznie z boku przyświecało. Wojciech przybliżył się, a pokłoniwszy się do kolan Jegomości, opowiedział mu krótko całą swą potrzebę.

Więc ksiądz Proboszcz wysłuchawszy Wojciecha, usunął się na ławce i rzecze:

— Siadajcież Wojciechu koło mnie, a opowiem wam pokrótce o całej uprawie grochu.

Wzbraniał się trochę Wojciech przez samą skromność siadać na jednej ławce z księdzem proboszczem, ale w końcu musiał usiąść, bo to już taka dusza był ten Dobrodziej, co to umiał utrzymać powagę w kościele, w domu i na świecie, a przecie każdego człowieka za równego sobie brata uważał, i nikim nie gardził chyba złym i grzesznym. Dobrzy go też kochali nadewszystko, i szanowali, a źli się go bali jak ognia.

Otoż puściwszy z ust chmurkę dymu, tak jął ksiądz proboszcz rozpowiadać o uprawie grochu:

— Jeżeli chcecie mieć suty plon z zasiewu grochu, to potrzeba najprzód dobrze mieć na uwadze grunt, na jakim go siać zamyślacie, bo choć się groch udaje i na ciężkim i na lekkim gruncie, to zawsze najlepszy mu średni. Na gruncie mocnym, gliniastym, nie obradza dobrze i nadzwyczaj trudny jest do gotowania, zaś z roli dobrej a troszkę piasczystej najwyborniejszy i jak mówią wrzący. Uprawa pod groch także nie może być byle jaka. Rola musi być czysta, sucha i krucha, a z chwastów i z perzu doskonale oczyszczona, bo na zaperzonej roli groch się nigdy nie uda, a tam gdzie się nigdy nie uda, ziemia na tem bardzo cierpi, bo się całkiem zaperzy i zniszczy. Dobrego plonu możesz się z pewnością spodziewać

na roli, która od kilku lat była starannie uprawiona i gnojona, a potem się dobrze odleżała i czuje w sobie niedawną mierzwę.

— Przepraszam jegomości że przerywam — rzecze Wojciech — ale toć to najlepiej by było świeżo a masnym gnojem zmierzwić, bo jużci gnój nigdy nie zawadzi.

— A broń boże! — zawołał ksiądz proboszcz — toć to właśnie źle, jeżeli się groch na świeżej mierzwie sieje. Dobrze jest gnoić świeżo pod pszenicę, pod ziemniaki, ale nigdy pod groch, a to temu, że groch nie może brać pokarmu z mierzwy dopiero co z ziemią zmieszanej, jeno z takiej, co już przynajmniej z rok w ziemi przeleżała, i innym roślinom już za pokarm służyła. Musi więc być rola masna i żyzna ale gnojem świeżo nie nawożona, ot naprzykład ziemniaczysko albo ozimczysko przed rokiem doskonale wymierzwione, co to i kruche i z chwastów wyczyszczone, a zobaczysz mój Wojciechu że ci się groch jak las uda, i nie tylko w garcu, ale w całym korcu będziesz go mógł warzyć.

— Ot, bodaj tak! Jegomość zawsze z dobrem i wesołem słowem — ozwie się znów Wojciech — ale też jeszcze proszę, jakiej to trzeba orki pod groch, i czy go dobrze jak najrychlej posiać?

— Pytacie się co do orki — rzeknie ksiądz proboszcz — no, to wam powiem, że kto sieje groch na ozimczyskach, to uczyni najlepiej, jeśli ściernie natychmiast płytko wyorze, potem wybronuje, a gdy się rola odleży, to niech ją wtedy powtórnie zaorze tak głęboko jak zwykle. W takim razie na wiosnę, jeśli rola jest czystą, należy ją tylko zbronować i zasiać, a jeno w tym rzadkim wypadku, gdyby rola była mocno zaperzoną, powinno się ją jeszcze zradlić, choć i to nie zbyt koniecznie. Ogółem, groch nie lubi wielkiego rozpulchnienia roli, dlatego, jeśli się go na ziemniaczysku sieje, a pod wiosnę do roboty zabiera, najlepiej jest r a z t y l k o z a o r a ć; bo choćby w roli nawet dużo było nasion i korzeni chwastowych, to za jednorazową orką pójdą one na spód, a świeża ziemia ze środka na wierzchu zostanie, i prędzej wtedy groch zejdzie niż chwasty, a choćby później i chwasty rosnąć poczęły, to je groch przytłumi i cieniem swym zabije. — Co zaś do siania, no to

wam i mówić nie potrzebuję że czem wcześniej na wiosnę tem lepiej, bo o tem już wszyscy i z przysłowia wiedzą. Wytłumaczę wam tylko dla czego to dobrze zasiewać groch wcześnie. Otóż pod wiosnę jest w ziemi najwięcej wilgoci, a groch jako ziarno grube i o twardej łusce, potrzebuje najwięcej mokra do kiełkowania; zresztą czem wcześniej wschodzi, tem prędzej chwasty w rośnięciu prześciga, a przymrozki wiosenne zupełnie nic mu nie szkodzą. Uważać i na to należy, iż groch jako ziarno największe, najgłębiej też w roli leżeć powinien, aby mógł co się zowie kiełkować i silnie w ziemi się zakorzenić. Nie używa się tu więc jak przy innem ziarnie brony po zasiewie, chyba gdyby rola twarda była, bo bronowanie jeśli nie lekkie, łatwo ziarno na wierzch wydobywa. Siejąc też groch w gruncie średnim, piasczystym, sieje się go pod skibę i to jest najlepiej. Przy oznaczeniu ilości nasienia, pamiętać na to trzeba, że dla grochu w polu i ptactwo i myszy i różne robactwo są szkodnikami, nie powinno się go też rzadko zasiewać, bo inaczej wyrośnie ci ladajaki chwast zamiast grochu, a lepiej gęsto i bodaj za gęsto jak za rzadko, jeśli nie chcesz mieć potem srodze zachwaszczonej roli. Groch gęsto zasiany, gęściej też wschodzi, i gęściej zarastając chwastom bardzo przeszkadza; a choć grochowiny wtedy cieńkie są i drobne, to zato na pokarm żyzniejsze. Dobrze jest siać razem z grochem bobik w radlonki; a także jest bardzo dobrze, jeśli w tydzień po zasiewie grochu lub nawet później żytem nieco po wierzchu posiejesz, i z lekka przebronujesz, bo zeszła jarka służy niby za tyczki dla grochu, gdyżci on wtedy nie kładzie się na ziemię i nie gnije, jakto bez jarki często się wydarza. Grochowiny stają się przez jarkę lepszą paszą, ziarno łatwo można z grochu przetrzebić, a łatwiej się też sprząta groch z jarką zasiany. —

Przestał na chwilę Jegomość, bo mu fajeczka wygasła, więc dobył siarniczków i zapalał, a Wojciech przechodził sobie tymczasem w głowie to wszystko, co z ust księdza proboszcza z wielką uwagą wysłuchał. Wreszcie widząc, że ksiądz proboszcz gotów z swą fajeczką, rzecze:

— To dobrze, mój Jegomościuniu, wiem już jak grunt

uprawiać i jak zasiewać, a no, więc wypadałoby mi się jeszcze dowiedzieć, jak sobie poczynać przy zbiórce, i co jest najlepiej zasiewać po grochu.

A ksiądz proboszcz na to:

— Zaraz mój Wojciechu, zaraz wam to opowiem. Otóż, jak tylko pouważasz, że w grochu się znajduje więcej strączków dojrzałych niż zielonych, chociażby i kwiat jeszcze się gdzieniegdzie pokazywał, to nie wyczekuj, jeno zbieraj, bo mógłby się później wysypać, o co najłatwiej po pierwszym lepszym deszczyku, a przytem i grochowiny czem rychlej zeżęte, tem więcej mają pożywności w sobie. — Na drugie wam odpowiem, iż musicie wiedzieć, że groch bardzo mało grunt wycieńcza i o wiele mniej niż pszenica, a to z tej przyczyny, że grubsze i mięsistsze łodygi i liście grochowe nabierają więcej pożywienia z powietrza, niż cienkie i suche łodyżki zbożowe, co prawie wszystko z ziemi wysysają. Jeżeli więc grunt jest żyzny, a był przedtem dobrą uprawą rozpulchniony i należycie oczyszczony z chwastów—jeżli też i zbiór grochu wcześnie nastąpił: to możesz śmiało siać oziminę na grochowisku i ślicznie ci wyrośnie. —

Ledwie tych słów ostatnich ksiądz proboszcz domówił, aż ci tu zaturkotało, trzasło z bata, i wózek jakiś zatoczył się na podwórko plebanji. Wojciech wstał z ławki, a uściskawszy dobrodzieja za kolana, rzecze:

— Ot, ktoś z sąsiedztwa przyjechał do jegomości w gościnę, więc ja już dalej nie zawadzam, a dziękuję ślicznie za tak dokładną naukę.

— A zrozumieliście wszystko dobrze? — pyta dobrodziej.

— O, zrozumiałem!

— Więc róbcie jak wam rzekłem mój Wojciechu, a pan Bóg niezawodną obfitością pracę waszą pobłogosławi! —

To rzekłszy powstał ksiądz proboszcz i witał się serdecznie z świeżo przybyłym gościem, a Wojciech szedł myślący do domu, i wziął się potem sumiennie do uprawy grochu, i zapłacił mu pan Bóg plonem najobfitszym, jakim niech i wszystkich błogosławi, co się oto pod wiosnę do szczerej pracy w polu zabierają.

RÓŻNOŚCI.

Jaki to w Rosji wielki zysk z lipowego łyka mają. Każdy kraj opatrzył pan Bóg jakimś darem w obfitości, który wynagradza inne niedostatki. Słyną Węgry z wina, Polska z pszenicy a Rosja z dziegciu i skór. I tak każdy kraj; ale oprócz głównych płodów, jest jeszcze dużo innych drobniejszych, które się także nie mało do zbogacenia narodu przyczyniają. Bo każdy człowiek zamieszkawszy jaką ziemię, patrzy i przemyśliwa, jakby z niej największy zysk mieć: to też Węgrowie nie samo tylko wino uprawiają, Polacy nie same zboża sieją, a Moskale nie samo skóry wyprawiają i nie sam tylko dziegieć palą. I taki człowiek albo i naród cały, który ze swej ziemi największe ciągnie korzyści, nazywa się p r z e m y ś l n y m i powiadają że u niego kwitnie p r z e m y s ł.

Otóż kraj moskiewski co go to Rosją nazywają, jest zimny, nieurodzajny i bardzo lesisty, dla tego też z rzadka zamieszkały. Żyto i pszenica tylko z biedą się rodzą. Za to mają puste stepy niezmierzone i nieprzebyte lasy lipowe; więc hodują dużo bydła i wyprawiają skóry a w lasach palą dziegieć, które to towary po całym rozchodzą się świecie. Oprócz tego umieją Moskale bardzo dobrze korzystać z tych wielkich lasów lipowych, obdzierając korę czyli łyko i wyrabiając z tego różne rzeczy, jak wam to zaraz opowiem.

W tych miejscach gdzie się obdzieranie łyka co rok regularnie odbywa, wyrusza na wiosnę cały lud ze wsi, a to w maju lub w czerwcu, za nim jeszcze sok w drzewa wstąpi i udaje się z żonami, dziećmi i końmi w lasy. Tam we wielkiej pracy, grzęznąc nieraz po pas w błocie i oganiając się od nieprzeliczonej ćmy złośliwych komarów, przepędzają kilka tygodni; przez ten czas ścinają lipy i obdzierają korę. Potem kładą nagromadzone łyko do wody, podobnie jak u nas konopie, gdzie aż do późnej jesieni, bo do pierwszych mrozów leżeć musi. W końcu września lub na początku października wydobywają go z wody i suszą na wolnem powietrzu, a za nastaniem sanny, na co w onym kraju nie trzeba długo czekać, zwożą do domu. Tu dopiero znoszą do ciepłych izb, a gdy doskonale uschnie, rozdzierają na cienkie tasiemki i plotą z tego bardzo zręcznie przeróżne maty i rogóżki, i mają robotę przez całą długą zimę. Z jednej lipy będzie cetnar łyka, a dwanaście albo trzynaście rogóżek. Obrachowali że w północno-wschodniej Rosji co rok siedemset tysięcy lip ścinają, z czego nieprzeliczona ilość rogóżek się wyrabia, a co wszystko na nasze pieniądze rachując, około sześć miljonów ryńskich dochodu przynosi. Rozchodzą się te maty moskiewskie i rogóżki nietylko po całym kraju ale i za granicę bardzo dużo tego w handel idzie.

Otóż to taka marna rzecz, jak łyko lipowe, tak wielkie korzyści przynosi, skoro go człowiek pracą a zręcznością na różne potrzebne rzeczy przerobi. To samo rozumie się o wszystkich płodach ziemi nietylko w Rosji ale i w każdym kraju.

Za tanie pieniądze psy mięso jedzą. Sprawdziło się to przysłowie na dwóch gospodarzach, którzy sobie na

jarmarku od ladajakiego majstra ladajakie buty, ale zato tanio pokupili. Bo też to osobliwy był ten majster: nie szewc żaden ale stróż nocny. Otóż posłuchajcie jak to było.

Pan Filip za młodu sługiwał wojskowo i przyzwyczaił się do próżnowania; a że przytem i zdrowia trochę naszargał po świecie, więc jak wrócił do wsi nie mógł się żadnej uczciwej roboty uczepić, tak już był od tego odwyknął. Widząc gromada, że człowiek marnieje, postanowili składać się na niego, a że to wojskowy więc odważny, uradzili zrobić go stróżem nocnym, aby chat i dobytku od ognia i złodzieja pilnował. Więc pan Filip w dzień spał a w nocy śpiewał po wsi; i nie można powiedzieć żeby źle pełnił swoją powinność. Ale z czasem zaczęło mu się przykrzyć takie ciągłe próżnowanie, i przyszło mu do głowy żeby się jaką lekką robotą rozerwać. Więc pomyślał sobie pan Filip:

— Jak to dobrze być szewcem! kupi skóry, podłubie jakiś czas, i ma za to pieniądze. Ej, i mnie by się zdały pieniądze!

A że to był człek zarozumiały i lubił się chwalić, jak to we wojsku wszystkiego uczą i nie ma takiej rzeczy, którejby żołnierz zrobić nie potrafił — więc kupił zaraz skóry i wziął się do roboty. Ludzie się śmiali z niego, ale on chciał na swojem postawić i zostać szewcem. Pokrajał skórę podług starego buta, zamknął się w swojej komórce i zaczął szyć. Ciężko mu to szło, ale on się też bardzo nie sprzeciwiał, i tak po dwu tygodniach zrobił dwie pary butów i wyniósł na sprzedaż. We wsi nikt niechciał kupić, bo się wszyscy bali, wyniósł tedy pan Filip swój towar na jarmark; a że się nie bardzo drożył, więc mu się kupcy zaraz nawinęli i on te buty sprzedał. Poszedł potem prosto do karczmy i tam ludziom ze swojej wsi pokazywał pieniądze za buty i wszystkim rozpowiadał, jaki z niego dobry majster, żeby mu dawali robotę. Aż tu niezadługo przychodzi jeden z tych co od niego buty kupili, a ujrzawszy pana Filipa woła:

— Bójcie się Boga, człowieku! jakieście wy mi buty sprzedali; a tom ledwie kawałek uszedł, zaraz mi się rozlazły!

Na to pan Filip nic się nie zmieszał, ale opatrzywszy buty, pyta:

— A smarowałeś je ty człeku?

— Com zaś miał smarować, odpowiada tamten, buty nowe nie potrzebują smarowidła.

— Jaka to bestyja! krzyknie pan Filip, ja nie smaruję, on nie smaruje, i nie mają się buty rozleźć.

Wszyscy się zaczęli śmiać, a że to powiadają: oczy widziały co kupowały, więc też i on nieborak ze stratą musiał odejść.

W tem wchodzi drugi i to samo prosto do pana Filipa z krzykiem: że mu złe buty sprzedał, bo mu się już popsuły.

— A smarowałeś je ty człeku? pyta znowu pan Filip.

— Com nie miał smarować, przecie wiem, że nowy rzemień trzeba zawsze wysmarować.

— Jaka to bestyja! zawoła pan Filip, ja smaruje, on smaruje, i nie mają się buty rozleźć.

Tu się już nikt nie mógł od śmiechu wstrzymać, że się tak dowcipnie drugiego kupca pozbył; ale mu się już drugi raz sztuka nie udała, bo się wszyscy dowiedzieli, jaki z niego majster.

Niechże sobie ztąd każdy pamięta, że za tanie pieniądze psy mięso jedzą.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 10.

1. Kwietnia. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tajemnicze kwiaty.

Dwóch aniołów z przyjściem wiosny zstąpiło na ziemię, aby się ucieszyć skrzętnością i pracowitością ludzi. Zatrzymawszy się przed łanem jakiegoś bogacza, który całą równinę pokrywał, patrzali na chwiejące się pozłociste kłosy, mające wkrótce wydać plon bogaty.

Obok łanu bogacza był wązki zagon, uprawiany potem i ręką jakiegoś ubogiego rolnika. Rzadkie i chude powschodziły tam kłosy, nieobiecujące wielkiego plonu; gdyż biedny rolnik niemając czem sprawić ani zasiać, zdał wszystko na opatrzność bożą.

Aniołowie spojrzeli po sobie i jeden ozwał się:

— Powiedz czemby można człowieka poruszyć, aby uboższemu od siebie sąsiadowi udzielił coś z darów bożych, które nań obficie spłynęły?

— Podsunę mu dwa godła, dwa kwiaty zasieję w zbożu, których piękność i kształt uroczy tajemniczym i znaczącym głosem przemówią do niego. Jeden będzie niebieski jak błękit niebios, dla tego, aby oczy swoje tam zwracał, zkąd płynie

wszelkie błogosławieństwo i pożytek: drugi będzie świecił jak płomień miłości, z pośród złocistych kłosów, przypominając człowiekowi, że ofiara Bogu najmilsza jest ta, kiedy kto zbytek swych bogactw z ubogim podzieli.

Tak mówił anioł, i kazał rosnąć błękitnym bławatkom i czerwonemu makowi pomiędzy złocistemi kłosy; towarzysz jego radował się pięknością tych kwiatów, i oba wziąwszy się za ręce, przebiegali wzdłuż i wszerz łany wszędzie, rozsiewając mak i bławatki

Lecz kiedy przybyli nad wązki zagon ubogiego rolnika, w te słowa odezwał się drugi anioł do swego towarzysza:

—Obdarzyłeś bogacza miłym podarkiem, teraz na mnie kolej, abym ubogiemu pamiątkę zostawił.—I nachylił się ku ziemi, i zasadził drobny kwiateczek, który wyglądał jak oczko proszącego o litość. Kwiatek ten nazywał się niezapominką: przeznaczeniem jego było przemawiać za ubogimi do serc bogaczy.

Z zadumieniem patrzał pierwszy anioł na malutki kwiatek, w końcu westchnął i rzekł:

— Oby tylko syn szczęścia, przechodząc koło ubożuchnego zagonu, mógł cichą prośbę zrozumieć, usłyszyć jęk niedostatku. Dla tego, bracie mój — tu oko jego zabłysło nieograniczoną miłością — dodajmy do tych kwiatków jeszcze inny, któryby bogaczowi przypomniał, że przed Bogiem niema różnicy, i że Bóg chce braterstwa między swemi dziećmi. — I to rzekłszy, uszczknął z swego wieńca gałązkę, złączył ją z gałązką drugiego anioła, i zasadził w ziemi kwiatek dwoistej barwy, zwany powszechnie bratki. W mgnieniu oka kwiatek się rozkrzewił, tak po łanach bogacza, jak na zagonie ubogiego.

Owóż kiedy ubogi rolnik przyszedł oglądać owoc rąk swoich, jakże mu się wszystko miłem wydało, jaka słodka nadzieja wstąpiła w jego serce! Złożył ręce i wznosząc je do nieba, zawołał:

— Chwała ci Panie! dziękujemy ci za to, co nam dajesz; jeżeli zbiór nie wystarczy na chleb dla mojej żony i dziatek, wzbudzisz litość w sercach bogaczy i podzielą się z nami jak z braćmi.

Kiedy zaś nadszedł czas żniw, a bogacze oglądali obfity plon, jeden z nich zawołał, wskazując na tajemnicze kwiaty:

— Zkąd się to niepotrzebne zielsko wzięło? — I zaraz kazał wyrwać i spalić.

Drugi zaś bogacz słysząc to, zadumał się głęboko, i zrozumiał, co mówił do niego kwiat błękitny; a gdy czerwony postrzegł, stanęła mu na myśli ofiara miłości. Poczem poszedł ku zagonowi ubogiego i tam ujrzał niezapominkę i bratki: ten widok wytłumaczył mu tajemną wolę opatrzności; jakoż zaraz udał się do biednego sąsiada, i tyle mu dał zboża, że przechodziło prawie potrzeby jego rodziny.

(*Cz. P*)

Utrapienie.

Lecą z ciepłych wód żórawie całe rozśpiewane,
Płyną moje latka młode jak fale wiślane;
W krzyku waszym pełno szczęścia srebrne wy żórawie,
A mnie łza się u rzęs wiesza jak rosa po trawie.
Hej, uciszcie wasze krzyki,
Moje wesełyki!
Dam wam słomy, mchu leśnego,
Dam wam sianka zielonego,
Dam wam puchu łabędziego
Do gniazdeczek, na posłanie,
A wy mi też dajcie za nie
Jaki krzyk na zaklinanie
Serca stęsknionego!...

— Ej, nie będę myśleć o tem
Jeszcze do niedzieli;
Jędyk myślał — i cóż potem?
Głowę mu ucięli!

Gdzieżeście wy moje latka, lateńka dziecięce,
Kiedy mię to małą brała mateczka na ręce?
Takam sobie wtedy była wesoła i pusta,
Że tańczyły kwiatki ze mną, wiatr całował w usta...
A dziś, a dziś miły Boże,
Śmiać się nie pomoże!
Już em rosła, jak kłos żyta,
Każdy mi coś w oczach czyta,

I serczysko o coś pyta —
A kukułka, ta znachora,
Jak mi jęła kukać wczora,
To kukała do wieczora
W dębince ukryta.

— Ej, nie będę myśleć o tem
Jeszcze do niedzieli;
Jędyk myślał — i cóż potem?
Głowę mu ucięli.

Dwie jaskółki gniazdko sobie ulepiły w sionce,
Deszcz im glinę przygotował, wysuszyło słońce;
A co śpiewek, co zalotów! miło im być musi
Tak we dwójkę — niebo, wiosna i kącik milusi!
Tyle biedy na mą głowę,
Na maleńką głowę!
Z żalu zbladłam już jak chusta,
Kwiatki nudne, ja nie pusta,
Wiatr całować nie chce w usta...
Smutno, nudno i nieznośnie,
A tu na złość wszystko rośnie,
Wszystko garnie się ku wiośnie
Co ma inne gusta!

— Ej, nie będę myśleć o tem
Jeszcze do niedzieli;
Jędyk myślał — i cóż potem?
Głowę mu ucięli!

Halka z Podgórza.

Chrzestna matka.

W przysiołku Kalinicy żył sobie gospodarz trzeźwy, pracowity, pobożny: jednem słowem, dobre chłopisko, że, jak to mówią, można go było i na ranę przyłożyć a nicby nie bolało. Miał on pracy dosyć i mógłby kilkoro ludzi wyżywić, okryć i pomieścić przy sobie; ale otóż brakowało mu właśnie tylko to do szczęścia, że mu Pan Jezus nie dał ani syna, ani córeczki. W całej chałupie było ich dwoje tylko: on na imię Maciej, i żona na imię Maryna; było tam i dwoje sług, ale cóż, sługa to nie dziecko

gazdy. Więc gospodyni Maryna jak była dobrą żoną i pracowitą gospodynią, tak też była i miłosierną dla ubogich: na około proszono ją na każde prawie wesele to za starościnę, to za swaszkę, a dobra Maciejowa nie odmówiła nikomu; a gdzie była na weselu, to tam zawsze było pięknie, bez pijatyki, bitki i obrazy boskiej. Aleź i chrzciny w Kalinicy nie obeszły się bez niej. Miała ona sznurek w skrzynce, a na tym sznurku było już jakie ze czterdzieści guzów, a gdy ją kto pytał:

— Na co wy to Maciejowa trzymacie ten sznurek?

To ona mu odpowiadała:

— Czy ty nie wiesz o tem, że ja sobie znaczę, ile to ja dziatek trzymała już do chrztu świętego? Ile guzów na tym sznurku, tyle dzieci przeszło przez moje ręce; a jeźli mi które zabrał Pan Jezus, to widzisz, zaraz należący doń guzek czernię węglem, i już od chwili śmierci wymieniam jego duszyczkę w każdym paciorku, i daję za nią jałmużnę.

I umiała Maciejowa na pamięć wszystkie imiona dzieci, a gładko, bez omyłki i zająknienia się. A były tam niektóre guzki malowane na sznurku, i gdy ją kto spytał o to, to ona rzecze z radością:

— Widzisz, moje dziecko, to znaczy, że te dzieci są szczęśliwe, albo się już pożeniły, albo poszły za mąż, i nie potrzebują już mej pomocy. I za nich ja się modlę.

Ale trzy ostatnie guzy na sznurku były razem związane i naznaczone, a gdy ją pytano, coby to miało znaczyć, ona z płaczem gadała:

— To są troje dziatek naszego bliskiego sąsiada Szymona Wilka, z których ja dwoje do chrztu świętego trzymała. Oj, sąsiad to sąsiad, pożal się Boże, że to katolik! W domu jego ani składu ani ładu, żona jego biedna i chorowita baba, a on sam kawałek zbijacza i pijaka, a dzieci jego to tak, jakby nie miały ojca, to sieroty biedne, bo cóż im po takim ojcu?

I zaprawdę, bez żadnej obmowy mówiła Maciejowa, bo ten Wilk nie był dobrym gazdą, nie był dobrym ojcem, nie był dobrym człowiekiem: gdyż kto o swoje nie stoi, kto gruntu i roboty nie pilnuje, to już wielki ladaco! A kto i dziatki swoje za nic nie trzyma i o wychowek ich nie dba, to gorszy od psa,

bo każdy piesek wykarmi i wygrzeje swoje psięta, a dopiero jak podrosną i umią sobie jeść wynaleźć, odchodzi je i pozostawia opiece bożej i ludzkiej.

Poczciwa Maciejowa, jako chrzestna matka, płakała za temi sierotami jakby za swemi rodnemi dziećmi, a ile razy one przyszły do niej, to nalała gotowanej strawy, albo mleka na miskę, postawiła na stół, podała łyżki do ręki i kazała się temu sieroctwu pożywić. Potem wzięła letniej wody z garnka, obmyła te dzieci brudne, poczesała im główki, i poszła do komory, otworzyła skrzynkę, a wyjęła przerobione koszulki i oblekła w nie swoje chrzestniaki sierotki. A gdy te dzieci wyglądały ładnie, to ona brała ich rączki i głaskając po głowach, mówiła:

— O biedne wy biedne, moje sierotki! Ojciec pijak, matka wasza chora leży, a wy bez ogarnienia! — I tak płacząc nad temi dziećmi, ocierała sobie zapaską łzy i cieszyła ich:

— Nie zginiecie wy, dopóki się tylko moje ręce ruszają, dopóki was moje oczy widzą, dopóki wasz płacz moje uszy słyszą, dopóki mnie wam udziela życia Pan Jezus!

A gdy to mówiła, dzieci objęły ją rączkami to za ręce, to za szyję, i całując ją gadały zapłakane:

— O nie opuszczajcie nas też, chrzestna matko, bobyśmy nie jadły i pomarły z głodu, bobyśmy chodziły odarte, bobyśmy i paciorka nie umiały, bobyśmy nie znały, gdzie Pan Jezus i Panna najświętsza, bobyśmy nawet do kościoła nie trafiły.

Więc dobra Maciejowa rzecze im na to:

— Przychodźcie tu do mnie każde rano, w południe i wieczór, a ja wam podam co do zjedzenia, a potem zaniesiecie też co i matce chorej; zmówię z wami paciorek, abyście go nie zapomniały, a co sobota ogarnę was z brudu, aby się was jakie robactwo nie czepiło, a pamiętajcie też pilnować chorej matki, podać jej wody, nakryć ją, oganiać z niej gałązką muchy i posłużyć jak zawoła.

I chodziły codzień sieroty do chrzestnej matki, a ona nie dosyć, że nakarmiła strawą, ale zawsze wtrąciła za pazuchę to odrobinę sera, to kawałeczek chleba, to suszkę z jabłek, to rzepę lub marchew, a jak sieroty wyszły z jej chałupy i prze-

łaziły przez płot, to ona sama przesadziła każde swoją ręką, jeszcze pogłaskała, a wracając do sieni, patrzyła zpoza drzwi za niemi i mówiła:

— Toć ja biedna, nie mam swego dziecka, ale miałoby moje dziecko mieć takiego ojca jak te sierotki, to lepiej że mi Pan Jezus nie dał dzieci!

I sprzątała sobie Maciejowa po chałupie, a potem sama pobiegła zaglądnąć do chorej Szymkowej, która leżała wyschła i żółta, jako liść w zimie, a leżała na ziemi, pod nią trochę barłogu, na niej czarna podarta koszula, przykryta starym kożuchem, włosy zmierzwione i na pół w kołtun zwinięte, a twarz ciemna, jakby ją kto węglami popruszył. Maciejowa się pyta:

— A gdzież Szymek, wasz chłop?

Na to Szymkowa stłumionym głosem:

— Albo ja go widziała! Ja go od tygodnia nie widziała. Wszak wy wiecie, że grunt już zastawiony, a krowiny sprzedane. Ani łyżki mleka własnego już od roku nie widziałam, tylko wodą żyję i tem, co mi ludzie podadzą. Niech wam moja Maciejowa Pan Jezus zapłaci za to, że wy pamiętacie o mnie, ale najwięcej za to, że pamiętacie o moich sierotach. Ja czuję to, że nie długo umrę, więc bądźcie wy też łaskawi pochować mię w jakiej takiej trumnie i koszuli, aby mię Szymek nie pochował tak, jak mię widzicie.

Odtąd Maciejowa więcej jak zwykle pamiętała o chorej kumeczce, a gdy ta umarła, Maciejowa kazała zdjąć tarcice, co wisiały pod dachem, i zrobić trumnę, dobyła cieńką koszulę swoją, którą miała od ślubu jeszcze i oblekła w nią swoją nieszczęśliwą kumeczkę i pochowała ją, jak to chrześcijanie się chowają, nie z paradą, ale zawsze uczciwie.

A gdy wracała z smętarza, prowadziła za ręce dwoje sierót zapłakanych, które przyszły przed swoją chałupę i tak gadały:

— Po cóż my tu idziemy! Tu mamy pościel po matce, tu jej łzy po ziemi rozrzucone, tu ona trzy lat przestękała i przepłakała, a my z nią płakały. Cóż my tu biedne mamy robić?

A Maciejowa mówi:

— Ja was wszystkie wezmę do siebie, bo ja wasza druga matka po chrzcie świętym, bo tak każe robić pan Jezus; jak rodzice nie dbają o dzieci, to powinni chrzestni ojcowie o nich dbać jakby o swoje. Ale ja pierwej o tem pogadam z moim chłopem.

Więc wieczorem gdy Maciejowa siedziała na progu w sieni, a obok niej stary Maciej, tak się do niego odezwie ona litościwa kobieta:

— Wiecie co, stary ojciec, weźmy te dzieci po Szymkowej do siebie; tażto wyście trzymali jedno, a ja dwoje do chrztu, ot niech się chowają przy nas, a my tam na tem nie stracimy wiele!

A Maciej kiwa głową i mówi:

— Toćby wypadało nie inaczej zrobić, bo my tym dzieciom teraz najbliżsi, bo my im po Panu Jezusie i po chrzcie świętym tak jak ojcowie. Ale kiedy to nie zawsze tacy odpłacają ci dobrem za dobre.

— Co tam gadacie — rzecze Maciejowa — ale Pan Jezus płaci, a co u niego zapisane, to już nie zmazane! U niego płaca nie przepada.

Więc Maciej rzeknie:

— No, to sieroty weźmiemy, ale trzebaby im uratować i grunt i chałupinę, by tego Szymek do reszty nie przepił.

I zrobili uczciwi Maciejowie wszystko dobrze. Sieroty przyszły do ich chałupy nie na służbę ani na poniewierkę, ale aby nie zmarnowały się ich dusze i ich ojcowizna. Jak na to, zapił się też był podonczas Szymon okropnie, i pewnego ranka znaleziono go przy drodze bez ducha; więc Maciej poszedł do sądu, wziął sierot ojcowiznę w opiekę i rok rocznie obsiewał ich grunt i poszywał chałupinę sierocą, i poprawiał płoty i zbierał i składał do kupy, a sieroty rosły i wyrosły na duże dziewczęta.

— I gdzież one teraz? — zapytacie.

— Oto stary Maciej wydał wszystkie trzy sieroty za mąż, a Maciejowa dała wiano. A zkąd to wiano? Oto trzynaście lat opiekowali się temi sierotami dobrzy chrzestni ojcowie, i złożyli z gruntu sierocego trzysta reńskich jak do krajcara su-

miennie i uczciwie, i dotrzymali na nich grunt i chałupinę, i nastąpił podział taki: najstarsza wydana Kasia wzięła grunt z chałupą, a dwie młodsze Zosia i Marysia dostały po 150 reńskich na rękę, a Maciejowa dała po krowie jednej. I są te sieroty dziś szczęśliwe i nie biedują.

A stara Maciejowa cieszyła się tem, jakby szczęściem własnych dzieci! A gdy Maciejowie pomarli, to sieroty pochowały ich poczciwe kości z płaczem, wystawiły na ich grobie kapliczkę z frasobliwym Panem Jezusem, a teraz co miesiąc odprawia się nabożeństwo za Maciejów dusze, a co niedziela zobaczyć możecie na ich grobie drobne dzieci i kobiety. I któż to taki? Ota Kasia, Zosia i Marysia idą tam z swemi dziatkami i razem klękają na grobach Maciejów, i gadają dzieciom:

— Tu leżą wasi dziadkowie, od nich macie życie i przyodziewek, to są ci, za których się w domu rano i wieczór modlicie.

A dziatki się pytają:

— A czy dziadzio i babcia w niebie?

A matki odpowiadają:

— A gdzieżby indziej mogli być tacy, jak byli wasi dziadkowie? Wszak takim dobrym obiecane niebo!

Niech im tam da niebo Pan Jezus miłosierny, a wy moi ludzie róbcie tak, jak robili ci Maciejowie, bo trzeba wam wiedzieć, że na tym sznurku było dziesięć guzków czarnych a reszta czystych, to jest dziesięcioro dzieci umarło z tych, które Maciejowie do chrztu trzymali, a reszta żyły wszystkie i nie było tam ani jednego, coby nie miało pomocy jakiej od chrzestnych ojców, a osobliwie od swej chrzestnej matki.

Ks. Wojciech z Medyki.

Ciekawy Wojtuś.

Kawa.

Całą zimę słabował pan rymarz Walenty: to się podnosił na chwilę, to się znowu kładł, i aż dopiero pod wiosnę, kiedy wietrzyk ciepły zaczął budzić wszystko ze snu zimowego, obudziło się i zdrowie w piersiach pana rymarza, ściągnął się już

zupełnie z łóżka, i powoli wychodził przed dom na ławkę, krzepiąc się świeżem powietrzem. Z wielką troskliwością chodziła pani Walentowa koło męża w czasie jego choroby, a Wojtuś, bywało, siadał nieraz przy ojcowskiem łóżku i płakał sobie rzewnie, bo nie miał go kto pouczyć w tem i owem, nie miał mu kto pożyteczną gawędką rozpędzić długich zimowych wieczorów.

Radość też była wielka, gdy pan Walenty jął już wychodzić przed dom na ławkę, z dnia na dzień widocznie krzepiąc się na siłach. Drzewa pękały i zielono robiło się po świecie, więc nieraz, bywało, wyniesie pani Walentowa i mały stolik przed ławkę, a na nim postawi szklaneczkę kawy mężowi na śniadanie, bo on, niebożątko, nie mógł jeszcze wiele jadać, i tyle, co szklanką kawy a odrobiną mięsa na dzień się pożywił.

Nadeszła niedziela. Pan Walenty usiadł rano jak zwykle na swej ławce, a Wojtuś, że to w święto szkoły nie bywało, przysiadł się do ojca, i tak obadwaj cieszyli się bożą pogodą, gdy oto pani Walentowa wyniesła szklankę kawy z bułką na talerzyku, i postawiła ją na stole przed mężem.

— Bardzo mię krzepi ta kawa — rzeknie pan rymarz do żony — ale cóż, nie będzie ją można tak pić bez ustanku, bo dużo kosztuje.

— Ej, nie turbuj się, nie turbuj! Wystarczy jeszcze na dość długo, a byle tylko na zdrowie ci wyszło — odpowie Walentowa.

A pan Walenty na to:

— Bo to tak się zdaje, odrobina kawy! Ale to i cukru zaraz do tego, i śmietanki, a wszystko kosztuje...

— Nie gderaj stary, nie gderaj! Kosztowniejsze zdrowie jak kawa i cukier. A gdyby nie twoje rzemiosło i nie twoja praca, to z czegóżbyśmy żyli? A gdyby nie grosz z twojej pracy oszczędzony? To za to sobie jeszcze żałujesz?

Więc pan rymarz ucichł i zabrał się do kawy, a żona terkocząc to niby swoim zwyczajem, wróciła do izby krzątać się wedle obiadu, bo niezadługo zadzwonią na sumę, i trzeba pójść złożyć gorące dzięki Panu Bogu za tydzień szczęśliwie przeżyty.

Ciekawy Wojtuś siedział w milczeniu, i przypatrywał się

ojcu pijącemu kawę, a myślał sobie przytem, zkąd też ta kawa, i co tam w niej dobrego, że ją tak ludzie wszędzie piją? A że to u Wojtusia wszystko co w myśli to i na języku, więc dalejże się wypytywać ojca o kawie, a pan Walenty miarkując, że to jeszcze z godzina wolnego czasu przed nabożeństwem, tak jął synowi opowiadać:

— Kawa, jak my ją tu dostajemy, jestto nasienie z drzewa, którego najwięcej rośnie w *Indjach* i *Arabji*, w krajach ciepłych daleko od nas na wschód położonych, a nawet zgoła w innej już części świata, co się *Azją* zowie. Drzewo kawowe bywa od dziesięciu do piętnastu łokci wysokie, a tylko wtedy mniejsze, gdy go obetną od wierzchu dla urodzajności. Pień jego jest szarej barwy jak u naszej grabiny, a gałęzie smukłe wyrastają parami od wierzchołka aż do spodu, i tak są na dół opuszczone jak naprzykład u naszego świerka, tylko że niema na niem jak na świerku igieł, ale są listki podłużne, połyskujące, które tak samo jak i gałązki parami naprzeciw siebie wyrastają. Drzewo kawowe kwitnie, jak wszystko w onych krajach, dwa razy do roku, a kwiat jest biały pachnący i tyle go zawsze na drzewie, że niby śniegiem opruszone stoi, podobne w tem do naszej jabłoni, gdy bujno zakwitnie. Atoli nie długo tej pociechy; po dwóch dobach kwitnięcia opada każdy kwiateczek, a powstaje z niego owoc, w kształcie jagody czerwonej, w której dwa na pół płaskie ziarnka się znajduje. W *Indjach* sadzą bardzo wiele kawy, a uprawa jej nie jest zbyt uciążliwa: drzewka w trzecim roku zaczynają już rodzić, i odtąd przez sześć lat bujny wydają owoc, aż dopiero w dwudziestym roku zupełnie rodzić przestają. Do bujnego wzrostu potrzebny im cień; czynią więc mieszkańce owych krain tak, iż sadzą kawę między innemi, wyższemi drzewami, a te ją chronią od zbytniego słońca.

Już w grudniu i styczniu zaczynają otrząsać źrały owoc na podłożone płachty; ale najobfitszy zbiór jest dopiero w maju. Otrząsłszy one czerwone jagódki, suszą je potem robotnicy przez kilka tygodni, liśćmi pod noc nakrywając, a potem na osobnych do tego młynach wyłuskują ziarnka ze środka, i tak przebrawszy co brzydsze a co piękniejsze, pakują do ogromnych worów.

Piękna i dobra kawa jest zwykle w małych, twardych, zielonawych a pachnących ziarnkach. Widzisz, mój Wojtusiu, anibyś sobie nie był pomyślał, jaką to długą drogę ta kawa przechodzi, zaczem tu do nas się dostanie!

— A proszę taty — odezwie się Wojtuś — a jakże się tu nasi ludzie dowiedzieli, że tam kawa rośnie, tam gdzieś aż w onych ciepłych krajach?

Pan Walenty podumał trochę, a wreszcie rzecze:

— Długa to historja, mój synu; no, ale ci ją tu choć po krótkości opowiem. — Na jednej pustyni w Arabji stał klasztor muzułmański, a w nim tamtejsi xięża, co ich *derwiszami* zowią, zwykli się byli modlić przez całą noc w świątyni. Ha, ludzie nie święci, często się też zdarzało, że nie jeden z owych derwiszów przy modlitwie zasnął. A gdy się to raz i drugi powtórzyło, tak jął przełożony owego klasztoru przemyśliwać, jakby tu temu zaradzić? I tak myślący o tem wyszedł sobie na pole, gdzie rosły drzewa kawowe, i uważał, że kozy najadłszy się liści z kawy, dziwnie były wesołe i figlarne. Przyglądał się temu przez kilka dni przełożony klasztoru, i wnet się przekonał, iż to nic innego, tylko liść z kawy kozy tak żywemi i trzeźwemi czyni. Postanowił więc spróbować kawy do picia, a widząc że otrzeźwia, trzeźwił nią potem siebie i swoich derwiszów.

Trudno wiedzieć, kiedy się to stało, to jednak pewna, iż jest już lat blisko czterysta, jak w onych ciepłych krajach kawę powszechniej pić zaczęto, a najwięcej używali jej derwisze, modły w nocy odprawiający, bo ich to bardzo krzepiło. Owóż pewien rządzca Egiptu, widząc, że kawa między ludźmi bardzo się rozpowszechnia, zwołał mądrych mężów na radę, i pytał ich, czy kawa szkodliwą jest zdrowiu, czy nie? Długo ci się namyślali i radzili, aż nareszcie powiedzieli iż jest szkodliwą zdrowiu. Więc ów rządzca zakazał surowo pić i sprzedawać kawę, wszystkie zapasy tego ziarna, jakie tylko były, spalono, a każdego, komu dowiedzionem zostało, iż używał kawy, sadzano na osła twarzą do ogona, i tak go oprowadzano po mieście.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Wojtuś — to pięknie musiało wyglądać.

— A i tak nic nie pomogło — ciągnął dalej pan rymarz — bo ludzie zasmakowawszy już w kawie, porzucać jej nie chcieli, a więc i wszystkie one zakazy, jako daremne, wnet odwołano. Jakoż rozpowszechniała się bardzo kawa u Arabów, u Turków i w innych wschodnich krajach, a choć jeszcze nieraz przeciwko niej występywano, i tu i owdzie zakazywano: przecież w końcu przyszło do takiego rozpowszechnienia owego napoju, iż powiedziano w prawie, że jeżli mąż żonie będzie wzbraniał pić kawę, to jej wolno natychmiast żądać rozwodu. Dopiero we dwieście lat pożniej przywieziono kawę do francuzkiego kraju i z tamtąd się powoli po wszystkich zachodnich ziemiach rozchodziła. Kłócili się i tu nieraz o to, czy kawa szkodzi czy nie szkodzi, ale coraz większe jej rozpowszechnianie uciszyło wreszcie wszystkie kłótnie. Niemcy poznali się z kawą przez pewnego Polaka, imieniem Kulczyckiego, a było to przy tej sposobności, jak król Sobieski Turków u Wiednia pogromił. Wtedy to znaleziono w obozie tureckim oprócz wielkiej ilości cukru, oliwy i miodu także i kawy nie mało, a ów Kulczycki, co w tureckich krajach bywał i kawę tam nieraz pijał, jął teraz Niemcom przyrządzać ów rzeźwiący napój, co im się tak spodobało, że niezadługo musiał całą kawiarnię założyć. Było to pod one czasy bardzo drogie picie; ale skoro zaczęli coraz więcej kawy w ciepłych krajach uprawiać, tak też przy coraz większem zniżaniu się cen coraz bardziej się rozpowszechniła.

Przestał mówić pan rymarz, ale Wojtuś ciekawy nie miał jeszcze dosyć, więc pyta:

— Proszę taty, a jakże się to skończyło: czy kawa szkodzi czy nie szkodzi zdrowiu?

— No, że nie szkodzi — przerwie pan majster — to najlepszy dowód w tem, że jej tyle ludzi używa, a nikt jeszcze z kawy nie umarł. Pić kawy bardzo wiele jest nie dobrze, bo to krew poburza, ale szklanka kawy dobrze przyrządzonej orzeźwia i wzmacnia siły, czyni umysł ludzki swobodnym i wesołym, a nie zabija tak jak ona wódka, co ją ludzie często naczczo piją i potem tylko zamiast krzepnąc leniwieją do pracy. Tym co więcej wódki pijają toby i kawa drożej nie wypadła, a o ile by ich pokrzepiła do roboty zachęcając, o tyle

więcej zysku mieliby z pracy rąk własnych. Ot, naprzykład w innych krajach ludzie po wsiach wszędzie kawę piją, a za to mają się dobrze, i rzadziej tam trafić na pijaka, co się od świtu do mroku po różnych kątach wala z zamroczoną pałką. Zresztą dla taniości sprzedają po sklepach *cykorję* w paczkach, której można przydawać do kawy, żeby była czarną i miała swoją goryczkę. Nie posiada cykorja tej mocy jaką ma kawa, dlatego sama cykorja na nic nie przydatna: ale kto chce mieć kawę tańszą, to może cykorji do niej przymięszać. Zawsze ja mówię, lepiej by to było niż owe inne trunki, co tylko głowę darmo zamącają; więcej by było rozumu i pracowitości między ludźmi a mniej obrazy boskiej...

Właśnie w tej chwili zaczęli dzwonić na sumę.

— Ot na chwałę Bożą dzwon woła! — rzekł pan Walenty i powstał z ławy, a Wojtuś za nim, i tak weszli do domu. Za małą chwilę wychodzili już wszystko troje. Pan rymarz w niebieskiej kapocie, na głowie czarna rogata czapka, a w ręku trzcina z jedwabnemi kutasami; pani Walentowa w złocistym kornecie na głowie i w jedwabnej przyjaciółce, futerkiem obłożonej; a Wojtuś nie wytwornie ubrany, owszem skromnie lecz zato chędogo. I tak szli wszystko troje z pobożnością na twarzach, i weszli do kościoła, i tam składali panu Bogu dzięki za przywiedzenie do zdrowia starego Walentego.

Grześ z Mogiły.

Ludzie postępowi i ludzie wsteczni.

Sami nie raz to mówicie, że teraz świat już nie taki głupi, że dziś i chłop już sobie na nosie grać nie da, ani się też sprzedać nie pozwoli, bo dziś już przecie niejeden czytać umie, a nie zadługo to jeszcze więcej będzie czytających — zwyczajnie oświata między ludem postępuje.

Piękna to rzecz oczywiście z tą oświatą, a jeszcze piękniejsza z tem postępowaniem w oświacie, boć w tem jest nadzieja, że coraz więcej tej oświaty będzie. Jednakże ta piękna rzecz nie wszystkim ludziom się podoba, i jest wielu takich,

którzy niechętnem okiem na to postępowanie oświaty, a nadewszystko oświaty między ludem patrzą. Przyjaciele tej oświaty nazywają się ludzie *postępowi*, a nieprzyjaciele oświaty ludzie *wsteczni*, to znaczy ludzie, którzy nie chcą postępowania ludu w oświacie, ale raczej tego, aby się lud wrócił do dawnej ciemnoty.

Aleć nie wszystko co ludzie nazywają pięknem lub dobrem jest takiem na prawdę, bo ludzie się często mylą i zwodzą, Bóg tylko i jego święta nauka mają prawdę nieomylną i szczęście rzeczywiste. Więc tak też jest i z tym postępem. Ludzie nazywają wiele rzeczy postępowemi, które niemi nie są, jak też nie wszystko to złe i wsteczne, co będzie dziś wstecznem nazywane.

Prawdziwy postęp zasadza się na ukochaniu Boga i bliźniego, czyli na wykonywaniu przykazań Pańskich. Wiara święta uczy nas, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Ojca w niebie, a więc też wszyscy bracia, wszyscy sobie w oczach Boskich równi. Dla tego też dla wszystkich ludzi powinny być równe prawa, równe dobrodziejstwa, równa sposobność do nauki, do urzędów i do wszystkiego, i tylko w miarę tego jak który okaże do czego zdatność, poczciwość i sumienie, między ludźmi wybierać trzeba.

To byłby postęp prawdziwy, bo po drugiej stronie byłaby znowu i równość obowiązków, jak jest przed sądem Boga. Czy kto możny, czy ubogi, czy wielki, czy mały, czy chłop, czy szlachcic: przed Bogiem każdy jednakowo odpowiadać i rachować się musi, ta tylko będzie różnica, że kto odebrał więcej, ten też z większego zdawać musi sprawę.

Są to rzeczy takie proste, takie stare, tyle razy w kościele z ambony powtarzane, a jednak do dziś mącą one ludziom w głowach, i mącą a kłócą porządek i spokojność po świecie.

Bo widzicie, na wielkim świecie ciągle się dwie strony z sobą ucierają: jedna strona chce rządzić i panować, a druga nie chce słuchać i tego się domaga, żeby i ona w rządzeniu miała swój głos także.

Było bowiem w dawnych czasach tak, że królowie lub cesarze sami rządzili całym narodem i naród ten uważali za swoją własność, jakby za inwentarz jaki. Do dziś dnia jest jeszcze tak w nieoświeconych krajach, lub tam gdzie napół dzikie są narody. Tacy królowie przybierali sobie do pomocy w rządzeniu różnych ludzi na urzędników lub na starszych nad wojskiem, a ci się razem z królami dobrze z tego mieli.

Kiedy jednak lud począł do rozumu przychodzić przez naukę i oświatę, kiedy poznał prawdziwą wiarę, która uczy, że wszyscy ludzie są w oczach Boskich równi, a tylko zasługa, cnota i poświęcenie godność i wartość człowieka podnoszą, wtenczas lud powoli zaczął się poznawać na tem, że on przecież nie na bydło stworzony, że w każdym człowieku jest dusza nieśmiertelna, jest podobieństwo boskie, więc też ludowi należą się prawa i należy mu się wolność, aby mógł sam nad sobą radzić.

Od tego poznawania przyszło do narzekania na ucisk, a potem do dopominania się o wolność. W końcu przyszło do tego, że i królowie i wszyscy rządzący poznali, że tak dłużej własną swoją wolą rządzić nie mogą. Rządy, w których sama wola i władza króla wszystko mogła, nazywały się *samowładne*, czyli *despotyczne* albo *absolutne*, rządy zaś takie, w których i naród czyli lud ma też swój głos, nazywają się *konstytucyjne*.

Dziś już minęły czasy rządów samowładnych. Dawniej powiadano tak: monarcha ma naród na to, żeby go ten naród słuchał i według jego woli się sprawował a żył; dziś powiadają tak: naród jest od Boga stworzony, aby znał i kochał Boga i stawał mu się coraz podobniejszym, a ten naród ma monarchę, żeby mu on utrzymując porządek w narodzie, do tego postępu dopomagał. Dawniej królowie kupowali sobie kraje, dostawali je w posagu z żonami lub zdobywali je we wojnach, albo też brali za długi, jakby kawał jakiego gruntu, na którym tylko zboże, trawa albo nieme drzewa rosną. Dziś i tego już jakoś niechcą uznawać narody i powiadają tak: Pan Bóg narody po świecie porozsadzał, każdy naród w jedno przez mowę i miłość swej narodowości i ojczyzny połączył, więc się nie należy dzieła Boskiego niweczyć, ale należy każdy naród zostawić, aby on o sobie radził i nad sobą rządy według swego serca i rozumu postanowił. Więc dawniej królowie robili sobie kraje i narody, dziś narody tworzą zarazem kraje i rządy stanowią, albo przynajmniej do tego dążą. Jest w tem postęp, bo jest uznanie w każdym człowieku godności człowieczej, równości jego w obliczu Boskiem.

Ale i dziś się to jeszcze nie wszystkim ludziom podoba, i ztąd jedni są za postępem, drudzy przeciw postępowi, jedni są ludzie *liberalni*, czyli postępowi, drudzy *reakcyjni* czyli wsteczni.

Prz. L.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 11.
11. Kwietnia 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Szymon z Lipnicy.

Są kwiateczki, biedne polne kwiateczki, na które nikt nie zważa, a które jednak tak mile i pachnąco ścielą się do nóg naszych, choć my koło nich ani pracy ani pielęgnowania nie mamy. Lecz one tego nie potrzebują; Bóg je zasiał, Bóg im wzrost daje, Bóg je przystroił w śliczne kolory i dał zapach miły. Są kwiateczki, te nocne powoje, te fijałki, jak gwiazdy niebieskie na ziemi, które napiwszy się wieczornej rosy, zwijają listki i spią z tą kropelką przy białym miesiącu, a gdy mgły nocne upadną i słoneczko na wschodzie się zbudzi, to one znowu rozwijają listki, i błyszczą swoją kroplą jak jakim djamentem, i tak kwitną i pachną, pokąd je nie zerwie ręka, albo nie zdepcze noga ludzka.

Owóż podobnie tym polnym kwiateczkom jest i między ludźmi na świecie wiele dusz pobożnych, a ubogich, któremi ludzie pomiatają, a pomiatają dla tego, że one ubogie w to wszystko co się ludziom podoba, co ludzie chwalą i lubią, ale za to bogate w to wszystko, co Panu Bogu jest miłe. Takie

dusze umieją służyć Bogu i ludziom, gotowe cierpieć dla Boga i ludzi, pełne miłości najpierwej ku Bogu a potem ku ludziom, i pełne pracy aż do samej śmierci.

Podobne życie ukryte, ciche, cierpiące i pracowite prowadzili wszyscy Święci Pańscy: jedni w klasztorach i na pustyniach, drudzy w wiejskiem ubóstwie na roli, inni znowu aż na królewskim tronie, a wszyscy Panu Bogu równo ukochani. Takim też świętym był święty Szymon z Lipnicy, nasz rodak, patron polskiej ziemi.

Onego czasu, kiedy żył ś. Jan Kanty, i kiedy do Krakowa przybył sławny święty kaznodzieja Jan Kapistran i swoją cudowną mową nauczał i nawracał tysiące ludzi a najtwardsze grzeszniki kruszył: przyszedł był także do Krakowa, aby go usłyszeć, jeden ubogi młodzieniaszek, Szymon. Był on rodem ze wsi Lipnicy, od Sącza, syn biednego chłopka. Od maleńkiego dziecka był on zawsze cichy, łagodny, rodzicom swoim zawsze posłuszny, pracowity, a w modlitwie bardzo zakochany. Pod słomianą i porosłą strzechą starej chaty rosło chłopiątko święte u biednych rodziców jakby u Pana Boga na łonie. A gdy do tej niskiej strzechy doleciała wielka sława nowego apostoła świętego, Jana Kapistrana, który kazał i nauczał w Krakowie: to Szymon wypuścił z rąk pług i motykę, odłożył na bok sierp i kosę, westchnął z wielką tęsknotą do Pana Boga, i uprosił sobie ojców, że go puścili w tę drogę, w którą go niby anioł stróż wołał. I poszedł Szymon słuchać kazania świętego kaznodziei.

A na rynku w Krakowie lud krakowski, skruszony i nawrócony cudownem słowem, zniósł na jedną wielką kupę wszystkie bezbożne książki, karty i kości do grania, flaszki od trunków pijackich i różne rozmaite rzeczy służące do grzechu i rozpusty, i podpalił to wszystko, a płomień jak słup ognisty podniósł się w niebo. Patrzał na to Szymon, a w jego sercu drugi płomień miłości bożej się zapalał, i tak jak dym rozpływa się w powietrzu, tak w nim rozpływały się i ginęły wszelkie pragnienia ziemskich rozkoszy i wszelkie uczucia inne. Nie wiele też myśląc wziął Szymon na się habit zakonny i poświęcił się cały Bogu, a kiedy ś. Jan Kapistran pożegnał i

pobłogosławił Kraków, to pobłogosławił i Szymona, aby pracował w nowem życiu i kiedyś mógł go zastąpić. Szymon wyświęcił się na kapłana w kościele OO. Bernardynów, nieustannie modlił się i martwił ciało swoje postami, biczowaniem i ostrą włósiennicą, którą nosił całe życie pod suknią kapłańską, w dzień kazał, nauczał i pomagał biednym, a w nocy się często budził i modlił, a kiedy ludzie mówili mu, aby więcej zdrowie swoje szanował, to on odpowiadał zawsze:

— Będzie po śmierci dosyć czasu do wypocznienia; teraz, pokąd czas, trzeba pracować na niebo.

Jego kazania taką moc wielką czyniły na tych co słuchali, że lud polski płacząc głośno nawracał się do Boga. A kiedy prostaczkowie pytali się ś. Szymona: co mają czynić, aby się podobać Bogu i zbawić duszę? to on odpowiadał zwykle ze słodkim uśmiechem:

— Módl się, pracuj i nie ufaj sobie.

A to się miało rozumieć: nie ufaj swoim siłom, ani swojej mądrości, ani swojej cnocie, tylko ufaj Panu Bogu, bez którego nic nie potrafisz.

Święty Szymon szczególnie czcił i kochał najświętszą Pannę, Matkę Chrystusową; to też własną ręką napisał na drzwiach swojej ubogiej celki:

— Ktokolwiek będzie mieszkał w tej celi po mnie, niech kocha bardzo najświętszą Marją Pannę.

Biedny i ubogi ten święty nic nie miał, i nie mógł zostawić w puściznie temu, kto po nim miał mieszkać, tylko tę swoją miłość do najświętszej Panny. Kiedy szedł ś. Szymon na kazalnicę, to brał ze sobą tabliczkę, na której było wypisane imię: JEZUS, i ilekroć spojrzał na tę tabliczkę, to Pan Bóg cudowną łaską zsyłał mu zawsze mądre i miłośne słowa, na które kruszyły się serca wszystkich. Źli ludzie atoli zobaczywszy tę nowość u świętego księdza, oskarzyli go, i powołano go, aby się stawił przed sąd kościelny krakowski.

Lecz Szymon spokojnie i cierpliwie zniósł to fałszywe oskarzenie, i gdy stanął przed sądem, zawołał:

— O dobry Jezu! o najsłodszy Jezu! a cóż to jest, że Imię Twoje Najświętsze idzie w niesmak? Imię, które słodsze jest

nad miód! Czemuż wzywać mi go bronią! Wszak kto używać będzie Imienia Pańskiego, zbawion będzie!

Niewinność ś. Szymona zabłysła jak gwiazda w tych słowach, a sędziowie sami się skruszyli.

Święty Szymon tęsknił na tym świecie do Pana Boga i w tej tęsknocie przyszła mu myśl, aby szedł odwiedzić grób Jezusa Chrystusa, który jest bardzo daleko, za morzem. Z kosturem w ręku, z różańcem u boku, ze łzą w oczach, puścił się św. Szymon z jednym zakonnym bratem w niebezpieczną drogę, w daleką stronę, między pogańskie narody, które go zabić mogły. Po wielkich trudach stanął nareszcie u grobu Chrystusowego, i z wielkim płaczem upadł na twarz i modlił się gorąco; a jeden anioł te łzy i modlitwy Panu Bogu przedstawiał, a drugi anioł błogosławieństwo tej modlitwy Szymonowej ze ziemi świętej przynosił, i zlewał na ojczystą ziemię świętego pielgrzyma. Szymon powrócił do Krakowa właśnie podonczas, kiedy zaraza morowa to miasto wyludniła. Bez żadnej obawy oddał się Szymon usłudze zapowietrzonych, wszędzie niósł chorym i konającym pomoc i ratunek duszny, a utrudzony tą pracą nieustanną, sam legł wreszcie na łożu boleści, i poznał, że śmierć się jego zbliża. Z radością i weselem oddał duszę swoją w ręce Boga, i poszedł się cieszyć z Nim na wieki.

Grób tego świętego jest w osobnej kaplicy w kościele OO. Bernardynów w Krakowie; a przy kaplicy jest studnia wykopana jego własną ręką. A jak ta woda od tylu wieków krzepiąca, niech i pamięć ś. Szymona służy na pokrzepienie sił ducha naszego.

O zwiastowaniu Najśw. Marji Panny.

W domku maleńkim w mieście Nazarecie,
Siedzi Maryja biedna na tym świecie,
Lecz duch licznemi łaski zbogacony
Płynie nad ziemię, w Niebiańskie swe strony.
Włos blady lekko spada na ramiona,
Ręce złożone spoczęły u łona,

Ogniem nadziemskim płoną jej źrenice;
Właśnie rozmyśla teraz tajemnice,
Które Pan swemu ludowi ogłasza
Przez swych Proroków: przyjście Mesyjasza.
— Bo teraz owa chwila nam nadchodzi,
Gdzie się Zbawiciel z pewnością narodzi:
Już dziś odjęte berło jest od Judy,
Już je niewierne przywłaszczyły ludy,
I już mijają tygodnie Daniela,
Po których mamy czekać Zbawiciela.
Teraz więc przyjdzie, teraz nam się zjawi,
Co nas od złego niechybnie wybawi. —
I cała w myślach tych nadziemskich tonie,
Cała miłością swego Zbawcy płonie.
Aż oto jasność otacza ją wkoło,
Tuż Anioł przed nią. Promieniem swe czoło
Zdobi, i tęczą swą szatę przeszywa
Snieżną, co lekko aż ku ziemi spływa.
I rzekł: — Maryjo, bądźże pozdrowiona,
Boś łaski pełna i błogosławiona
Miedzy niewiasty, i z tobą Duch Boży! —
Zadrzy Maryja i cała się trwoży
Na to przedziwne poselstwo anioła.
Lecz anioł rzecze: — Bądź wdzięcznego czoła,
Nie bój się Marjo; na cóż tobie trwoga?
Albowiem łaskęś znalazła u Boga.
I oto poczniesz, i porodzisz syna,
Nazwiesz go Jezus; przezeń wszelka wina
Zginie; stolicę Dawida posiędzie,
A końca jego królestwu nie będzie. —
Ale Maryja wciąż z spuszczonem okiem,
Z drżeniem na ustach, z zdumieniem głębokiem
To mu poselstwo nieśmiało przerywa,
I w te się słowa do niego odzywa:
— Choć niezgłębione są wyroki Boże,
Lecz męża nie znam, jakże to być może? —
Na to jej Anioł: — To Pan łaską sprawi,
Iż się na tobie moc jego objawi.
A i Elżbieta, twa powinowata,
Chociaż już mocno podeszła jest w lata,
Już szósty miesiąc jako wysłuchana,
Bo niepodobnem nic nie jest u Pana. —
Maryja drżące załamała dłonie,

Serce jej mocniej zaczęło bić w łonie,
W niebo wzrok wzniosła, padła na kolana,
I rzekła: — Otom służebnica Pana,
Niech mi się wedle twego stanie słowa,
A Pan niech w łasce mnie swojej zachowa! —
I anioł zniknął: — O Panienko święta!
Przez Ciebie droga zbawienia poczęta.
Przez Ciebie już nam słońce prawdy wschodzi,
Bo nam Zbawiciel z Ciebie się narodzi.
Tyś Matką Boga, choć nie znając męża,
Podepcesz głowę chytrego nam węża.
Przez Ciebie życie nowe się nam śmieje,
Ty w rzeczywistość przemieniasz nadzieje,
Przez Ciebie Pan nas od śmierci wybawi.
O któż Cię Panno dziś godnie wysławi?
Cześć Ci niech będzie na wieki i chwała,
Żeś się pod wolę Ojcowską poddała.
Boś przez pokorę to dziś naprawiła,
Co nam przez pychę Ewa zawiniła.
Tyś drugą Matką naszą Panno święta:
Niech też Twa dobroć i o nas pamięta,
Bośmy o Matko, o ty nasza Pani,
I twoje dzieci i Twoi poddani.

Szk. N.

Jaś czarownik.

Jeżeli ochota, to posłuchajcie, a opowiem wam moją własną przygodę, co mi się przeszłego roku wydarzyła.

Podle mej zagrody w Magierowie mieszkał mój sąsiad Wojciech Szawara, pracowity trzeźwy, i zgoła z kościami poczciwe chłopisko. Ale chciał pan Bóg w niezbadanej swojej woli, że ten nieboraczysko, zegrzawszy się przy pracy w polu, a napiwszy się prędko zimnej wody, dostał zapalenia, i będzie temu rok w same żniwa, jak po krótkiem słabowaniu życie zakończył, zostawiwszy kobietę i dwie dorastające córki w sieroctwie i wielkiej żałobie.

Było tam wtedy płaczu i lamentu co niemiara; a jaki taki uczuł boleść na sercu, bo nieboszczyk, świeć tam Panie nad jego duszą, nikomu najmniejszej krzywdy nie zrobił, gdzie go

tylko stać było, każdemu dobrze uczynił. Najsmutniej też było w domu Wojciecha; tam żałość wszystkim prawie głowy pozawracała. Zostało się bowiem dość spore gospodarstwo, a na niem wdowa z dwoma córkami, nie umiała sobie dać rady, zwłaszcza że to wtedy właśnie nastały żniwa, a tu nie było nikogo, coby na wszystko dał baczne oko i pozór. Na całym gospodarstwie był tylko jeden parobek, co niedawno nastał do Wojciechów, i na niego zaturbowana wdowa zdała się ze wszystkiem. Ale naszemu Jasiowi — bo tak owego parobka wszyscy nazywali — nic jakoś dobrego z ócz nie patrzyło. Nikt go we wsi nie znał bliżej, bo Jaś przywlókł się z poza dziesiątej góry i udawał sierotę, a że Wojciechom był właśnie na ten czas sługa odeszedł, więc Jasia przyjęli do siebie za parobka; a on się na razie jako tako zachowywał, i do wszystkiego spryt okazywał, toż nie było żadnej przyczyny na niego się uskarzać. Więc też po śmierci Wojciecha, jak powiedziałem, dozierał Jaś całego gospodarstwa.

Trzeba wam atoli wiedzieć jeszcze, że Wojciechowa była sobie poczciwą i pracowitą, ale przy tem wszystkiem nie zbyt rozgarnioną a łatwowierną kobietą. Niechby kto był jaką banialukę na śmiech puścił, oho! jużci Wojciechowa uwierzyła w nią jak w świętą Ewanielję, a potem nie lada kto mógł ją z błędu wyprowadzić. Najbardziej jednak nie podobała mi się u tej kobiety bojaźń przed czarami, i ona wiara w duchy, upiory i strachy, co to po śmierci niewiedzieć za czem mają się włóczyć po tej bożej ziemi. A wie już dziś każdy rozumny człek o tem, że z tamtego świata trudno się tutaj nazad wydobyć; bo jeśli kto poszedł na potępienie, to już go z tamtąd pewnie nie wypuszczą, a kto się dostał do wiecznej chwały, to i sam na tę nieszczęsną ziemię powrócić nie zechce.

Owóż jak na to rozeszła się była gadka po wsi, jakoby nieboszczyk Wojciech chodził po śmierci i Wojciechowa uwierzyła w to na piękne. Więc bywało, że skoro się jeno cokolwiek zmierzchnie, to by ci już żadne z chałupy nie wyszło, żeby tam nawet złodziej ostatnią krowinę ze stajni wyprowadzał. To głupie uwidzenie Wojciechowej było mi bardzo markotne, i starałem się też ją na każdy sposób z błędu wyprowadzić.

Dobry zmrok był już zapadł, kiedym w tydzień jakoś po śmierci nieboszczyka poszedł odwiedzieć nieszczęśliwą wdowę. Wszedłszy do chaty, zadziwiłem się nie po mału, gdym uwidział stół nakryty, na nim flaszkę słodkiej wódki, chleb, masło i ser, a w dwóch ogromnych garnkach przy ogniu dogotowywała się kasza jaglanna na mleku i ziemniaki. Na przypiecku siedziała sama Wojciechowa z obiema córkami, a na ławie Jaś parobek i dwie sąsiady, co mieszkały komornem w podle u jednego z gospodarzy. Skoro mnie tylko zobaczyła Wojciechowa, zaraz poskoczy ku mnie i rzecze:

— Oj dobrze mój Jacenty żeście przyszli, siadajcie też, siadajcie, to nam będzie weselej.

— Wybaczcie moja Wojciechowa — odrzeknę jej na to — jeżeli wam przeszkodziłem, bo jak miarkuję, to wy tu jakąś gościnę wyprawiacie, a ja chciałem was tylko odwiedzieć, i w smutku pocieszyć.

— Dziękuję za waszą łaskawość, i nie dziwcie się wiele bo owo drugie nieszczęście mnie się uczepiło: nieboszczyk mój mąż chodzi po nocy i straszy. Więc sąsiady odwiedzają mnie wieczorem, aby mi się nie tęskniło, a jedna nawet nocuje zawsze u mnie; toż chciałabym ich za ową poczciwość wedle możności uraczyć.

— A któż wam o tem powiedział — zapytam ja się Wojciechowej — że nieboszczyk chodzi po nocy?

— Taże już od kilku dni chodzi zawsze coś w nocy po strychu i stuka się, a onegdaj gdyśmy wszyscy spali, to nawet garnek z pułki na ziemię zrzuciło, żeśmy na drugi dzień jeno czerepy pozbierali.

Więc nato odezwie się Jaśko:

— A ja sam wczoraj, gdym odchodził spać do stajni na własne oczy widziałem, jak coś białego i wysokiego na około stodoły trzy razy obeszło, a potem parę razy ciężko westchnęło, i naraz gdzieś znikło.

— A ja ile razy powracam do domu — rzeknie co prędzej jedna sąsiada — tyle razy widzę, że coś stoi koło przełazu i płacze podobnym głosem jak nieboszczyk...

I dalejże jak zaczęli po kolei wszyscy coś o nieboszczyku

opowiadać, to się i wieczerza dogotowała, a gdy sobie podpili i podjedli, to jeszcze więcej jęli wymyślać, że biedna Wojciechowa aż się trzęsła od wielkiego strachu i bojaźni.

Nadaremnie odwodziłem ich od tego głupiego uwidzenia, i chciałem wyprowadzić które z nich na dwór, aby mi onego ducha pokazali, gdyż Wojciechowa i córki bały się nawet wyjść do sieni, a tamci reszta wmawiali we mnie, że taki duch nie każdemu się pokazuje.

Pożegnawszy więc wszystkich, poszedłem do domu, i przemyśliwałem nad tem, jakby to obałamuconą kobietę przekonać o kłamstwie, bo wiedziałem że owe darmojady i plotkarze, co to jej przeróżne banialuki prawią, całkiem ją zniszczyć mogą. Owóż na drugi dzień poszedłem znowu do niej i przeczytałem jej z Dzwonka ową historję o strachach, ta i z innych książek jeszcze co nieco, gdzie tylko jest wykryte jakie to zazwyczaj strachy bywają; ale Wojciechowa już tak była otumaniona, że mi w żywe oczy mówiła, iż nic z tego nie jest prawda, co tam po książkach stoi napisano.

Hej, hej mocny Boże, dumałem sobie, jak to głupota człowieka zaślepić może, iż mu się zdaje, że każdy rozumniejszy człowiek tylko na jego szkodę dybie i nic więcej.

Widząc też, że już niema ani rady, ani sposobu, aby Wojciechowę przekonać, odłożyłem to na później, miarkując, że się lepsza ku temu nadarzy sposobność.

A owóż i nie długo czekałem, bo we dwie niedziele jakoś przyszła do mnie sama Wojciechowa.

— No i cóż tam słychać u was — zapytałem się ją po chwili — czy jeszcze chodzi nieboszczyk?

— O mój Jacenty, taże chodzi jeszcze, chodzi, ale to nigdy jedna bieda człowiekowi nie dokuczy: bo gdzieś teraz na nieszczęście i owa czarownica Margona mleko mi od krów zabrała, i wszystko tak zwolna marnieje, nieprzymierzając jak śnieg co powoli topi się od słońca, iż nie można zobaczyć, jak go codziennie ubywa.

— I wy w to wierzycie, że wam czarownica mleko zabrała?

— A gdzieżby się ono podziało, kiedy mi się dawniej

krowy tak dobrze doiły, a teraz jakby uciął, że nawet i trzeciej części tego nie dają.

— Alboż to są gdzie jakie czarownice na świecie?—odezwę się znowu.

— A nasza Margona we wsi, co? może nie czarownica? A zkądby ona co tygodnia wynosiła ser i masło na sprzedaż, może po tej jednej starej krowinie, co ją ma? A dzieci jak pójdą do stodoły i kołek ze sochy wyciągną, to ci szczere mleko płynie ciurkiem do saganka.

— A na co lepiej — prawi dalej Wojciechowa — kiedy mój Jaś, co to jest odważny i sprytny do wszystkiego, złapał ją prawie na uczynku, a było to tak. Jeszcze za życia nieboszczyka nocował on z końmi na łące pod lasem. Zaczynało już świtać, kiedy naraz w krzakach usłyszał jakiś szelest; zaczaił się też w rowie, aby się przekonać co by to było. I pewnie nie zgadlibyście, że z lasu wyszła Margona, całkiem naga, jak ją pan Bóg stworzył, jeno co przed sobą miała zapaskę, do której zbierała przeróżne zioła i kwiatki. Mój Jaś przyskoczywszy do niej z nienacka, chwycił ją za włosy i pyta się, co ona tu robi, a Margona odpowiada, że zbiera sobie zioła i kwiatki na lekarstwo, i że one same do niej mówią, do czego każde jest przydatne. Chciał jej więc Jaś ową zapaskę z kwiatami odebrać, ale ona jak się nie wyrwie, jak nie da drapaka, to byłby jej potem i koniem nie dopędził. Albo znowu drugi raz, wedle tego, co od ludzi zasłyszał, dostał mój Jaś kawałeczek tego masła i sera, co je Margona robiła, i ot przed żniwami jakoś w sam dzień św. Jana rzucił na wodę; i oto duchem zbiegła się wielka moc przeróżnych gadzin i jaszczurek, i rozszarpała ów ser i masło pomiędzy siebie.

— Ale to wszystko nie jest jeszcze racja — przerwę Wojciechowej — aby Margona była czarownicą, bo jeszcze nie znacie tak dobrze waszego Jasia, aby mu ze wszystkiem wierzyć można, co on wam opowiada.

— No, proszęż was mój Jacenty, a jakaż by temu inna była przyczyna, że mi wszystkiego tak powoli ubywa?

— Zdajcie się jeno na mnie moja Wojciechowa, a ja wam pewnie i stracha i czarownicę dostanę.

— Oj moiściewy kochani, żebyście temu jak zaradzili, to ja bym wam przez całe życie była wdzięczną.

— No, no, nie frasujcie się moja sąsiado tak bardzo. Ja dzisiaj w nocy zasiędę w stajni, i da pan Bóg złapię czarownicę, jeno nie mówcie o tem ani słówka nikomu.

Z temeśmy się pożegnali, a ja jakiem obiecał Wojciechowej tak też uczyniłem.

Skoro się jeno dobrze zmierzchło, wziąłem sobie moją sękatę palicę, i wsunąłem się po cichu do stajni Wojciechowej. Tam zaczaiłem się w kącie pod żłobem, i czekam, rychło też czarownica nadejdzie. Miesiączek jasny przyświecał na niebie, przez szczeliny wkradał się do stajni, tak, iż mogłem łatwo rozeznać, coby się jeno dziać mogło. Niedługo czekałem, bo przed północą otworzyły się drzwi po cichu, i weszła jakaś kobieta ze sporym dzbankiem do środka. Wnet poszukała stołeczka, siadła pod krowę i nuż doić jednę po drugiej; a gdy już wszystkie trzy wydoiła, i zabierała się do wychodu, wyskoczyłem ja co prędzej z kąta, a schwyciwszy za kark oną niby to czarownicę, wyprowadziłem ją na podwórko, i okładając plecy kijem, wołam na całe gardło:

— A wyjdźże wyjdź która z chałupy bom złapał czarownicę!

Na ów krzyk wybiega jakiś biały strach z po za chałupy i chce bronić owej czarownicy. Ale ja, com już był nie w jednym strachu, a przecieżem jeszcze cały, chwyciłem i tego stracha za kark drugą ręką i pomyślałem sobie: Oho! na jeden strzał dwa ptaki, strach i czarownica, to nie mały obłów.

Przylepiwszy więc i onemu strachowi parę paliczek na plecy, zaglądam onej czarownicy w oczy, i dopiero widzę, że to nie kto inny jeno jedna z tych dwóch sąsiadek, co to zawsze u Wojciechowej niby z wielkiej przyjaźni nocowały; a znowu ów strach, to nikt inny, tylko Jaś parobek w płachty i w prześcieradła poobwijany, który posłyszawszy krzyk owej udanej czarownicy, przybiegł jej na ratunek, a tymczasem nie spodziewając się, sam popadł w łapkę. Ujrzawszy z okna Wojciechowa, jak to ja stracha i czarownicę kijem okładam, nabrała ducha i wyszła sama niebawem na dwór, a poznawszy swego Jasia, i

ową dobrą sąsiadę, rozdziawiła z wielkiego podziwu gębę i oczy, i nie wiedziała co na to mówić. A ja rzekę:

— No, teraz już wiecie gdzie się wam mleko i wszystko z komory podziewa!

Związawszy tych nocnych ptaszków jak baranów, odprowadziliśmy ich raniusieńko do wójta, i tam się dopiero cała sprawa odkryła, bo nasz Jaś bojąc się kary, opowiedział wszystko, jak było.

Otóż owa sąsiada, imieniem Magda, puściwszy się za młodu na lekki chleb, prowadziła życie bardzo niecnotliwe, i z nią się też nasz Jaś zapoznał. Po śmierci nieboszczyka zmówili się oboje na szkodę Wojciechowej; i kiedy Jaś pilnując niby stodoły, przebrawszy się udawał stracha, to ona usługując niby Wojciechowej, chodziła także doić krowy, a przynosząc troszkę mleka, resztę dla siebie zostawiała, i w nocy doiła, udając że czarownica Margona krowy popsuła. A do tego Jaś jeszcze, czy snopek zboża ze stodoły, czy kwartę mąki lub topkę soli z komory, czy jaką chustę ze skrzyni wyciągnąwszy, w nocy do Magdy zanosił. A kiedy Wojciechowa za moją namową wszystko przepatrzyła, to się wnet pokazało, że w skrzyni brakuje dwadzieścia kilka srebrnych cwancygierów, co jeszcze nieboszczyk Szawara na posag dla córek uciułał. Z razu wypierał się Jaś, że żadnych pieniędzy nie widział, ale gdy mu przysiężny dał kilka kijów, to się zaraz przyznał, i dwadzieścia jeszcze oddał, bo resztę z Magdą w karczmie utopili.

Zaraz na drugi dzień odstawił ich wójt oboje do urzędu w Niemirowie, gdzie też parę tygodni za ową sztukę w areszcie odsiedzieli. A od tego czasu, jak ręką odjął, wszystko się u Wojciechowej odmieniło, i straszyć przestało, i krowy zaraz trzy razy więcej niż pierwej mleka dawały, i żadnej już więcej szkody nie było.

Wojciechowa mało mnie po rękach nie całowała, żem to wszystko tak składnie i sprytnie na jaw wykrył, a przekonawszy się o oszukaństwie, byłaby temu w oczy napluła, ktoby jej był jeszcze napomniał o strachach. Ja zaś chcąc kogoś postanowić, coby dozierał gospodarstwa, wyswatałem starszą jej córkę Marysię z Kubą Zagrebelnym, walnym parobczakiem i

synem zamożnego gospodarza; w tydzień odbyły się zrękowiny, a da pan Bóg doczekać, jak wyjdzie rok, i skończy się żałoba, to po żniwach będzie weselisko.

Święta zgoda i szczęście panuje teraz u Wojciechowej: Kuba dogląda gospodarstwa jakby swego własnego, a w niedzielę gdy im czasem co przeczytam, to wszyscy pilnie słuchają, i wierzą w to jak w pismo święte. A otóż i samą tę przygodę ze strachami podaje do druku, bo myślę sobie, że tem można nie jednego z błędu wyprowadzić. Niech się z tąd każdy uczy jak to nie w jednym wypadku trzeba mieć tylko dobry rozum i przytomność, nie dać się bałamucić lada banialuką lecz słuchać rady mądrzejszych, a łatwo nie jednemu złemu zapobiedz, czego wam z serca życzy wasz brat,

Jacenty z Magierowa.

Rady gospodarskie.

O Chmielu.

Pan Bóg stworzył tyle użytecznych roślin, że człowiek aniby ich policzyć nie potrafił. Jedne rośliny służą za pokarm, drugie na lekarstwo w chorobach: ze lnu mamy płótno i odzienie, drzewa dostarczają budulcu i opału, z nich mamy różne sprzęty domowe, i kolebkę dla dziecka i trumnę po śmierci, z winogron wyciska człowiek winny napój, z jęczmienia i chmielu robi piwo, kory dębowej używa do wyprawienia skór, trawy, słoma, zboże, liście i zioła dostarczają zwierzętom pokarmu; ale któżby wszystkie pożytki z roślin wyliczył?

Ot, nie szukając daleko, bodaj chmiel! Niby to na pozór żadnego z tąd pożytku nie ma, ani to jeść ani mleć na mąkę, a przecie jak ci obrodzi, to za jeden cetnar suszonego chmielu i za drugi, gruby grosz zebrać możesz, a każdy browar przyjmie ci go chętnie.

Do czego służy chmiel?

Chmielu używają do robienia piwa. Z chmielem jest piwo smaczne i zdrowe; bez chmielu staje się napojem niezdrowym.

Zamiast chmielu biorą piwowarzy piołun, gorzką koniczynę, białą smołę, jałowiec i inne rzeczy, które często są zdrowiu bardzo szkodliwe.

Na jakim gruncie chmiel się udaje?

Najlepiej się udaje na mocnej roli, ale bujnie rośnie i na lekkim gruncie, jeżli go się dobrze uprawi i użyźni gnojem, a szczególnie świńskim. Na lekki grunt pod chmiel przeznaczony, dobrze jest nawieść mułu ze stawu albo z rowu.

Gdzie gospodarz założyć ma chmielnik?

W ogrodzie, za domem, przy stodole, za sadkiem albo na innem podobnem miejscu. Często widzieć można przy domu albo za stodółką kawał murawy, która odłogiem leży i żadnego z niej nie ma pożytku. Czemużby więc gospodarz tej murawy nie miał obrócić na chmielnik? Darń skopana na zimę, doskonale użyźni grunt pod chmiel. Czasem leży odłogiem za zagrodą taki kawał murawy, żeby można spory ogród założyć i chmielu w nim nasadzić.

Na co trzeba uważać, kiedy się kawałek ziemi na chmiel wybierze?

Ponieważ chmiel rośnie na tyczkach, przeto dobrze jest obrać takie miejsce, gdzieby wiatr nie bardzo dochodził i nie mógł szamotać tyczkami. Potem powinien koniecznie chmiel takie mieć miejsce, żeby na niego od rana do południa słońce świecić mogło a powietrze miało przewiew, nie powinny więc stać w bliskości wysokie drzewa. Także nie trzeba chmielu sadzić nad wodą, bo dostaje rdzy.

Jak i kiedy trzeba uprawić ziemię pod chmiel?

Ziemię trzeba wygnoić i skopać na zimę, a chmiel zasadzić po zimie. Ziemia powinna być pulchna i odleżała. W maju, w dzień pogodny, trzeba chmiel zasadzić, i to takim sposobem: Usypują się kupki ziemi na 3 łokcie jedna od drugiej, około każdej kupki wykopie się rowek, potem w środek każdej kupki wsadzi się kołek, aby wiedzieć, gdzie ma później stać tyczka. Na łokieć od każdego kołka robią się dołki 10 cali głębokie, i w każdy dołek kładzie się jedno albo dwa ale zdrowe oczka chmielu kiełkami do góry, i nakoniec dołki te przesypują się dobrą przegniłą ziemią n. p. z darni. Gdyby kupki

pod chmiel były za gęsto sypane, sprzęt chmielu byłby za lichy.

Cóż to są oczka chmielu, które się w dołki sadzą?

Oczka chmielu są to wypuszczające korzonki, na 6 cali długie. Odrzynać je trzeba jeszcze w kwietniu i na krótki czas w świeżą wodę włożyć, a potem w jakiem chłodnem miejscu zachować w piasku tak długo, aż nie nadejdzie czas sadzenia.

Jak się potem z chmielem obchodzić trzeba, gdy się go już sadzi?

Tylko jeżeli rola jest bardzo mocna i wyśmienicie uprawiona, można się już w pierwszym roku sprzętu spodziewać; inaczej trzeba w jesieni pierwszego roku młode roślinki gnojem dobrze przemacerowanym obłożyć i ziemią przysypać, a na przyszły rok, kiedy już mrozy miną i kiełki na pare cali podrosną, ziemię na około korzonków ostrożnie obruszyć, starą łodygę i zbyteczne kiełki oderznąć, tak aby tylko ze 4 albo 5 najmocniejszych kiełków pozostało i utkwić długą tyczkę. U wierzchołka tyczki trzeba zostawić kilka soszek, aby chmiel pnąc się w górę, miał się o co zaczepić i aby nie spadł na ziemię, kiedy owoc dojrzewać zacznie.

Kiedy już chmiel z kiełków na półtora łokcia podrośnie, trzeba go do tyczki przywiązać i uważać na to, aby się piął w górę; zbyteczne zaś wypustki trzeba wyrzynać, ziemię ostrożnie poruszać i zielsko pleć.

Gdy chmiel kwitnąć zacznie, jeszcze raz go trzeba ogrzebać i wszystkie wilki czyli zbyteczne kiełki oberznąć. W lipcu rozpuszcza chmiel listki; wtenczas trzeba żółte listki i zbyteczne przy listkach wyrostki obciąć, a wilki przy korzonkach obłamać.

Kiedy się owoc z chmielu sprząta?

Chmiel sprząta się na początku września, t. j. sprzątają się główki, i to wtenczas, gdy zaczynają brunatnieć, mocno pachnąć i za zduszeniem ich kleić się. Kiedy już nasienie stwardniało i brunatnego dostało koloru a pod listkami pyłek żółtawy się pokazuje, wtenczas należy się ze sprzętem spieszyć, bo gdyby wiatr przyszedł, wszystkoby zniszczył. Chmiel kiedy się przestoi, traci większą część mocy swojej.

Jakże się chmiel sprząta?

Obrzynają się gałązki na łokieć od ziemi, tyczki się wyjmują, chmiel się obrywa, wiąże i zwozi. W domu niechaj dzieci obrywają główki z zielonego liścia, ogonków i gałązek, a nadpsute główki niechaj odrzucają, boby wszystek sprzęt od nich się popsuł. Tak oczyszczony chmiel trzeba rozprostować cienko na górze, gdzie jest przewiew, a gdy dobrze wyschnie, zapakować w miechy, mocno udeptać i w suchem miejscu zachować. W ten sposób sprzątnięty i przechowany chmiel zachowa swą dobroć i tęgość, i kilka lat trwać może.

Po jakiej cenie sprzedaje się chmiel?

Cena chmielu wedle gatunku bardzo jest nierówna; płaci się za cetnar 50 a płaci się też 100 i 120 reńskich srebrem. Jak widzicie pieniądz to niemały! Zawsze też może mieć staranny gospodarz ładny z chmielu dochód, a kiedy się pod chmiel co rok dobrze nagnoi, to sadzić go można na jednem miejscu i 15 lat.

RÓŻNOŚCI.

Poczciwa gromada. Do wsi *Tymowej* w Krakowskiem zjechał jakoś przed kilku tygodniami nowo instalowany ksiądz proboszcz. Kapłan ten, w młodym wieku, nie porosły w pierze, nie przywiózł żadnych majątków ze sobą, chyba dobre serce, głowę pełną nauk religijnych, a wreszcie te dziesięć palców do pracy. Jakże więc było mu smutno, gdy przyjechawszy, zastał budynki i grunta w nienajlepszym stanie, pustki w komorze, pustki w oborze i sprzętów rolniczych nie wiele. Naprzód więc markotno już było młodemu proboszczowi, skoro sobie pomyślał, że na wiosnę ludziska jak mrowie w pole wyruszą, a on niebożątko, chyba się tylko patrzeć na to będzie, nie odebrawszy żadnego inwentarza. Ba, lecz cóżby na to rzekła gromada tymowska! Krzyczeli tam wprawdzie na nich nie jedni, że tacy i owacy, a oni przecież poznawszy strapienie dobrodzieja, jak się nie zaczną garnąć ku plebanii: tak też niezadługo stanęły płoty nowe na około, i wnet znalazły się pługi, i ludzie, i bydło do roboty, a jeszcze w dodatku pytał się nie jeden z gospodarzy nieśmiało:

— A możeby jegomość z ćwiartkę ziemniaków, albo jakiego ziarna co przyjęli, bo my dobrze wiemy, że kto na dorobku, to mu tam trudno zrazu idzie.

Nie wiedział młody kapłan jak odpłacić tę poczciwość ludzi, których zaledwie dopiero co poznał. Pamięć jej będzie mu odtąd zachętą do najszczerszej pracy dla swoich parafian, będzie fundamentem do ufności i przychylności między gromadą a jej pasterzem, czego niech Bóg im użyczy.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 12.

21. Kwietnia 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 zlr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

WIELKANOC.

Nadeszła nam znowu uroczystość, podczas której obchodzimy pamiątkę Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Nazwanie tej uroczystości wzięte jest od nocy, w której Chrystus zmartwychwstał, a która dla nas z tego względu jest nocą *wielką* i bardzo ważną. Żydzi przed przyjściem na świat Chrystusa obchodzili Wielkanoc, na pamiątkę wybawienia ich podczas nocy z niewoli egipskiej, i pożywania baranka przy wyjściu z Egiptu; tudzież na pamiątkę pozabijania wszystkich pierworodnych dzieci egipskich, co Pismo ś. *Przejściem Pańskiem* nazywa. Dlatego święto to nazwali *Paschą,* co *przejście* znaczy, a nasza uroczystość Zmartwychwstania Chrystusa, nazywa się także *Paschą:* raz od Paschy żydowskiej, która tej uroczystości obrazem była; powtóre, że Zmartwychwstanie Chrystusa jest przejściem Jego od śmierci do życia, przez które z niewoli grzechu i wiecznej śmierci nas oswobodził.

Ponieważ Zmartwychwstanie Chrystusa jest główną zasadą naszej wiary, ztąd uroczystość Wielkanocna dla Chrześcijan

jest najważniejszą i najmilszą. Dlatego Kościoł święty z większem ją, niżeli inne, weselem i radością zwykł obchodzić. Ta radość i wesele kościoła św. wyraża się we wszystkich pieśniach, jakich się podczas Wielkiejnocy używa.

Uroczystość Wielkiejnocy zaczyna się od wspaniałego nabożeństwa, które *Rezurekcją* zowiemy. Ta rezurekcja wyobraża samo Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, i odprawuje się w sobotę wieczorem, albo o północy, lub też w niedzielę rano. Rezurekcja rozpoczyna się od Grobu Pańskiego, zkąd, po prześpiewaniu modlitw stosownych, wychodzi uroczysta procesja z Najświętszym Sakramentem, i trzy razy przy stosownych pieśniach wewnątrz lub zewnątrz kościoła obchodzi. Po procesji i prześpiewaniu modlitw, Jutrznia o Zmartwychwstaniu Pańskiem się odprawuje. Procesja zwykle raz tylko obchodzi kościoł, w tym zaś dniu trzy razy, na znak radośnego tryumfu Jezusa Chrystusa nad śmiercią i piekłem. Dlatego podczas tej procesji niesie się krzyż, stułą czerwoną przepasany, paschał zapalony i figura Chrystusa zmartwychwstałego, z chorągiewką w ręku. Są to oznaki zwycięztwa, jakie Chrystus odniósł nad śmiercią. Jestto razem oznaka naszego zmartwychwstania i wiecznej radości w niebie, jaką nam Chrystus przygotował.

W dawnych czasach, gdy kapłan po procesji śpiewał: *Wstał Pan Chrystus zmartwych ninie,* wierni będący w kościele, tej radosnej nowiny sobie winszowali, a dając wzajemne pocałowanie na znak miłości i radości wspólnej, powtarzali słowa przez kapłana śpiewane.

Dziś na pamiątkę tej radosnej chwili, po odbytem nabożeństwie, zapraszają się Chrześcijanie wzajemnie na ucztę, z różnych pokarmów złożoną, która jest równie jak wilja na Boże Narodzenie, zabytkiem uczt dawnych. Między temi pokarmami pierwsze trzyma miejsce baranek, i osobną modlitwą się poświęca, na znak, że Jezus Chrystus jest Barankiem Bożym, który gładzi grzechy nasze, i w Najświętszym Sakramencie na pokarm duchowny siebie nam daje. Przytem przypomina tryumf Niebieskiego Baranka nad śmiercią i piekłem; dlatego pospolicie przy poświęcanym baranku choręgiewka się zawiesza. Gospodarz z domownikami i gośćmi zwykle od jaja rozpoczyna po-

żywanie wielkanocnej uczty, czyli święconego, a spożywa je z wesołością na twarzy, a w braterskiej zgodzie i miłości z wszystkimi.

W dawnych wiekach uroczystość Wielkiejnocy przez całą oktawę, czyli ośm dni obchodzoną była. Chociaż teraz Wielkanoc uroczyście tylko przez dwa dni się obchodzi, jednak w kościelnem nabożeństwie do następnej niedzieli się rozciąga. Ta niedziela zowie się *Przewodnią,* w którą pierwsi chrześcijanie suknie białe składali w kościele. W dawnych bowiem czasach ochrzczeni w Wielką Sobotę, przez cały tydzień nosili białe suknie, na znak odebranej na chrzcie świętym niewinności; codzień przyjmowali Najświętszy Sakrament i Mszy świętej słuchali, która za nich szczególniej ofiarowaną była; nie znajdowali się na żadnych widowiskach, zabawach i biesiadach; słuchali Tajemnic wiary świętej, które im przed chrztem wykładane nie były. Nakoniec w oktawę Zmartwychwstania Chrystusa, czyli niedzielę pierwszą po Wielkiejnocy, składali suknie białe i do liczby wiernych ich zaliczano. Dlatego niedziela ta nazwaną została *Niedzielą w Bieli* albo Przewodnią. To wszystko pokazuje się z dawnych modłów kościelnych, które podczas dni wielkanocnych i świątecznych do dnia dzisiejszego się używają.

Czas Wielkanocny trwa przez ośm tygodni, aż do uroczystości Trójcy Przenajświętszej. Wszystkie modły i śpiewy kościelne w tym czasie są pełne najwyższej radości, wdzięczności i uwielbienia Jezusa Chrystusa, za dokonane dzieło odkupienia. Dla wyrażenia zaś Zmartwychwstania Chrystusa, i okazania ztąd naszej radości, modlitwy w czasie wielkanocnym po większej części stojąc, się odprawują; a Kościół w tym czasie uwalnia wiernych od ścisłego postu, i dozwala pokarmów masnych używać.

Oczyszczeni z grzechów spowiedzią świętą, stajemy biali w obliczu Boga na dniu Wielkanocnym. Na tym dniu zmartwychwstania Jezusa Chrystusa powinniśmy też odtrącić wszystko złe od serc naszych, zasługując sobie na żywot wieczny i na zmartwychwstanie do szczęścia i jasności.

---

*

Zmartwychwstanie.

Jak świat rozległy z wschodu do zachodu,
Z południa w północ, dla ludzkiego rodu,
Dla prawych Chrześcijan błogie dziś wesele:
Bóg zesłał syna a z nim łaski wiele;
On za nas cierpiał, zmarł i w grób złożony,
I zmartwychpowstał, by świat był zbawiony.
Alleluja!

Powiedział Chrystus: Grobem mi Golgota,
Lecz przez śmierć moją z niej do niebios wrota;
Umrę i wstanę z potęgą wszechwładną,
A z mieczem w ręku straże na twarz padną;
Wtenczas uwierzą, gdy sam, w mej osobie
Z pieśnią zwycięztwa stanę na mym grobie.
Alleluja!

Bo siałem prawdę, a prawdy nasiona
Wsiąkną i wzrosną śród ludzkości łona,
I są jak pokarm, plon wydając złoty:
Wiary, nadziei, miłości i cnoty;
A chociaż niebo i ziemia przeminą,
To słowa mojej prawdy nie przeminą.
Alleluja!

I powstał; groby w koło niego pękły,
Ziemia zadrzała, głębie morza jękły,
Gwiazdy z podziwu na niebie stanęły,
Drzewa zielone głowy w cześć ugięły,
I wszystko w niebie, na wodzie i ziemi
Głosi wraz z ludem, śpiewa wraz z świętymi:
Alleluja!

Chrystus zmartwychwstał, i w niebie stolicy
Zasiadł na tronie po Ojca prawicy,
W blasku duch święty nad nim się unosi,
A niebo całe Hosanna mu głosi:
Że dla ludzkości umrzeć się nie trwożył,
I przez śmierć swoją niebo jej otworzył.
Alleluja!

Jakoś Ty powstał, tak w Twe Imię Panie,
Co legło w grobie, przez Twą łaskę wstanie,
I wnet każdemu, co się w cnotach mnoży
Niebieskie wrota ręka Twa otworzy,
I pieśń Anielska zabrzmi mu przed progiem:
Szczęśliwy każdy, co wiódł życie z Bogiem.
Alleluja!

Chryste, Twe dzieci proszą Cię z pokorą:
Co sieją w pocie, niech w radości zbiorą.
Których noc kryje, tym niechaj zadnieje,
Niech w niebie spocznie, kto tu w trudach mdleje,
Przez Twoje światło, mękę, zmartwychwstanie,
Przyjm nasze modły, wysłuchaj nas Panie!
Alleluja!

Racz tych, co błądzą, prawdą Twą kierować,
Co walczą, mężnie do zwycięztwa prowadź,
Burzą miotanych przyjmij w port bezpieczny,
Za grobem śmierci daj nam żywot wieczny,
Przez Twoją prawdę, śmierć i zmartwychwstanie,
Miłuj nas dzieci, wysłuchaj nas Panie!
Alleluja!

Hramatka starej Kubaichy.

Zeszłorocznej zimy, w same ostatki zapustne, było wesele na naszym folwarku w Smerekowie. Nasz Stefan żenił się z naszą Kseńką. Stefan był u nas parobkiem od lat kilku: uczciwy, trzeźwy, bogobojny i wierny, toż juścić był **nasz**, tak jakby swój; bo kiedy człowiek z poczciwym sługą przeżyje lat kilka pod jednym dachem i dzieli się z nim swoją pracą i jednym chlebem się z nim karmi: to on poczciwy sługa zdaje się potem jakby swój, i jak swemu rad mu człowiek z serca. Otóż dla tego ja mówię, że Stefan był **nasz**. Kseńka służyła u nas także od kilku lat, była robocza i ochocza, uczciwa i skromna, więc i o niej mówię, że Kseńka była nasza. Oboje byli sieroty, oboje ubodzy, ale mieli wielkie bogactwo, bo czyste sumienie i zdrowe ręce. Wiana innego nie było prócz tego co

sobie zarobili na służbie, trochę odzieży i bielizny. Pokochali się oboje, toż i pobrali jak pan Bóg przykazał uczciwie, i byli wesołej myśli, bo powierzywszy wszystko Panu Bogu, nie bali się pracy choćby do grobowej deski.

Ksiądz proboszcz pochwalił bardzo Kseńkę, gdy chodziła przed ślubem na katechizm, bo żadna dziewka w Smerekowie nie umiała tak pięknie katechizmu jak ona, tylko połajali ją, że przyniosła im kurkę, którą dostała od starej ciotki, ubogiej komornicy, bo gdzieżby Jegomość od biednego co wzięli! W ostatnią niedzielę zapustną, po mszy świętej, pobłogosławili jej ze Stefanem, sakramentem małżeństwa; byłoż tam płaczu było! Bo jakżeby uczciwa dziewka, idąc za mąż, choćby za najmilszego, nie płakała serdecznie? Toć to żal młodości, żal panieństwa, żal kosy żółtej, którą rozpletą do ślubu i już do samej śmierci zostanie rozpleciona, żal pieśni, wstążek, igraszek; a jeszcze gdy przed ślubem dziewki zanucą przy kosie: to serce mało nie pęknie biednej pannie młodej i aż się zanosi od płaczu. Płakała też Kseńka aż jej oczy zapuchły, płakała za ojcem za matką że ich już nie było, aby pobłogosławić dziecko swoje, płakała rzewnie, aż się rozmaryn trząsł na jej głowie.

Muzyka zagrała od ucha, luda było mnogo, bo nie sromali się bogacze przyjść na wesele biednych, dziewczęta wszystkie, ile ich było we wsi zbiegły się na pieśni za stołem i na tańce, a starostowie, starościne, drużki i drużbowie, swaszka i daleka rodzina, składali piękne grono. Kseńka była tutejsza, a Stefan ze Sopuszyna o ćwierć mili, gdzie miał dwóch starszych braci żonatych, więc oba ci bracia z żonami przyjechali i przywieźli trochę chleba, trochę omasty, ot na co ich stać było, bo więcej nic bratu dać nie mogli.

Na stole stał pyszny korowaj, ustrojony w gałęź smereka ze szyszkami, a na gałęzi wisiały czerwone jabłka, i kolorowe płatki z papieru, a na korowaju był wianek z barwinku, pozłotką narzucany.

Wesoło przeszła niedziela a na drugi dzień, w poniedziałek, przyszła Kseńka od wywodu z cerkwi, w wielkim białym zawiju, w którym się kobiety i do trumny kładą. W izbie trzy stoły ustawiliśmy do kupy na objad, za stołem zasiedli wszyscy

goście z obu stron, muzyka w kącie, a najstarszy starosta Mandżara, co Kseńkę jeszcze do chrztu świętego trzymał, pokrajał chleb, gospodarzył i prowadził pieśni; państwo młodzi obsługiwali chodząc między gośćmi, a służebna z folwarku Melanka, wnosiła kurzące misy z nielada jaką strawą. Muzyka co podjadła to przegrywała, goście co podjedli, to śpiewali, a kieliszek szedł w kółko, chociaż nie zbyt często. Więc wesoło było i gwarno lecz oraz poważnie i uczciwie.

Stoję ja tak sobie i miło mi na sercu, że się poczciwy lud wiejski pod moim dachem weseli; to z tym to z owym pogadam, i baczę czy czego nie braknie. Aż tu spoglądnę, pod piecem na kuferku w kąciku siedzą dwie kobiety i nic nie jedzą, po cichu sobie coś gwarząc. Zbliżyłam się więc do nich: jedna była Wynarycha, nasza Smerekowska, żona muzyki, co rzempolił za stołem, a druga, Kubaicha ze Sopuszyna, żona najstarszego brata Stefanowego.

Obie już dobrze niemłode i obie ubogie, ale bardzo porządne i uczciwe gospodynie. Wynarychę znałam ja bardzo dobrze, ale Kubaichę dopierom pierwszy raz na weselu zobaczyła, a dziwnie mi jakoś przypadła do serca.

— Cóż to się znaczy, że wy tu w kąciku? Czy to wam miejsca brakło, czy zapomnieli o was? Wszakże wam się należy lepiej jakby komu? —

Na to uśmiechnęła się Wynarycha i odpowiedziała, że to poniedziałek, a one obydwie ślubowały sobie pościć wszystkie poniedziałki do Opatrzności Boskiej, to im nie godzi się dotykać weselnych potraw mięsnych. Więc kazałam natychmiast podać chleb pytlowany i kwaszone ogórki, i przysiadłam się na kuferek do nich, a poczciwe moje babięta rozgadały się na dobre o przeróżnych rzeczach. Wynarycha opowiadała jak to one poszczą te poniedziałki, i że choćby sam poniedziałek Wielkanocny, nigdy nie złamią postu. Opowiadała także, iż dwanaście piątków do roku suszy, na uproszenie szczęśliwej śmierci, bo któż wie jak się to przyda duszy w onej godzinie strasznej. A suszyła szczerze, cały dzień nic niejedząc, dopiero po zachodzie słońca kawałeczek chleba suchego. Mnie aż łzy w oczach stanęły, gdy mówiła, jak to nieraz w lecie, na długim dniu,

przy żniwie, młodsi dziwowali się, że ona stara i nie mocna ma siłę żąć od świtu do zmroku o głodzie, a ona tymczasem czuła się zawsze w ten dzień żwawszą niż kiedy indziej, i wieczorem pokazało się, że ona postawiła więcej snopów jak młodsi co podjedli tęgo. Dobrze to mówią starzy ludzie: *Jałmużna nie zuboży, Msza nie opuźni, a post nie umorzy.* Choć, skoro człek już w latach, to powinien zważając na dzieci i na zdrowie swe baczyć, jako że pan Bóg i zdrowiu swemu krzywdy czynić nie pozwala.

Od słowa do słowa zgadało się potem i o młodej parze. Kubaicha otarła oczy rękawem i westchnęła.

— Mój Boże! — rzekła — jak się patrzę na to wesele, to mi się przypominają moje dawne czasy. I ja kiedyś byłam taka młoda i hoża, i mnie tak państwo sprawiali wesele we dworze, a ja im się kłaniała jak rodzicom, bo nie miałam już swoich.

— Doprawdy? A gdzieżeście wy to służyli?

— Oj, ciężko mi o tem mówić, ciężej jak o ojcu i matce. Byłam ja młoda i szczęśliwa, a teraz co?

— Ale powiedźcież mi moja Kubaicha kochana, gdzieście to służyli za młodu, i skądeście rodem?

— Ja rodem ze Skwarzawy, nie daleko; wy byli w Skwarzawie?

— Nie byłam, ale wiem; i tameście służyli może?

— Oj tam, serce, tam. Służyłam we dworze. Niewielką dziewczyną jeszcze wzięli mnie do dworu starzy państwo, ale za nich krótko byłam; potem nastali młodzi, ci moi święci, moi rodzice....... i ocierała oczy Kubaicha.

— Toście wy ich tak bardzo kochali?

— Oj serce, oj lubo, jakże nie kochać takich Aniołów, jakże nie kochać ojca i matki! Toż to oni gołąbki już pomarli, a ja stara na tym świecie, sierota wieczna.....

— Cyt, moja kobieto, cyt! kiedy tacy dobrzy, to oni w niebie, więc wy nie płaczcie. A jakże oni się nazywali, czy wiecie?

— A wiem, wiem święcie. Nazywali się państwo Antoniewicze, on Karol, ona Zofia; gołąbki moje już nie żyją!

I dziateńki ich pomarły, i ona młodziutka jeszcze umarła, i on święty tatunio gdzieś daleko potem umarł..... Czy Hospod Boh tak ich sobie upodobał, czy co, że zabrał wszystkich razem?

— Toście służyli u księdza Karola Antoniewicza? — zawołałam tknięta bardzo — a powiedźcież mi co o nich moja serdeczna Kubaicho!

— Toście wy ich znali, serce? Prawda, prawda że on potem został księdzem, i swoje święte życie gdzieś daleko skończył.

— Oj, moja Kubaicho, księdza Karola Antoniewicza zna cały kraj nasz, nietylko ja, bo choć go nie każdy widział ale każdy wie o jego świętobliwem życiu, o jego pracach kapłańskich, o jego cudownych kazaniach i jego ślicznych książkach, które napisał dla poprawienia ludzi i dla chwały Boskiej.

— Otóż widzicie, widzicie, a prawda co ja mówię, że to był Anioł. Już jemu tam pan Bóg dał królestwo niebieskie, a ja sierota, wstając i legając modlę się za duszę jego i jego żony!..... Bo to widzisz lubo, służyłam u nich wiernie, a oni mnie tak sierotę polubili jakby swoją. Bywało, ja zawsze przy pani, przy pokoju, kołysałam jej dziateczki i śpiewałam do snu, a potem, mocny mój Boże, dwoje ubrałam na śmierć. To ona już tylko mojej usługi pragnęła, a ja się wyuczyłam jak mogłam. Zawsze mi mawiała: Marysiu! szanuj się, pamiętaj na Boga, Marysiu, strzeż się grzechu jak ognia! A ja słuchałam i wierzyłam jak w Pana Boga. A pan to bywało zawsze łagodny i dobry, tylko jak które z czeladzi dopuściło się czego złego, to tak gromił i kazał jak święty. Nie miałam już wtedy rodzonego ojca i rodzonej matki, ale nie czułam się sierotą, tak mnie tam ci państwo przygarnęli. Otóż trafiło się przyszli do mnie ludzie, oj mocny Boże! toż to ludzie..... Skwarzawscy, i naraili mnie jednemu parobkowi ze Sopuszyna, com go widywała czasem u krewnych w Skwarzawie, ta i przysłał do mnie starostów. Straszno mi było pomyśleć, że ja kiedy opuszczę moich państwa kochanych, a tu jeszcze do innej wsi, i żal mi było okrutny: spłakałam się i schowałam i nie chciałam wypić kieliszka od starostów, tylko się zdałam ze wszystkiem na pana i na panią. Pan dowiedział się o Hawryszka Kubaja

czy uczciwy, czy pracowity, i nieźle o nim wszyscy mówili, i wreszcie sam Hawryszko przychodził do dworu. Chłop był niczego, i Boże zmiłuj się, podobał mi się choć się nie przyznałam. Przyszli drugi raz starostowie, a pan kochany powiedział: Marysiu, nie chcemy cię zatrzymywać kiedy ci się trafia poczciwa dola; jeżeli chcesz, idź za Hawryszka, my cię i tak nie opuścimy i będziemy pamiętać o tobie. Upadłam panu do nóg, spłakałam się, i jakoś tak się zrobiło, że przyszło do wesela. Moja pani luba podarowała mi jałówkę, i sznurek korali, ustroiła do ślubu swoją ręką i pobłogosławiła jak matka. Nie mogłam się od niej oderwać, a jak przyszło jechać do Suposzyna, to myślałam, że na skonanie idę. A co mi ona powiadała jak być dobrą żoną, łagodną gospodynią: to ja tego nigdy nie zapomnę!... Moja matka złota jedyna!.... płakała za mną.... płakała, wierzcie mi.

I stara Kubaicha szlochała w zapasce.

— I cóż potem? — zapytałam ją po chwili.

— Ta cóż, dola się moja skończyła i nigdy nie powróci. Przyszłam na gospodarstwo Hawryszka i ręce załomałam, bo tam tylko pustki i bieda świeciły. Nie opuściłam się przecie, wzięłam się do pracy i myślałam, że to dźwignę jakoś. Długów moc, budynków żadnych, straciłam wszystko własne i biedowałam gorżko. Hawryszko nie był zły człowiek ale głupi; jak go kto wciągnął to i przepił co miał, a jak się upił to i wyrabiał brewerje, tłukł garnki i piec rozwalał a i mnie bił nieraz, a gdy się opamiętał to żałował, ale cóż z tego! Nie śmiałam ja nigdy żalić się przed mojem państwem, choć wiedziałam, żeby mnie zawsze poratowali, bo i martwić ich nie chciałam i wiedziałam, że nie godzi się żalić na męża. Jak przyszłam do nich a oni się pytali, to ja tylko wszystko kryję, a wszystko dobrze. Aż przyszła na mnie wielka bieda i nieszczęśliwa godzina. Hawryszko się rozchorował strasznie i leżał ani się ruszył, przednowek był ciężki, chleba ani soli nie było w chacie, a tu dziecko głodne wołało jeść, a ja nie mogłam odejść na zarobek, i bodaj co sprzedać, a w skrzyni nic nie było. Mocny Boże, com ja się wtedy napłakała! a tu Hawryszko jęczy na ławach, aż duszę ze mnie dobywa. Nie było rady, zostawiłam sąsiadę w chacie, a sama pobiegłam do Skwarzawy.

Drogi nie widziałam, wpadłam do dworu, prosto do pokoju, i tam przed państwem jak długa na ziemię..... Mojaż ty godzino nieszczęśliwa!.....

I Kubaicha zachodziła się od płaczu, i łzy lały się jej sznurkiem z starych oczu.

— Ta co tobie Marysiu! ta co tobie dziecko? hołubili mnie moje złote państwo, powiedz, powiedz! Nie wiem co ja im tam powiedziałam, ale pani się rozżałowała serdecznie nademną, wsunęła mi coś dużo w rękę, a pan zawołał: Chodź Marysiu, chodź, wybierz sobie sama krowę z moich wszystkich, jaka ci się żywnie spodoba; służyłaś nam wiernie i uczciwie, my ci nie damy ginąć. Oj nie dali mi zginąć, nie dali; a gdzie dziś tacy państwo? a gdzie tacy rodzice? Wyratowali mnie, wyratowali. O moja Matko cudowna! niedługo potem dobra pani moja, gołąbka moja umarła, a mąż jej poszli za księdza gdzieś daleko.....

Kubaicha już mówić nie mogła tak się spłakała nieboga. I my z Wynarychą ocierałyśmy oczy, a ona, gdy się wypłakała dobrze, rzekła jeszcze do nas:

— Nigdy ja nie zapomnę o nich. Ja im dłużna do śmierci. Wpisałam ich sobie d o h r a m a t k i, i za ich dusze prawi się w naszej cerkwi moje nabożeństwo kilka razy do roku, bo chyba bym umarła, żeby mnie na to stać nie było. A modlę się rano i wieczór za nich.

— Wpisaliście ich do hramatki? — zadziwowała się Wynarycha.

— A jakże, a jakże! Bo oni mi tak jak ojciec i matka, to powinni w mojej hramatce stać; i dzieci moje jeszcze się za nich modlić będą.

Ta hramatka Kubaichy dobiła mnie do reszty; nie mogłam już wstrzymać łez, i rada byłam uściskać poczciwą kobietę. Wiecie zapewne, że hramatka to jest taka książeczka, którą każda rodzina ma w cerkwi, i w której są zapisane imiona ojców i dziadów tej rodziny, a ksiądz przy żałobnych parastasach czyta i śpiewa te imiona modląc się za dusze napisanych tam zmarłych. Każda rodzina ma swoją hramatkę, i często za swoich zmarłych sprawia parastasy. Piękna to i pobożna rzecz.

A w hramatce Kubaichy zapisane imiona dobrego państwa jakby ojca i matki, i o ich duszach pamiętała biedna wdzięczna kobieta! O Boże mój! Tyś już pewnie kazał zapisać Aniołom w swojej świętej złotej księdze szlachetność dobrych panów i wdzięczność sług dobrych!

Nie mogła już dalej mówić stara Kubaicha, lecz ja com z książek wyczytała o księdzu Karolu Antoniewiczu, o tym jej dobrym panu, to wam dopowiem, abyście także jego pamięć świętą uszanowali i poznali kto on był.

Świętej pamięci *Karol Antoniewicz* urodził się we Lwowie roku 1807 z bardzo zacnych i pobożnych rodziców. Młode latka przepędził w ich wiosce Skwarzawie, w obwodzie Żółkiewskim. Wcześnie osierocony od ojca, tylko od matki kochanej uczył się być cnotliwym i miłować Boga. Ona to gorąco zawsze modliła się za synem do Boga. Bóg też, jakby łzami matki nie gardzący, wziął go w tę swoją najlepszą opiekę i czuwając nad nim w kwitnącej jego młodości, gotował sobie z niego naczynie łaski i błogosławieństwa.

Ukończył młody Karol wyższe nauki we Lwowie, i pośród tego szczęścia i różnych rozkoszy, któremi świat i ludzie go wabili do siebie, nieraz tęsknił i smucił się, bo jakiś głos święty w głębi serca jego szeptał mu, że nie dla niego szczęście na tej ziemi. Nieraz dusza jego drżała i płakała, chociaż sam jeszcze wtedy nie wiedział dla czego, a ona drżała i płakała przed Bogiem swoim, i prosiła się do pana Boga swojego. A takie było dobre i miłosierne ono młode chłopie, że gdy raz we Lwowie na ulicy spotkał w zimie sierotkę kilkoletniego, a umierającego od głodu i zimna, to okrył go własnym płaszczem, wziął do domu, i nietylko żywił i odziewał, ale sam go uczył, bacząc też na duszę. Więc on sierota tak się przywiązał do swojego dobroczyńcy, że go na krok odstąpić nie chciał i towarzyszył mu wszędzie, nawet na pole bitew, gdzie go śmierć dopiero rozłączyła z kochanym opiekunem.

Ukończywszy nauki, powrócił młody Karol do swojej Skwarzawy, między lud swój, który kochał serdecznie, jak ojciec.

Ale po kilku latach opuścić go musiał, bo ojczyzna wtedy wołała wszystkie dzieci swoje aby szły ją bronić, a Karol kochał swoją ojczyznę po Bogu, i krew młoda zakipiała w nim. Był to rok 1831; nasi porwali się na nieprawą władzę moskiewską, gnębiącą naród, i nasz Karol poszedł także, i służył w korpusie tęgiego Jenerała *Dwernickiego.* Wyratowany nieraz od śmierci, wrócił smutny po wszystkiem do swojej Skwarzawy, bo jeszcze wtenczas nie pozwolił pan Bóg zwyciężyć, a jego przeznaczał sobie do innej walki i do innej służby.

Znalazłszy sobie bardzo cnotliwą i dobrą jak Anioł niewiastę, ową Zofię, poślubił ją — i zdawało się, że znowu był szczęśliwy. Pan Bóg zsyłał mu śliczne dzieciątka, któremi się radowały niezmiernie serca rodzicielskie, ale cóż, kiedy zaledwie każde z nich wymówiło pierwsze słodkie słowo: ojca, matki, nazad zabierał je pan Bóg do nieba. I tak urosło pięć mogiłek na cmentarzu Skwarzawskim, pięć krzyżyków, pięć mieczów w sercach ojca i matki..... Gdy ostatnie złożyli już w maleńkim grobie, na tych pięciu mogiłkach, taka stanęła ugoda między Bogiem, a Karolem i Zofią: Rzekli do siebie:

— Kiedy Bóg nam odebrał wszystkie nasze dziateczki, abyśmy je wszystkie oglądali w niebie, niechże Pan Bóg nasz jedyny będzie nam milszym jak dzieci, jak zdrowie, jak życie! Porzućmy więc świat, a do nieba spieszmy. Poświęćmy się tak Bogu, byśmy mu z aniołkami naszemi służyli na wieki! —

I postanowili oboje iść służyć panu Bogu w klasztorze. A ta ofiara ojca i matki wzniosła się z grobów dziatek jak woń najmilsza Bogu. Matka jednak nie długo czekała nieba, bo prędko powołał ją Bóg aby mu służyła na wieki, a na mogiłach cmentarza Skwarzawskiego płakał już tylko sam Karol, sierota opuszczony.....

Bóg wtedy powołał go do innej pracy, a on nie opierał się Jego głosowi, ale zaraz wstał i poszedł za nim..... I dopiero zrozumiał dlaczego to w młodości tak tęskniła i płakała dusza jego pośród śmiechu ludzi. Rzucił świat i poszedł w ciche mury klasztorne, do Ojców Jezuitów w Starej wsi. Poszedł pokorny i posłuszny jako dziecię małe. Tam to modląc się i ćwicząc w ostrych próbach, płacząc i walcząc sam z sobą, gotował się

do świętego stanu kapłańskiego. A gdy go porywała tęsknota za światem, lub pokusa jaka, to chwytał się krzyża i wołał:

— O Jezu mój! Jezu! Ty mnie wołasz, więc pójdę za Tobą! O nie daj mnie! O nie opuść mnie! —

Ksiądz Karol Antoniewicz został właśnie wyświęcony na kapłana, kiedy okropna łuna zaświeciła nad biednym krajem naszym. Był to rok straszny 1846, kiedy lud na Mazurach zaślepiony grzechem pijaństwa i chciwości, opętany samym złym duchem, rzucił się jak niegdyś Kaim na Abla i zabijał swoich braci. Więc tam, gdzie stały jeszcze niedogaszone gruzy dworów, w obec znieważonych kościołów, obok szkaradnych karczem: tam stanął sługa Boży, ksiądz Karol z kilkoma towarzyszami swymi, i stawiał Bogu ołtarze, i zaczął wołać do nieszczęsnego ludu wielkim głosem, którym Bóg sam przemawiał. Tysiące ludu tego schodziło się, a potęga słowa Bożego, potęga krzyża, powalała go o ziemię, i zbójcy tarzali się w prochu ze żalu i pokuty. Miłość tylko Boża płynęła z ust i serca księdza Antoniewicza: nawoływał do pokuty a oni we łzach się rozpływali, i wołali aby ich omył ze krwi bratniej we krwi Chrystusowej!

Sześć miesięcy tak pracował ten kapłan, sześć miesięcy odbywał misje między ludem wiejskim zbłąkanym, bez odpoczynku kazał, nawracał, spowiadał, i jednał ich z Bogiem i braćmi, sześć miesięcy nie odpoczywał, i w tej pracy Apostolskiej, cały się oddał na zbawienie ludu, a oddał się aż nad siły, bo zaniemógł, a ciało jego utrudzone i wycieńczone chciało już strawić się gorącością ducha. Musiał ratować zdrowie swoje, i Bóg zachował go jeszcze na dalsze prace i zbawienie dusz zbłąkanych.

Ale nietylko tę część ziemi naszej, w której się urodził i w której my mieszkamy, miał ksiądz Karol zrosić swoim potem Apostolskim. W r. 1848 rozwiązany został tutaj zakon jego; udał się więc dalej. Zwiedził kilka razy Kraków, modlił się u grobów Świętych polskich tam spoczywających, a kiedy we dwa lata póżniej pożar straszny zniszczył w Krakowie kościoły Pańskie i mieszkania ludzkie, kiedy nad gruzami zapłakał cały Kraków a nad Krakowem cały kraj: on wtedy stanął na

popiołach domów Bożych, z słowem pociechy, nadziei i miłości. I garnęli się do niego mieszkańcy Krakowa ze łzami, a on przez cały rok w naukach, kazaniach, spowiedziach świętych i w zbieranych składkach na odbudowanie kościołów, służył im. Później, powołany z swymi braćmi zakonnymi na Szląsk górny, a potem do wielkiego księstwa Poznańskiego, tam poszedł odbywać misje między ludem. Więc tam po wsiach i miasteczkach zaznał go wszystek lud i pokochał serdecznie, a on jak dzieci swoje błogosławił go. Takich misji odbył tam trzynaście, i tyleż krzyżów misyjnych strzeże tych ziem naszych, a czternasty krzyż stanął już na jego grobie, gdyż był to już ostatni rok życia świątobliwego zakonnika. Atoli przed śmiercią ujrzał on jedną jeszcze plagę, co przyszła na cały kraj nasz. Była to cholera. Mnóstwo ludzi padało jak muchy, a ksiądz Karol jak Anioł pocieszyciel świecił jeszcze między przerażonymi, chorymi, opuszczonymi i konającymi.

— Dzieci wy Boże! — wołał — nie bójcie się cholery, lecz bójcie się grzechu! — Ileż to dusz wtedy, oddał on Bogu, służąc im dniem i nocą. I nie odstąpił on dziatek swoich, aż póki nie odstąpiła cholera.

Po tych trudach, właśnie miał schronić się znowu do zaciszy klasztornej, do której już tęsknił: gdy oto zapadł na cholerę i widział, że już przyjdzie mu opuścić to życie, a połączyć się z Tym na wieki, do którego zawsze pragnęła dusza jego. Pan zastukał po sługę swojego a on rzekł: — Owom ja! — i przyjąwszy słodki zasiłek Najświętszy na drogę wieczności, pożegnawszy braci słowem: Do widzenia w niebie — tuląc się do krzyża i ran Chrystusowych, a z każdem uderzeniem serca szepcząc: Jezus! i Marja! — oddał czystą duszę Bogu swojemu.

Płakał za nim naród cały. — W chatach i pałacach łzy polskie, łzy rzewne popłynęły. W całej Polsce podniosły się Modlitwy i nabożeństwa żałobne, a ze wszystkich kazalnic przemówili kapłani ze czcią i łzami do polskiego ludu smutnego.....

Kochajcie dzieci ks. Karola Antoniewicza! On was kochał serdecznie i życie swoje wam poświęcił, a nareszcie położył go około usługi i zbawienia waszego. Słowo zaś jego które głosił nie przebrzmiało jeszcze, bo zostawił dla was dużo książeczek

ślicznych i świętych, abyście je czytali i uczyli się jaką drogą trafić do nieba. A wszystkie te książeczki takie są serdeczne jak gdyby łzami jego serca napisane.

Ale gdzieżem ja to odbiegła od hucznego wesela! Ot, skończyło się ono jak każde wesele na ziemi, a ja widziałam znowu niedawno starą Kubaichę w gościnie u Stefanów. Zawsze płacze gdy wspomni o zmarłem państwie, a w Sopuszyńskiej cerkwi hramatka leży przy parastasie przed księdzem proboszczem, a imiona nieboszczyków Karola i Zofji podnoszą się z dymem kadzidła pod sklepienie cerkwi, a biali Anieli niosą je dalej aż do tronu Bożego. O, jeśli te święte dusze modlitwy już nie potrzebują, to niechże ona powraca na poczciwą sługę i jej rodzinę, i na cały lud wiejski w Polskiej ziemi, a za przyczyną dusz wybranych niech wraca z błogosławieństwem niebieskiem!..... *B. E.*

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Było znowu kilka pożarów ostatniemi czasy, a to w dwóch miastach w Tarnowie i w Kołomyi. Na trzy zawody palił się Tarnów, a zdaje się, że ogień musiał być podkładany, tak nagle się w różnych miejscach zajmowało. Pierwszy raz wybuchł pożar w wązkiej przez żydów zamieszkanej uliczce, gdzie domów i różnych gratów jak nabił; więc niebezpieczeństwo było wielkie, a lament między żydami jeszcze większy. Kto wie, jak by się był ten pożar skończył, gdyby nie gorliwa pomoc mieszczan, studentów i żołnierzy. Osobliwie jeden cieśla nazwiskiem *Lis*, co prawie że cudów dokazywał: zwijał się po dachach, rozrywał wiązania i zrzucał na dół palące się belki. Szybkim tym ratunkiem ocalało całe miasto od nieszczęścia, bo to w samym środku, a nieszczęście skończyło się tylko na czterech czy pięciu domach, choć z dwunastu innych domów musiano dachy pozdzierać, żeby się ogień nie miał gdzie rozszerzać. Przekonał się przy tym ratunku niejeden, co to znaczy chętna pomoc ludzka, której Pan Bóg zawsze swej łaski użycza. W kilka dni potem wybuchł ogień, także zdaje się podłożony na jednej z główniejszych ulic. Spaliły się dwa domy, z których jeden należał do ubogiej wdowy. Nie dość na tem; jeszcze trzeci raz zapaliło się na przedmieściu, ale ten pożar był już najmniej straszny.

W nieszczęśliwej Kołomyi, która się już i przeszłego roku prawie cała spaliła, wybuchł także straszny ogień z początkiem tego miesiąca. Wiatr był wielki; w jednej godzinie zgorzało dwadzieścia dwa domów ze wschodniej połaci środkowego miasta. Jak w Tarnowie tak i w Kołomyi szukają bardzo za przyczyną tych pożarów.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 13.

1. Maja 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

August drugi, król polski.

I. Z Turkiem dobra przyjaźń.

Po śmierci króla Jana Sobieskiego wichrzyła bez miary żona jego francuska pomiędzy polskim narodem, i ztąd wielkie były zatargi panów i całej szlachty, gdy przyszło świeżego króla obierać. Zła ta niewiasta, nie czując nawet przywiązania do swoich synów, nietylko że żadnego z nich na osierocony tron nie zachwaliła, ale owszem, starała się szkodzić wszelką miarą, a pomagała obcemu księciu, imieniem Kondeuszowi, jako że ów był także z Francji rodem. Lecz naród nie chciał wierzyć onemu francuzowi, bo i królowej nie wierzył, a że było i innych zalotników do korony podostatkiem, więc głosy przy elekcji się podzieliły, a w końcu na tem stanęło, że obrano królem Augusta, księcia saskiego, którzy to *Sasi* do niemieckiego rodu należą. Wprawdzie kwapił się i francuzki Kondeusz do Polski, a nawet stanął był już w Gdańsku, ale dostał nieborak odkosza, i zostało już przy Auguście, który jako bliższy granic polskiej ziemi, skorzej też do niej nadążył.

Działo się to wszystko w rok po śmierci króla Jana: na tronie usiadł świeży panujący, a nikt nie wiedział, prócz samego Boga, jakie znowu nieszczęścia na ziemię naszą spaść miały, ku ostatecznemu chyląc ją upadkowi.

Pamiętacie zapewne dobrze, iż jeszcze przed wiedeńską wyprawą zajęli byli Turcy *Kamieniec*, mocną warownię podolską, a choć później nieboszczyk król wyprawiał się na Wołoszczyznę, to nie starał się wcale o odebranie Kamieńca, który też i z przyjściem na tron Augusta w tureckim ręku zostawał. Otóż król August rozmyślał zaraz na wstępie swych rządów, jakby tu Kamieniec poganom odebrać, z całego ich też rugując Podola. Jakoż sprowadziwszy swoich rodaków Niemców ze *Saksonji*, przyłączył ich do polskiego wojska i tak ciągnął ku Kamieńcowi na Turka. I wszystko byłoby dobrze, ale cóż, kiedy Polak z Niemcem jak świat światem nigdy się zgodzić nie może, więc i w naszych szeregach wszczęły się kłótnie między saskiem a polskiem wojskiem, a nawet i między dowódzcami. Daremnie sam król się mięszał i namawiał do zgody, bo go tam nawet nikt nie rozumiał jak zaczął po niemiecku prawić; więc pop swoje a czart swoje, a tu osobliwie Rusini tak się byli na Sasów zaciekli, że gdzie tylko którego z nich napadli to gubili i wrzucali do wody tak, że jak mówią o tem starzy, snadniej było o Niemca w ruskim stawie, niż o rybę.

Rzecz juźcić widoczna, że przy takim nieporządku nie można było nic zrobić; wojsko też nasze ani do Kamieńca spokojnie dójść nie mogło, ale Turek, który był już podonczas dobrze osłabiony, przeląkł się zasłyszawszy, że go August wojować zamierza, i sam od siebie wysłał posłów z żądaniem pokoju. August widział dobrze, iż z takiem wojskiem jak ono z Sasów i naszych złożone, nie tylko Turków, ale nawet trzody owiec z granicby nie wypędził, więc przystał chętnie na żądanie posłów, i przyszło niebawem do umowy, że odtąd Turcja z Polską w wiecznej ma żyć zgodzie.

W skutek tej umowy przyrzekli poganie iż się sami z Podola i z Kamieńca wyniesą; jakoż istotnie zbierali się do pochodu, oddając wszystko załogom, z naszych żołnierzy złożonym.

Przyszła kolej na Kamieniec, a owóż *baszy* tureckiemu, który tu dowodził, żal było oddawać tę warownię, jako to zwykle żal bywa złodziejowi, gdy mu po słuszności odbierają skradziony majątek. Ale cóż, trudno płynąć pod wodę, więc i on basza, czyli wódz turecki, gotował się do opuszczenia Kamieńca, a serce mu się na tę wspominkę ściskało, bo nie mało lat przeżył on tu w szczęściu i spokoju. Wszystko już było dla Turków do drogi gotowe, więc przychodzi do baszy nasz jenerał, *Kącki* imieniem, i rzecze:

— Oddajcie mi baszo klucze od warowni, i ukażcie czy wszystko jest w takim porządku jako napisano.

— Chodźmy zobaczyć — odpowie basza, i prosi jenerała za sobą, i prowadzi go po zbrojowniach i magazynach, ukazując broń, rynsztunki i żywność. A gdy już wszystko oglądnęli, prowadzi basza Kąckiego do lochów podziemnych, kędy był skład prochu i kul ognistych.

Turek z orszaku baszy szedł naprzód, świecąc palącym się knotem:

— Oto i ten proch i te kule wam oddaję — rzekł basza do jenerała — a z tem już wszystko! — I w tej chwili na myśl odjazdu, taki żal ogarnął serce baszy, że w rozpaczy porwał za knot palący i rzucił go między beczki prochu wołając:

— Niechże raczej ja zginę i wszyscy moi towarzysze, niż żebyśmy mieli sromotnie ztąd uchodzić! —

Zdrętwiało wszystko... lecz ogień upadł szczęściem na nieotwartą beczkę, a nasz jenerał Kącki poskoczył czymprędzej, schwycił do ręki gorejący knot siarczysty, i tak go trzymał na obnażonej dłoni dopóki całkiem nie zgorzał, bo wszędzie naokoło, i pod stopami mnóstwo było prochu, więc niepodobna było ogień nogą zadusić.

Zarumienił się wstydem turecki basza, widząc jak jenerał knot gorejący na dłoni swej trzyma, a na twarzy jego nie widać żadnego skrzywienia, ni znaku boleści. Zawstydzony srodze, wyszedł basza w milczeniu, ze spuszczoną głową, a wyszedłszy dosiadł konia i na czele swych pogan, przy dźwięku smutnej trąbki opuszczał podolską warownię...

*

Łatwo sobie wyobrazić, ile było radości dla biednego ludu gdy Turcy porzucali Podole, przez tyle lat srodze gnębione. Z dachów i wieżyc zrzucano rogate księżyce pogańskie, a natomiast błyskały wszędzie krzyże, umęczonego Zbawiciela godło. Ludzie padali sobie w objęcia i ściskali się serdecznie, jak gdyby nowonarodzeni, bo prawdziwem narodzeniem jest powrót do wolności i swobody, a śmiercią ciężar niewoli i gorzkiego jarzma, które ci wróg jak bydlęciu na szyję zakłada.

I oto złotemi krzyżami modliły się znowu do nieba czarne Kamieńca wieżyce, a ludzie rozpowiadali sobie cicho o mężnem sercu Kąckiego, które Turkowi przeszkodziło, gdy chciał zagrzebać w gruzach siebie i całe miasto.

Śpiewka o Kościuszce,

jako szedł z krakowskim ludem na Moskala, i zbił go pod Racławicami.

Do Racławic ciągną nasi po cztery po cztery,
Madaliński z ułanami, potem kosyniery;
Przed narodem ludzie przodem dwie chorągwie niosą:
Na czerwonej, wyrobiony złoty snopek z kosą,
A na białej, srebrnej całej, czystem złotem dziana
Matka Boża, niebios Pana stawia na kolana.

I wiatr wiewa koło drzewa, chorągwie przewija,
To snop świeci w oczy kmieci, to matka Maryja;
I głos bieży na wiatr świeży, w oddaloną stronę,
Jak łza dziecka, pieśń nie świecka: *Pod twoją obronę....*

Idą, idą prostą drogą, chorągiewki warczą,
Rwą się konie ku tej stronie, wstrzymać ich nie starczą,
Podkówkami krzeszą, spieszą za ojcem Kościuszkiem,
Jedni ciągną środkiem drogi, a drudzy przydróżkiem:
Ów przygrywa, czapka siwa na bok mu się zwiesza;
Skrzypka mała, byle grała, żołnierza pociesza...

Do Racławic ciągną nasi, po cztery po cztery,
Madaliński z hułanami, potem kosyniery;
Przyciągnęli przed kościółek, aż ksiądz stoi w progu:
— Mili bracia — rzekł Kościuszko — pokłońmy się Bogu. —

Jakby wicher nagły powiał pośrodkiem dąbrowy,
Schylili się wszyscy ludzie, czapki zdjęli z głowy,
I pod ścianą malowaną ustawili kosy,
Jak ustawia dziecię w lesie złote zboża kłosy.
I w natłoku, w każdem oku radość i swoboda,
Kmiecej pięści Bóg poszczęści, w bitwie mocy doda.

Przed obrazem sam najpierwszy Kościuszko przyklęknie,
I pokłoni się do ziemi, ręce złoży pięknie,
A lud sobie dobrze wróży, uważają swoi:
Że Moskala ten pobije, kto się Boga boi.
To na obraz to na wodza obracają oczy,
A prostacze dobre serce mało nie wyskoczy.
Spogląda się święta Pani, a ciemne jej lica
Jakże cudnie w przypołudnie słoneczko oświeca.

Więc Kościuszko, taki cichy i pełny wesela,
Patrzy jako ptaszek lichy w Matkę Zbawiciela;
Madaliński się zadumał na pałaszu długim,
Zadumał się nad pałaszem, jakby chłop nad pługiem.

Zaparskały wszystkie konie, zabrzękły pałasze,
Maszeruje opłotkami polskie wojsko nasze;
Maszeruje, nie żartuje, kraj jak malowany,
Idą nasi, w trąbki grają, biją w tarabany.

Mgła opada po niżynach, leci na kraj świata,
Anioł Boży z dolin, wzgórzy, siwe mgły rozmiata;
I wyczyścił całe pole jak oka źrenicę,
I pokazał ... tam Moskali, a tu Racławice.

Kiedy naszym powiadają jak żelazo trzymać,
Jak należy spuszczać kosę, jak wysoko imać,
Żeby sobie nie zawadzać, w kosy nie uderzać,
Jak potrzeba razem spuszczać, razem się zamierzać:
Aż coś ciągnie zpoza wzgórza, gościniec zakurza,
Jak szeroko sięgnie oko, siła tego duża.
Jeden mówi do drugiego: — Wolarz pędzi woły,
Poganiają wolarczyki dębowemi koły. —
Drugi mówi do trzeciego: — Pewnieć woły bure,
Bo przegląda coś burego przez tę pyłu chmurę;
A toć nieco jeno woły ciągną środkiem drogi,
Bo przez prochy widać trochę pokręcone rogi. —

Gdy tak ludzi wzrok nie łudzi, Kościuszko przypada:
— Walić mi tam w tę gromadę co się pod nas skrada!
Więc piechury jak się złożą, jak oka przymrużą,
Jak nie grzmotną siekańcami w tę gromadę dużą,
Jak nie pójdzie kul gromadka, po bokach pogłaszcze:
Aż tu widać, że to bure, to moskiewskie płaszcze!
Aż tu widać, że te rogi, to nie rogi krzywe,
Lecz moskiewskie zakończone bagnety prawdziwe!
Aż tu widać nie wolarzy z dębowemi koły,
Lecz moskiewski starszy w górę trzyma pałasz goły.

Nasz doboszyk w bęben grzmoci, aż się cały poci,
A trębacze trąbią w dali, hurra! na Moskali;
Gdzie najwięcej ludzi pada, tam Kościuszko leci,
Porządkuje, rozkazuje: — trzymajcie się dzieci! —
Więc się nasi wyciągają, co zginie to zginie,
A armaty wciąż im grają jak bas na marynie...

Oj było tam pracy, było, ale już nic nie ma,
Ot tak ojcze się robiło ramiony obiema;
I nic nam się nie zdarzyło, wszystkie kości zdrowe,
Tylko że się osmaliło pawie piórko nowe.

Teofil Lenartowicz.

Kara na pijaka.

Przejeżdżałem zeszłego roku przez wieś Kąkolówkę, a jadąc drogą popod sam kościół, trafiłem na nabożeństwo. A że to był dzień powszedni, a koło domu Bożego cisnęło się ludu nie mało, więc rozciekawiony skoczyłem z mego wozu, poszedłem do kościoła i pytam gospodarzy stojących u wchodu:

— Moi kochani ludzie, czy to odpust macie we wsi? —

A gospodarze witając mię imieniem pana Jezusa, pokiwali głowami i rzekli:

— Oj gdzie tam Jegomość odpust! To straszna kara Boża! to podziwienie wielkie, co to się u nas stało z jednym człowiekiem ot będzie temu trzy dni.

A inni mówili na głos:

— Jużci tam człek ten nie był i bez grzechu, bo co prawda to prawda, że broił dużo i już długie lata. Dla niego nie było już ani kary ani napomnienia, on żył tak, jak bez Boga, jak u nas bydle nieprzymierzając, uczciwszy pierwej Boga i ten dom Boży a potem Jegomości.

Na taką mowę straszliwą, aby mógł kto żyć bez Boga i jak bydle jakie, zapytałem zdziwiony:

— A toż proszę was, powiedźcie mi też choć trzy słowa co to się stało, bo jużci stoi teraz msza święta to pójdę i ja zmówić paciorek za tego grzesznika, a i wam też nie chcę przeszkadzać w nabożeństwie. Czyto jaka wasza radość, że się ktoś zły nawrócił do Boga, palcem jego wszechmocnym dotknięty?

— Niech Jegomość idą do kościoła, tam zobaczyć można co się to stało — rzekli mi gospodarze, nie przerywając sobie w pacierzach.

Ciekawy wszedłem do domu Bożego, patrzę i widzę na marach czarnych trumnę ładną, z dobrych tarcic, zwyczajnie jak pogrzeb na wsi; widzę i kilkoro państwa i nic więcej. Domyśliłem się, że to ktoś musiał nagle albo jakąś okropną śmiercią umrzeć, ale kto? jak? trudno się było dopytać, bo msza święta się odprawiała, a jedni mieli łzy w oczach drudzy stali i klęczeli smutni, a każdy się gorąco modlił. Aż po mszy św. widzę idzie ksiądz proboszcz z Kąkolówki na kazalnicę, i tak jął mówić:

— Jestem tu między wami już dwadzieścia lat z górą, znam każdego z was! Otóż macie dziś dowód kary Boskiej, jak wam to już od wielu lat ciągle powiadałem. Ten umarły był dobrym gazdą, kiedy ja tu przyszedłem na plebana do was: miał wtedy żonę i troje dzieci, parę koników i jarzmo wołków, cztery krówki i gruncik i dwa brogi oprócz pełnych stodół, a co się stało z nim, gdzie się ta praca błogosławiona podziała? Żona umarła na drugiej wsi z głodu, dzieci pomarły, tylko jedno stoi dziś przy trumnie ojca, bom je kazał zawołać, a chałupa z gruntem jest dziś w rękach arendarza. A gdzież ów wasz brat i gazda Wawrzek Zając? Oto on niebożątko

dziś na tych marach bez śmiertelnej koszuli, bez obuwia, bez okrycia głowy, a na tę trumnę, złożyliśmy się jako jego bracia. A jaka śmierć jego? Oto trzy lata leżał i konał ciągle, prawie codzień, kiedy wieczór dzwoniono na Anioł Pański, bo on przedtem zawsze pijany chodził koło kościoła i cmętarza św. i nie czcił domu Bożego i nie robił tak, jak go uczono w kościele.

A jak on żył w chorobie swej przez trzy lata? Oto chłopiec jego wpuszczał mu codzień rano troszkę mleka do gęby i nic więcej, a ludzie i wy chodziliści się patrzeć na niego, jak na jakie dziwo i ja chodziłem codzień tam, aby go można było zaopatrzyć św. Sakramentami, ale nie dał mu Pan Jezus za karę ani pamięci ani rozumu, bo te drogie rzeczy przepił i zmarnował, ani mu gadać nie dozwolił, więc on przez trzy lata ani gęby nie otworzył i tak umarł, jak żył. A jak wygląda ciało jego, to wam pokażę na cmętarzu na pokajanie dla was i dla waszych dzieci. —

I mówił długo Boski kapłan, ludzie i państwo płakali i mnie też stanęła w oczach łza za umarłym grzesznikiem, a idąc razem poszedłem na cmętarz, aby zobaczyć to ciało zmarłego pijaka. I szedłem smutny i śpiewałem: „Wieczne odpoczywanie, racz im dać Panie! Odpuść mu grzechy, udziel pociechy!“ A widziałem, że koło trumny szedł chłopczyk, sierotka umarłego Zająca i koło niego jakiś chłop brudny i obdarty, boso, z skaleczonemi nogami. I przyszliśmy na cmętarz, obstąpili ludzie trumnę, a ksiądz pleban kazał otworzyć wieko trumny i grobarz podniósł łopatą ciało umarłego do góry, aby go ludzie widzieli i poznali palec Boży i karę straszną. Ale o Boże mój! cóż to było takiego?

Wszyscy jękli i wołali z płaczem:

— Toć to nie człowiek! toć to nie stworzenie Boskie! to ani do ludzi, ani do bydląt nie podobne!

A miał ten umarły głowę łysą i pootłukaną, bo go widać bolała w chorobie przez trzy lata, a on ją obił i pokaleczył o ścianę, gdzie leżał; na czole miał pełno bolączek jak groch, a z nich ciekła krew, oczy miał podpalone, i napuchłe jak cebula wielka; nosa nie było widać tylko jakiś bolak czer-

wony w tem miejscu, i twarz cała to strupy i bolączki; ręce tak suche, jak u śmierci, co ją malują na żałobnej chorągwi, oba boki odleżane, że było widać przez ziobra na wylot prawie, a całe ciało nie ważyło więcej niż suche powrosło.

Wtedy ksiądz pleban z Kąkolówki zasłonił sobie oczy jedną ręką, gdyż był cały zapłakany, a drugą ręką pokazał na trupa i rzekł:

— Patrzcie! i sto pijaków umiera spokojnie, ale jeden między nimi umiera tak, jak umarł ten nieboszczyk! Otóż przypatrzcie się moi kochani, abyście pamiętali, że i wam tak zrobić może pan Jezus sprawiedliwy. Macie tysiące podobnych wypadków, tylko wiedzieć o nich nie chcecie!

I złożył grobarz te kości zbolałe i jakby od Boga przeklęte do trumny, i trzasło wieko na trumnie, aż każdemu z nas nogi zadrzały i aż się odgłos odbił po całym cmętarzu, i każdy rzucał garściami ziemię do grobu, aż jęczała trumna a nie jeden stawał na boku, podparł sobie ręką głowę i dumał sobie:

— Co też to za rozum głupi u drugiego człeka, że tak marnie idzie z tego świata i tyle złego po sobie zostawia! Że się też drugiemu chce już tyle pić i pić, aby się oczywiście jakby naumyślnie zapić i zagubić siebie i drugich.

Aż na końcu powiedział ksiądz pleban do ludzi:

— Teraz, moi bracia! klęknijmy nad jego grobem smutnym, zmówmy razem z płaczem pacierz św. za jego duszę, aby i jemu raczył odpuścić pan Jezus grzechy, a nam dał rozum, byśmy tak nie robili i niczyjej namowy do kieliszka i do karczmy nie słuchali. —

Więc uklękliśmy wszyscy na cmętarzu i zmówiliśmy płaczliwym głosem pięć pacierzy, i mieliśmy się rozchodzić do domu, aż tu krzyk jakiś zatrzymał nas na miejscu.

Oto ten chłop brudny, obdarty i bosy, co szedł koło sierotki po nieboszczyku za trumną, klęknął koło grobu zmarłego i zaczął wołać z całej piersi:

— Na rany Boskie proszę Jegomości i was ludzie, nie odchodźcież jeszcze! Mam wam coś powiedzieć.

Stanęliśmy więc wszyscy, ciekawi, co ten człek ma nam powiedzieć. A on wstał i poszedł pod krzyż, który stał na

środku cmętarza i gdzie wisiał pan Jezus złocony, a którego gromada sprawiła, tam klęknął, objął rękami krzyż i zawołał:

— O Boże mój! ja powinienem pierwej umierać od tego, co go dziś pochowano, bo ja go namawiałem do pijaństwa i ja razem z nim nie jedno święto i niejedną mszę św. przesiedziałem u arendarza i nie byłem w kościele! O Boże mój, daruj mi też moje grzechy, a ja tu na grobach dziatków i mego ojca i matki i tego nieboszczyka przyrzekam, że od dziś nie będę nic a nic pił i zaczne uczciwe i pobożne życie!

Poczem obrócił się do nas wszystkich i mówił:

— A was ludzie katolicy proszę, abyście się modlili za mną, tak jak za tym nieboszczykiem, żebym ja mógł jeszcze odpokutować moje ciężkie grzechy.

Rozrzewniła nas wszystkich ta skrucha twardego grzesznika, a ksiądz pleban z Kąkolówki poszedł do niego, przeżegnał go trzy razy pod tym krzyżem, potem pocałował go w głowę i mówił:

— Witam was Macieju dziś nawrócony! Wy odtąd nasz brat; całe niebo cieszy się nad wami!

I popatrzyliśmy w niebo, a tu z pod chmur zaświeciło słoneczko, oświeciło cmętarz, groby, krzyże i tego nawróconego Macieja, a my uradowani szliśmy do niego i każdy z nas uściskał go po bratersku, a w końcu przyszli i ci państwo, którzy byli na pogrzebie i tak doń mówili:

— Widzicie Macieju! Nie raz byliście w takiej biedzie, że tylko dwór was ratował, boście przepili prawie całe gospodarstwo; potem spalił wam się dom cały, bo chciał was ukarać Bóg za złe życie a wtedy dwór wam dał na budynek trochę a trocheście mieli odrobić, lecz wy aniście nie odrobili ani zapłacili, ale co gorsze, jeszczeście po pijanemu wyklinali dwór i drugich podmawiali na dwór. Złe było Macieju to życie wasze, ale dziś na cmętarzu niech będzie wasza zupełna poprawa, żebyście odtąd żyli dobrze z nami i księdzem i gromadą i robili to, co Bóg każe i co dla nas wszystkich dobre.

I zbliżyli się ci państwo do Macieja i uściskali go, a on upadł im do nóg i prosił o przebaczenie.

Na to ksiądz pleban z Kąkolówki odezwał się do nas:

— Otóż dziś i płacz mamy i radość: płacz, bo umarł niepoprawiony grzesznik, a radość bo się nawrócił inny. Obom niech odpuści pan Jezus miłosierny grzechy, a nas żyjących niech ochrania od podobnych rzeczy.

I zaczęli się ludzie rozchodzić do domu, a jeden do drugiego mówił po drodze:

— Jaka to dziwna moc Boska, że włada sercami ludzkiemi! Głupota i upor gubią nie jednego, a skrucha i poprawa wracają i najgorszych grzeszników cnocie, i towarzystwu ludzi poczciwych!

I ja niemało wypadkiem tym uradowany rozmawiałem jeszcze chwilę z ludźmi, a potem siadłem na wózek i pojechałem do domu. A teraz wam moi bracia kochani wszystko opisuję i opowiadam na to, abyście unikali pijaństwa, iżby was nie karał pan Jezus tak, jak tego biednego Wawrzeńca Zająca; a jeżli są między wami winni, to niech się uderzą w piersi, wyspowiadają się i poprawią; jak to zrobił ów Maciej, który dziś jest poczciwym i pobożnym człowiekiem, tak, że go wszyscy kochają: pan ze dworu trzymał mu niedawno dziecko do chrztu świętego, a ksiądz pleban nigdy nie mija jego błogosławionej zagrody.

Ks. Wojciech z Medyki.

Rady gospodarskie.

Czystość u bydła.

Nikt u nas nie utrzymuje bydła w takiej czystości, w jakiej ono właściwie być powinno, a woły i krowy zwykle gorzej od koni. Zaniedbanie czystości jest wielkim błędem w chowie chudoby, bo ztąd powstają różne choroby, które zwalamy na przypadek, powietrze, ladabądź jaką przyczynę sobie wymyślając, a zapominamy o własnem niedbalstwie, które jest dopiero prawdziwym złego powodem. Bydlę jest w stanie zupełnego zdrowia wtedy dopiero, kiedy dobrze potnieje, a to nie może nastąpić, jeśli chudoba stoi w błocie, a szerść bło-

tem i prochem grubo oblepiona. W innych krajach, gdzie czyszczą bydło zgrzebłem jak u nas konie, rozrasta się ono daleko lepiej niż w naszym kraju i jest silniejsze, krowy daleko więcej mleka wydają, a choroby i upadki nie są tak częste jak u nas.

Do czystości przyczynia się także i dobrze urządzona obora. Obory należy budować na gruncie suchym i wyniosłym, a powinny one być odrzwiami opatrzone, otwarte i przewiewne. Dzieje się u nas najczęściej to złe, że dla uniknięcia zimna budujemy obory za niskie, i za mało dające przystępu powietrzu, a otwory ich częstokroć nawet słomą zatykane bywają. Takie postępowanie nie przynosi żadnej korzyści, ale jest owszem szkodliwem; lepiej bowiem w ostateczności dopuścić do bydła trochę zimna, niż wystawić je na liczne choroby, wypływające z niezdrowego i nieczystego powietrza.

Jak poznać wiek u bydła rogatego.

Po zębach najłatwiej jest poznać wiek u młodych zwierząt. Ciele rodzi się zwykle z dwoma zębami przedniemi, a po czterech tygodniach ma już wszystkie ośm zębów przednich. Od tej pory aż do ósmego miesiąca zużywaja się one tak, że już w ósmem miesiącu dwa środkowe zęby są mniejsze od innych. Odtąd aż do ośmnastego miesiąca, to jest aż do półtora roku zmniejszają się i inne zęby, od siebie nieco odsunięte. W drugim roku wypadają obydwa zęby środkowe, a nowe dwa wyrastają na ich miejsce; w trzecim roku ma już bydlę cztery zęby trwałe, w czwartym roku sześć, a w piątym wszystkie ośm; w szóstym roku dopiero dochodzą wszystkie zęby jednakiej wielkości. Kto ma wprawę potemu, to umie jeszcze z łatwością i przez kilka lat następnych wiek bydła oznaczać, a to wedle zużycia się zębów, a potem wedle ich wypadania: gdyż w dziewiątym roku wypadają najprzód dwa zęby środkowe, w następnych latach maleje także znacznie i reszta zębów, a nareszcie stoją one znowu w oddaleniu jeden od drugiego, jak u dwuletniego jałownika.

Po rogach można także lata bydlęcia poznawać. Jakoż przez pierwsze dwa lata są one z wierzchu gładkie, a z początkiem trzeciego roku tworzy się u spodu przy osadzie rogu pierścień, który w ciągu roku pięknie do koła podrasta, a potem tworzy się drugi taki pierścień. Oszukańce, sprzedając bydło, zdzierają te pierścienie drobniutkim pilnikiem, dlatego przy oglądaniu rogów trzeba być bardzo uważnym, aby się nie oszukać. U krów, które już w drugim roku są stanowione, tworzy się pierwszy pierścień o rok wcześniej, wydają się przeto o rok starsze niż są rzeczywiście. U wołów i buhajów rogi nie mogą służyć do pewnego oznaczenia wieku, gdyż pierścienie występują na nich dopiero po pięciu latach, a i to nieregularnie.

Dojność krów.

We Francji, kędy chudobę czyściej jak u nas utrzymują, dobry mają sposób do rozpoznania, która krowa mniej, a która więcej daje mleka. Uważa się w takim razie na szerść, którą jest wymie obrośnięte. Szerść na całej krowie idzie z góry na dół, a przy wymieniu kładzie się ona z dołu do góry, i tak okrywa część uda krowiego po obu stronach. Owóż jeśli krowa w należytej czystości jest utrzymana, to bardzo łatwo rozpoznać linijkę, gdzie się szerść z góry na dół i szerść z dołu do góry idąca spotykają; a w takim razie im dalej ta linijka na zewnątrz udów jest posunięta, czyli im większą przestrzeń skóry szerść z dołu do góry rosnąca okrywa: tym więcej mleka można się spodziewać po krowie.

Chcąc wreszcie aby krowa jak najwięcej mleka dawała, zważać trzeba na to, aby pierwiastka po pierwszem ocieleniu jak najdłużej dojoną była. Im dłużej będzie dojoną, tym lepszą będzie na mleko, bo w dalszych latach przestaje zwykle dawać mleko o tej porze, w której pierwszy raz po ocieleniu przestała być dojną. Tak na ten przykład, gdy pierwiastka w sześć miesięcy drugiej ciężarności doić się przestanie, to na zawsze i po każdym ocieleniu dłużej nad sześć miesięcy mleka dawać nie będzie. Doić przeto należy każdą pierwiastkę jak najdłu-

żej, nawet do dziewięciu miesięcy, choćby tylko po trochę mleka przypuszczała, dając jej po temu zdrową i pożywną paszę.

Cielność krów.

Jeżeli krowa stała się cielną, można to zaraz na początku poznać następującym sposobem:

Weź wody czystej, jeśli można płynącej do czystego szklannego kieliszka, i wpuść na wodę trzy krople świeżo udojonego mleka, jedna za drugą zwolna i ostrożnie. Jeżeli krowa jest cielną, krople mleka spadną na sam spód, a jeśli nie, to się w wodzie rozpłyną. W ten sposób można też i źrebność kobył poznawać, na co powinni baczyć wszyscy handlarze bydła.

Zawłoka.

W wielu przypadkach, a mianowicie przy wywichnieniu łopatki u konia i bydlęcia, koniecznie potrzebną jest zawłoka.

Koń nie tak łatwo wywichnie łopatkę. Zdarzyć mu się to może, gdy przy wstawaniu noga mu się pośliznie, albo gdy zadepnąwszy za łańcuszek od uździenicy, stara się wszelkiemi siłami nogę wydobyć, przez co ją sobie bardzo namoże. Gdy mu nie pomoże ani naparzanie odwarem szałwji, nasienia siana, macierzanki i chmielu; gdy nie skutkuje nacieranie spirytusem terpentynowym i kamforowym, niezwłocznie zaciągnij koniowi na chorej łopatce zawłokę.

Podobnie gdy bydlę kuleje, a nie ma przyczyny kulawienia u przednich nóg i w racicach, co się zwykle u wołów zdarza, to już pewna, że łopatka uszkodzona. Gdy smarowanie chorej łopatki maścią lotną i olejem skalnym nie pomoże, niezwłocznie zaciągnij u spodu łopatki zawłokę.

Lecz jak zaciągnąć zawłokę? Weź krajki zwyczajnej cal szerokiej łokieć, nasmaruj ją olejem terpentynowym, i nawlecz nią iglicę. Gdy to masz w pogotowiu, narznij choremu zwierzęciu tam, gdzie masz zaciągnąć zawłokę, poziomo skórę, a 6 do 8 cali niżej, ale wprost pod pierwszem narznięciem, drugi raz. Naturalnie, że te obydwa narznięcia powinny

być szersze od krajki. Odedrzej teraz skórę pomiędzy obydwoma narznięciami, włóż iglicę z ową krajką napuszczoną olejem terpentynowym w górne narznięcie, i tuż za skórą przetknij ją ku dołowi, i wyciągnij ją dolnem narznięciem. Ale się strzeż nadwyrężyć ciała; dla tego ostrożnie tuż za skórą powoli przetykaj iglicę. Skoroś już ją przeciągnął, odejmij iglicę, zeszyj obydwa końce krajki, aby ci zawłoka nie wypadła.

Cel zawłoki jest ropienie, aby przez nie ból ustąpił. Dla tego pamiętaj zawłokę codziennie przeciągać tak, ażeby codziennie inny kawałek krajki w ranie się znajdował. Codziennie napuszczaj ranę olejem terpentynowym, bo przez to ropieniu się dopomaga. Materję zaś często wodą zmywaj. Jeżeli krajka bardzo się już zawalała, natenczas weź świeżą, i podobnym sposobem na nowo zaciągnij zawłokę.

Jak długo ma być zawłoka? — Radzę mieć ją najdłużej dwa tygodnie, bo przez ten czas mogła dostatecznie ropienie wzbudzić. Dla tego też polepszenie po większej części nastąpi. Wyjmuje się więc po dwóch tygodniach zawłoka, rana się wodą wymyje, poczem się sama zagoi. Gdyby zaś i po dwóch tygodniach zawłoka nic nie pomogła, i zwierzę miało tak znów kuleć jak kulało, natenczas nic innego nam nie pozostaje, jak tylko łopatkę przypalić. Na to przywołajcie konowała doświadczonego, bo sami bardzo łatwo możecie zwierzę uszkodzić i zabić. Konia wyleczonego długo powinniście ochraniać, bo u niego choroba ta bardzo łatwo się wraca.

Tak samo zaciągają się zawłoki u owiec i kóz, ale samo ze siebie się rozumie, że zawłoki u tak małych zwierzątek powinny być daleko mniejsze, jak u koni i bydląt.

RÓŻNOŚCI.

Bratnie miłosierdzie. Pisaliśmy w „Dzwonku“ o zniszczeniach jakie wyrządziła Wisła swoim wylewem, i przedstawialiśmy też okropny stan zatopionych ludzi. Otóż ci nieszczęśliwi włościanie znaleźli chętne serca w całym kraju; zbierano składki i dawano różne zabawy za pieniądze,

z których zysk na pomoc dla zatopionych był przeznaczony. Mieszczanie lwowscy wyłożyli na nich dwa tysiące reńskich, a studenci we Lwowie i w Krakowie grali *teatr*, z którego także nie małą sumę dla poszkodowanych braci włościan się uzbierało. Jeżeli tylko chrześcjańskie braterstwo w sercach ludzkich zagości, to wtedy nie ma takiego nieszczęścia, któreby bratnia ręka bliźniego nie złagodziła. Pokazało się to najjawniej w tem oto wypadku: poszkodowani wylewem zostali włościanie nadwiślańscy, a wnet biegną z pomocą panowie i księża, mieszczanie, studeńci i włościanie, nie pytając się kto jest tym nieszczęśliwym co pomocy pragnie, bo dość już jest dla chrześcjanina jeśli nieszczęśliwym jest człowiek, więc tem samem bliźni. Wszystkie datki odsyłają się do Tarnowa, jako najbliższego miejsca, gdzie też komissja do rozdawania ich jest ustanowioną.

Łakomstwo ukarane. Pewien ubogi zarobnik wyrwał był w swoim ogródku niezmiernej wielkości rzepę, nad którą każdy się dziwił. Uradowany tym wypadkiem rzekł sam do siebie:

— Zaniesę ją naszemu panu dziedzicowi, bo jego to bardzo cieszy, gdy który z gospodarzy przez swą pilną uprawę roli obfite plony zbiera.

Niesie więc ową dziwną rzepę do dworu, i ofiaruje ją dziedzicowi, a dobry pan przyjął z radością podarunek, pochwalił pilność zarobnika około swej roli, i podarował mu na wsparcie trzy dukaty.

Dowiedział się o tem sąsiad zarobnika, bogaty a niemiłosiernie łakomy rolnik, i rzekł sam do siebie:

— U mnie przed tygodniem ulągło się w oborze ogromnej wielkości cielę; kiedy więc nasz dziedzic taki szczodry, to mu jutro cielę zaprowadzę, a ciekawym co mi da za to ogrome i śliczne cielę, skoro za proste rzepsko trzy dukaty płaci?

Jakoż nazajutrz rano wziął bogacz cielę na powróz, prowadzi do dworu i prosi dziedzica o przyjęcie podarunku. Dziedzic jako przezorny i roztropny człowiek, zmiarkował zaraz chytrość łakomcy, i nie chciał przyjąć podarunku. A gdy bogacz nie ustępując usilnie o to nalegał, natedy dziedzic aby się pozbyć natrętnika, rzecze:

— Ponieważ mię nieustannie prosicie, więc przyjmuję wasze cielę, a za szczerą życzliwość waszą ku mnie odwdzięczam się wam nie mniej życzliwem sercem. Oto daję wam podarunek, który mnie trzy razy tyle kosztuje, ile wasze ciele warte. — To mówiąc dał dziedzic zdziwionemu i przelęknionemu łakomcy znaną mu dobrze ogromną rzepę.

Zawstydził się bogacz i poszedł do domu nikomu o tem nie mówiąc, i od tego czasu nie pragnął już nigdy cudzego majątku.

F. B.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 14.

11. Maja 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bóg wie co robi.

Mędrzec pewien będąc prześladowany w swojej ojczyźnie, musiał z niej uciekać na pustynię, między dzikie zwierzęta i dzikszych od zwierząt rozbójników. Nie zabrał on z sobą żadnych bogactw, ale tylko rzeczy użyteczniejsze, to jest: latarkę, przy której mógł w nocy czytywać księgi święte; koguta, który miał służyć za zegar i oznajmiać jutrzenkę, i osła, na którym podróż odprawiał.

Od samego świtu przebierając się przez pustynię, postrzegł on mędrzec, że się już miało ku zachodowi, i że niebawem noc nastąpi; co tu teraz począć? gdzie osiołka nakarmić i napoić? gdzie samemu znaleźć przytułek? Ta myśl go bardzo zakłopotała, ale na szczęście zobaczył w oddaleniu wioskę. Pospieszył więc do niej; ucieszył się, że ją zastał zamieszkałą, i tak sobie wnioskował: że tam, gdzie są ludzie, musi być i ludzkość, czyli gościnne przyjęcie. Jednakże mędrzec wielce się oszukał. Żaden bowiem z mieszkańców nie chciał go przyjąć na nocleg; nie wypadło mu więc jak w pobliskim lasku szukać na noc przytułku.

— Przykra to rzecz — mówił do siebie — mieć przed nosem drzwi zamknięte, i spać na twardej ziemi pod gołem niebem. Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

W lesie puścił osiołka na trawę; sam usiadł pod drzewem, zapalił latarkę i zaczął święte księgi wartować. Ale zaledwie jeden rozdział przeczytał, kiedy mocny wicher się zerwał i zdmuchnął świecę w latarce.

— Cóż za nieszczęście! — zawołał — zgłodniały, niemam dachu, i jeszcze czytać w ulubionej książce nie mogę? Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

Mędrzec rozciągnął się na twardej ziemi, usiłując zażyć snu przez resztę nocy. Wszakże zaledwie przymknął powieki, gdy oto przyszedł wilk i porwał mu koguta.

— A to już niesłychane nieszczęście! — zawołał zdziwiony mędrzec — Zginął mój czujny towarzysz; któż teraz będzie mię budził, ażebym o zorzy wstawał modlić się i czytać księgi świętej mądrości? Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

Zaledwie wymówił te słowa, gdy oto przypadło straszne lwisko i osła pożarło.

— Cóż pocznę teraz, nieszczęśliwy! — zawołał zasmucony pielgrzym — Cóż pocznę bez latarki, bez koguta, bez osła? Jednakże Pan Bóg jest sprawiedliwy, i wszystko, co robi, wychodzi na dobre!

Mędrzec przepędził resztę nocy bardzo niespokojnie; ze wschodem słońca wstał i poszedł do tej wioski, gdzie go tak niegościnnie przyjęto, chcąc kupić sobie konia albo osiołka dla odprawiania dalszej podróży. Lecz jakież było jego zadziwienie, gdy nie znalazł ani jednego człowieka przy życiu: horda rozbójników napadła była tę wieś, a zrabowawszy mieszkańców, wymordowała wszystkich.

— O wielki, o niepojęty Boże! — zawołał mędrzec, padając na kolana — tyś jeden sprawiedliwy, tyś jeden wszystko widzący! To, co my w naszej ślepocie nazywamy nieszczęściem, prowadzi nas często do największej szczęśliwości, byleśmy tylko

umieli znosić cierpliwie i poddawać się z ufnością twoim wyrokom. Gdyby ci wieśniacy przyjęli mię byli na nocleg, zapewne padłbym pod mieczem, jak oni; gdyby wiatr nie był mi zgasił latarki, jej blask sprowadziłby na mnie rozbójników; toż samo gdyby żył kogut i osioł, jedenby piał, a drugi ryczał, i zbójcy znaleźliby mię niechybnie. O nieogarniony w wyrokach swoich Boże! czemże jest mądrość tego świata w porównaniu do Twojej mądrości! *Cz. P.*

Do Boga.

Słońce zeszło, błyszczy rosa,
Nocy zniknął cień,
Nucą ptaszki, lśnią niebiosa,
Jasny wróżąc dzień.

Radość wszędzie, wszędzie wonie,
Świat weselem tchnie,
A choć chwila burzą wionie,
Nie trwa długo, nie.

Czemuż jednak w naszej duszy
Zawsze smutek trwa?
Kiedyż Boże! z tych katuszy
Wyrwie ręka Twa?

Czyż nam przodków przewinienia
Raz już nie dasz zmyć?
Czyż wśród smutku, udręczenia
Mamy zawsze żyć?

Nie! ty Boże dobry, wielki,
Tak nie możesz chcieć,
Byśmy szczęścia i kropelki
Już nie mieli mieć.

By nie uczuć tej słodyczy,
Co ją dusza śni,
Tylko kielich łez, goryczy,
Aż do końca dni.

Więc o Boże! przykrych losów
Kolej prędko zmień,
Niechaj miły z łask niebiosów
Zejdzie dla nas dzień.

Niechaj smutku i przykrości
Dnie wyjaśnią się;
Oto pełni łez, żałości,
Boże! prosim Cię.

X. Dd. z L....

SEN.

„Sen mara Bóg wiara“ powiadają rozumni ludzie, i prawda to wielka że nie trzeba snom wierzyć, bo to zabobon, a święta nauka Chrystusowa każe unikać zabobonów. Nie lubię słuchać jak to czasem baby przepowiadają jedna drugiej, że kiedy się

śni ogień to gniew albo złodziej; umarły, to szczęście; gadzina to grzech, i różne tym podobne duby smalone. W ręku Boskiem wszystko co nas czeka, i nie nam wdzierać się w to co dla nas zasłonięte. Gdy człowiek po pracy spocznie znużonym kościom, to się tam coś marzy duszy spać niemogącej, i co się zasłyszało, co się myślało, co się kiedy widziało, plącze się tam bez ładu: ale z tego nie godzi się wyprowadzać rzeczy przyszłe, bo o nich wie tylko Pan Bóg w niebie. Maleńkim dzieciom śnią się Aniołki, bo one niewinne, nie znają jeszcze nic grzesznego ni brzydkiego, a my już tego niegodni; jednakowoż jak się komu przyśni Anioł albo Matka Najświętsza, to jakoś tak miło i lubo że radoby się tak śnić zawsze; ale wtedy tylko modlić się trzeba, abyśmy sobie zasłużyli kiedyś tych Świętych i Aniołów twarzą w twarz oglądać. A jak się przyśni kto umarły, co już nie żyje, to ktokolwiek on jest, należy się zbudziwszy zmówić pacierz za jego duszę, bo to zbawienny uczynek i Bogu miły modlić się za umarłych, a że nie zawsze pamiętamy o tem, to dobrze że choć we śnie nam się przypomni. Jak chłodna woda na rozpalone ciało, jak łagodna maść na rany, jak wiaterek na spocone czoło przy pracy: tak modlitwa za zmarłych chłodzi i osładza dusze w czyscu cierpiące. I nam kiedyś, gdy porzucimy to życie, słodka będzie i chłodząca modlitwa dobrych ludzi. Po miastach i po wsiach dzwonią trzy razy na Anioł Pański, który za dusze zmarłe ofiarować należy; u nas znowu poczciwi Rusini nie obchodzą ślubu, chrzcin, pogrzebu, żeby za dusze zmarłe nie odprawili mszy świętej, i przy każdej okoliczności szczęśliwej i smutnej dają na msze, pamiętając o ojcach i dziadach leżących w świętej ziemi.

Otóż skoro się o snach zgadało, opowiem wam także historję jaki tu sen we wsi naszej miała jedna kobieta, będzie temu trzy lata. Ale zacznę od początku.

Jakoś przed laty trzynastu było we wsi naszej huczne wesele. Młody i przystojny chłopiec, imieniem Paweł Tereszczuk, żenił się przy rodzicach swoich z ładną Wiktą Hrycykową z sąsiedniej wsi Przemiwółek; a będąc najstarszym z rodzeństwa przyprowadził młodą żonę do chaty, i kiedyś miał pospłacawszy czterech braci sam zostać gospodarzem na pięknym i zamo-

żnym gruncie. Bardzo był jeszcze młody bo nie miał dwadzieścia lat. Młoda para kochała się serdecznie, ale niedługo było tego szczęścia; w kilka miesięcy po ślubie nastała branka i Pawła wzięli. Nachodził się za nim stary ojciec, naprosił, że stary i sił nie ma, że na syna grunt stoi, darmo płacił tu i owdzie, bo i pieniądze przepadły i syna mu wzięli. Poszedł Paweł w ciasnym białym mundurze, aż mu się świat zmienił gdy zdiął płótniankę i rzemień, a ostrzyżoną głowę nakrył kaszkietem. Wieszała się na szyi młoda żona, zawodziła matka, a staremu ojcu jak groch łzy padały.

— Czy ja go zobaczę! — dumał stary — bliżej mi grobu jak świata, syn najstarszy, pomoc i pociecha!

Paweł płakał, ściskał żonę, skłonił się do nóg rodzicom, żegnał się ze wszystkimi i kogo spotkał ze Smerekowa pozdrawiał jak rodzonego brata. I szli rekruci, z tęsknemi śpiewami, bo u nas na Rusi wszystko się z pieśnią dzieje, a Paweł jak odurzony szedł z nimi, i zdawało mu się, że już gdzieś idzie bez końca i przepadnie. Póki widział wzgórze swojej wioski i drzewa sadów, lżej mu było; ale jak się wszystko schowało za Kulikowską górę, ścisnęło mu się serce, zdawało mu się że go dławi i oddychać nie daje. Kto z was porzucał kiedy na długo rodzinne strony, niewiedząc czy wróci, ten wie jak boleśnie i ciężko opuszczać chatę gdzie się urodziło, wieś swoją i swoich miłych. A cóż dopiero gdy przyjdzie opuścić kraj ojczysty i iść między obcych. Wtedy to człowiek sierotą na tym świecie, biedny i tęskny, pusto i ciężko mu wszędzie, i chleb mu gorzki a świat niby próżny.

Więc nasz Paweł póki idąc krajem słyszał ruską a potem polską mowę, póty nie zupełnie czuł się biednym; ale jak zaszedł w niemieckie okolice, dalej i dalej! to zdawało mu się że go cały świat dzieli od swoich, że już nazad trafić nie zdoła, że innem jakiemś powietrzem oddycha, że nawet inne niebo nad nim. I tęsknił nieboraczysko, a najwięcej za swoją Wiktą kochaną. Tymczasem w Smerekowie Wikta robiła przy rodzicach jego, dumała i śniła o mężu, czekała i wyglądała kiedy wróci. Mijały lata a z niemi młodość; Paweł nie mógł dostać urlopu, pisywał rzadko, bo gdzież biednemu chłopu co pisać nie umie

zawsze płacić za list, gdy mu jaki kapral napisze i to po niemiecku. Rodzice się podstarzeli i zgarbili, bracia powyrastali, a Wikta czekała i wyglądała, kiedy Paweł wróci, a każden list oblewała łzami i modliła się gorąco do Boga i do Matki Najświętszej o powrót szczęśliwy dla męża.

Minęło tak ośm lat; stary Tereszczuk umarł błogosławiąc dzieciom i najstarszemu synowi, a na gospodarstwie została matka z Wiktą i trzech chłopaków, bo najstarszy z nich ożeniwszy się przeszedł na żonine. Aż tu razu jednego, na wiosnę, wyszedł brat sadzić kartofle za cmentarzem, a Wikta idąc za pługiem rzucała w skibę. Jest tam pagórek wyniosły a zwie się Ostrowcem, zkąd widać doskonale gościniec murowany, Żółkiew i wsie w koło. Na ścieżce od strony Mohilan ukazał się jakiś człowiek, a szedł szybko i coraz bliżej, zmierzając ku polu gdzie sadzono kartofle. Wikta podniosła się trochę od roboty i spostrzegła tego człowieka, a przyłożywszy rękę do oczu przypatrywała się, i serce jej biło. W tem pies Bosy, który był przy pługu i leżał na miedzy na worku z kartofli, podniósł łeb także, zaskomlił radośnie, zerwał się i poleciał do podróżnego. Wysypały się kartofle z fartuszka Wikcie, chciała biedz i stanęła, i patrzy, i słucha, Bosy wyszczekuje..... Paweł stanął przed nią. Co tam było radości między młodem małżeństwem, trudno opisać: tyle lat się nie widzieli, patrzyli na siebie niby obcy a ściskali się jak najmilsze kochanie.

Zapłakał Paweł że nie zastał ojca starego, kłaniał się matce, a braci to i nie poznał, tak to wszystko odmieniło się i wyrosło. Wszyscy cieszyli się że już wrócił na gospodarstwo, że już wysłużył swoje, i będzie już siedział w domu, a najwięcej cieszyła się Wikta, bo ona się z nim jeszcze pierwej nie nacieszyła, bo tęskniła ośm lat, bo nieraz doznała przykrego obejścia lub usłyszała gniewne słowo od domowych a nie śmiała się odezwać, bo nie mało się napłakała po kątach. Jakby nowe życie zaczęło się dla niej. Paweł objął gospodarstwo, zawinął się koło wszystkiego, i choć niejedno w jego nieobecności podupadło, on przecie dawał radę jak mógł, trochę długów spłacił, budynki podreperował i braci umiał utrzymać w karbach. To też i Wikta już coś znaczyła teraz. Pierwiej niby służąca, teraz

już była gospodynią; ale broń Boże nie użyła na złe tego. Świekrze nigdy nie dała uczuć że ona teraz rządzi, ale z uszanowaniem jak się należy dla matki była, braciom nie pamiętała zuchwałych nieraz słów, ale każdemu starała się dać to co potrzebował. Paweł chociaż wojskowy nie przyniósł z sobą tak jak inni złych obyczajów, cudzoziemskiej mowy i pychy głupiej, ale taki był jakby nigdy nie chodził nigdzie i nigdy się inaczej nie ubierał. I był sobie z Pawła człek cichy, pracowity i pobożny. Nie lubił nawet wspominać nigdy o żołnierskich czasach, tylko machał ręką z niechęcią gdy go kto pytał, a w duchu myślał sobie ze strachem żeby go choć więcej nie powołali. Grunt jego i gospodarka znajdowały się w coraz lepszym stanie, bo już to nic nie zastąpi silnej ręki gospodarza, który sam dojrzy i zrobi a o jutrze myśli. Wikta w pięknym przyodziewku, w brodzkich chustkach i sutych koralach, sama ładna i choża jak łania, odznaczała się między wszystkiemi młodycami urodą i cnotą. Szczęśliwa była i wesoła, odżyła niby inna, a ochocza do pracy, była mężowi najlepszą pomocą, i jej zapobiegliwością kwitło gospodarstwo domowe. Mówią: dobra żona, głowy korona, a wszystek ład i dobro idzie za nią. A jeszcze więcej uczuła się Wikta szczęśliwa, gdy poznała że jest w stanie błogosławionym, bo nic jej nie dostawało do szczęścia tylko dziecięcia własnego. Modliła się jeszcze serdeczniej do Matki Boskiej, do której miała szczególne nabożeństwo, i polecała jej siebie i to dziecię które pod sercem spoczywało.

W zimie na sam Nowy rok, powiła córkę, której nadano imię Marji. Maleńka Marynia była radością rodziców i uciechą całego domu. Wszyscy bawili i nosili, a Paweł brał nieraz na ręce i wpatrywał się długo w dziecinę z wielką czułością. Gdy go tak zaszła Wikta, brała go za szyję, i tak pochyleni nad dzieckiem mieli łzy w oczach a rodość w sercu.

Nadchodziła wiosna; różne wieści zaczęły obiegać po kraju, gadali że będzie wojna i wielka branka. Pocierpał Paweł na całem ciele, a ile razy spojrzał na żonę i dziecię, odwracał się aby ukryć wielki smutek; sposępniał i chodził jak struty. Pocierpiała Wikta, przypomniały jej się ośm lat tęsknoty, i zdawało jej się że już drugi raz tak nie wyżyje, że to bydź nie

może, i modliła się do Matki Boskiej aby odwróciła tę boleść okrutną. Tymczasem w marcu powołano wszystkich urlopników i rezerwistów, i pościągano rekrutów; straszna branka wyludniała wsie całego kraju z młodych chłopaków, a często gęsto i gospodarzy. Przyszło więc pismo i do Pawła; na samą Wielkanoc miał iść. Nie było na to żadnej rady. Rozkaz — słuchać musiano. — Jak tam Wikta sposobiła się do świąt, jak tam paskę upiekła, jak chodziła po świecie, nikt nie wie. Paweł nic nie mówił, nie narzekał, ale zmienił się i pieścił tylko w milczeniu swoje dziecko, albo pracując na obejściu lub w polu, ciężko, ciężko wzdychał.

Nadeszły Święta Wielkanocne. Po trzech dniach postu i ciszy, zabrzmiały znowu nasze dzwony cerkiewne. Alleluja i Chrystos woskres śpiewało zda się w całem powietrzu. Lud biało postrojony pozdrawiał się wesołem Zmartwychwstaniem Pańskiem, gospodynie poustawiały kręgiem koło cerkwi białe płachty, z których wyzierały żółte a wielkie jak koło od wozu paski wielkanocne, mięsiwo, jaja, chrzan, masło i różności. Po nabożeństwie świętem młodzież z pisankami ślicznemi za nadrzem, weseliła się do wieczora około cerkwi pieśni i gry wyprawiając, to Halę, to Zelmana, to słowiczka w maczku, a wieczór przeniosło się wszystko na wieś po ulicach, to w zazulkę, to w myszeńki, to w dida. — Bo święta Wielkanocne to najweselszy czas w roku: wiosna się rozwija i wszystko na nowo żyć zaczyna; skowroneczek naszych pól śpiewaczek dzwoni na chwałę Panu gdzieś w obłokach, wszystko zmartwychwstaje z tym Zbawicielem świata, który rozpięty na krzyżu śmierć zwyciężył, i powstawszy z grobu wzniósł się do nieba gdzie nas wszystkich za sobą powołuje i czeka na nas. W Smerekowie owego roku nie tak wesołe były święta jak zwykle: trzeciego dnia mieli odchodzić powołani do wojska; wszystkich to obchodziło, a kilka mołodyc zawodziło w chatach przysposabiając zapasy świąteczne dla mężów. Święconą paskę ładowały im w chustki, ten chleb święcony, chleb rodzinnej ziemi.

— Może to ostatnie Święta w domu — przemówił smutny Paweł gdy zasiadali do pożywania święconego, a Wikta zawiodła płaczem, i pierwszy kęs paski oblany był jej łzami.

Trzeciego dnia, u karczmy przy gościńcu stały fury, na których siedzieli powołani z kilku wsi sąsiednich i czekali na Smerekowców. Dzień był pochmurny i smutny. Połowa gromady wyruszyła ku gościńcowi widzieć odjeżdżających i pożegnać się z nimi. Nieraz wywożono rekrutów, a ludzie nie byli tak powarzeni i tak sobie do serca nie brali, ale teraz szli na wojnę, śmierć może czekała niejednego z nich, niejeden może nie wróci nigdy: każdemu było jakoś żal chociaż obcemu. Nadszedł i Paweł z całą rodziną swoją, a szedł tak jak na stracenie. Gdy pierwszy raz odchodził, nie czuł jeszcze takiego żalu i jakiejś dziwnej tęsknoty co mu teraz serce ściskała.

— Już ja tu nie wrócę, już ja ich nie obaczę — myślał sobie. I jakże myśleć nie miał, kiedy szedł na wojnę kędy kule latają, a gdzie stać potrzeba. Więc rozpacz go porywała, i żeby był nie westchnął serdecznie do Boga w niebie, toby się był zapomniał z tej rozpaczy. Ale to westchnienie serdeczne widać usłyszał Pan Bóg, bo mu zesłał pokrzepienie. Stanąwszy koło wozu przycisnął Wiktę mocno do piersi, podniósł dziecinę i przeżegnał krzyżem świętym.

— Bywajcie zdrowi! bywajcie zdrowi! — zawołał wyrywając się z rąk Wikty — Módlcie się za mnie abym wrócił do was! Bywajcie zdrowi! — zawołał na braci — a nie róbcie krzywdy moim sierotom! Boże Ojcze, prowadź!.....

Wóz się potoczył szybko, a w cerkwi zadzwoniono na nieszpory. Pawłowi zdało się że to jemu jak umarłemu jeszcze dzwony swoje zadzwoniły. Schował twarz w ręce i modlił się, a łzy gorące padały mu z oczu. A Wikta przy gościńcu omdlewała, a jej dziecko płakało jakby rozumiało że ojca już traci.

Ludzie już poobsiewali u nas, zieleniło się ślicznie w polu, kobiety plewiły grzędy, a tam gdzieś w Italji wielka wojna wrzała i ludzie się zabijali. Nasi Smerekowscy żołnierze pisywali często donosząc o sobie rodzicom, na szczęście żaden nie był w samym ogniu, jedni stali w Węgrzech, drudzy w Italji, ale nie opodal, w mieście Wenecji, co to cudownie na wodzie zbudowana. Paweł tylko raz napisał z drogi i donosił, że maszeruje do Italji do ognia, błogosławił jeszcze swoje dziecko, prosił matki i braci aby szanowali i nie poniewierali jego naj-

ukochańszych sierot, bo choć on by się nie wrócił, to Pan Bóg w niebie nie darowałby krzywdy. I po tym jednym liście nie było więcej żadnej wiadomości. Jak kamień w wodę tak zginął wszelki słuch o Pawle.

Ksiądz proboszcz i my na folwarku czytywaliśmy gazety i wiedzieliśmy co się dzieje, więc i gromadzie nieraz opowiadaliśmy, a Wikta najskwapliwiej się dowiadywała i okrutnie się bała o swojego Pawła. Już to prawda trudno takiej kochającej żony jak ona była, świat jej się zmienił, a którędy szła to płakała. Nieraz z nią rozmawiałam i pocieszałam, ale już nie było dla niej innej pociechy tylko do Matki Boskiej się udać i modlić się serdecnie. Już to ona szczególnie ufała i kochała Matkę Boskę. W chacie przed Jej obrazem, w cerkwi przed Jej ołtarzem, a nawet często przed figurą u gościńca zanosiła gorące prożby za Pawłem. Musiała go też Najświętsza Mateńka wziąść w opiekę i czuwać nad nim, ale nie tak jak ona kobiecina w swoim rozumie dufała, tylko inaczej, jak to święta wola Boża rozporządziła. Mała Marynia rosła i śmiała się do matki, do obrazów, do nieba; a ile razy spojrzała na nią matka to płakała mówiąc:

— Nie znałaś ty dziecino tatunia! Kiedy ty zawołasz na niego? a kiedy on usłyszy ciebie!

Otóż przeszedł jakoś miesiąc Czerwiec. Czerwieniły się jagody, czerwieniły róże, i czerwieniły się oczy Wikty od łez, a tam daleko czerwieniła się ziemia od krwi ludzkiej. A i naszej krwi polskiej niemało tam popłynęło na cudzą ziemię! Ale to nie nowina, bo już i kątka ziemi nie ma na świecie, gdzieby się ta krew polska nie lała, tak to naszych biednych braci niedola goni bez końca. A jak nadszedł tak i mijał Czerwiec, a Włochy co się tam bili za swoje, bili się dzielnie, a Francuzi im pomagali, więc i zwyciężyli cesarskie wojska. Było kilka wielkich bitew, a osobliwie jedna pod *Solferino*, bo tak się nazywała wieś, gdzie się ta bitwa odbyła.

W sam dzień Bożego Ciała, Wikta usiadłszy przy opałce wiszącej u tramu, kołysała dziecię. Było to po południu, upał doskwierał, i jak to w godzinę południową jeszcze przy święcie, cicho było wszędzie, bo się gdzieś wszystko pochowało po chło-

dach. Wikta się zapatrzyła na obrazy ślicznie ubrane w kwiaty: gołąbki papierowe i zioła pachnące wisiały rzędem nad skrzynią, a święci z obrazów patrzyli na nią. Świeże dzisiejsze wianki święcone leżały na żółtej wstążeczce na skrzyni, bo im jeszcze miejsca nie znalazła; ona dumała, i sen ją zmorzył, sparła głowę i zasnęła. A ledwie zasnęła, śniło jej się że stała gdzieś w nieznanej okolicy, nad wielką, siną wodą, i bardzo jej smutno było. Aż tu patrzy, ze środka tej wody wystąpiła niewiedzieć jak postać biała, wysoka, i woła ją ręką do siebie. Ona niepytając że woda pobiegła do niej, bo ją coś ciągło dziwnie miłego. I przybiegła blisko i patrzy. Przecudownej śliczności pani biała, szaty na niej leciuchne jak z obłoków, prześwięta słodycz w niebieskiej twarzy, nad głową światło a pod stopami wody.

— Kto ty jesteś święta Pani? — zapytała Wikta i klękła na kolana.

— Jestem Marja, matka Chrystusowa — odpowiedziała Najświętsza Panna takim głosem, że Anieli ani święci w niebie niegodni tak śpiewać. Wikta upadła na twarz i nie śmiała już spojrzeć na Nią.

— Przychodzę z tamtąd gdzie się biją — rzekła znowu Najświętsza Panna — patrz na ręce moje! — i wyciągnęła ręce w promieniach jak to często malują na obrazach. — Broniłam i obronić nie mogłam!

— Matko Boża święta — szeptała Wikta — powiedz mi co się dzieje z moim mężem?

— Módl się za jego duszę! — przemówiła na to Najświętsza Panna i wzniosła się w niebo. Wikta została i modliła się za duszę Pawła. A potem wszystko znikło i Wikta się ocuciła.

Ten sen cudowny opowiadała mi sama nazajutrz i rzewnie płakała.

— Już nie wróci mój Paweł — mówiła — ja wiem że już nie żyje. Sierota ja wieczna z mojem dzieckiem! Pójdę do Jegomości niech opiszą ten sen cudowny i pomodlą się za jego duszę.

Żal mi było bardzo Wikty, a sławiłem Boga, jak On to czasem cudownie objawia swoją wolę, i myślałem sobie, że kto

takiego cudu dozna, powinien się tylko serdecznie korzyć, a nie wzbijać się w pychę i nabierać wiary w zabobonne znaczenie byle jakich snów. A że sen ów był objawieniem woli Bożej, tośmy się przekonali wyczytawszy z gazet, że tego samego dnia, o tym samym czasie wielka była bitwa pod *Solferino.*

Smerekowscy żołnierze zaczęli wracać z jesienią, inni pisali, zima nadeszła. Wikta pisała i podawała do becyrku, do jeneralnej komendy we Lwowie, z tamtąd znowu pisali do pułku, dowiadywali się, i nareszcie przyszło pismo do Wikty, że Paweł Tereszczuk zginął w bitwie pod Solferino bez żadnej wieści i śladu, i pomimo poszukiwania, żadnej o nim nie zasięgli wiadomości.

— Wiem że nie żyje — mówiła Wikta — bo ja miałam wieść pewniejszą — i płakała biedna i tuliła dziecko, a maleńka Marynia szczebiotała: — Tatunio przyjdzie, przyniesie mi czaczy — a Wikta składała jej rączki i mówiła:

— Módl się za Tatę.

Już minęły trzy lata; bracia odsadzili Wiktę do osobnej chaty i dali dwa kawałki pola, a to dla tego, że żyje dziecię po Pawle. Trafiali się ludzie Wikcie, ale ona siedzi na swojej małej części, słyszeć nie chce o niczem, pracuje, wychowuje Marynię i modli się za duszę Pawła, któremu chce zostać wierną aż do śmierci. *B. E.*

Zkąd to ziemniaki?

Pogadanka gospodarska.

Już się miało ku zachodowi; słońce zapadało gdzieś daleko za ziemię, a wietrzyk ciepły roznosił zapachy łąk w powietrzu: kiedy Maciej, chłop smagły jak jodła, z rumieńcem na twarzy, w białej sukmanie a z książką pod pachą, szedł wolnym krokiem niby zadumany prosto ku chacie Grzegorza.

Grzegorz widząc idącego Macieja przez okno, wyszedł przeciw niemu, a pozdrowiwszy wziął go za rękę i poprowadził do izby.

— A cóż, zebrali się dzisiaj nasi słuchacze — zapytał Maciej.

— Oni już niecierpliwi, nie mogą się was doczekać! — odrzekł Grzegorz — ot wyglądają oknem, a już się mieli rozchodzić, myśląc że już nie przyjdziecie.

W tem weszli do chaty.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł ucieszony Maciej widząc powiększoną liczbę słuchaczy — witajcie mili sąsiedzi!

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli wszyscy zgromadzeni.

— Ej drogi Macieju! my by tam z wami i na koniec świata poszli, bo by nam się nie przykrzyło — ozwał się Antek, wściubski nazwany, bo wszędzie nos wściubiał, parobczak starego Szymona — Wy macie zawsze coś opowiedzieć a tak gładko, jak ksiądz proboszcz z ambony. —

— Bardzom rad temu, że się moi mili tak licznie zgromadzacie. Toć ja nie będę od tego, że co tylko wiem, i com się z książek doczytał, to za pomocą Bożą i wam opowiem. Sami już poznajecie, jak to dobrze i pięknie, jeżeli kto czytać umie, bo czytając można się dowiadywać o przeróżnych rzeczach. Radzę wam przeto, składać grajcar do grajcara, a gdy uciułacie trochę grosza, kupcie sobie książkę do czytania, bo i książki teraz tańsze niż przódy bywały. Odżałujcie sobie parę razy kieliszka wódki lub innej wygody, a co wesela mieć będziecie, gdy sobie książeczkę kupicie, którą wam wasze dzieci czytać mogą: to nie jestem wstanie ani wypowiedzieć! A przytem ile porad zbawiennych tam się mieści, to ani nie uwierzycie, i to wszystko za kilka marnych grajcarów!

I ja czytać nie lubiłem, ale teraz tak zasmakowałem widząc pożytek i naukę, że z chęcią odżałuję niejeden grosik na książkę, jaką mi mądrzejsi poradzą, a moje dzieciaki posyłam pilnie do szkoły. Tam je nauczyciel uczy i wychowuje na ludzi, wlewając w nich miłość Boga i bliźniego, bo gdy wedle tej miłości wszyscy postępować będą, to błogosławieństwo Boga nie wyjdzie z chat naszych i mniej będzie smutku, przykrości i niedostatku. Nie mówię ja tu, żeby nic nie robić, tylko książki czytać, bo inny czas jest do pracy a inny do czytania: ukończysz swoje, wtedy bierz się do czytania w imię Boże, a zmę-

czony pracą znajdziesz w książce ochłodę i zabawę. Czyż to nie lepiej jak łokcie w karczmie wycierać?..... A w niedzielę lub inne święto czyż to nie z Bożą chwałą i pożytkiem, gdy czas nad książką przepędzimy?

Chodzimy często, ba codzień koło różnych darów Bożych, używamy ich, a częstokroć nic nie wiemy, z kąd one się wzięły, jaki był ich początek i jak tu do nas przybyły. A przecież o tem wiedzieć należy! Otóż czytałem ja niedawno o ziemniakach, które są naszą codzienną strawą, i bez których bieda nam nieraz doskwiera, więc o pochodzeniu tych ziemniaczków i ich przybyciu do nas chcę wam dziś opowiedzieć.

— Oj dobrze, dobrze! — zawołali wszyscy — będziemy radzi słuchać, bo mało o tem wiemy.

Maciej usiadłszy sobie na ławie tak zaczął swoje opowiadanie:

— Wszystko miłosierny i dobrotliwy Bóg jak najmądrzej urządził: patrzcie jeno po tym bożym świecie ile to cudów, ile to rzeczy godnych podziwienia widzicie; wszystko to Wszechmocny Stwórca stworzył dla ludzi, i wszystko się w pewnym porządku utrzymuje, bo Bóg starając się o nas, nadał naturze do utrzymania przez siebie stworzonych rzeczy prawa, które ona jako troskliwa matka wypełniać musi. Nie zemrze tu z głodu żaden robaczek, nie uschnie maleńka roślinka, bo i ona zostaje w opiece tego, który nad światami i wszelkiem stworzeniem panuje. Wszystko w wielkim i boskim porządku; a czyż to prawie nie cudowne rzeczy, które tu codziennie widzimy? Udajmy się do roślin; czyż mało w tem wszechmocności boskiej jak one wschodzą, podrastają i jak się rozmnażają?

— Oj, kochany Macieju, a prawcież też o tych dziwnych rzeczach! — zawołali wszyscy.

— Nie potrafiłbym ja wam rozpowiedzieć o życiu wszystkich roślin, bo tajemnic tych jeszcze nie zgłębili ludzie; kto wie zresztą jakby to długo o tem prawić trzeba! Ja tylko chcę wam opowiedzieć historję ziemniaków, której oto słuchajcie.

Tutaj odchrząknął Maciej, i tak jął dalej opowiadać:

— Nie wszystkie rośliny dawnemi a dawnemi czasy rosły w naszym kraju, bo niektóre z nich, jakie tu teraz widzicie,

musieli ludzie z dalekich stron sprowadzać, i te po kilkuletnich próbach i doświadczeniach rozmnażali. Inne zaś przybyły do nas bardzo dziwnym sposobem.

— Aj coż to, miały skrzydła, czy co? — przerwał Antek wściubski.

— Oj miały, miały skrzydła; bo robiły nieraz dalekie a dalekie wędrówki. Zapewne spytacie mię jakimto sposobem być mogło? Oto ptaki, które na zimę do ciepłych krajów odlatują karmią się różnemi od naszych owocami; zjadają też nasiona, mające dość twardą skórę na sobie, których odrazu strawić nie mogą, lecz noszą je w swoim żołądku czas niejaki. Otóż trafia się nieraz, że z takiemi ziarnami przybywszy do nas, wyrzucają je razem z gnojem, a one dostawszy się do ziemi, kiełkują i wyrastają w roślinki. Tym sposobem przybyły i przybywają do nas czasem rośliny z obcych krajów, tym sposobem rozmnażają się nieraz po świecie. Widzicie z tąd jak to cudownie i mądrze Bóg urządził ten świat i jakich on środków używa, że ani biedna pesteczka lub ziarno roślinki nie zginie, ale na pożytek ludzi się obraca!

— A czy wszystkie rośliny tak przybyć i rozmnożyć się mogą? — spytali rozciekawieni słuchacze.

— To tylko mała liczba — odparł Maciej — bardzo mała liczba, gdyż wiele z nich nie mogłoby róść tutaj dla chłodnego powietrza, bo w domu miały gorąco jakby napalił, a wreszcie i ziemia temu by nie sprzyjała.

Do rozmnażania roślin używa wszechmoc Boża jeszcze tysiące innych środków; i tak, gdy owoce roślin dojrzeją, jedne pękają i rozciskują na wszystkie strony swoje nasiona; drugie zaś mają ziarnka jakby pierzem drobniutkiem czyli puchem okryte, a te są lekkie, zatem je wiatr Bóg wie gdzie roznosi; inne dostawszy się na wodę rzek, płyną z wodą gdzieś na dalekie brzegi. Więc rzeki i wiatr do rozmnażania roślin wiele się przyczyniają.

— Ano to i ziemniaki tak do nas przyszły? — zapytał ktoś ze słuchających.

— Nie, tak nie — odpowie Maciej — ze ziemniakami inaczej się stało: ludzie musieli je sprowadzić, podobnie jak żyto, pszenicę i inne rośliny, musieli je sami rozmnażać, a jak się to stało posłuchajcie:

(Co Maciej dalej mówił nastąpi w przyszłym numerku.)

RÓŻNOŚCI.

Cygan w swatach. Był sobie pewnego razu bardzo bogaty chłop, który miał tylko jedną córkę, ale ta była na nieszczęście i głucha, i kulawa, i brzydka, więc nikt jej się za mąż nie trafiał. Aż oto jednego razu dowiedział się ojciec, że bardzo porządny chłopak z sąsiedniej wsi chce do niej swatów przysłać; uradowany tą nowiną, biegnie też czemprędzej do sąsiada cygana, prosząc go, aby wychwalał przed swatami posag córki, i poprawiał wszystko, co on tylko powie. Obiecał mu cygan oddać tę przysługę i rzekł:

— Ho, ho, spuśćcie się na mnie bezpiecznie, gdyż ja z maleńka już tyle miałem rozumu, że się nieboszczka moja matka obawiali, abym się nie wychował.

Nie długo było czekać; pod wieczór przyjechali swatowie, a po pierwszem przywitaniu tak zaczęli mówić:

— Nie sprzedalibyście nam panie gospodarzu jałóweczkę waszą?

— O, nie — odpowiedział ojciec — będę ją sam chował.

— A to może owcę? —

— Nie mam żadnej na zbyciu.

— A, skoro tak, tobyśmy może choć kurę u gospodyni utargowali.

— Sprzedała już wszystkie co miała na targu.

— Ha, niechże i tak będzie — odrzekną swatowie — a o córkę nie można by was prosić?

— To co innego! — odezwał się uszczęśliwiony ojciec, i zaczął po chwili mówić o posagu. — Dam jej — powiada — ze dwoje cieląt.....

— Co to, cielęta, jakto cielęta! — zawołał cygan — wszakto już dobre krowy!

— Dam także — mówił ojciec — z dziesięcioro jagniąt.....

— Żartujcie zdrowi — przerwie cygan — wszakto one same miały już jagnięta!

Swatowie słysząc to odkrząkiwali radośnie, a ojciec ciągnął dalej:

— Dam jej także z jaki roik......

A cygan woła znowu:

— Oj roik to roik, że go ledwie dwóch chłopów udźwignie. Alboż to ja raz był w waszej pasiece!

Uradowani swatowie mieli już zapić całą sprawę i rzecz stanowczo ułożyć, gdy w tem odezwie się z nich jeden:

— Czy mi się tak zdaje, czy też naprawdę córka wasza podobnoś trochę nalega?

— Ej, to nic — rzeknie zaturbowany gospodarz — kupiła jej matka przyciasne buty, i te jej nogę zgniotły.

Ale cygan pamiętny na to, że ma ciągle poprawiać, zawołał:

— A gdzież tam ciasne buty! Wszak ci to ona dobrze kuleje! —

— I także podobno niedowidza dobrze? — rzeknie z cicha drugi swat.

— Musiało jej coś zazwyczaj zapruszyć oko — odpowiedział ojciec.

A cygan woła:

— Jakto nie dowidza, jakto zapruszyć! Toż ona przecie zupełnie ślepa na jedno oko!

— I czy nie ma także — dodał swat — nieco przytępego słuchu?

— Musi mieć ciasno zawiązaną chustkę na głowie!

— Ale ojcze, ojcze, toć ona i bez chustki jako pień głucha! — zawołał cygan poprawiając gospodarza.

Na te słowa porwali się przestraszeni swatowie, a uciekłszy czemprędzej z chaty nie wrócili już do niej więcej. I owóż na tem skończyły się swaty i rozum cygana, co się ledwo uchował dla wielkiej mądrości.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 15.

21. Maja 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

August drugi, król polski.

II. Świeża wojna ze Szwedem.

Uporawszy się z Turkiem, który musiał oddać długo ciemiężone Podole, począł się *August* brać do porządku wewnątrz kraju, i byłoby wszystko dobrze poszło, gdyby nie *Piotr*, car moskiewski, co do Polski zjechał, chcąc gwałtem zrobić znajomość z Augustem. Było to w *Rawie* ruskiej, w miasteczku o pięć mil od Żółkwi odległem, r. 1698. Car moskiewski przyjechał ze swoją świtą a nasz Sas ze swoją, i tu dopiero przy ucztach przyrzekli sobie obadwaj monarchowie przyjaźń i pomoc wspólną. A nie było im trudno zgodzić się na jedno i przylgnąć do siebie, bo moskal z niemcem zawsze się pokuma, a król August, jak wiecie, z rodu i z obyczajów niemcem był nieodrodnym. Miło mu było, że biesiaduje razem z potężnym władzcą moskiewskim, którego nawet Wielkim nazywano, podczas gdy car Piotr łasząc się i zaprzyjaźniając, obracał tylko wodę na swój młyn, gdyż miał zamiar uderzyć wspólnemi siłami na Szweda i podbić jego kraje.

— Na tron szwedzki wstąpiło teraz nowe królewiątko — mówił on do Augusta — chłopczyna młody, bo ledwie szesnaście lat skończył, więc nie będzie nam trudno zwyciężyć jego królestwo.

Zgadzał się na wszystko i przyrzekał swą pomoc król August, ale nasi panowie kręcili nosami na to kumostwo z Moskalem, jako że my jak świat światem będziemy mieli wstręt do Moskali, a cóż dopiero do cara Piotra, takiego okrótnika i tyrana, co swoim poddanym brody gwałtem golił na niemiecką modę, a gdy go kto nie usłuchał, to mu w łeb i kwita! Krzywo na to patrzyli panowie, biedę tylko z tej przyjaźni wróżąc, lecz trudno było temu co poradzić. Car i nasz Sas rozjechali się w wielkiej zgodzie i przyjaźni, niezadługo zaczęli ściągać wojska, a równocześnie rozchodziły się ciche pogłoski o wielkiej wyprawie na Szweda.

W szwedzkim kraju był rzeczywiście podonczas młody chłopczyna na tronie, którego zwano *Karolem* dwunastym; ale pomimo swoich lat młodych, miał ten chłopczyna rozum niepośledni i lwią odwagę do każdej rzeczy. Skoro więc zasłyszał o zmowach na swoje królestwo, nie przepomniał uzbrajać i pomnażać wojska, aby należytą siłą wszelkie napady odeprzeć. Car Piotr i August nie żartowali także, ale im się nie wiedło: Car zebrał do 80 tysięcy żołnierza i wyruszył z tem na Szweda, lecz choć mądry i Wielki, został przez 20 tysięcy Karolowego wojska na łeb na szyję pobity; a nasz August ściągał do Polski swoich Sasów gromadę za gromadą i zbroił na nieprzyjaciela, ale miał już dość biedy od swoich, od Polaków, którzy się wiecznie ze Sasami gryźli.

Tymczasem Karol zesiekawszy na bigos potężne wojska carskie, posłał jedną część swoich na moskala, a z inną wkroczył do Polski, nie dbając nato zupełnie, że naród do jego krzywdy wcale się nie przyczynił. Więc ze Szwedem, choć to była rzecz wielce zdrożna, łączyli się niektórzy Polacy przeciwko królowi, który więcej o Sasach jak o Polsce pamiętał, i ztąd powstały kłótnie i przyszło niezadługo do starcia niedaleko miasta *Pińczowa* pod wsią *Kliszowem*. Sasów i naszych niektórych było 24 tysiące, a Szwedów o wiele mniej,

jednak Sas przegrał do szczętu. Zaraz też po tej wygranej ruszyli Szwedzi ku Krakowu, zajęli to miasto i dalejże przebiegać wzdłuż i wszerz całą Polskę, niewiedzieć zaco paląc i pustosząc wsie i miasta nasze.

Po onej nieszczęśliwej bitwie przeszło jeszcze więcej naszych do Szweda, tak, że nawet Prymas ogłosił, iż August Sas przestaje być królem. Dopieroż zrobiło się zamięszanie! Król chcąc się ratować, zwołuje czemprędzej panów na naradę, i przyrzekłszy wszystko co tylko chcieli, wstępuje z niektórymi w związek czyli konfederację ziemi Sandomierskiej przeciwko Szwedowi. Ale się to już wszystko nie kleiło, bo nie było w kraju szczerego i serdecznego przywiązania do Sasa. Tymczasem Szwed sprawy nie zasypiając, plądruje kraj po zbójecku: z miast, ze szlachty i z wiosek wyciska pieniądze, zabiera wszystko z domów możniejszych jak swoje, czy to z odzieży, z książek czy też z kosztowniejszych sprzętów, i wszystko zaraz morzem do Szwecyi posyła. Aż się też naszym sprzykrzyły gdzieniegdzie one łupiestwa, i tak sobie gromadą, bez króla i bez hetmana napadali, dobrze Szwedowi rogów przycierając. Zaczął więc Szwed głosić, że on tu nie na poddanych jeno na króla Augusta z wojną przyjechał, i że da święty pokój krajowi, jeżeli tylko szlachta i wszyscy wyrzekną się Sasa, a tego przyjmą za króla, którego on zechce. I nie zwlekając ogłasza Karol szwedzki królem przyjaciela swego polaka *Leszczyńskiego* Stanisława, wojewodę poznańskiego, który miał odrazu dosyć zwolenników, jako że był przeciw Sasowi i przeciw sandomirskiej konfederacji inną konfederację zawiązał, która się Wielkopolską przezwała.

Byłoto w lipcu 1704 roku. Za wpływem Szwedów i wielkopolskiej konfederacyi, zjechało się trochę szlachty niby to na elekcyę do Warszawy, a w rzeczy na to, aby wobec armat szwedzkich ogłosić królem tego, którego Karol już poprzód ogłosił. I gdy się nikt, mój Boże, przeważnej woli wrogów nie sprzeciwił, włożono Leszczyńskiemu koronę na głowę, jako prawemu królowi. Świętokradzka ręka wrogów rozdarła ojczyznę naszą i naród cały na dwie nieprzyjaźne połowy, i cieszył się

z tego szatan, bo nieraz tam gniew się budził w sercach bratnich, i nieraz krew bratnia ojczystą ziemię broczyła.

Więc była chwila ta początkiem zupełnego już rozdarcia Polski i rychłego jej upadku; obcy zaczęli się nią opiekować, gdyż oto, Sas August widząc, że mu chyba sromotnie z Polski uciekać przyjdzie, posłał do cara moskiewskiego, prosząc go o pomoc. Zwaliła się więc gromada Moskali do Polski i straszne były wtedy chwile: bo z jednej strony stali Moskale, Sasi i konfederaci sandomierscy, a z drugiej strony Szwed z konfederacją wielkopolską, więc przychodziło do utarczek, gdzie bratnia ręka krew bratnią wylewała. I zdawało się, że już dzień sądny się zbliża, taki był zamęt i taka niedola.

Widząc Szwed, że to Sasa tak łatwo z Polski wykurzyć nie można, bierze się na sposób: oto wkracza do saskiego kraju i zaczyna sobie dopiero tam hulać, paląc wsie i miasta i ludzi mordując. Struchlał August na wieść o tym najeździe i zaczął sobie rozważać co lepiej: czy w Polsce na niepewne o królestwo się dobijać, czy bronić swego rodzinnego kraiku, a widząc że tu nie przelewki, że Leszczyński górą: robi pokój ze Szwedem i zrzeka się polskiej korony. Więc Karol dwunasty dokazawszy swojego ze Sasem, umyślił mścić się na drugim swoim wrogu, i w tym celu ruszył przez Polskę na Moskala.

Ale dobrze to mówią ludzie: niósł wilk razy kilka, poniosą i wilka! I dzbaneczek do czasu tylko wodę nosi, a cóż dopiero z szczęściem ludzkiem, które się raz tu to owdzie przekinie! Owo i Karol dwunasty zwyciężał i bił wszystko na łeb na szyję, a teraz przyszła i na niego kolej grzbietu nadstawić. Wkroczywszy do moskiewskich ziem, szedł sobie z razu jako zwycięzca, i tak obeszedł aż na Ukrainę, gdzie mu car Piotr w 70 tysięcy wojska drogę zastąpił. Przyszło do walnej bitwy pod miastem *Półtawą*, a tu Szwedów tak mocno wykropiono, że sam Karol ledwie w kilkaset ludzi do Turcji uciec zdołał. Złamała się więc potęga szwedzka, a górą stanęli Moskale.

W tropy za klęską Karola zmieniło się wszystko i w Polsce. Szwedzka potęga utrzymywała Leszczyńskiego na tronie, więc gdy jej nie stało, musiał Leszczyński ustąpić, chroniąc

się do Turcji, zwłaszcza że i car Piotr Szwedów rozprószywszy, ciągnął teraz do Polski, chcąc albo Sasa na tron przywrócić albo syna swojego na nim osadzić. Obawiał się August żeby się na drugiem nie skończyło, szle więc swoich posłów czemprędzej z różnemi przyrzeczeniami, sam niebawem za nimi się jawiąc. Nie wiedzieli nasi co robić, ale pomyśleli sobie, że z dwojga złego mniejsze lepsze, i przyjęli napowrót Augusta za króla, bo ich odraza brała do Moskali i ich carewicza.

Tak więc po trzech latach okropnych niepokojów i zamieszek, wrócił znowu sas August na tron polski, Leszczyński uszedł za granicę, a że i resztki Szwedów niebawem się powynosiły, więc znowu był choć na chwilę pokój w polskiej ziemi.

PIEŚŃ
na dobranoc Panu Jezusowi.

O mój Jezu, mój kochany!
Krzyż, toć twarde łoże,
Zdejmę ja Cię z tego krzyża,
W sercu swem położę.
Boś zbolały, zbiczowany,
Okrutnie zraniony,
Proszę, żebyś w sercu mojem
Był uspokojony.
Dusza moja prędko będzie
O to się starała,
Ażeby Cię w sercu mojem
Nic nie przebudzała.
Cicho, cicho, duszo moja,
Niech będzie najciszej!
Niech zasypia w sercu mojem
Jezus mój najmilszy.
Nie kołataj występkami,
Nie budź go grzechami,
Owszem utul jak najprędzej
Świętemi myślami.

Niechże będzie serce moje
Za łóżeczko tobie,
Połóż się w niem słodki Jezu,
A odpocznij sobie.
Zasypiaj o słodki Jezu
W sercu mem cichuchno,
A ja tobie na dobranoc
Zaśpiewam miluchno.
Już dobranoc słodki Jezu,
Me wieczne kochanie,
Proszę, przyjmij za sen smaczny
Płacz mój i wzdychanie.
Matko Boska i z Józefem
Czyńcie to z miłości,
Niech zasypia w sercu mojem
Pan Jezus w cichości.
A ja z Wami niech też spocznę
W niebieskim Syonie,
Bym Was wielbił z Bogiem wiecznie
Po szczęśliwym zgonie. Amen.

Ułożył: Jan **Matuszewski**,
cieśla z Bronikowa. *(R. W.)*

Trzy dęby.

We wsi Strzelbicy stoją niedaleko od kościoła trzy dęby: dwa są sobie jakby rodni bracia, podobniusie do siebie wysokością i grubością a nawet konarami, trzeci zaś wygląda jak staruszek, bo już nie ma kory na nim, a gałązki tylko gdzieniegdzie zielenią się liściem na wiosnę. A jest tam znak widoczny, że stał obok i czwarty dąbek, ale widać upadł podstarzały, a z pniaka spruchniałego niskie tylko wyrastają krzaczki.

Otóż na tym pniaku spruchniałym siadał sobie zawsze jeden dziaduś wsiowy, siwieńki jak len wymiędlony, a maleńki nito jaki chłopaczek niespory, a na dziadusiu płótnianka czysta, obuwie ubogie, a w rękach drżących krzyżyk z Panem Jezusem. I wyśpiewywał sobie dziaduś pobożne pieśni, i mówił słodziutko do przechodzących ludzi:

— Podajcie też biedakowi staremu co nieco, a zapłaci wam za to stokrotnie sam Pan Jezus z wysokiego nieba!

A przechodzili pewnego razu dwaj gazdowie wsiowi Sobek Wrona i Tomek Trznadel, oba dobrzy i pobożni ojcowie, a dla biednego to już tak litośni, że tam i dobra matka nie jest lepszą dla swego dziecka. Stanęli gazdowie przy dziadku, pozdejmowali kapelusze, i słuchali nabożnie słów i śpiewania dziadusia. A gdy dziaduś przestał śpiewać, dobyli oba z pasa kilka groszy, i włożyli mu pocichu do ręki, ale tak, że jeden nie wiedział, co drugi dał. I bardzo dobrze zrobili, bo oni wiedzieli o tem, co powiedział pan Jezus:

— Co dajesz jedną ręką, to rób tak cicho i pobożnie, aby nikt o tem nie wiedział, nawet twoja druga ręka.

Dziaduś wsunął pieniążki do torbiny, pocałował trzy razy krzyż pana Jezusa, podziękował gazdom za jałmużnę i westchnął sobie:

— Oj Boże! Boże sprawiedliwy, co się to nie dzieje na tym świecie Twoim! Tak to bywało i z temi drzewami niememi gdzie teraz siadam i o jałmużnę proszę!

Na te słowa popatrzyli się gazdowie Sobek i Tomek na trzy dęby i zapytali dziadusia:

— I cóżby to takiego dziwnego miało być z temi drzewami. Taćto nie w jednem miejscu rosną sobie drzewa tak trzy po trzy, a tu mogła stać kiedyś jaka kaplica, bo niedaleko od kościoła?

A dziaduś odpowiedział:

— Prawda to co mówicie, ale ja od dawnych ludzi słyszałem całkiem co innego o tych dębach, i nawet coś bardzo strasznego.

Więc na to odezwał się Sobek:

— A to nam też opowiedźcie ciekawości o tych drzewach, a my posłuchamy chwilę. Boć to dziś niedziela, to jest trochę czasu wolnego po nabożeństwie.

I posiadali sobie gazdowie koło dziadka, a on tak im opowiadał:

— Widzicie moi dobrzy ojcowie, za dawnych czasów, jeszcze za polskich królów, były inne kościoły, a cmentarze bywały także w innych miejscach jak teraz. Otóż i tu na tem samiutkiem miejscu był cmentarz a teraz ani śladu dawnych grobów, teraz idzie tędy droga, po której ludzie jadą i chodzą, i nikt nie wie o tem, że tu kości ludzkie leżą. Bo znikomem jest wszystko na tej ziemi, i jak ten cmentarz przeminie! — I westchnął sobie stary dziaduś i tak ciągnął dalej: — Otóż widzicie był to cmentarz a wielki, gdyż chowano na nim umarłych z kilku wsi naraz: ze Strzelbic, a oprócz tego z Bonarowy i z Gdulki, i het tam z za lasu przywozili tu na pogrzeb. Otóż to w tej Bonarowy siedział sobie jakiś bogacz, któremu było na imię Kuba, a nazwiska jego już nie pamiętam. Miał on budynki nito dwór jaki, a bydła aż do sta sztuk, i wszelkiego dobytku po pas. Jeno to wszystko było znać od Boga przeklęte, bo jak się zeszło, tak się i rozlazło. Jak jeno pomarł Kuba i został po nim syn, to tak marniało wszystko, jakby kto zabierał i wynosił albo w grób kładł i ziemią przykładał.

Powiadali ludzie, że ów bogacz Kuba miał przed skonem zawołać syna do łóżka śmiertelnego i coś mu tam opowiadał do ucha, ale nikt nie wie dotąd co to było? A skoro umarł, to go tu pochowali pięknie jak bogacza i odbył się pogrzeb cicho i ładnie. Ale nie tak było kiedy umarł syn Kuby; było

to może jakie siedmdziesiąt lat później jak syna grzebali na tem miejscu, a dziwa się działy po jego pogrzebie.

Zakaszlał się dziaduś i przestał na chwilę, a gospodarze zaciekawieni pytają:

— I jakieżto dziwa?

Więc dziaduś tak rzecz ciągnął dalej:

— Na pogrzebie syna Kuby było luda co nie miara, bo on jeszcze był dosyć bogatym kmieciem, a księży było aż czterech i prowadzili go z chorągwiami i ze światłem, jakby pana jakiego. Spuścili trumnę do grobu, dzieci i wnuki postawiły krzyż poświęcony na grobie i posadziły młode drzewka, i wszyscy się rozeszli z pogrzebu. Aż tu za kilka dni dają znać, że się grób cały zapadł, a krzyż się złamał....

A Tomasz przerwie dziadkowi, mówiąc:

— No, to jeszcze nie cud, że się grób zapadnie, bo to się nieraz trafia, jak wieko trumny pęknie, a wtedy może się łatwo i krzyż postawiony złamać.

— Jak wy gadacie — odpowie dziaduś — tak samo gadali i ci, co do grobu przyszli i widzieli, że jest zawalony. Oni zarównali go na nowo, krzyż nowy drewniany postawili i znowu młode drzewka posadziwszy, zmówili pacierz i odeszli. Ale nie długo to trwało; grób się po drugi raz zawalił i krzyż się złamał, a drzewka ziemia przysypała. Wtedy padł na niektórych strach, ale inni mówili, że to ktoś przez złość robi, i znowu szli grób poprawić i drzewka nasadzić.

— No, i cóż się dalej stało? — zapyta Sobek.

— A co by się stało innego — rzeknie dziaduś — grób się trzeci raz zapadł i drzewka razem z nim, a wtedy już nikt nie wiedział, jak sobie to tłómaczyć, bo grobarz pilnował cały tydzień grobu i nikogo na cmentarzu nie widział, a grób się pomimo tego zapadał.

Więc Tomasz się na to odezwie:

— To robił pewnie Pan Jezus za jakieś winy, o których ludzie nie wiedzieli, ale on wiedział i karał nawet umarłe ciało.

A dziaduś na to:

— Oj, za winy! za winy! i to za wielkie winy, boć gadano mi, że ten Kuba bogacz, a osobliwie jeszcze jego ojciec,

pozabierali gruntu i łąk nie mało to kościołowi, to dworowi, to jakimś tam sierotom, i z tej zbieraniny wystawili sobie jakby folwark i zostali z cudzej krzywdy bogaczami na całą Bonarowę i na całą okolicę. Więc jeszcze wnuka karał za to Pan Jezus sprawiedliwy i grób jego trzy razy się zapadał i krzyż się łamał, a nawet drzewka młode pousychały na grobie. Toż przelękły się bardzo pozostałe dzieci, aż się pochorowały i umarły niektóre, a jeden syn najstarszy między niemi wyznał wszystko, co mu ojciec konający do ucha powiedział.

— I cóż to było takiego? — zapytali gospodarze.

— Oto widzicie, każdy konający nakazywał dzieciom, aby te krzywdę naprawiły, a żadne z dzieci nie miało Boga w sercu i nie wypełniło rozkazu konających: więc sam Bóg ich karą zmusił do poprawy. Odebrany grunt ofiarowano na szpital wiejski, a gdy tak wszelka krzywda została naprawioną, natenczas sprawiły dzieci nowy pogrzeb wszystkim ich ojcom zmarłym i postawiły krzyże na grobach, a na ostatnim grobie, co to się zapadał, nasadziły te trzy dęby, które się dopiero teraz przyjęły i urosły, i dotąd tu stoją na naukę ludziom, aby pamiętali, co to znaczy cudzy grunt, co znaczy krzywda bliźniego!

Skończył dziaduś o dębach historję, a wiatr zaszumiał po liściach tak żałośnie, jak gdyby płączący. Więc dziaduś pocałował znowu swój krzyżyk z Panem Jezusem, a gazdowie oba się przeżegnali i zmówili pacierz za dusze umarłych.

A wam grzesznicy niech te dęby będą napomnieniem, abyście nie pragnęli cudzej łąki, ani lasu, ani gruntu, aby kiedyś waszych grobów nie burzył Pan Jezus, który krzywdę ludzką jeszcze w pokoleniach karze!

Ks. Wojciech z Medyki.

Sztuka na sztukę.

Ucieszna przygoda.

Pewien bogaty pan, chcąc syna swego ze światem obeznać, dał mu pieniędzy, sługi i cugi i w dalekie wysłał kraje, a sam będąc bardzo przesądny i nierozsądny ostrzegał, aby z pomiędzy wszystkich ludzi, szczególniej łysego i rudego unikał.

Długo paniczowi był dom w pamięci, głęboko utkwiły ojca przestrogi; całe je drogę rozważał, wreszcie wzięła go chętka o ich prawdzie przekonać się, byleby tylko nie wiele go to kosztowało; ale mu się nie wydarzyła do tego sposobność w całej podróży. Dopiero gdy po paru latach wracał do domu, przypadło mu nocować w jednej dosyć porządnej karczmie, w której napotkał od dawna upragnionego człowieka.

Uważając na przestrogi ojca, znajomość zabrał z karczmarzem rudych włosów, i dłużej jak należało w karczmie zabawił.

Rad mu był karczmarz, nadskakiwał jak mógł, a panicz nadęty, zadowolony zupełnie i przesadzonemi tytułami i uniżonością gospodarza, „dobrze, dobrze,“ na wszystko odpowiadał. Dano wieczerzę, nazajutrz śniadanie i obiad, wszystko wyborne, bo podobno karczmarz był kiedyś kucharzem. Wychwalał wszystko panicz; wreszcie, gdy mu pochwał brakło, oddychając sobie zawołał: dukata warta łyżka takich potraw!

Szczwany karczmarz z boku każe swej służącej rachować łyżki zjedzonych potraw. Rachowała i narachowała ich nie mało, chociaż nie wszystkie, bo się opóźniono z liczeniem. Po obiedzie, panicz kontent, że mu się ze strony onego człowieka nic złego nie wydarzyło, w dalszą zabierać każe się drogę, a zadarłszy głowę do góry:

— Co się za wszystko należy? — zapyta.

— Sto dukatów — rzekł gospodarz — według własnej ceny pańskiej.

— Jakto? — zawołał panicz.

— A tak — odpowiedział karczmarz — sameś pan powiedział, że łyżka strawy warta dukata; takich łyżek zjadłeś pan sto, według rachunku mojej służącej, spodziewam się więc, że pan słowa nie cofniesz, i co się należy, zapłacisz; prócz tego to i to jeszcze do zapłacenia.

Przeląkł się młodzieniec na nieludzkie i przesadzone żądanie karczmarza; lecz że wszystkie tłumaczenia i nawet prośby były daremne, zaś gotowizną długu zapłacić nie był już w stanie, powóz i konie w karczmie zostawić musiał, a sam pieszo puścił się ku domowi.

Gdy tak idzie piechotą, spotyka powóz, a w nim łysego. Na taki widok rozgniewany i drogę i nieszczęście swoje prze-

klinając, ucieka w krzaki, bo sobie przypomniał, że mu ojciec i łysego strzedz się kazał.

Widząc to łysy zadziwił się bardzo, i kazał gonić panicza. Przyprowadzono nieboraka. Z trwogą i wstrętem opowiada swoje położenie i przestrogi ojca. Słucha go łysy spokojnie, z niejakiemś jednak ubolewaniem.

Nakoniec, nie odpowiedziawszy na to wszystko ani słowa, każe paniczowi wsiąść do powozu i prowadzić się do karczmy.

Gdy byli blisko wsi, w której to nieszczęście spotkało młodzieńca, kazał łysy stanąć i wysiąść paniczowi, i czekać pode wsią na zawołanie; sam pojechał do karczmy.

Wszedłszy łysy do izby gościnnej, po zwykłem przywitaniu, gdy ujrzał na ścianie wiszącą ćwiartkę skopowiny, klepie karczmarza po łopatce i pyta się w obec wszystkich przytomnych:

— Co kosztuje ta ćwiartka? —

— Dwa złote — odpowiedział zapytany, nie miarkując że ów ma nie skopową lecz jego łopatkę na myśli. Płaci mu zaraz łysy dwa złote, a na służących woła, aby schwycili karczmarza i wykroili mu łopatkę czyli ćwiartkę, którą on kupił.

Posłuszni rzucili się na gospodarza; bronił się nieborak jak mógł, że on przecie nie swoją sprzedał łopatkę, ale skopową, na ścianie wiszącą; ale łysy nie przyjmował żadnej wymówki i kazał nóż pchać za skórę karczmarzowi.

Widząc że to nie przelewki, chce swoje okupić i tyle zapłacić coby od niego żądano; a wtem mu łysy przypomina obejście się jego z podróżnym paniczem. Przyznał się do wszystkiego i obiecał oddać co mu się należało, nic sobie nawet za sto łyżek potraw nie rachując, byleby mu tylko dali pokój, i wolno puścili.

Łysy przystał na to; kazał zawołać z pode wsi zestrachanego panicza, a oddając mu powóz i konie, to ojcu dla przestrogi powiedzieć kazał: żeby na drugi raz był mądrzejszy a łysych i rudych nie sądził źle, bo między nimi trafi się zły człowiek jak między wszystkimi, ale Pan Bóg nikomu do koloru włosów ani do łysiny nie przywiązuje dobroci albo nieuczciwości, i największa obraza boska, kiedy kto z powierzchowności albo ułomności ciała o drugim źle sądzi.

Zkąd to ziemniaki?

Pogadanka gospodarska.

(*Dokończenie.*)

— Jest jeden kraj od zachodu i północy, cały dokoła morzem oblany, który się zowie *Anglja.* Owóż z tej Anglji jeździli już ludzie oddawna w różne strony świata, więc jeździli też i do *Ameryki,* która zgoła po drugiej stronie ziemi naszej leży. A będzie temu lat blisko trzysta, jak żył w angielskim kraju pewien sławny żeglarz, *Drake* imieniem, który dużo świata zwiedził, i niejedno morze okrętem przepłynął. Otóż ten Drake będąc w Ameryce uważał, że tamtejsi ludzie jakiemiś okrągłemi korzeniami się żywią; więc z ciekawości pokosztował i on tego jedzenia, a bardzo mu się smacznem wydało.

— To pewnie były ziemniaki! — zawołał Antek wściubski.

— A tak jest, ziemniaki — odrzecze Maciej — które w Ameryce dziko rosną, i już z dawna ludziom za pożywienie służą. Co widząc Drake, pomyślał sobie, czyby też i w jego ojczyźnie w Anglji ziemniaków zaprowadzić nie można? Niejednej biedzie łatwo by się tem wygodziło, myślał on sobie, a że to u niego od myśli do roboty nie było daleko, więc zebrał nasienia ze ziemniaków i posłał jednemu ze swych przyjaciół do Anglji, pisząc mu, żeby to sadził i pielęgnował, bo roślina ta jest smacznem dla ludzi pożywieniem.

Przyjaciel w Anglji dostawszy od Drakego szczególne nasienie, uradował się bardzo, zasiał, pielęgnował, i niebawem doczekał się ziemniaków: badyle wyrosły, a na nich wisiały bomble gdzie to są nasiona; lecz zjedzże grzecha, nie wiedział co się je, czy te bombelki z kwiatów powstałe, czy liście z badyli, bo mu nie było wcale wiadomo, że trzeba kartofli w ziemi na korzeniach szukać. Oglądał i przemyśliwał, aż nareszcie przyszedł do tego przekonania, że to owe bombelki na łodygach wiszące są do jedzenia. Jakoż w jesieni, gdy już wszystkie pożółkły, kazał pozrywać i przyprawić, zaprosiwszy mnóstwo gości do swego domu na ucztę. Najeżdżało się tam panów wielkich z całej okolicy jakby na dziwy jakie. Gody były sute i czas wesoło schodził. Raczyli się tem i owem, aż

nakoniec przyniesiono nakrytą miskę z mniemanemi ziemniakami. Każdemu robiła się ślinka, bo wszystko czyniono skrycie. Tedy powstaje gospodarz i z wielką radością wychyla kielich wina i prawi długą mowę, w której opisuje, że ten owoc dostał od sławnego żeglarza Drake w podarunku, z tem jednak dodatkiem, że uprawa tej rośliny dla Anglji wielkie korzyści przynieśćby mogła.

Wszyscy goście powstali i jęli wywijać szklankami, podnosząc głośne wiwaty i życząc handlowi morskiemu wielkiego powodzenia. A trzeba wam wiedzieć, że Anglja, co się tyczy przemysłu i handlu, bardzo wysoko stoi i jest nader bogatą, bo gdzie idzie tylko o handel i zysk, to się ludzie mocno upierają i robią z lichych nawet rzeczy majątki. Mają zatem odwagę i wytrwałość, a co najlepsza, to że ich kraj jest w około wodą oblany, więc prowadzą dobry handel na morzu.

Lecz wróćmy do swojego. Owóż owi goście widząc znowu jeden środek do zarobkowania, spijali wino szklanka za szklanką, aż nakoniec poczęli próbować onych bombli nibyto ziemniaków, które omało nie pływały w maśle; a ponieważ kucharz nie umiał nadać im smaku, obsypał je mocno cukrem i cynamonem. Ależ wystawcie sobie, jak tu takie dziwolągi jeść było? Smak był obrzydły, sprawiał jakąś odrazę, szkoda więc było przyprawy: cukru, korzeni i drogiego wina, które dlatego spijali, aby zmyślone ziemniaki tym łatwiej połykać. Więc osądzili panowie, że musi w ich kraju być za zimno dla tej rośliny, że może ona by się w Afryce, gdzie to ogromne gorąca i spiekoty, udała, ale tu ani rusz! I długo sobie tam jeszcze łamali głowy, sięgali do nich po rozum, radzili i radzili, ale nic wyradzić nie mogli.

— Oj Boże! a cóż to za głupcy! — ozwie się Antek — tać u nas mały bęben sadzić i zbierać umie, a tem bardziej wie co ma pożywać!

— Jakiś ty mądry Antku, skoro cię nauczyli — odezwie się Maciej — a im nikt nie mówił co się zjada a co nie! Lecz posłuchaj dalej.

Takie zaprosiny dużo pana gospodarza kosztowały, i zamiast co się miał cieszyć i weselić, zesmutniał srogo, a nawet

zezłościł się haniebnie, bo kazał badyle i wszyściuteńko z kretesem powyrywać i natychmiast do diabła wyrzucić. W tem pewnego poranku idzie sobie do ogrodu na przechadzkę, i widzi w utłumionym ogniu, który ogrodnik był wzniecił, czarne okrągłe owoce niby jabłka. Rozgniótł jedno i zobaczył, że było w środku bielutkie, i gdy go wziął do ręki, zawionął na niego miły zapach, że pan aż osłupiał, nie wiedząc co by to było. Pyta więc ogrodnika:

— A z kąd to te owoce? —

— A ze ziemi, łaskawy panie! —

— A cóż one tam robiły? —

— A rosły, wisząc na korzonkach onych nowych roślin, co je to panu przysłano.

Teraz dopiero rozjaśniło się w głowie pana, który poznał jakiego starania uprawa ziemniaków potrzebuje. Domyślił się, że Drake w prędkości zapomniał mu napisać, że owoc ziemniaków na korzeniach rosnący jest do jedzenia. Kazał tedy wszystkie ziemniaki co do jednego pozbierać i przyrządzić, poczem zaprosił znowu panów na ucztę, sam wprzódy potrawy spróbowawszy.

I tą razą wniósł gospodarz ziemniakom na zdrowie, i trzymał długą przemowę, w której było, że gdy człowiek nie tylko przy ziemniakach, ale i przy innych rzeczach o tem tylko sądzi, co na wierzchu się znajduje, a o szczegóły dalsze i głębsze dociekanie przedmiotu się nie troszczy, często gęsto mocno pobłądzić może.

Po tych słowach wniesiono znowu ziemniaki na stół, ale tą razą pożywne i tak smaczne, że się ich wszyscy odjeść nie mogli. Wszyscy zdumiewając się wołali wiwat i chwalili Drakego, każdy prosił o nasienie i każdy jął uprawiać. Tym sposobem rozpowszechniły się wnet ziemniaki po Anglji.

Spyta mię teraz nie jeden: a jakimże sposobem z tak dalekiego kraju ziemnaki do nas przybyły? Oto widzicie, Anglicy stręczyli tę roślinę swoim sąsiadom, ci drugim, aż też one nareszcie i do nas zabłądziły. A choćby i tym sposobem dostać się nie mogły, to możni panowie sami po za granicę państwa jeździli, lub też uczonych posyłali, a ci co mogli, to do kraju

zwozili. A zatem najprzód panowie tę roślinę chodować musieli i to nie w polu zaraz, ale w ogrodzie za szkłami, bo to były dziwy, które oni sobie za wielki mieli przysmak. Nie ma więcej nad sto pięćdziesiąt lat, jak ziemniaki zaczęto do nas do Polski sprowadzać. Sprowadzili je koloniści Sasowie, co za królem Sasem podonczas gęsto do nas przyciągali, najwięcej w okolicach Warszawy się osiedlając. W pięćdziesiąt lat później upowszechniły się już były znacznie; sadzili je mocno po ogrodach, a niejeden już prowadził je na pole. Pierwsze ziemniaczki nasze były czerwone, średniej wielkości; później dopiero nastały inne gatunki.

— Proszę was Macieju, więc to dopiero sto lat, jak u nas ziemniaki gęściej sadzić poczęli? — zawołała Katarzyna, która pilnie wszystkiego słuchała.

— A nie więcej moja kumo, nie więcej! Z początku to tam drożyli się z tem i sprzedawali na funty, jak gdyby wielkie przysmaki. Sadzili je po ogrodach ogrodnicy i posyłali na pańskie stoły; aż nareszcie jęli się i chude pachołki temu przypatrywać, jeden się uczył od drugiego, sadził i spożywał, trzeci zaś nie dowierzał i nie chciał robić próby, i tak to powoli się rozpowszechniało. Powoli, bo zawsze tak bywa, iż jedni na drugich doświadczeniu się uczą. Każdy się uczy aż do samej śmierci, bo wszystko postępuje; uczmyż się i my dalej, a nie chciejmy brnąć w lenistwie i uporze; słuchajmy zawsze rady starszych i mędrszych od nas, bo oni wiedzą, co nam radzą, a wiedzą to już z doświadczenia. Wszystko co widzicie, nie od razu, lecz z czasem powstawało, z czasem rosło i podobnie się doskonaliło; i ludzie też z czasem wszystko poznawali i pożytkowali przy pracy i pilności.

Powoli tedy, zakosztowawszy dobrej potrawy w ziemniakach, jęli je ludzie z wielkiem staraniem sadzić i uprawiać, w skutek czego tak się rozmnożyły późniejszemi czasy, że już nikt ich nawet jeść nie chciał i przezywano je ziemniaczyskami, bo im się niby przejadły. A wtedy Bóg sprawiedliwy, widząc taką zniewagę, ukarał ludzi na naukę, by dary boskie szanowali i spuścił nieurodzaje na ziemniaki, których i coraz mniej było, i jeszcze do tego się psuły.

Lud widząc, że głód zagląda już do chałup, począł szlochać i prosić Boga, by znów dał dobre plony. I uprosili przecie to, że ziemniaki znowu się pięknie rodziły i nie niszczały. Jeszcze i podziśdzień się wydarza, że się ziemniaki psują, a ztąd widno, żeśmy przewinili i gniew Boski jeszcze na nas ciąży. Błagajmy więc za grzechy nasze Pana i dziękujmy Mu zawsze za Jego Opatrzność i dary, któremi nas wzbogaca; nie gniewajmy Go nigdy, bo On nam opieki swej odmówi; kochajmy ziemię, która nam je rodzi, dając tym pokarmem ciału czerstwość, zdrowie i siły. —

Tu Maciej przerwał swoje opowiadanie, bo się już pociemniało na dworze, pożegnał wszystkich oddawszy Panu Bogu i poszedł swoją drogą, a wszyscy słuchacze rozmawiając, także szli do domów.

Na szczęście i ja tam byłem, jak Maciej opowiadali, a spamiętawszy sobie co do słowa, spisałem to w domu, a potem posłałem do Dzwonka, abyście i wy wiedzieli co nieco, zkąd to ziemniaki.

Józef z Bochni.

RÓŻNOŚCI.

Śmierć z pijaństwa. Jeszcze z początkiem zeszłego miesiąca znaleziono pod wsią *Dawidowem*, niedaleko od nas, zwłoki jakiegoś człowieka, o którym mówiono, że mu żydzi krew z rąk i nóg na mace wypuścili. Co mądrzejszy, zaraz sobie miarkował, że to próżna bajka, bo gdzieżby żyd, co jest tak dobrze człowiekiem jak i chrześcianin, krew ludzką miał wypijać? To tylko zapaleni nieprzyjaciele żydów taką fałszywą wieść o nich puścili, a niejeden co o tem zasłyszy, to już zaraz i uwierzy jakby w pismo święte. Owóż fałszywość puszczonej bajki okazała się i przy tym trupie. Trup ten nie miał na sobie żadnych ran tylko sińce od potłuczenia powstałe i prawe ucho odgryzione. Po oglądnięciu zwłok przez lekarzy i urzędników, pokazało się, że to był gospodarz z *Szołomyi* nazwiskiem *Łućko Bołkot*, który w skutek spojenia się gorzałczyskiem w drodze do domu paraliżem tknięty, upadł, a gdy nie było z nizkąd spiesznego ratunku, skonał na miejscu. Kawałek prawego ucha odgryzło mu zapewne jakieś drapieżne zwierzę.

Straszny ten wypadek nagłej śmierci, bez spodwiedzi i wszelkiego rozporządzenia, powinien być surową przestrogą dla wszystkich pijaków, którzy bez pamięci na Boga i na żywot wieczny, duszę swą djabłu przepijają.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. | Nr. 16.

1. Czerwca | 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

August drugi, król polski.

III. Smutne czasy.

Kiedy już ze Szwedem rzecz skończono, a Leszczyński z tronu się ustąpił, zdawało się, że trwały pokój na długo do ziemi polskiej zawita; lecz gdzie tam! Zepsucie obyczajów między ludźmi było już podonczas wielkie: na próżniactwo i pijatykę każdy rozpasany myślał tylko o swoim maćku i o swojem garle, a jak pies o piątą nogę dbał dopiero o dobro i całość ojczyzny. Gdyby też to jeszcze jaki król tęgi na tronie był zasiadł, jaki Chrobry lub Batory, to możeby mu się było udało poskromić rozpustę i w jaki taki ład znowu wszystko wprowadzić: ale taki Sas August znienawidzony od wielu, nie mógł temu dać rady ni złym ni dobrym sposobem, bo niejednemu wygodnie było rybki w mętnej wodzie łowić, a inni z kieliszkiem w ręku rozwalali się po ławach krzycząc:

— Za króla Sasa, jedz i pij a popuszczaj pasa!

Leszczyński tymczasem siedział u Turka i namawiał go, żeby mu pomógł do odebrania tronu. Nie pytał on tam, że

z obcym na własny kraj napadać, dla własnej pychy tylko, to zbrodnia niesłychana, bo mu się chciało gwałtem królować, chociażby i po trupach iść na to królestwo. I kto wie coby się było stało, gdyby nie to, że Turek, już sobie nieraz palce sparzywszy, dmuchał teraz na zimne i nie dał się namówić. Ale August zasłyszawszy o tej całej sprawie tak sobie pomyślał:

— No, kto wie, czy Leszczyński na kraj nie napadnie; trzeba się więc zabezpieczyć i swoich Sasów sprowadzić. A choćby i spokój był od strony tureckiej, to mi się zdadzą Sasi do zaprowadzenia porządku we własnem królestwie, bo już tak trudno dłużej wytrzymać.

I mówiąc na wszystkie strony, że złych zamiarów Turka strzedz się należy, wprowadził znowu August wielką siłę swojego wojska Saskiego do Polski. A gdy Turek nie napadał a Sasi na piękne się rozgaszczali, zmiarkowała dopiero szlachta, że to król nie Turka lecz ją powściągać zamierza, i oburzyła się tem niezmiernie. Jakoż posyłali do Augusta prosząc, żeby swoim Niemcom precz z Polski wyjść rozkazał, bo tylko łupieztw, gwałtów i kradzieży na ludziach się dopuszczają. Ale król nic na to: wszystkich posłów z kwitkiem odprawiał Sasów nie poskramiając, co jużci niegodziwie z jego strony było, bo cóż mi to za król, co zamiast ojcem być dla poddanych, rabusiów na nich nasyła. Wprawdzie rozpustą i kłótniami zawinili ci poddani, ale czyż na takich nie ma już innego sposobu jak gwałty publiczne i łupież? Koniec końców nie mogła ścierpieć szlachta samowoli onych Niemców królewskich, zbiegła się z wielkim krzykiem i pogróżkami do miasteczka *Tarnogrodu* w Lubelskiem, i dalejże radzić. Radzili i zawiązali się wreszcie w konfederacją przeciwko grasującym Sasom: jaki taki siadał na koń, zmawiał się z wiejskim ludem i gromadą uderzali na Niemca, który najwięcej stał po obu brzegach Wisły, a tak zapalczywie, że w kilku dniach padło ich około trzech tysięcy. W kilku miejscach odrazu rozpoczęła się ta bijatyka, a Sasowie znikali jak kamfora. Trwało tak całe dwa lata; więc król widząc, że to nie żarty, przypomniał sobie na swą dawną przyjaźń i pchnął posła do cara moskiewskiego,

prosząc go o pomoc w tej sprawie. A było to wielką niegodziwością ze strony Augusta, bo jakże to być może, żeby król na własnych poddanych obcego ciemięzcę z wojskami przyzywał. Ale były to już wtedy takie czasy smutne, że się wszystko rozprzęgało: jeden drugiego słuchać nie chciał, jeden drugiemu stał na zdradzie, więc musiało przyjść do tego, żeby cudzoziemiec ład między nami zaprowadzał. A gdy i to nie wróciło upamiętania grzesznikom, spuścił Pan Bóg jeszcze straszniejsze plagi, dla których nam teraz niejedną łzę gorzką połykać przychodzi!

Rozpoczęły się więc targi między konfederacją i królem. król zrazu bardzo na układy łatwy, robił się coraz twardszym, w miarę jak go posłuchy dochodziły, że mu car wojsko gotuje; ale konfederaci nie chcieli nowego krwi rozlewu na już i tak skołataną ojczyznę sprowadzać, więc skończyli z królem jako tako, i choć tyle na swoim postawili, że reszta Saskiego wojska wymaszerowała het za granice Polski.

Lecz Moskal i tak wmięszał się w tę całą sprawę, i wprawdzie wojsk jeszcze nie wprowadził, ale przez posły i listy godził naród z królem, zamiast coby nasi na jakim sejmie sami się godzić mieli. Ale gdzie tam o sejmie mogła być mowa, kiedy takie się prawo do sejmów było zakradło, że jak choćby jeden szlachcic krzyknął: — Nie pozwalam — to już nie można było w brew jego woli uczynić. Tym sposobem trudno było jakąkolwiek sprawę porządnie przeprowadzić: wszystko upadało, bo jeśli kto nie chciał czego to krzyczał i zrywał sejmy, i nie mogło przyjść do nijakiego porozumienia. Owóż i za króla Augusta zrywano ciągle sejmy, aż nareszcie przyszło do jednego, gdzie za wpływem Moskwy postanowiono ilość wojska w kraju znacznie zmniejszyć.

— Dobrze, niech będzie mniej wojska! — wołała szlachta godząc się na tę zmianę — My i tak nie mamy z czego wojska utrzymywać.

A Moskal ręce już w tem umaczawszy, mówił sobie z cicha:

— Dobrze bratkowie, przystawajcie, a jak nie będzie wojska żeby was broniło, to ja dopiero wpadnę i wszystkich za łeb wezmę! — Tedy sam naród niechęcią swoją pomagał sznur

sobie kręcić na szyję. A król August coraz bardziej nie dbał o królestwo, owszem wyjeżdżał często do swojej ojczyzny Saksonji, naradzając się tam z nieprzyjaciołmi Polski, jakby tu po swojej śmierci syna na polskim tronie osadzić, po kawałku królestwa im za to obiecując. I tak na tem, niby w pokoju a w ciągłem nieporządku, na hulankach i przy zupełnej nietroskliwości o dobro ojczyzny, ubiegło lat kilkanaście. Aż w roku 1733, kiedy August ze Saksonji do Warszawy na sejm wyruszył, zaniemógł wielce po drodze, i przyjechawszy do Warszawy Bogu ducha oddał.

Została więc znowu Polska bez króla, a jako karczma dla podróżnych, na złość i chciwość sąsiadów otworem stojąca, kłótnią i rozpustą w domu zajęta, a więc bezsilna i upadająca. I widział Pan Bóg jako miły sercu jemu naród na złe drogi schodzić zaczyna, i umyśliwszy karać go i do pokuty nakłaniać, postawił mu jeszcze ku opiece Matkę Przenajświętszą w sławnej Częstochowie, którą właśnie za panowania Augusta drugiego w roku 1717 na królowę Polską ukoronowano. Więc w późniejszych ciężkich chwilach mogła przynajmniej Polska zanosić modły i westchnienia do Boga przez tę Orędowniczkę świętą, wołając: Matko Chrystusa, królowo Polska, zmiłuj się nad nami!

Kochaj bracie swą zagrodę!

Kochaj bracie swą zagrodę,
Gdzieś ujrzał to słońce,
Gdzieś przepędził latka młode
Jak pączek na płonce;
Niech ci będzie zawsze miła
Strzecha domu tego,
Gdzie cię matka nauczyła
Pacierza świętego.

Kochaj bracie wszystko nasze,
Bo to dla cię chwałą,
Cała Polska twe poddasze,
Więc ją kochaj całą;
Jak to słońce świeci jasno,
Tak Bóg rozkazuje:
— Niech każdy jak matkę własną
Ziemię swą miłuje.

Kto swej ziemi nie ma w cenie,
Gorszy jest niż źwierze,
Bo i źwierz swoje schronienie
Miłuje i strzeże.

A więc bracie jak Bóg żywy
Polskę kochać trzeba:
Kto nie kocha swojskiej niwy,
Nie dostąpi nieba! —

D. Z.

WIECZORNICA.

Uczciwym był i roztropnym człowiekiem Walenty, gospodarz z Młynowa, i żona jego Barbara uczciwą też i bardzo roztropną była kobietą. Żyli oni ze sobą w największej zgodzie, sąsiadom nie dawali zgorszenia, dzieci chowali w pobożności i uczciwości, a dla wszystkich ludzi mieli serca szczere i otwarte. A chociaż już oboje nie byli młodymi, umieli się przecie i zabawić i rozmówić nie tylko ze starym człowiekiem, ale i z dzieckiem, umieli każdemu poradzić, każdego pocieszyć. Dla tego też ze sąsiedztwa Walentego i Barbary, czy we święto czy w powszednie dnie wieczorami, czy zimą czy latem, i starzy i młodzi, wszyscy ciągnęli do ich chałupy, bo też Walenty i Barbara każdemu a każdemu byli całem sercem radzi, czcili oni bowiem bardzo gościa, obyczajem dawnych ojców naszych, których pamięci niech Bóg błogosławi. Najmilszemi zaś już były dla wszystkich wieczornice spędzane w chałupie Walentego i Barbary. Po tych to wieczornicach, gdy się naschodziło i starych i młodych, a wszyscy obsiedli z robotą komin, Walenty to sam opowiadał rozmaite powieści, których wiedział bardzo wiele, to innych do nich zachęcał, a przy tych opowieściach i przy robocie wieczór zimowy schodził tak, żeś się ani spostrzegł; każdy zaś nietylko że miał zabawę, ale i nauki odnosił ztąd nie mało.

Tak też i przeszłej zimy, jednego wieczora, naschodziło się do chałupy Walentego i Barbary starych i młodych z robotą nie mało. Ogień się żwawo palił na kominku, a każdy zajął się już pilnie robotą, kiedy się odezwał Walenty:

— No! i któż nam dziś opowie najpierwszy cośkolwiek ku zabawie i nauce? Boć co prawda to prawda, że się przy opowieści i raźniej pracuje i przędzie sporzej, a i piękniej prawie.

— Jużci byśmy najbardziej woleli, żebyście Wy zaczęli sami — odezwało się kilka głosów razem. A dwa z nich dołożyły jeszcze: — Gdyż nam się bardzo podobają Wasze powieści.

— Żeby to jeno tak starczyło człeku bez końca — odrzekł Walenty. — Aleć się przebierze i w studni woda, a cóż się nie ma przebrać opowieści w pamięci. Niechże też każde z Was sięgnie do pamięci swojej i niech też każde z niej co wydobędzie; wtedy nie zabraknie jednemu, a będzie i zabawy więcej i więcej też nauki.

Zamyśleli się wszyscy zgromadzeni, aż po chwili Jagna Szymonowa przerywając milczenie ozwała się najpierwsza:

— Wiem ci ja opowieść jedną, co mi ją opowiadała nieboszczka Starka, kiedym jeszcze była bardzo mała. Ale nie wiem, czyby Wam się podobała wszystkim, bo może nie taka piękna jak inne.

— Zaczynasz zwyczajnie jak wstydliwa dziewka — odrzekł Walenty — która się pierwej tak i inaczej wymawia, nim przyjdzie do rzeczy. Nie wadzić tak czynić, gdzie słuchają ludzie coby się wyśmiali z poczciwej prostoty, ale pomiędzy nami nie potrzeba. Tu każdy słucha w myśli uczciwej, żeby się zabawił i pouczył, a nie żeby się wyśmiał, gdy mu się co nie spodoba. Więc śmiało dzieweczko zaczynaj twoją opowieść.

Jagusia wyprostowała się, spojrzała śmielej w około, krząknęła parę razy, potem puściła wrzeciono na izbę i znowu je do siebie zwabiła, a zwijając na nie przędzę tak opowiadać poczęła:

— Była razu jednego biedna, bardzo biedna kobieta. Jeszcze dosyć młoda a już drugiego miała męża, pierwszy albowiem bardzo uczciwy człowiek umarł jej w rok po weselu, a rodzice przynaglili ją przez gwałt za drugiego, którego ona nie kochała i kochać nie mogła, raz dla pamięci na nieboszczyka, któremu ślubowała wiarę aż do śmierci; a drugi raz, że był to bardzo twardego serca i niezbożny człowiek. Płakała więc bardzo często owa kobiecina, a nie miała inszej na świecie pociechy, jeno nadzieję w Panu Bogu, którego miłowała nad wszystko, i córkę jedyną Bietkę, którą jej dał Pan Bóg przed śmiercią nieboszczyka.

Jeszcze była Bietka maleńka, kiedy jednego dnia zachorowała bardzo ciężko jej matka, a zawoławszy do siebie Bietkę tak do niej rzekła: „Już mnie woła Pan Bóg do siebie i do ojca twojego, już iść muszę a ciebie pozostawić na ziemi sierotą. Aleć ten Bóg dobry co mnie woła, jest też ojcem sierot, nie opuści więc i ciebie, jeno pamiętaj na niego w każdej chwili i czyń dobrze, a nie szukaj chwały z żadnego dobrego uczynku.

Ledwie co tych słów domówiła biedna kobieta, i już zamknęła oczy. Płakała Bietka okrutnie, płakała we dnie i w nocy, bo już teraz prawdziwą była sierotą bez ojca i bez matki; a płacząc, codzień modliła się do Boga we łzach i żałobie.

Trwało tak niedługo, a oto wielkie nieszczęście spotkało Bietkę, bo dostała złą macochę. Ta macocha poniewierała nią okrutnie, biła, głodziła, a nie dawała jej na odzienie jeno podarte gałgany. Biedna sierotka płakała jeszcze bardziej i już tak zmizerniała, że jeno patrzali ludzie rychło pójdzie za matką do grobu.

Było tak dnia jednego, że macocha sponiewierała jeszcze bardziej jak zawsze sierotkę biedną, a sponiewierawszy ją okrutnie, wyrzuciła za drzwi i kazała jej iść w świat gdzie jej się podoba.

Wyszła Bietka w pole i patrzała na niebo, a niebo śliczne było pełne światła i pełne obłoków jasnych i mówiła Bietka: „Śliczny jesteś Boże i niebo twoje, w którem mieszka matka moja, bardzo jest piękne. Niech ci będzie chwała na wieki.“ I wejrzała Bietka na ziemię a ziemia była pełna zieleniącego się zboża i pełna kwiatów, i mówiła Bietka: „Dobry jesteś Boże, wszystko dajesz ziemi i ludziom co przez nią wędrują, i chleb i kwiaty i wszystko co żywi i rozwesela człowieka.“

A potem spojrzała Bietka po sobie i przypomniała jej się macocha i tak rzekła do siebie w sercu swojem: „Wszystkiego dał Pan Bóg dostatkiem, żeby mieli ludzie, żeby się mieli czem pocieszać na ziemi, a ludzie poniewierają jeden drugiego, bo nie pamiętają na dobroć Boga.“

I poczęła Bietka płakać okrutnie, płakała i płakała, aż jej się oczy zaćmiły. A płacząc myślała o matce swej umie-

rającej i przypomniały jej się słowa nieboszczki matki, która tak do niej mówiła: „Pamiętaj na Boga w każdej chwili i czyń dobrze, a nie szukaj chwały z uczynków twoich.“

„Mój Boże“ mówiła Bietka w sercu swojem „któżby nie pamiętał na ciebie, kiedy na co człowiek jeno wejrzy, wszystko to jest z twojej dobroci! Ale ja biedna sierota komużbym miała dobrze czynić, kiedy sama nic nie mam?“ A gdy te słowa wymówiła w sercu swojem Bietka, odezwał się do niej jakby głos matki tak przemawiając: „I najbiedniejsza sierota dobrze czynić może.“

Zamyśliła się Bietka na te słowa i tak sobie pomyślała u siebie: „O mój Boże mój Boże, czemuż ja jeszcze nic dobrego nie uczyniłam, kiedy i sierota dobrze może czynić! I poczęła znowu płakać rzewliwie, płakała i płakała, a nie płakała już ani na poniewierkę, ani na głód, ani na podarte suknie, jeno płakała, że jeszcze nic dobrego nie uczyniła na świecie.

Potem powstała Bietka i szła przez pole idąc coraz dalej, a myśląc tak u siebie: „Może mi się też zdarzy, że potrafię co dobrego uczynić.“

Kiedy już tak uszła duży kawał drogi, patrzy, a tu leży na ziemi ptaszek i wygląda gdyby postrzelony, skrzydełka mu obwisły i ledwie się rusza. Podniosła Bietka ptaszka i dalejże na niego chuchać, i chucha i chucha aż ptaszek ożył i począł trzepotać skrzydełkami. Wtedy podniosła Bietka ptaszka w górę i posadziła go na drzewie, a on posiedział chwilkę, potem począł próbować skrzydełek, nareście podleciał w górę i latał z gałązki na gałązkę, z drzewa na drzewo. A Bietka stała i patrzała na ptaszka i cieszyła się nim i chwaliła Boga mówiąc: „Dobry jesteś ty mój Boże, coś mi dał oddech, który ptaszka ożywił.“ I dziękując tak Bogu, o sobie zapomniała Bietka, że dobrze uczyniła.

Szła potem dalej Bietka, idzie i idzie a środkiem łąki płynie strumyk jasny, jakby się wiła srebrna wstążeczka; a Bietka patrzy w strumyk i przysłuchuje mu się jak on mruczy, a tak jej się zdawało jakby to matka jej nieboszczka jakieś pocieszające mówiła do niej słowa. Aż ujrzy, że w jednem miejscu kamień duży zawalił strumyk i nie dał mu dalej pły-

nąć swobodnie i mruczyć mile po kamykach. Biedny strumyk przedzierał się jeno gwałtem z tej i owej strony koło kamieni.

„Poczekaj biedny strumyku,“ mówiła Bietka i podkasawszy spodniczki, weszła do wody i dźwigała, dźwigała, aż wydźwignęła kamień co zawadzał strumykowi. Płynął znowu strumyk swobodnie i mruczał po kamykach, a Bietka przypatrywała mu się i cieszyła i chwaliła Boga mówiąc: „Dobry jesteś Boże, coś mi dał ręce żebym niemi mogła wydźwignąć kamień ze strumyka.“ I dziękując tak Bogu, o sobie zapomniała Bietka, że dobrze uczyniła.

Szła potem znowu dalej Bietka, i spojrzy a oto krzak osuty różami stoi na brzegu łąki, a biedne różyczki pochylają główki i krzaczek zwiędły prawie całkiem też się pochyla ku ziemi. Słońce bowiem dokuczało okrutnie, a deszcz już dawno nie odwilżył i krzaczka i kwiatków.

„Poczekaj biedny krzaczku“ mówiła Bietka i pobiegła do strumyka, nabrała w obie rączki wody, przyniosła i wylała pod krzaczek. I tak wciąż nosiła wodę i powracała po inną, aż dopóki nie naniosła tyle, że jej dosyć było dla biednej krzewiny. A że miała Bietka małe ręce, musiała się więc bardzo nachodzić i bardzo się też zmęczyła nim skończyła tę robotę. Żeby tedy sobie wypocząć, położyła się pod krzaczkiem na ziemi; alec się ledwie spostrzegła, a już ją sen zmorzył.

Było już precz ku wieczorowi kiedy się obudziła Bietka, wejrzy, a krzaczek na nią spogląda wesoło jakoby odmłodniały, różyczki uśmiechają się jakby się odrodziły. I wstała Bietka i patrzała na krzaczek, cieszyła się nim i chwaliła Boga mówiąc: „Dobry ty jesteś Boże, coś dał źródełku wody do podlania krzaczka.“ A dziękując tak Bogu, o sobie zapomniała Bietka, że dobrze uczyniła.

I chciała jeszcze Bietka dłużej chodzić po polu a patrzeć gdzieby mogła dobrze uczynić, ale jej się okrutnie jeść chciało. Więc umyśliła sobie iść do domu i tak sobie mówiła znowu do siebie: „Może Bóg dobry przemienił serce macochy i serce ojczyma, i nic mi się złego nie stanie.“

Jak tylko weszła Bietka do domu, rozgniewana macocha przypadła do niej z drewnem i poczęła jej grozić, a Bietka

nic nie mówiła jeno stała cichutko a łzy jej płynęły, a ona się modliła po cichu do Boga. A jej twarz była zmieniona przez sen pod krzaczkiem, więc gdy na nią spojrzała macocha, zdało jej się, że to anioł i nie śmiała jej uderzyć, jeno rzuciła drewno na ziemię. Ale ojczym rozgniewany przypadł, porwał drewno i jak niem uderzył sierotkę w głowę, tak od razu upadła nieżywa.

Ujrzawszy ojczym co uczynił, przeląkł się okrutnie, bo i onemu się teraz zdawało, że Bietka przemieniła się w anioła zmarłego. Więc począł wyrzekać okrutnie i macocha też z nim wyrzekała, i oboje ani się utulić nie mogli od płaczu. A tak płacząc podnieśli Bietkę ze ziemi, ubrali ją w bielutką sukienkę i położyli ją na łóżeczku. I leżała Bietka blada a piękna gdyby anioł, a ojczym i macocha siedzieli koło niej i wylewali łzy gorzkie i mówili pomiędzy sobą: „O gdybyć też Bóg miłościwy obudził raz jeszcze to dziecko ze snu śmierci, jużbyśmy mu nic złego nie czynili i jużby od nas nie doznawało nigdy krzywdy.“

Tak wyrzekał ojczym i wyrzekała macocha Bietki aż do samej północy. A gdy wybiła północ, otworzyły się same drzwi od izby i wleciał ptaszek i zawiesił się nad głową umarłej sierotki i zaczął trzepotać skrzydełkami, trzepotał i trzepotał i przyganiał wiatr do sierotki. A ona otrzeźwiła się, otworzyła oczy i gdy ujrzała ptaszka, chciała pochwalić głosem Boga ale nie mogła, więc jeno w myśli tak chwaliła Boga: „Dobry ty jesteś Boże coś dał skrzydła ptaszkowi, który mnie obudził ze snu ciężkiego“ a potem pomyślała o ptaszku co do niej przyleciał i modliła się znowu tak w myśli do Boga:

„Pobłogosław Panie Boże dobremu ptaszkowi co ma pamięć na sierotkę.“ A o sobie, co uczyniła ptaszkowi, już nic nie pamiętała.

Gdy tę modlitwę ukończyła sierotka, wyleciał ptaszek, a przez otwarte drzwi wpłynął do izby strumyk i wił się i wił gdyby srebrna wstążeczka, aż przyszedł do łóżka, na którem leżała sierotka. I wszedł do niej i zaczął jej myć twarzyczkę i chłodził ją i trzeźwił aż odzyskała mowę. A wtedy poczęła sierotka chwalić tak Boga: „Dobry ty jesteś Boże, coś stwo-

rzył strumyk, który mnie orzeźwił i oddał mi mowę, żebym cię mogła pochwalić" a potem pomyślała o dobroci strumyka co do niej przypłynął i tak się modliła: „Pobłogosław Panie Boże strumykowi dobremu, co ma pamięć na biedną sierotkę." A o sobie, co uczyniła strumykowi, już nic nie pamiętała.

Gdy tę modlitwę ukończyła sierotka, wypłynął strumyk napowrót z izby, a przez otwarte drzwi poczęły wlatywać różyczki i wleciało ich dwanaście. I wszystkie poleciały nad głowę sierotki i strząsały rumieniec czerwony z listków na twarzyczkę jej bladą, aż się zarumieniła zdrowiem twarz sierotki. A wtedy Bietka zdrowa i rumiana powstała z łóżka i tak chwaliła Boga:

„Dobry jesteś ty Boże, coś stworzył różyczki, które mi powróciły zdrowie, żebym mogła dobrze czynić jak mnie uczyła matka moja" a potem pomyślała o dobroci różyczek co do niej przyleciały i tak się modliła: „Pobłogosław Panie Boże różyczkom, co miały pamięć o biednej sierocie." A o sobie, co uczyniła różyczkom, już nic nie pamiętała.

Gdy tę trzecią modlitwę odmówiła sierotka, wyleciały różyczki, drzwi się zawarły, a sierotka zdrowa i rumiana stała przed ojczymem i przed macochą w bielutkiej sukience i była podobną do anioła. A ojczym i macocha patrzyli na nią i dziwili się tym wszystkim cudom, a potem oboje poczęli ściskać sierotkę i obiecali jej, że już nigdy nad nią wymyślać ani jej prześladować nie będą. Wtedy sierotka upadła na kolana i tak chwaliła Boga: „Dobry jesteś ty Boże, co pamiętasz na sieroty a nie opuszczasz tych, co mają w tobie nadzieję." A wspomniawszy na dobroć ojczyma i macochy, z którą ją przyciskali do serca, tak się modliła: „Pobłogosław Panie Boże ojczymowi mojemu i macosze mojej, co mają pamięć na biedną sierotkę." A o tem, co jej uczynili złego, już nic nie pamiętała.

A gdy tę ostatnią modlitwę wymówiła sierotka rozjaśniało się koło niej, i otoczona jasnością niebieską stanęła przed nią Matka Boska i tak do niej przemówiła: „Błogosławieni są, którzy czynią dobrze tym, co im nic złego nie uczynili, ale kto zapomniał złego co mu je wyrządził zły człowiek, a on dobrze mu za nie czyni, tysiąc kroć jest błogosławiony. I ty dziecię moje coś więcej czyniło jak cię nauczyła matka, błogosławioną

jesteś tysiąckroć.“ — Wymówiwszy te słowa zniknęło widzenie, jeno twarz sierotki rozjaśniała się jeszcze bardziej, tak że patrząc na nią i ojczym i macocha łzy rzewne wylewali ze żalu, że takie piękne, a błogosławione przez Boga samego dziecko poniewierali tak okrutnie. A sierotka też płakała z nimi ale z radości, że znalazła zastępców ojca i matki. Nie poniewierali też odtąd sierotki ani ojczym ani macocha, a znowu Bietka co jeno im z oczów wypatrzeć mogła to wszystko czyniła, pracowała, wyręczała ich we wszystkiem w czem jeno mogła. A pamiętna zawsze na słowa umierającej matki, w każdej chwili pamiętała na Boga, a czyniła zawsze dobrze czy to człowiekowi, czy ptaszkowi, a choćby i robaczkowi najmniejszemu, to źle nie uczyniła jeno dobrze. A ile razy jeno zdarzyło się uczynić co dobrego, zawsze chwaliła dobrego Boga, co jej dał życie żeby dobrze czynić mogła, a zaś o sobie, że uczyniła dobrze, nie pomyślała nigdy. I żyła tak Bietka lat wiele, bardzo wiele, a powiadają ludzie, że przed śmiercią jej przyśli święci aniołowie i zanieśli ją żywą do nieba, do matki i do Pana Boga.—

Gdy Jagna ukończyła swoją powieść, wszyscy słuchacze zamyśleni milczeli przez chwilę, każdy rozważał w sercu swojem co usłyszał, a dopiero po długiej chwili przerwał znowu milczenie Walenty temi słowy:

— Dobrześ widno Jagusiu spamiętała opowieść Starki, znać ci przypadła do serca, a to chwalebnie, boć ona świętą zawiera w sobie naukę, jako jeno ten człowiek prawdziwie dobrze czyni, który nie szuka chwały z dobrego uczynku. A jest ci to świętą prawdą. Bo jeżeli ty czynisz dobrze dla samej nagrody, to czynisz jeno jako najemnik, a nie jako człowiek stworzony na podobieństwo boże. Wiedziałać o tem matka sieroty, kiedy jej mówiła: „C z y ń d o b r z e, a n i e s z u k a j c h w a ł y z u c z y n k ó w t w o i c h.“

— A czyliż to ta powieść prawdziwa? — zapytała Błażejowa.

— Myśli są w niej prawdziwe sąsiado moja — odpowiedział Walenty — a wszystko inne zastosowane jest do tych myśli, co je miał ten, który tę powieść wymyślił i ułożył, albo może napisał wedle życia jakiej dobrej sierotki. A chciał on

zapewne przez nią wyrazić, że uczciwe serce zachowuje w pamięci co mu się dobrego uczyni, a kiedy może to się odwdzięczy, jak uczynił strumyk i ptaszek i różyczki; a znowu też chciał powiedzieć, że człowiek co czyni dobrze ze szczerej i serdecznej myśli, nagrody nie oczekuje za swój uczynek: bo on ledwo co dobrze uczynił, a już zapomniał o tem, jak oto ta sierotka. —

— Co znowu mnie — poczęła stara Małgorzata kuma Barbary — to już mi się najbardziej podobało, jak tam tej sierocie zagadało coś do serca, że i najbiedniejsza sierota może dobrze uczynić. I zaraz się też pokazało, że to prawda. Mój Boże! A tu nie jeden, co nie jest sierotą, jeno aby tyle, że nie ma wielkich skarbów, a już nie chce uczynić najmniejszej rzeczy dla bliźniego, jeno się zawsze tem zastawia, że sam nie ma. Jak żeby i biedny nie mógł uczynić wiele dla jeszcze biedniejszego. Przydarzy się nawet nieraz, że nie potrzeba koniecznie pieniędzy, żeby pomódz bliźniemu, jeno się aby schylić, żeby mu pomódz, jak ta sierotka biedna róży i strumieniowi i ptaszkowi uczyniła, ale nieuczynny człowiek i od tego się uchyla; drogi nawet pokazać podróżnemu, to mu się nie chce, a dobrej rady w strapieniu, w chorobie, darmo byś szukał u niego. A równo ludzie tacy nieuczynni zwą się chrześcijanami, nie wiedzieć od czego, chyba od tego krzyża świętego, co się nim żegnają. Mój Boże! nie wiedzą ci oni chyba, że sobie Pan Bóg za nic waży chwałę bez dobrych uczynków ku bliźnim, i że darmo ten Pana Boga chwali, kto w obec ludzi nie jest szczery w miłości. Chciałabym żeby ci ludzie słyszeli wszyscy opowieść Jagusi, a dowiedzieliby się, że i sierotkę dopiero wtedy umiłował Pan Bóg, kiedy zrozumiała słowa matki o dobrych uczynkach i kiedy wedle nich żyć zaczęła.

— Dobrze mówicie miła kumo — odpowiedział znowu Walenty — że byłoby dobrze, gdyby zrozumieli tę naukę wszyscy ludzie, i żeby w czystości serca wedle niej sobie zawsze postępowali.

Gdy te słowa wymówił Walenty, zamyślił się bardzo i wszyscy milczeli, i słychać było tylko świerszcza w ścianie i furczenie wrzecion w rękach pilnych prządek.

Pisanie od Walka Bartnika z nad Obry, względem środków na ukąszenie pszczoły.

(Do „Szkółki niedzielnej", co ją w Poznańskiem poczciwi ludzie drukują, nadeszło niedawno niniejsze pisanie, które, że w niem jest zawarte jak sobie z pszczołami poczynać żeby nie kąsały, i dla czytelników Dzwonka nie zawadzi.)

Niech się jegomość nie gniewa na mnie, że się ośmielam do niego pisać i o wydrukowanie tego mojego pisma w Szkółce prosić. Prawda, że to pisanie nie osobliwe, ale jegomość wybaczy prostemu człowiekowi, co to do szkół wysokich nie chodził. — Jeszcze chłopcem będąc lubiłem bardzo pszczoły, ale mię raz tak wykarały, żem później od nich stronił jak od złego ducha. Moi rodzice mieli dość pszczół, ale się niemi tylko matka trudniła, bo ojca to tak nie cierpiały, że im się na oczy nie mógł pokazać. Raz się uwiązał rój wysoko na gruszce, ale ich matka dosięgnąć nie mogła, więc zawołała mnie i mówiła: Walek, obwiąż się chustką, wnijdź na gruszkę i strząśnij mi te pszczoły. Ja też zrobiłem co mi matka kazała. Ale cóż! jak mię też pszczoły na gruszce nie obsiędą, jak mi nie zaczną walić się to w rękawy, to za kołnierz, to dziś już nie wiem jakem ze strachu z gruszki zleciał. Uciekłem w krzaki, pszczoły za mną... hyc na ogród w perki, pszczoły za mną... i tak mię pożądliły, żem spuchł jak beczka, a i oślepł jak kret, a matka to ledwo nie pękła z żalu, bo myślała, że już po mnie: i odtąd bałem się bardziej pszczół, jak djabeł święconej wody. Nie dziw więc żaden, że kiedym się dostał na swoje, bardzom się namyślał, czy sobie pszczoły nabyć, czy nie.

Dopiero gdym się od tej przebrzydłej gorzałki odpisał, gdym się dowiedział, że miodek to zdrowy i staropolski napój, nabyłem też pszczoły i mam ich z łaski Pana Boga dosyć. Ale ile razy z początku do pszczół szedłem, tom się tak poowijał, że się aż moja Kaśka ze mnie śmiała, i babakiem na rozsadę mię nazywała, a to jest bardzo dobra kobieta, ale okrutnie rezolutna. Więc to mię korciło, bo też sobie byle komu w kaszę dmuchać nie pozwolę, że mię tchórzem nazwała dla tego, iż się pszczół boję. Więc łamałem sobie głowę jakby to zrobić, żeby mię pszczoły nie żądliły, a gdy użądlą, jakby

puchlinie zapobiedz. Pytałem się tego i owego bartnika, to mi każdy co innego radził, a kiedym im powiadał, że mi nic nie pomaga, to oni odpowiadali, że jednemu pomaga to, drugiemu owo, bo nie każdy ma równe ciało. Najwięcej podobała mi się ta rada, żeby liśćmi ziela pocierać, bo to miałem zawsze pod ręką, bo moja Kaśka nie tylko o drobiu ale i o zielu w ogrodzie pamięta. Próbowałem z każdego ziela po kolei, i uważałem, które mi najbardziej pomoże. Zerwałem też raz ziele, które miało białawo-czerwone i żółte pachnące kwiaty, a nazywa się jerychońska róża. Nasz ogrodowy nazywa ją *kapryfolią*. Sok tego ziela bardzo mi pomagał, bo i ból uśmierzał, i puchlinę spędzał.

Później łamałem sobie głowę, jakby to zrobić, żeby się bez owijania obyć, aby mię moja Kaśka tchórzem nie nazywała, ale wszystko napróżno. Dopiero przed rokiem, kiedym miód podbierał, owalała mi się przypadkiem prawa ręka miodem, a pszczoły chodziły po niej, i ani jedna mię nie użądliła, a w lewą rękę, która nie była miodem obwalana, to aż zanadto. Oho! pomyślałem sobie, na drugi raz to i ręce i twarz posmaruję miodem, i zobaczę, czy mię jeszcze Kaśka nazwie tchórzem. I tak zrobiłem. Więc widzi jegomość, że mam wyborne lekarstwo, bo mię żadna pszczoła odtąd nie użądliła. Ale cóż po tem! kiedy moja Kaśka znów gdyrała, że miód marnuję. Żeby i temu zapobiedz, przybieram teraz do jednej części miodu dwie części wody, i taką wodą miodową zawsze kiedy przy pszczołach robię, twarz i ręce myję, ale nie obcieram. Odtąd pszczoły dają mi spokój, a jeżli z niemi czasem nieostrożnie się obejdę, i która mię użądli, to mam w buteleczce przysposobiony sok z jagód jerychońskiej róży, i po prędkiem wydobyciu żądła ranę tym sokiem zapuszczam, a od niego i ból i puchlina prędko ustaje.

Oto widzi kochany jegomościnek, jak sobie postępuję, i jeżeli to jegomość uważa za dobre, to proszę to moje pisanie kazać wydrukować, a poźniej jak o pszczołach co mądrego się dowiem lub sam doświadczę, to jegomości znów napiszę. A tymczasem bądź jegomość zdrów!

RÓŻNOŚCI.

Dowcipna odpowiedź. Było to za rządów *Augusta Sasa*, właśnie w czasie łupiezkiego napadu Szwedów na Polskę, gdy raz szedł sobie gospodarz wielkopolski wzdłuż jeziora Gopła, i spotkał niespodzianie całą gromadę żołnierzy.

— Stój, kto ty? — wołają żołnierze.

— Ot, biedny chłop sobie — odrzeknie gospodarz pokornie.

— A z kim ty trzymasz, ze Sasem czy ze Szwedem? — pytają znowu tamci.

Gospodarz poskrobał się w głowę, bo nie wiedział co nato odpowiedzieć, nie miarkując po żołnierzach z kim oni trzymają. Powiedzieć za Sasem — źle, a nuż oni za Szwedem, to zbiją lub zabiją; powiedzieć za Szwedem — także źle, a nuż oni za Sasem to znowu skóra w robocie. Nie chciał też wreszcie poczciwy człek kłamać, bo to obraza boska, zaś Bogiem a prawdą ani Szweda ani Sasa jako wrogów ojczyzny nie cierpiał serdecznie.

— Mówże drabie z kim trzymasz! — wołają żołnierze obstępując go — bo my cię tu inaczej nauczymy gadać!

Widzi chłop że nie przelewki, więc westchnął do Boga i tak się odezwie, wskazując na Gopło:

— Dałby pan Bóg, żeby się Szwedzka strona stała mlekiem jak to oto jezioro, a Saska strona chlebem, i żeby diabeł ów chleb do tego mleka wdrobił i wyjadł wielką łyżką wszystko co do kropli.

Słuchają żołnierze tej odpowiedzi i zmiarkowali, że to znaczy innemi słowami, żeby i Sasów i Szwedów diabli z Polski jak najprędzej wzięli; a że byli sami Polakami, więc się zawstydzili że służą jednemu z wrogów ojczyzny, i puścili na wolność dowcipnego gospodarza.

Myśli.

Ten jest człowiekiem mądrym, kto o sobie mało rozumie, sam na siebie surowy, a względem drugich wyrozumiałe; kto ma zawsze oko na siebie, a do cudzych postępków się nie wtrąca, kto pierw się namyśli, nim co powie lub zrobi.

Słowa są jak lekarstwa, które wtenczas pomagają, gdy ich z umiarkowaniem zażywamy; — ale szkodzą, jeżeli niemi zbytkujemy.

Siedzi dziecko na bryle śniegu, i chełpi się z wyniesienia swego. Słońce przygrzało, i dziecko upada w błoto. Tak samo dzieje się z pysznymi ludźmi.

Nie wstydź się pracy bo praca nie upadla; ale wstydź się próżnowania. W ogóle wszystko to, co nie jest występkiem, nikogo upadlać nie może. Przeto wstydź się jedynie tylko grzechu.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 17.

11. Czerwca 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Onufry,

pustelnik.

Było to w trzysta kilkadziesiąt lat po narodzeniu Chrystusa Pana, gdy w jednym z klasztorów w Egipcie żył mnich imieniem *Pafnucy*. Jako mąż wielce pobożny i nauki chciwy, postanowił mnich ów pewnego razu pójść w głębokie pustynie i szukać tam świętych pustelników. Jak pomyślał, tak uczynił; cicho w bożą porę puścił się, mając nieco chleba i wody ze sobą, i szedł przez dni wiele, a różne spotykał rzeczy po drodze. Znalazł w jaskini człowieka, niby na modlitwie klęczącego, który za dotknięciem w proch się rozsypał; innego znowu widział między dzikiemi zwierzęty, bez żadnej odzieży. Aż dnia siedmnastego od wyjścia swojego z klasztoru, ujrzał mnich zdaleka męża strasznego, nagiego, który był cały włosami głowy i brody jako śnieg białemi okryty, a wpół przepasany zielonemi drzew gałęziami. Ujrzawszy to Pafnucy zląkł się i ukrył w gęstwinie, a ów stary pustelnik, starością, posty i upałem utrudzony, legł w cieniu pod niedaleką skałą i zawołał:

— Mężu boży, nie bój się, zstąp do mnie, bom i ja człowiek grzeszny, a służę tu dla miłości Bożej i zbawienia swego.

Słysząc to Pafnucjusz zdumiał się, a zbliżywszy się pozdrowił starca i prosił go, by mu dla miłości bożej wszystek swój żywot rozpowiedział. Więc pustelnik przystał na to i tak jął opowiadać:

— Imię moje *Onufry*, lat mam spełna siedmdziesiąt, a od sześćdziesięciu mieszkam w tej pustyni, korzonkami i dzikim owocem się żywiąc. Ojciec mój był królem w *Persji*, opływał w przepych i dostatki, i tylko go to martwiło, iż długi czas żadnego nie miał potomstwa. Aż oto po wielu latach zdarzyło się, iż ja się miałem narodzić, a wtedy przyszedł niejaki pielgrzym do mojego ojca, i szatańskim sposobem obudził w nim wątpliwość, ażali narodzić się mające dziecko jego jest dzieciędem. „Królu, mówi on, płód ten królowa nie od ciebie ma, lecz od jednego z sług twoich.“ Uwierzył temu ojciec, a zapłonąwszy gniewem chciał mnie dać ogniom pożreć, lecz Bóg litościwy wybawił mię od złego, a wtedy dostałem się do pewnego klasztoru na wychowanie i naukę. Tu wzrastałem w siły i w miłość Bożą, a najmilej było mi klękać przed ołtarzem Matki Boskiej w klasztorze, i modlić się z podniesionemi na obraz Jej oczyma. I trafiało się nieraz, że gdy mi szafarz klasztorny dał chleba, tom szedł przed ołtarz Matki Boskiej, i tam patrząc się na małe dzieciątko Jezus u Jej łona, podawałem mu chleba mówiąc: „Tyś maleńki jako i ja, mnie szafarz daje chleba a tobie nie, weź więc odemnie i jedz“, bo zdawało mi się; że ono dzieciątko boże także jeść potrzebuje. Spostrzegłszy to raz najstarszy zakonu, nakazał szafarzowi nie dać mi chleba, lecz owszem gdy przyjdę prosić oń, aby mi rzekł: „Proś sobie u tego dziecięcia, które zawsze karmisz.“ Uczynił tak szafarz, lecz ja nie płakałem anim był smutny choć mi dopiero siedm lat było, ale poszedłem przed ołtarz i tam klęknąwszy modliłem się, a Chrystus nakarmił moją duszę, dawszy zapomnieć na ciało.

Tak wzrastając między pobożnymi mnichami, słuchałem ich pobożnych nauk i opowiadań, a zasłyszawszy raz o *Eljaszu* proroku, jako żył na puszczy i o św. Janie Chrzcicielu, zapy-

tałem ich: „Czyż ci, co na puszczy żyją są od was większymi?“ „Zaiste synu, odpowiedzieli, bo w większych od nas niewygodach i utrapieniu żyjąc, zarówno Boga miłują i służą mu.“ Tedy ja widząc to zapłonąłem wielką żądzą pustelniczego życia, a wstawszy jednej nocy, wziąłem sobie chleba na drogę i wyszedłem na pustynię. I szedłem górami i szedłem lasami, a tak mi się zdało, jakoby mię Anioł boży wiódł za rękę, bo nie trwożyłem się niczem wierząc w dobry koniec mej drogi. Jakoż przyszedłem niebawem do jednej jaskini w skale wykutej, a przystąpiwszy do wchodu zawołałem, błogosławieństwa prosząc. I wyszedł na to staruszek, poważny w postaci i twarzy łaski pełnej, a gdym mu upadł do nóg podniósł mię, pocałował i rzekł: „Tyś odtąd brat mój, który masz mi dopomódz pustelniczego żywota“. Więc wszedłem ze staruszkiem do jaskini i byłem z nim wespół przez dni kilkanaście, do życia pustelniczego nawykając. A po dniach kilkunastu rzekł mi, iż wolą Boga jest abym samotne na pustelni pędził życie, i rzekłszy to wyprowadził mię i wiódł przez lasy i zarośla, i przywiódł do jaskini, koło której drzewo palmowe rosło i zdrój czysty płynął. Tu został ze mną staruszek przez całe dni trzydzieści, ucząc mię jeszcze pustelniczego życia, a wreszcie odszedł, i potem tylko raz w rok mię odwiedzał. Lecz po nie wielu latach, gdy przyszedł mię znowu nawiedzić, pośród słów pozdrowienia upadł na ziemię i Bogu ducha oddał, co ja widząc sam od żalu wielkiego upadłem, a opłakawszy zgon nauczyciela, ciało jego święte tuż przy jaskini mojej pogrzebałem.

Westchnął przy tych słowach Onufry święty i tak mówił dalej:

— Cierpiałem ja potem wiele pokus, przeciwności, niemocy i tęschnoty za światem, a nieraz myślałem zgoła że mi już skonać przyjdzie, bo nie mało też głodu, pragnienia upału, i zimna znosiłem. Lecz Bóg widząc cierpienie moje dał mi cierpliwość; a gdy mnie odzież opadła, okrył bujnym włosem, jak oto oglądasz. I rozkazał Bóg palmie ażeby mi owoc rodziła, i innym ziołom ażeby rosły na moje pożywienie. Więc podziwiałem Boga i chwaliłem Go w modlitwach moich, i takiego życia pustelniczego długie aż do dzisiaj przepędziłem lata.

Skończył na tem Onufry święty, i wstał i prowadził Pafnucjusza do głębi jaskini swojej, i tam dzielił się z nim wespół leśnem pożywieniem, a potem mówili modlitwy i śpiewali psalmy.

Na drugi dzień rano spostrzegł mnich pobożny iż twarz świętego męża wielce była zmienioną; pytał więc o przyczynę tego, a Onufry odrzekł:

— Nie bój się Pafnucjuszu! Bóg sprowadził cię tu, abyś ciału memu dał pogrzeb, gdyż dziś skończę służbę moją.

A mnich pobożny odezwał się na to:

— Ojcze święty, radbym tu na tem miejscu pozostał po wyjściu twojem z ciała.

— Żadną miarą to być nie może — odparł Święty — bo cię Bóg tylko na to posłał abyś ciało moje pogrzebł, a potem szedł między ludzi i mówiąc im o pustelnikach świętych, nauczał ich i dobrze im czynił.

A po tych słowach padł Onufry święty na kolana, a wzniosłszy oczy do nieba płakał i modlił się gorąco, i w modłach ducha swego panu Bogu oddał. Rzęsiste łzy ronił Pafnucjusz nad ciałem świętego pustelnika, a potem wstał i pogrzebł je, i szedł między ludzi i opowiadał co widział i słyszał i czynił im dobrze.

Pieśń do Najświętszej Panny,

ułożona przez Wojciecha Wosia, kowala z Grodziska, na nutę jak: „O której berło“ lub: „Serdeczna Matko“.

Najświętsza Panno, opiekunko nasza,
Dawno Cię Polska za matkę ogłasza,
Boś ją broniła przez tak liczne wieki —
A my i teraz prosim Twej opieki.

Do Ciebie Matko zanosimy jęki:
Wyrwij nas, wyrwij z nieprzyjaciół ręki,
Połącz nas węzłem braterskiej miłości,
Niech święta zgoda między nami gości.

Nadziejo nasza i oczekiwanie,
Nieba i ziemi jedyne kochanie,
Miasto ucieczki i nowy Syonie,
Tyś nam pociechą jest w polskiej koronie.

Ciebie dziedziczną swą Królową znamy,
Tobą się święta Panno zasłaniamy,
Ty nam Ojczyznę bronisz w każdym razie
Na Jasnej górze, w cudownym obrazie.

Serdecznie prosim, byś z Twojej opieki
Nie wypuszczała nas sierot na wieki;
Przyjmij Maryjo serc naszych westchnienia,
Zmiłuj się, zmiłuj, skróć nasze cierpienia.

Przestawaj na swojem!

Było to jakoś w same żniwa. Słonko dawno już zaszło, szary zmrok zapadał, a gwiazdy wschodziły na niebie, aby ciepłej letniej nocy przyświecać. Cicho było na świecie: ani wiatr nie szumiał, ani mucha nie brzęczała, jeno co się czasem słowik odezwał, albo ów śliczny śpiew wieczorny:

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali!

Gasły już światła na kominach, bo jużci każdy po całodziennej pracy potrzebuje słodkiego odpoczynku, tylko człowiek zły i pijak wywraca ten od Boga ustanowiony porządek, bo zbrodnia i zdrada, bojąc się nawet dnia białego i słonka jasnego, lubi się zawsze czarną płachtą nocy okrywać. Wszystko wreszcie pogasło, jeno w dwóch miejscach pewnej wioski biło jeszcze światło przez okna.

W starej, nędznej, pochylonej chałupinie paliło się pare szczepek w piecu, gdzie się dogotowywały ziemniaki na wieczerzę. Na przypiecku siedziała średnich lat kobiecina, koło niej kręciło się dwoje małych dziatek, czekając niecierpliwie

na posiłek, bo przez cały dzień nie jadły gotowanej strawy, a na środku stał ich ojciec, chłop czerstwy i wesoły, i naprawiał popsutą kosę. Wnet się dogotowały ziemniaki, kobieta odlała je i postawiła na ławie, bez omasty tylko ze solą zaczęli je wszyscy bardzo smacznie zajadać.

— Hej, hej, mocny Boże — odezwie się kobiecina — biednemu człowiekowi to już i nie żyć na świecie. Maciek zrobił, Maciek zjadł: ot tyle się pracuje, ile tylko sił starczy człowiekowi, a przecież zaledwie się z tego wyżywić można.

— Ej, nie wyrzekaj kobieto, nie wyrzekaj — odrzeknie jej mąż na to — toć przecie praca nie jest jeszcze nieszczęściem człowieka. Udzielił nam pan Bóg sił i zdrowia, to też i pracy bać się nie potrzeba.

— Ale my pracujemy aż za nadto, a przecież nic nie mamy. I ja i ty chodzimy w dzień na zarobek, wstajemy o świcie, legamy późno, aby tych parę zagonów własnego pola dopilnować, a przecież wszystko to, co zapracujemy, mignie się jeszcze w jesieni, a na zimę nie można się nawet ściągnąć na ciepły przyodziewek. A co my naszym dzieciom zostawimy po śmierci, kiedy już i chałupa walić się poczyna?

— A bodajże cię, bodaj kobieto — odrzeknie mąż na to — co też tobie przystąpiło dzisiaj do głowy. Tyle by tam kłopotów jeszcze było o nasze dzieciska. Jeżeli im zostawimy bojaźń Bożą, zdrowe ręce, zamiłowanie do pracy i poczciwe imię: to już im żadnego innego majątku nie potrzeba.

I tak długo jeszcze dowodził mąż kobiecinie, aby na swój stan nie była markotna, i ona dała się niby przekonać, ale gdy już złożyła głowę do snu, pomyślała sobie przecież: Hej, hej, żebym to ja choć przez jaki miesiąc mogła sobie tak w dostatkach opływać, ot jak naprzykład ta moja sąsiadka!

Trzeba zaś wiedzieć, że nieopodal chaty biednego wyrobnika znajdowała się porządna zagroda okrzyczanego na pięć mil w około bogacza. Całe to obejście z nowemi budynkami, z wysokiem ogrodzeniem, wyglądało raczej nieprzymierzając na mały folwarek, niżeli na mieszkanie wieśniacze.

W białej izbie, oświetlonej jasnym kagankiem, krzątała się

młoda i ładna kobieta, oczekując męża, który jeszcze nie wrócił z jarmarku, i od czasu do czasu tak prawi do siebie:

— Mój miły Boże! czemu ja taka młoda, a taka nieszczęśliwa. I co mi po mojej młodości i co po urodzie, kiedy lata moje płyną w smutku i tęsknocie.

I tutaj zaczęła zdejmować ze siebie bogate korale, i srebrne pierścionki, i cienkie chusty, a rzucając je niedbale do skrzyni, rzecze dalej:

— I co mi po tych wszystkich ozdobach, kiedy nie mam się komu podobać i przymilić; i co mi po tych wszystkich bogactwach i dostatkach, kiedy nie mam ani jednego dziecka, któremu by się to wszystko po śmierci dostało. Już czwarte nadeszły żniwa, i od czterech lat stoją zapełnione stodoły i brogi, i czteroletnie ziarno pleśnieje w śpichlerzu, a mnie przez cztery lata wciąż nudno i smutno na sercu. A przecież w domu u rodziców byłam taka wesoła i młoda, i jak wszyscy mówili urodziwa, i miałam niepoślednie wiano, i mogłam pójść za jakiego młodego, chwackiego, choćby tam i niebardzo zasobnego parobczaka. Ale rodzice złakomili się na wielkie bogactwo, i wydali mnie za starego, chorowitego niedołęgę, któryby bezpiecznie mógł być moim dziadem. Co mi potem, że nie potrzebuję pracować, że mam wszystkiego podostatkiem, co tylko dusza zapragnie: kiedy mnie to wszystko nie cieszy, kiedy się krew młoda i gorąca gwałtownie burzy we mnie, kiedy ja usycham bez miłości. Kiedy nie mogę być matką i pieścić własne dzieciątko! Mnie się już i gospodarstwa nie chce dozierać, dlatego też i czeladź kradnie, i najemnicy robią jak im się podoba, i kto nie chce, to udrze człowieka.

Gdy jeszcze tak na swój los wyrzekała młoda kobieta, zaturkotało coś na podwórzu, i po chwili wszedł do izby jej mąż, stare, garbate i brzydkie chłopisko, który powróciwszy z jarmarku przywiózł swej żonie przeróżne piękne podarki. Ale ona ledwie spojrzała na nie, a podawszy mężowi wieczerzę, położyła się na miękkiej pościeli, i pomyślała sobie jeszcze przed zaśnięciem:—Żebym ja to choć raz była tak szczęśliwa, jak ta moja sąsiadka, i młodemu sercu gwoli mogła się nacieszyć młodym mężem i dziećmi; tobym za to i całe życie mojego szczęścia

oddała. Hej, hej! mocny Boże! choć miesiąc na miejscu sąsiadki!

Wkrótce i tu zgasło światło, i wszyscy spoczywali, tylko Anioł snu przechadzał się po nocy, a usłyszawszy narzekania tych dwóch kobiet, pomyślał tak sobie: Dobra mi się tutaj nadarza sposobność tym dwom kobietom wyrządzić przysługę. Zdaje się im, że każda z nich mogła by być szczęśliwą, gdyby była na miejscu drugiej. Owóż trzeba je pomieniać ze sobą, a tak obie będą może szczęśliwe. I jak sobie ten Anioł pomyślał, tak też i zrobił. Wziął duszę biednej zarobnicy i wlał ją w ciało młodej bogaczki, a duszę bogaczki przeniósł do ciała zarobnicy, i tak pomieniał te obie kobiety, chociaż ani mężowie ani inni ludzie tej zamiany poznać nie mogli.

Noc minęła prędko; równo ze świtaniem zaczęło się wszystko budzić, a na chwałę Bożą rozlegał się znowu po wsi ów drugi śpiew prześliczny:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon Boże wielki.

Równo ze świtem przebudziła się w chacie bogacza na miękkiej pościeli biedna wyrobnica. I ogląda się zdumiona po izbie, i maca po pościeli i przeciera oczy, i nie wie, czy to sen, czy na jawie, że ona się w chacie bogacza znajduje. Chce wstawać i ubierać się, a obaczywszy przed sobą śliczne cienkie chusty, jeszcze bardziej się zdumiała, a wtem przychodzi cicho, na palcach, stary bogacz do izby, a myśląc że to jego żona już się przebudziła, pyta się o sen, o zdrowie, i gniewa się że ona tak wcześnie zrywa się z pościeli. Bogacz wnet wyszedł, a biedna wyrobnica wstawszy, ubrawszy się i zmówiwszy pacierz, gdy się oglądnęła po izbie, gdy zobaczyła w skrzyni przeróżne bogate rzeczy, drogie korale, srebrne pierścionki, prześliczne kolorowe spodnice, fartuszki i chustki, i czepce jedwabne: rada nierada musiała uwierzyć, że to pan Bóg ją wysłuchał, i przeniósł ją na miejsce bogaczki, jak to ona sobie wczoraj legając spać tego życzyła.

Pierwszy dzień minął naszej wyrobnicy bardzo wesoło,

tak, iż wieczór udając się na spoczynek, ucałowała nawet swego nowego koślawego i brzydkiego męża kilka razy. Na drugi dzień, a była to właśnie niedziela, młodą naszą wyrobnicę, bogato wystrojoną, poprowadził stary mąż do kościoła na służbę Bożą. I zasiedli oboje w swojej ławce przed samym ołtarzem, a ksiądz pierwszych ich obkadził, i najpierwej dał im pocałować świętą Ewanielję. Ale gdy już wychodzili z kościoła, to jakoś nikt z ludzi ani słowa do nich nie przemówił, i wszyscy podzieliwszy się na gromadki spoglądali na nich z pod oka, i rozmaicie pomiędzy sobą rozmawiali.

I mówili jedni: — Szkoda tej kobiety, że taka młoda i udatna, a z tym starym niedołęgą cały świat ma zawiązany.

I szeptali drudzy: — A jacy to pyszni i hardzi oboje, z nikim nie żyją, od wszystkich stronią, na te swoje bogactwa za nadto wiele dufając.

I szemrali inni: — A jacy to skąpi i nieużyci oboje, a osobliwie ona. Biedny nie zaratowałby się u nich, żeby tam zaraz i ginął z głodu, dlatego też i nie widać u nich tej wesołości, jaka się nawet u mniej zamożnych, ale uczynnych ludzi znajduje. Dlatego też daremnie pojął sobie ten bogacz już piątą żonę, bo żadna nie obdarzyła go dziecięciem, któremu by po śmierci całą spuściznę przekazali, a tak cały ich majątek szczeżnie i skapie bez pożytku.

Usłyszawszy takie przymówki młoda wyrobnica zafrasowała się wielce, i zaraz ubyło jej trochę wesołości.

Wieczorem, gdy wszędzie po kilku gospodarzy i gospodyń schodziło się na pogadankę, siedział bogacz ze swoją żoną samotnie w izbie, i zabawiali się ze sobą. I każde pocałowanie bogacza wydawało się młodej kobiecie, jak by jej kto kawałek lodu do twarzy przyłożył, i każde uściśnienie starego niedołęgi, jakby ją wiatr chłodny owiał. Nadszedł dzień trzeci, bogacz wyszedł na pole i do gospodarstwa, a młoda kobieta została się sama, ale strzeżona dobrze na wszystkie strony, bo stary mąż zazdrośny o młodą i składną żonę i sam dobrze jej dozierał, i czeladzi kazał mieć na nią baczne oko. Z nudoty weszła młoda bogaczka do komory i aż gębę otworzyła z wielkiego podziwu, gdy zobaczyła kilka połciów słoniny, cały rząd sagańków z masłem i serem, pełne

dzierze mąki, całe kosze jaj, parę garnków miodu samej patoki, a w kącie nawet kilkanaście flaszek słodkiej wódki i mnóstwo innych przeróżnych rzeczy. Widziała, że ma dosyć wszystkiego, ale niczego ani się tknęła, bo zdawało się jej, że wszystkiego jej jakoś brakuje. I wróciwszy nazad do izby, spojrzała przez okno, ale jej wzrok sięgał tylko tak daleko, jak daleko rozciągało się obejście bogacza, i zobaczyła pełne stodoły, i kilkadziesiąt sztuk bydła powracającego z paszy, a więcej nic, bo wysokie ogrodzenie zasłaniało wszystko przed jej oczyma.

I tak z każdym dniem stawała się coraz smutniejsza młoda kobieta, a po dwóch tygodniach gdy usiadła wieczór na miękkiej pościeli, to aż zapłakała z wielkiego żalu, i tak rzecze do siebie:

— Nielepiej-że to było mi w domu moim własnym, chociaż ubogim. Prawda, żem się musiała w dzień napracować, ale wieczorem, gdym z mężem i z dziećmi usiadła w chacie lub pod chatą, i zasilała się lichą strawą ale głodem i pracą zaprawioną: toć przecie wszyscy byliśmy tacy weseli, jakby nam nic a nic nie brakowało. I człowiek żył z ludźmi, i mógł się u niejednego poradzić, przed tym i owym użalić, i zaraz było lżej człowiekowi, jakby kamień młyński spadł ze serca.

I tu upadła młoda kobieta na kolana przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, i modliła się gorąco do tej wielkiej pani, aby ją nazad wróciła do biednej zagrody, przyrzekając że już będzie zawsze swym stanem zadowolona. W końcu rozebrawszy się, długo jeszcze przewracała się niespokojnie po miękkiej pościeli, aż wreszcie usnęła.

Zobaczmyż teraz, co się działo w chacie biednego wyrobnika.

Dawno już słońce było zeszło, kiedy po tej dziwnej nocnej zamianie młoda bogaczka wychrapywała spokojnie długie godziny. Mąż zadziwiony, że żona jego dłużej spi niż zwykle, przystąpił do niej, a pocałowawszy ją w czoło, zawoła:

— Ej, wstawaj no kochanie, wstawaj, bo nim pójdziemy na żniwo, trzebaby sobie urżnąć jeszcze z parę własnych snopków, gdyż i tak wysypuje się już nam pszeniczka z kłosa; niewiele tam tego jest, a i to marnieje do reszty.

Obudziła się na te słowa młoda bogaczka, a spojrzawszy po nędznej chałupie, zaczęła przecierać oczy, i nie wiedziała na razie, czy ją tuman zaślepił, czy co takiego, aż dopiero, gdy sobie przypomniała wieczorne swe życzenie; poznała, że ją pan Bóg wysłuchał, i że się znajduje w chałupie biednego wyrobnika. Wstała więc coprędzej, a ubrawszy się w liche łachmany, poszła z nowym swym mężem na pole dożynać pszenicę i oboje zwijali się jak mogli, śpiewając sobie ową piękną pieśń przy pracy:

Boże z Twoich rąk żyjemy,
Choć naszemi pracujemy,
Ty nam dajesz owoc złoty,
My Ci dajem trud i poty.

W dwóch godzinach wyżęli pszeniczkę, i młoda bogaczka aż się zadziwiła, ujrzawszy że tego wszystkiego było tylko dwa małe mendelki, które tęgi chłop za dwoma razami mógł zanieść na plecach do domu. Wyżąwszy swoje zboże, wzięło sobie każde z nich kawałek suchego podpałka za pazuchę, i wyrobnik poszedł z kosą, a nasza bogaczka z sierpem na żniwo. Pociła się ona tam nie lada, ale czuła się dosyć szczęśliwą, bo w takiej kupie ludzi jeden coś zaśpiewał, drugi coś śmiesznego powiedział, a każdy młody parobczak coś zażartował, co wszystko podobało się młodej kobiecie, która dotąd żyła w samotności, z daleka od ludzi. Wieczorem, gdy powróciła do domu, a usiadłszy na przyzbie pod chatą z mężem i dziećmi, zaczęła zajadać zieloną kapustę bez omasty, to zdawało się jej, że takiej dobrej strawy jeszcze w życiu swojem nie kosztowała; a gdy się oba dzieciaki zaczęły jej wieszać na szyi, gdy się nowy mąż do niej przysunął, a ona głowę swoją oparła na jego ramieniu: to się aż krew raźniej poruszała w żyłach młodej kobiety, której serce dotąd nie zaznało miłości i słodyczy rodzinnego pożycia, i przeto więdło i usychało jak kwiatek podczas gorącego lata bez rosy i deszczu. I tak dumając aż zdrzemała się bogaczka, a gdy ją mąż pocałowaniem przebudził, i gdy oboje pomodliwszy się udali się na spoczynek, to młoda kobieta nie mogąc tak prędko usnąć na twardej pościeli, pomyślała sobie: Owóż takiego ja chciałam szczęścia

domowego, cichego, szczerego i takiego męża, co to jest młody, zdrów, trzeźwy, pracowity i pobożny.

Tak jeszcze przez dwa dni była młoda bogaczka dosyć szczęśliwa, bo chociaż ciężka praca, do której nie była przyzwyczajona, nie mało ją męczyła, toć przecie samo wspomnienie wieczornego odpoczynku dodawało jej sił nowych, bo i w rzeczy samej po każdem pocałowaniu młodego męża, aż dreszcz jakiś przyjemny całe jej ciało przejmował, a po każdem uściśnieniu zdawało się jej, że mogła by i cały tydzień bez odpoczynku pracować.

Ba! ale po tygodniu zaczęły ją od znużeń boleć krzyże, a i z mężem nie mogła się długo pieścić, bo to powróciwszy z zarobku, trzeba było koło chałupy coś zrobić, męża, siebie i dzieci oprać i obłatać, a nawet licha strawa, przyrządzana na prędce wnet się jej przejadła.

Więc przypomniała sobie młoda kobieta swe pożycie w domu bogacza, gdzie to nie miała żadnych kłopotów, gdzie były gotowe i łyżka i miska; a teraz musiała chwytać sama za zimne i za gorące, bo nie było się kim innym wyręczyć. I zaledwie wyszły dwa tygodnie od tej zamiany, a już zdawało się młodej bogaczce, żeby dłużej nie wytrzymała na miejscu biednej wyrobnicy. I teraz dopiero poznała, jak to ona w domu bogacza nie umiała szanować darów bożych, jak to nie chciała biednemu wierzyć w jego nędzę, jaką to była nieuczynną, a przecież mogła była tyle świadczyć dobrego, bo mąż chociaż stary, ale kochał ją nad życie, i niczego byłby dla niej nie skąpił. I uczyniła sobie postanowienie, że już nigdy nie będzie na swój stan narzekać, że z dostatków swoich będzie drugich wspierać, i cały swój sposób życia odmieni, a upadłszy na kolana, pierwszy raz pomodliła się może szczerze i gorąco, i prosiła Pana Boga, aby ją nazad na jej dawne miejsce powrócił. Poczem ze spokojniejszem sercem położyła się na twardej pościeli, i prędzej niż zwykle usnęła.

Noc ciemna zapadła, i Anioł snu zadowolniony, że chociaż żadnej kobiety nie uszczęśliwił, toć przecie dobrą dał im naukę, przeniósł napowrót każdą z nich na swoje miejsce. Z jakąż uciechą powitały kobiety ranek, gdy się napowrót ujrzały

w przeszłym swoim stanie! Szczęśliwemi uczuły się znowu, a jaki skutek ta nauka odniosła, posłuchajmy.

Owóż biedna wyrobnica odmieniła się o tyle, że odtąd z podwójną ochotą pracowała, drugim żadnych dostatków nie zazdrościła, na swojem chętnie bez szemrania przestawając. Ale naszej bogaczki po tych dwóch tygodniach ciężkiej szkoły niktby nawet nie poznał. I tak wieczorem, gdy stary mąż zasiadł z nią do wieczerzy, odezwie się ona do niego:

— Kochasz ty mnie prawdziwie?

— Albożeś ty się o tem nie mogła jeszcze przekonać? — odrzekł jej mąż i przysunął się bliżej do niej, i aż oczy zaiskrzyły się staremu od wielkiej miłości.

— No, to zrobisz mi to, o co cię prosić będę?

— Czegobym ja dla ciebie nie zrobił!... Przecież mamy dzięki Bogu wszystkiego podostatkiem, a nie ma nas tylko dwoje; a po mojej śmierci to wszystko przejdzie na ciebie, bo mnie i tak jeszcze dziś jutro na tym świecie! Może chcesz, abym ci kupił nowe korale, zaraz jutro pojadę do miasta.

— Oj, nie chcę ja żadnego nowego ubioru — odrzeknie młoda żona — bo jeżeli mi to zrobisz, o co cię prosić będę, to i wszystkich ozdób moich mogę się pozbyć. — I wtem pocałowała starego męża nawet w rękę, przez co się stary okropnie rozczulił, i tak mówiła dalej:

— Owóż powiedz sam mój kochany, co to za szczęście nasze, kiedy żyjemy tak sami, kiedy ludzie stronią od nas i nazywają nas nieużytymi bogaczami. Przyznajmyż się sami, czy nie jest źle, jeżeli my z naszych dostatków żadnego nie zrobimy użytku, ale tak składamy je bez celu, i bez myśli, nie wiedzieć dla czego, i dla kogo. A przecież moglibyśmy nie jednemu w biedzie dopomódz, przezco zrobilibyśmy sobie przyjaciół, którzy by nas za życia szanowali i kochali, a po śmierci błogosławili. Oto przyszła mi dobra myśl do głowy, ażeby wziąść jakie biedne dziecko za swoje, ot jak na ten przykład, tego małego chłopczyka naszej biednej sąsiadki, i posyłać go do szkoły, a z czasem, gdyby się na coś wyuczył, byłby naszą pociechą.

— A to prawda — odrzeknie bogacz — mógłby zostać nawet i księdzem, toby przynajmniej o naszej duszy pamiętał.

— Przystajesz więc na to? — zawołała uradowana kobiecina całując starego w łysinę.

— Z największą ochotą — rzecze bogacz — bo i ja to już sam uważałem, że nasze życie przemija jakoś nie składnie, i daremnie przemyśliwałem nie wiedząc jakby to temu zaradzić.

I w ten sens mówili dalej, a po rozmowie postanowili oboje małżonkowie zaraz na drugi dzień udać się do biednych wyrobników, i prosić ich, aby im oddali małego syna, którego oni będą na własny koszt posyłać do szkoły.

Jak rzekli tak zrobili.

Biedni wyrobnicy aż osłupieli z wielkiego podziwu, gdy obaczyli w chacie swojej bogaczów, a gdy ci się wymówili, w jakim przyszli interesie, to wyrobnicy nie tylko że się nie ociągali, ale nawet całując ręce swych dobrodziejów, z największą radością oddali im chłopczynę w opiekę. Bo rodzice nie mając żadnego gospodarstwa, nie mogli dać chłopcu żadnego zatrudnienia, toż mógł się on bez czujnego dozoru łatwo popsuć między rozpustnymi rówieśnikami. Więc uszczęśliwiona młoda bogaczka wzięła zaraz chłopca do siebie, przebrała go pięknie, a po żniwach odwieźli go oboje bogacze do blizkiego miasteczka, i zapłacili za niego stancję u samego pana nauczyciela.

Chłopiec uczył się bardzo dobrze, a gdy na święta lub wakacje przyjechał do domu, to się wieś cała nie mogła nim nacieszyć. Po czterech latach, gdy już skończył szkoły niższe, odwieźli go bogacze do wielkiego miasta, aby tam chodził do szkół łacińskich. Więc już nie tak często mógł on odwiedzać swoją wieś rodzinną, ale gdy przyjechał na wakacje, to zawsze jak dawniej był z największem uszanowaniem dla swoich rodziców i dobrodziejów.

I tak minęło znowu lat ośm, w których nasz student ukończył szkoły łacińskie, a podczas tego czasu wiele się w naszej wsi odmieniło. Najsamprzód umarł stary bogacz, błogosławiąc swemu wychowankowi i żonie, zapisując jej cały swój majątek, wyjąwszy tylko część małą, którą ofiarował na

kościół. W rok później zeszedł także z tego świata biedny wyrobnik, nie zostawiwszy nic po sobie, jeno poczciwe imię. Ale pan Bóg dobrotliwy, który się najmniejszym robaczkiem opiekuje, nie dał i biednej wdowie zaginąć. Bo owdowiała bogaczka, która od swej dziwnej zamiany zrobiła się wielką przyjaciółką biednej wyrobnicy, wzięła ją i córkę do siebie, gdyż i tak chałupa ich już się mocno pochyliła, i niepodobna było dalej w niej przemieszkiwać. Obie wdowy mieszkały teraz razem, dozierając obszernego gospodarstwa, a córka wyrobnicy, zaczynająca rok ośmnasty, śliczna i rosła jak łania, dopomagała im we wszystkiem. I odtąd odmieniło się wszystko w domu bogacza: wrota stały otworem dla każdego, a serca przychylne świadczyły dobrze, gdzie tylko mogły. I wszyscy ludzie szanowali i kochali obie te kobiety jakoby matki rodzone.

Tymczasem o młodą dziewuchę, z czarnym włosem, z czarnem okiem i cudnej urody, a przytem zwinną i rozgarnioną, bo jeszcze w domu biednej matki nawykłą do pracy, dobijali się przeróżni kawalerowie. I między tymi wszystkimi upatrzyły obie kobiety najwalniejszego parobczaka, syna wójtowego, a gdy poznały że i dziewucha najmilej na niego spogląda, zaręczyli wnet młodą parę ze sobą. W same żniwa i nasz student syn biednej wyrobnicy, skończywszy szkoły łacińskie, przyjechał do domu na wakacje, i bardzo się ucieszył, że siostra jego była już zaręczoną.

Po żniwach więc odbyło się wesele młodej pary, które było tak huczne, że i najstarsi ludzie we wsi takiego nie pamiętali. Zięć osiadł przy żonie, prowadząc całe gospodarstwo, którego obie kobiety dobrze doglądnąć nie mogły, a syn wyrobnicy pojechał teraz do tych szkół najwyższych, gdzie to już uczą i przygotowują do stanu księżego. I wszyscy byli szczęśliwi, oczekując tylko niecierpliwie tej chwili, aby się syn wyrobnicy wyświęcił na księdza. Po czterech latach nadeszła wreszcie ta upragniona chwila, a wyświęcony ksiądz przyjechał do swojej wsi rodzinnej, aby w niej pierwszą swoją mszę odprawić.

Co to była za radość, gdy obie kobiety ujrzały swego młodego księdza przy ołtarzu! Cała wieś zeszła się do kościoła,

a gdy im młody ksiądz po mszy uściskał głowy, to każdemu aż łzy stanęły w oczach od wielkiego rozczulenia.

Szczęśliwy przypadek nadarzył, że miejscowego księdza przenieśli gdzieś do miasta, a nasz ksiądz dostał się na parafię do swojej wsi rodzinnej. W jesieni jakoś sprowadził się na plebanię, a w pierwszą niedzielę powiedział zaraz prześliczne kazanie, które sobie ludzie mocno do serc wzięli.

Mówił on, jak to największem jest szczęściem człowieka przestawać na swojem, jak to bogacze powinni używać swego majątku, żyjąc ze wszystkimi w miłości bratniej, jakby z jedną wielką rodziną, i świadcząc miłosierne uczynki dla dobra bliźnich i pomyślności kraju, a tem samem skarbiąc sobie łaski u ludzi, a u Boga zasługi na żywot wieczny.

A na poparcie mowy swojej, przytoczył jeszcze następujące słowa z pisma św:

„Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi — mówi Mateusz święty — które rdza i mól psują, i które złodzieje wykopują, ale gromadźcie sobie skarby w niebie, które ani mól, ani rdza nie psują, ani złodzieje nie wykopują; gdzie bowiem skarb twój, tam i serce twoje.“ A Paweł święty mówi: „Bogaczom tego świata rozkazuję, aby nie byli wyniosłymi, aby niepewnym bogactwom zbytecznie nie ufali, lecz aby się w dobre uczynki stali bogatymi, i chętnie z dostatku swego drugim udzielali. Oto jest wielki zysk w bogobojnem przestawaniu na swojem, albowiem nic na ten świat nie przynieśliśmy, i nic też nie wyniesiemy.“

W kilka lat pomarły obie kobiety, na córkę wyrobnicy spadł cały majątek po bogaczce, i młodzi małżonkowie używali swych dostatków według owych słów pisma świętego. Młody ksiądz odwiedzał co dnia swoją siostrę i szwagra i dawał im różne rady i nauki, i co roku odprawiał osobne msze za dusze swych rodziców i dobrodziejów.

Nie mogę wam moi bracia inaczej tej opowieści zakończyć, jak powtarzając słowa jednego mądrego polskiego kapłana i biskupa, które niedawno temu w jego księgach wyczytałem:

Bądź więcej niźli sławnym, więcej niż bogatym,
Bądź więcej niż szczęśliwym — a cóż przyjdzie za tem?
Oto, iżbyś przesadził, i nie był szczęśliwym:
Miej co masz, a miej kontent, to szczęściem prawdziwem.

Oby te nauki zostały nie tylko na papierze, ale i w sercach waszych, tego wam życzy wasz brat,

Jacenty z Magierowa.

Wydawca odpowiedzialny za redakcję: E. Winiarz.

Tom VI. Nr. 18.

21. Czerwca 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sprawiedliwy sędzia.

Był jeden bogaty i zaszczytami obsypany mąż, który pełnił urząd sędziego z ścisłą surowością. W sądach swoich trzymał się przepisów prawa ledwie nie na ślepo. Na żadne wstawienia się nie miał względu, a też i największemi pieniędzmi przekupićby się nie dał. Szanowano go bardzo, bano się jeszcze bardziej, ale miłości wcale nic nie miał u ludzi.

Pewnego dnia, siedząc sobie na ganku, gdy przypatrywał się zachodowi słońca, wspomniał, że i jego życie także tak zgaśnie, może lada dzień, lada chwila, bo już też latami dobrze był nachylony do grobu.

— Dzięki Bogu — myślał w duszy — spokojnie, jak to słońce, mogę się rozstać z tym światem; bo jak to światło niebieskie oświecało równie złe i dobre uczynki, tak i ja, wyświecając złe i dobre sprawy ludzkie, zyskałem imie sprawiedliwego sędziego. Nikogom nie skrzywdził, nikogom niesłusznie nie obwinił. Występny i oszukaniec zawsze surowie był przezemnie ścigany, bom umiał wymacać wszystkie jego skrytości.

Spokojnie więc mogę położyć głowę; za sprawiedliwość na ziemi, czeka wieczna nagroda w niebie.

Tak mówił sędzia i rad z siebie przechadzał się po dziedzińcu.

W tem ujrzał przechodzącą Zuzannę, ubogą komornicę; a poznawszy ją, zawołał z daleka: — A nie zapominaj-no, że od ciebie czynsz się należy i podatek. — Biedna wdowa przybliżyła się doń z pokorą, trzymając jedno dziecię na ręku, drugie starsze prowadząc, i rzekła z nizkim ukłonem: — Panie mój, znasz naszą nędzę i upadek; Bóg świadkiem, zapłacić nie mogę. Lecz sędzia odpowiedział groźnie: — Nie zapłacisz? w takim razie prawo sobie poradzi. Kto się uiszcza regularnie z powinności swoich, ten tylko może się spodziewać litości u mnie.

Rozpłakała się uboga wdowa, znając surowość sędziego. On zaś spojrzał na nią z pogardą, i skinął, by precz odeszła.

Zdarzyło się, iż w tej okolicy panowała zaraźliwa gorączka, na którą umierało wiele ludzi. I Anioł pański nawiedził także dom sędziego, a oraz stanął przed łożem ubogiej komornicy.

Sędzia przeczuł posłańca śmierci; myśli jego pomięszały się i w oczach zrobiło mu się ciemno. Nagle ujrzał się w jakimś gmachu pełnym światła i wspaniałości; był to tron Najwyższego, i on stał przed nim. Chóry aniołów otaczały w uroczystem milczeniu tron boski, z którego taki blask uderzał, że oczu podnieść nie śmiał, tylko je spuścił na siebie. Ależ jakże się wzdrygnął i przeraził, gdy postrzegł na swojem odzieniu same błoto i plamy, aniołowie patrzyli na niego, a on wstydem spłonął i cofnął się.

Aż oto, o kilka kroków przed nim, klęczała jakaś postać w szacie białej jak śnieg i przejrzystej, która gdy opromienioną twarz podniosła, sędzia poznał w niej komornicę Zuzannę, na którą często patrzał z pogardą; ten widok go przeraził, i rzekł do siebie: — Czy podobna, aby taka prostaczka stawiła się przed Bogiem w szacie, jaką aniołowie noszą; a ja wierny sługa sprawiedliwości, żebym się w łachmanach pokazał?

W tem grzmiący głos zawołał go po imieniu; sędziego mróz przeszedł od stóp do głowy, bo przeczuł, że się straszny sąd nad nim zaczyna. Przed jego oczyma pojawił się obraz; było to więzienie; na zgniłej słomie siedział więzień i wstrząsał kajdanami. W tym więźniu na pierwsze spojrzenie poznał jednego ze swoich dłużników, którego niegdyś był ścigał całą surowością prawa; obok słychać było łkanie opuszczonej małżonki i kwilenie głodnych dziatek, wołających do niego:

— Wydarłeś nam więcej niż życie; bo zabierając nam ojca, skazałeś na głód, na nędzę i wstyd!

Śmiertelna bladość okryła oblicze sędziego, gdy wyczytał przed sobą płomienisty napis pańskiego wyroku:

— Jaką miarą mierzysz, taką ci będzie oddane.

W téj chwili straszny grom zatrząsł niebieskie sklepienie, a oko przedwiecznego Boga błyszczało w ciemności jak trawiący płomień; i głos dał się słyszeć:

— Spojrzyj na swoją szatę, czybyś śmiał stanąć w niej przed oblicznością pańską?

Sędzia zakrył sobie oczy i zachwiał się na nogach.

— Jakiego się trzymałeś prawa? — pytał głos.

— Szedłem za sprawiedliwością — wyjęknął sędzia.

I oto otwarła się przed nim ciemna brama, z której przestrach wyglądał jakby z głębi grobu.

I głos znowu zawołał: — Zuzanno! — a głos to był wdzięczny i miły, jak chłodne tchnienie wietrzyka w dniu gorącym, i sędzia usłyszał te wyrazy:

— Zbliż się do mnie Zuzanno! miłość zmazała wszystkie twe grzechy; zbliż się sprawiedliwa niewiasto, coś wolała znosić nędzę i głód, niż przeklinać swego prześladowcę! Pracowałaś dla drugich w pocie czoła, a oni ci zatrzymali zapłatę. Nędza na ciebie przyszła i nikt nie miał litości nad tobą! Dłużników swoich nie powoływałaś przed sądy, i gdy twej pracy znowu potrzebowali, służyłaś im ochotnie, ponieważ czułaś ich potrzebę, jak swoją własną, a nadto nosiłaś w sercu przykazanie twego Zbawiciela i tę nieograniczoną miłość, która wyższa jest nad wszelkie ludzkie prawa i ustawy. —

I oto dwaj aniołowie zstąpili z niebieskiego tronu, niosąc wieniec życia wiecznego, który włożyli na czoło świątobliwej niewiasty, a tymczasem chóry aniołów śpiewały hymn: Zbawiony, kto żyje w miłości! albowiem żyje w Bogu, a Bóg w nim; jedna miłość zbawia na wieki!

Sędzia wyciągnął ramiona do tych niebiańskich postaci, lecz przed nim otworzyła się szeroka przepaść, która go oddzieliła od wybranych; ciemności nocne ogarnęły go, a grom pański ryczał nad głową i pod nogami; w téj okropnéj chwili zbudził się sędzia.

Przestraszony, oblany potem, zerwał się z łoża i zawołał:

— Chwała Bogu! to tylko był sen! Oczy jego szukały blasku dziennego, i nie mogły się od niego oderwać, jak tonący od pobrzeżnej skały. Wtem ciszę poranka przerwało bicie dzwonów, i prawie pod jego oknami rozległ się głos żałobny. Była to Zuzanna, biedna komornica, która umarła na gorączkę i teraz ją prowadzono na cmentarz. Za trumną szły płaczące dziatki, i kilku sąsiadów i sąsiadek oddawało ostatnią usługę.

Sędzia martwy jak kamień patrzał na pogrzeb, a w jego sercu budziło się coś, jakby nowe życie. — O wszechmogący Boże! — zawołał — pozwól mi jeszcze pożyć jaki czas, ażeby ten promień litości, który na mnie zesłałeś w śnie ostrzegającym, przejął mię na wskróś, i wydał ze mnie owoc pożyteczny Panu.

I upadł na twarz, i ukorzył się przed Bogiem w łzach i skruszeniu, gdyż dopiero teraz poznał, że był najgorszym z ludzi, chociaż mu się zdawało, że nie było nadeń sprawiedliwszego człowieka. Kiedy zaś biedne sieroty powróciły z grobu Zuzanny, wziął je za ręce, wprowadził do swego domu i odtąd opiekował się niemi jak własnemi dziećmi.

Od tego czasu sprawiedliwość i miłość chrześcijańska stały obok siebie w każdym jego czynie i wyroku, gdyż nauka, którą odebrał we śnie, mocno się wryła w pamięć; mając przedewszystkiem na myśli osiągnienie wiecznego zbawienia, rządził się czystą miłością, która jest najlepszem prawem na ziemi.

Pożegnanie.

Jadą nasi szeregami, jadą między sady,
I sam ułan z ułanami jedzie Jasio blady;
Każde dziewcze za swym płacze, czy ja cię zobaczę,
Tylko Zosia śród igraszek wesoła jak ptaszek.
Jadą między drzewa,
A Zosieńka śpiewa;
Mijają jej wrota,
A ona chichota —
A tym śmiechem serce Jasiowe się krwawi,
Jedzie, konia wspina i łzy w sobie dławi.

— Smućcie wy się moje pola, wy zielone łąki,
Płaczcie moje bory ciemne, i płaczcie skowronki,
I ty niebo i ty słońce zmień się na płaczące,
Kiedy w nikim, w nikim z ludzi żal płaczu nie budzi!
Łatwiej teraz zginę
Śród krwawego boju,
Bo serce Zosine
Zostanie w spokoju;
Nikomu śmierć moja życia nie zatruje,
Jeno konik zarży i rżąc pożałuje.

Siła szabel, chmury dymu, armat głuche jęki,
Leży Jasio z raną w piersi i bez prawej ręki;
Krew serdeczna wskroś go broczy, mgłą zachodzą oczy,
A ponad nim kruki gwarzą i orły się ważą.
— Nim się w grobie zmieszczę
Lećcie orły, lećcie,
I Zosi powiedzcie,
Że ją kocham jeszcze! —
Westchnął, wspiął się w górę... i upadł nieżywy,
A przy nim żałośnie zarżał konik siwy.

Grześ z Mogiły.

Opowiadanie leśnego.

Głęboko w borach leżajskich nad Wisłą, stała jak gniazdko ptasie między drzewami schowana chata leśnego. A był ten leśny człowiek niedzisiejszy, i wszyscy starym Jacentym go zwali, bo o nazwisku jego nikt pono nie wiedział. Stary był ale jary: ze strzelbiną sznurkami powiązaną obchodził w zimie zawiane lasy, nieraz zajączka przynosił z drogi, a nie obawiał się i wilkowi w jarzące ślepie zaglądnąć. Sam był, samiutki w swojej leśniówce, i tylko staruszka siostra jego strawę mu warzyła, nie ubiegał się też za towarzystwem ludzkiem, owszem, przykro mu nieraz było między ludźmi, bo wtedy spluwał i klął z cicha, że się źle teraz dzieje. Na twarzy jego były jakieś bruzdy, jakby od szabli lub kosy, wzrok tęschny i pochmurny, ale dziwnie jakoś pociągający ku sobie, więc też ludzie szacunek mieli dla niego, a gdy go kto samotnego spotkał na ścieżce lasowej, to chętnie się pokłonił imieniem Jezusa pozdrawiając, i chętnie chwilkę pogwarzył, jeśli go leśny zagadnął. A miał Jacenty o czem opowiadać, bo wiedział on dobrze jakie ziele na jaką jest słabość, gdzie jaki źwierz się kryje i czem się zwykł żywić, wiedział przytem historje świętych i niejedną gadkę z dawnych czasów, a przytem bardzo był uczynnym i sprawiedliwym. Lecz rzadki to był człowiek, z którymby Jacenty dłużej nieco pogawędził; zwykle ci milcząc uczynił niejedną przysługę, a nawet od podziękowania uciekał jak od złego.

Lecz przecież raz, nie wiem już na czyje wesele, zwabiliśmy do wsi starego Jacentego, prosząc żeby starostował. Ja byłem wtedy drużbą; skorośmy więc wrócili z kościoła, nadskakiwałem Jacentemu, nalewając mu miodu do szklenicy, a Jacenty maczał usta i maczał, aż mu się nareszcie oczy zaświeciły i język rozplątał. W dobrym był humorze starowina; a więc gdy gwar trochę ustał, obsiedliśmy go młodzi w jednym kącie, prosząc, żeby nam co ze swoich lat młodych opowiedział.

— Dobrze — odparł Jacenty — powiem wam, ale rzecz nie wesołą, jakie wy to teraz lubicie. Krwawe to były czasy w których ja byłem młody, ale bodaj czy nie lepsze od dzisiejszych. Za piecem wy teraz życie przepędzacie, a ja w nie-

jednej usłudze dla miłej ojczyzny nogi me po świecie schodziłem.

I tu westchnął starowina i machnął ręką niedbale, a gdyśmy się zupełnie uciszyli, tak zaczął:

— Kiedy w r. 1830 w listopadzie powstali nasi, by odzyskać krainę, co ją Moskal opanował, w całej Polsce pociecha była nie mała, że przecież już nam wolność zaświta, i każdy był gotowy oddać ostatni grosik, i przelać krew aż do ostatniej kropelki dla ojczyzny miłej. Każdy co tylko zdatny był do wojska, przypasywał szablę lub strzelbę przewiesił i biegł bić się z Moskalem, a kto nie zdatny, to w domu się modlił gorąco, by Pan pobłogosławił naszej dobrej sprawie. Wieleż to wtedy modłów serdecznych poleciało do tego Ojca co w niebie, ileż łez wylały polskie dziewczęta o zbawienie ojczyzny, a powrót szczęśliwy dla tych do których serce pukało! A z tych co szli na wojnę, każden mówił sobie „zwyciężyć albo zginąć“ i każdy byłby rad z całej duszy oswobodzić nieszczęśliwą tę krainę, którą kochał więcej jak kocha matka jedynaka i więcej jak wszystko na świecie. Ale nie dał Pan Bóg zwycięztwa, bo wieleśmy byli nagrzeszyli, więc On chciał od nas pokuty, chciał męczeństw takich jak byli dawno już temu męczennicy za świętą wiarę chrześcijańską, a Polak nie wzdrygał się przed męczeństwem, bo wiedział że kiedyś Polskę przez nie zbawi.

Na Litwie, co to była częścią jedną polskiej ziemi, w leśnictwie Balinka, mieszkał nadleśny nazwiskiem Kazimierz Szarkowski. Dzielny to był chłop, a polak prawdziwy, i szczerego serca, co był rad każdemu, jak to mówią nieba przychylić. Juści, kiedy widział że pół narodu już się bije z wrogiem i on nie mógł usiedzieć spokojnie, ale go djable do wojaczki parło. Zwołał tedy straż leśną i ogłosił powstanie, a sam stanął na czele. Miał on pod sobą czterystu ludzi, a byli to najwięcej młodzi i tędzy chłopcy, a byłem tam i ja między nimi. Więc do wojenki serce nam skakało, jeno to źle było, żeśmy dość broni nie mieli i nie dosyć byliśmy świadomi co nam właściwie robić przystało. Powiada stara gadka, że złe nigdy samo nie przychodzi, tylko zawsze ze

sobą drugie w parze ciągnie: — otoż i tu dopuścił jeszcze Pan Bóg że zdrada szkaradna popsuła nam wszystko; bo Moskale zapłacili żydków coby im służyli, i żydkowie najbliżsi sąsiedzi pana Kazimierza wydali im gdzie się ukrywa nasz obóz wtedy, kiedy jeszcze nic nie było urządzone. Szarkowski zbierał dopiero pilnie zapasy i ochotników, a myślał, zajrzawszy sobie doskonałe miejsce w puszczy pośród bagnisk i gęstych zarośli, że tam już nas nikt nie wytropi dopóki nie będziem zupełnie gotowi. Lecz czegoby nie wytropił szpieg moskiewski, kiedy go zapłacą workiem świecących rubelków! Taż to paskustwo i pod ziemią i w piekle by wynalazło co mu każą, taki to ma węch dobry! Ale nie długo im potem tego panowania! trochę się tym groszem nieuczciwym pocieszy, trochę pohula, ta i tyle, bo przychodzi śmierć i osądzi go Bóg, Ojciec nasz, co się brzydzi każdym grzechem a cóż dopiero taką ochydą, wybierze mu co najgorsze miejsce w piekle i najokropniejsze męki przygotuje dla zdrajcy.

Lecz wróćmy do swego: Owoż gdy żydkowie wydali już Moskalom ukrycie Szarkowskiego, półkownik rossyjski *Aninkow* wybrał się pocichu na obóz pana Kazimierza, i kiedy się nam ani śniło o niczem, Moskale poprowadzeni przez owych żydów, spadają jak grom niespodzianie. Stanęliśmy tam jak na Polaków przystało, chwyciliśmy za broń i krzyknęli śmiało „hura na wroga“!... a tak silnie uderzyliśmy w tę wrażą czerniawą, że aż odskoczyły z przestrachem pierwsze oddziały Moskali. Lecz trudno! ich było kilka tysięcy doskonale uzbrojonych, a naszych żal się Boże! garsteczka, 400 ludzi, nie przygotowanych wcale do boju. Z początku szło dobrze, bośmy tęgo walili z Boską pomocą, ale wkrótce nie stało nabojów, a potem i ludzi nie stało, bo niektórzy, Panie odpuść, rozbiegli się żeby ujść niechybnej śmierci, reszta legła krwią oblana, a między tymi i ja na pół żywy z kilkoma ranami. Nakoniec został tylko Szarkowski sam i jeden chłopak siedmnastoletni, co nie chciał opuścić swego dowódzcy aż do śmierci, i ciągle broń mu nabijał i podawał. Lecz cóż to pomogło, mój Boże! Niegodziwy półkownik Aninkow kazał pochwycić pana Kazimierza i wier-

nego jego towarzysza, związać ich powrozami jak bydlęta jakie, i prowadzić tak za wojskiem.

Dotąd widziałem naszego pana Kazimierza, gdyż sam zostałem ranny na pobojowisku, i sam doprawdy nie wiem jakem się od śmierci wylizał. A teraz opowiem wam, com poźniej słyszał o dalszych mękach Szarkowskiego.

Owóż pędząc tak tych dwóch za wojskiem Moskale, stanęli wreszcie w jakiejś mizernej wiosczynie o milę; pomyślcie sobie tylko, jak tam było naszym dwom biedakom takim poranionym i skrępowanym wlec się milę całą! A tam porozsiadawszy się sami wygodnie w karczmie, dwoch jeńców wrzucili do karczemnej stajni. Moskale za stołem jedli i pili, wrzeszczeli i hulali; a jeńcy leżą na ziemi i jęczą z bolu, bo powrozy aż do krwi ich cisnęły; nakoniec zrobiło się cicho, Moskale pałki zalali i pozasypiali na stołach i ławach albo i pod stołem i ławą. Niebo było pogodne, tylko kilka chmur ciemnych wiatr pędził po niebie tak, że co chwila księżyc krył się za te chmury i znów wychodził, i było raz jasno to znów zupełnie ciemno. Nieszczęśliwy Szarkowski patrzał w niebo i od razu pomyślał sobie: „Ej! miły Boże! pomóż mi łaską Twoją a ucieknę sobie przy blasku miesiąca, że ani mnie ujrzą więcej.“ Jak pomyślał tak zrobił: dobył sił ostatnich i tak czołgając się przebył kilkanaście kroków, ale cóż! snać już pan Bóg chciał mieć z niego świętego męczennika, bo tak sprawił, że tej chwili kiedy się zbliżał Kazimierz do ostatniej czaty, chmury się rozstąpiły i księżyc zaświecił nagle jasno i silnie na twarz żołnierza co stał na straży, tak, że go zbudził z drzymki i dał poznać uciekającego więźnia. Dziki ten sałdat zda się nie miał serca w piersiach, bo z dziką radością pochwycił naszego pana Kazimierza i powlókł nazad do karczmy. Pan półkownik moskiewski, jak to u nich we zwyczaju, w tej chwili każe szyldwachom dać po sto pałek za karę, a Szarkowskiego... och! moi wy ludzie, to aż człowiekowi wypowiedzieć ciężko, bo serce się kraje na wspomnienie co ten wróg okrutny, ten Aninkow, poczwara, wymyślił za karę dla więźnia. Oto słuchajcie: skrępowanego jak najmocniej, kazał go przewiesić przez płot, a głową na dół! A żeby go jeszcze lepiej

obwarować, kazał ten łotr stanąć całej piechocie koło niego szeregami, cieszył się z własnego dowcipu, śmiał się do rozpuchu i łykał gorzałkę na zabicie sumienia!

Jakżeż ja wam to wypowiem, co za męki przeszedł biedny Szarkowski? co za straszne bole i duszy i ciała? Prosił on tylko Boga po cichu, żeby mu już pozwolił skończyć albo dodał siły; i dodawał mu siły pan Bóg bo nie pisnął ani słówka, nie jęknął ani razu, aby się wrogi nie cieszyli.

Na drugi dzień raniutko gdy niebo poczerwieniało pierwszym brżaskiem, a potem słonko wyjrzało z obłoków to było niby smutne i jakby płaczące nad biednym męczennikiem. Bo też okropnie wyglądał Szarkowski: krew lała mu się ustami, nosem, oczami, uszami, a nawet i z paznokci ciekła. Wtedy Aninkow kazał go wrzócić na wóz, i z tym wozem i z całym oddziałem swoim ruszył do miasteczka Łopochiny. Tam.... cóż kazał zrobić ten wcielony szatan ze swoją ofiarą? Żebyście rok cały odgadywali, to ponoś nie zgadniecie, bo i najgorszy między nami jeszcze by nie wymyślił takiego okrucieństwa! Owóż kazał okrutny Aninkow wielki pal wystrugać kończysto i wbić w ziemię na środku rynku, ustawił w koło wojsko, i na ten pal kazał wbić więźnia, na ten pal moi ludzie!...

Ci co tam byli, drżący i wystraszeni pozakrywali twarze; nasz męczennik blady westchnął raz jeszcze i pośród ciszy takiej jak w grobie uleciała dusza jego do tego Boga, co jej dawał tyle siły, i co jej przeznaczył wieczne mieszkanie w niebie z świętymi i aniołami. A takich jak Szarkowski mieliśmy wielu, wielu, co dla Boga i dla ojczyzny umierali śmiercią męczeńską. Cześć im wszystkim i pamięć wieczna! a światłość wiekuista niech świeci ich duszom! —

Przestał mówić stary Jacenty. Myśmy byli pochmurni i zapłakani, a widzieliśmy, że i jemu łzy w oczach stanęły; pociągnął jeszcze miodu ze szklanki, a potem zerwał się nagle z ławy, splunął i zaklął pocichu, że się źle teraz dzieje, i nie pożegnawszy się nawet z nikim, wyszedł czemprędzej z izby.

Nie widzieliśmy go już więcej; poszedł w głąb swoich borów, bo mu znać bardzo było smutno. Ja nie miałem już ochoty do żadnej zabawy, a gdym się późno w noc położył,

tom się przewracał po sianie i nie mogłem zasnąć, bo mi skrwawiony Szarkowski stał ciągle przed oczyma, a ręce mimowoli w pięść mi się zwijały...

R.......

Wystawa rolnicza w Tarnowie.

W każdym narodzie, co pracą, nauką i przemysłem stara sobie milić życie i pobyt na rodzinnej ziemi polepszyć, zmawiają się nieraz ludzie, aby w tem i owem gromadnie pracować, naradzać się i pomagać jeden drugiemu, i ztąd zawiązują między sobą *Towarzystwa* różnego rodzaju: jedni, żeby handel podnosić i wspierać, inni żeby koło moralności między ludem chodzić i od gorzałki go odmawiać, inni, żeby od ognia bronić, a inni znowu żeby wspierać nauki i starać się o drukowanie tanich książek dla ludzi, i tym podobne. W naszym kraju, gdzie nie ma ani fabryk znacznych, ani handlu zbyt rozwiniętego, chodzą ludzie najwięcej koło roli, więc też rolnikom na podniesieniu rolnictwa najwięcej zależy. Są więc w naszym kraju *Towarzystwa rolnicze*, które się o to starają, aby stósowne ulepszenia w gospodarstwie zaprowadzać, bo nie wszystko tak dobrze jak nasi dziadkowie robili, a świat w swoich wynalazkach i sztukach idzie ciągle naprzód, niejedno lepsze w miejsce starego złego wprowadzając. Więc zastanawiają się takie towarzystwa to nad uprawą gruntu i wszelkiem naczyniem gospodarskiem, to nad sadzeniem i pielęgnowaniem drzew owocowych, to nad pasiecznictwem, to nad leśnictwem, to wreszcie nad chowem bydła, i Bóg tam raczy wiedzieć, nad jakiemi innemi rzeczami, do gospodarstwa wiejskiego należącemi. Żeby zaś zachęcić ludzi do ulepszeń i pilności w gospodarce, urządzają takie towarzystwa *wystawy rolnicze* od czasu do czasu, to jest zapraszają ludzi z różnych stron, żeby kto co ma najpiękniejszego czyto z bydła, czy z ziarna, czy to z drzewa, lnu, konopi, skór, sukna, płótna, czy wreszcie z narzędzi rolniczych — krótko mówiąc, żeby każdy co ma najpiękniejszego ze swego gospodarstwa, zwiózł czy przyprowadził na pewien dzień

i na umówione miejsce, gdzie dopiero wszyscy zwiezione rzeczy oglądają i oceniają, za najpiękniejsze i najpożyteczniejsze okazy nagrodę wyznaczając.

Owóż taka *wystawa rolnicza* odbyła się przed niewielu dniami w mieście Tarnowie. Zjechała się wielka gromada ludzi z okolic Tarnowa a nawet i z miejsc wiele mil oddalonych, a nazwozili ze sobą co niemiara przeróżnych pięknych rzeczy. I tak ślicznego bydła rogatego różnego rodzaju 183 sztuk; koni roboczych i paradnych nie małej wartości 208 sztuk; dalej trzodę chlewną i owce, już w mniejszej liczbie, choć między temi kilka pięknych baranów; dalej 232 sztuk różnych maszyn i narzędzi, między temi samych pługów przeszło 70, a jeden lepszy od drugiego; pięknego zboża i dobrego drzewa nie wiele; dalej okazy mąki cienkiej z różnych młynów, okazy piwa, słodkich wódek, wyroby rymarskie i garbarskie, wreszcie żelazo w sztabach i walcowane. Nawieźli te rzeczy panowie, fabrykanci, kupcy, a wreszcie i chłopi, bo i chłopek ma się czem pochwalić, jeźli porządnie wedle swego gospodarstwa chodzi. Otóż panów i innych tam wypisywać tu nie będę, gdyż by miejsca nie starczyło; lecz za to podam wszystkich włościan, którzy na tę wystawę wyroby, lub bydło swe przyprowadzili, bo to przedewszystkiem na pochwałę zasługuje.

I tak z ładnemi końmi roboczemi przybyli na wystawę: *Marcin Zygar* ze Wzdowa; ze Strusiny *Wiśniewski Michał*, *Wojciechowski Tomasz*, *Jeż Marcin;* także *Wiszło Tomasz.* Konie z porządnym wozem i uprzężą przyprowadzili: z Wrzaw *Prażnowski Jędrzej* i *Broda Józef;* z Ostrowa *Muniga Błażej* i *Niedojadło Szymon;* z Radłowa *Duljasz Wojciech* i *Kuklewicz Józef;* z Miechowic wielkich *Wódka Adam* i *Pudło Bartłomiej; Kabat Franciszek* z Wietrzykowic i *Piwowarski Franciszek* z Mędrzechowa. Z bydłem rogatem przybyli: ze Wzdowa *Jan Śmietana*, *Kaźmierz Śmietana*, *Michał Knurek* i *Marcin Władyka;* dalej *Mastalesz Maciej* z Lipca; *Piotr Chwałek* z Siebodyna i *Szatko.* Wreszcie oprócz wozu przywiózł *Broda* brony do wyciągania pyżu a *Prażnowski* ruchadło; zaś *Wojciech Śmidziński* z Olesna przywiózł piękne sanie wyjazdowe. Zdaje mi się, żem już wszystkich wyliczył, a może być, żem też i kogo

zapomniał, bo gdzieżby tam zaś pamiętać wszystkich w tak ogromnej ciżbie.

Owóż teraz opiszę wam pokrótce jak się ta cała wystawa odbyła.

Już parę tygodni naprzód wyznaczono w Tarnowie kilku zapobiegliwych ludzi, którzyby się obraniem miejsca na wystawę, postawieniem kilku potrzebnych szop i sproszeniem gości zajęli. Gorliwie wzięli ci się też do roboty, a gdy 4go tego miesiąca wszystko już było gotowe, i ludzie się z różnych stron pozjeżdżali, tak o 10 godzinie przed południem poszli wszyscy gromadnie do kościoła prosić przedewszystkiem Pana Boga, żeby poczciwej pracy błogosławiąc, z pożytkiem i szczęśliwie wystawie do skutku dojść pozwolił. Był tam ludzi tłum nie mały, lecz wszyscy nabożnie i z cichą modlitwą na ustach nabożeństwa wysłuchawszy, udali się potem wprost na miejsce wystawy, gdzie *prezes*, czyli naczelny Towarzystwa rolniczego do całego zgromadzenia przemówił. Dowodził on, jako nam wystawy rolnicze dzisiaj są potrzebne, że kiedy dziś tyle dobrych rzeczy z zagranicy przywożą, tośmy powinni starać się i nasze wyroby i płody ulepszać, aby za zagraniczne pieniędzy z kraju nie wywozić. Zresztą na wystawę zjeżdżają się ludzie z różnych okolic i różnego stanu, więc dobrze, iż się ze sobą zbliżą i poznają, radząc razem w tem i owem, a wreszcie i ciesząc się we wspólnej biedzie.

Na te słowa prezesa odpowiedział pan burmistrz tarnowski że miasto bardzo rade iż może w murach swoich witać tak zacnych i licznych gości, że czem chaty bogate tem im będą rade, a niech wybaczą jeżeli czego zabraknie, bo nie zawsze dobrym chęciom serca odpowiedzieć można. „Witajcież i szczęść wam Boże do pracy!“ zawołał w końcu pan burmistrz, a wszystkim przypadła bardzo do serca ta jego serdeczna przemowa. Więc następnie dziękował jeszcze prezes ze swojej strony, a potem wybierano komisarzy z członków Towarzystwa do osądzenia znajdujących się na wystawie osobliwości, a potem rzuciło się wszystko do oglądania pięknej chudoby, płodów ziemi i narzędzi.

Drugi dzień przeszedł na oglądaniu; aż trzeciego dnia w piątek, że to prawie dzień targowy, postanowiono rozdawać nagrody. Nagrody te otrzymali panowie dziedzice, fabrykanci i inni w medalach srebrnych, brązowych, a wreszcie w listach pochwalnych za najpiękniejszą chudobę i najlepsze maszyny gospodarskie. Lecz przystąpiono niebawem do publicznego rozdania nagród włościanom za najpiękniejsze okazy, a w tym celu pozwolono każdemu co tylko przyszedł na targ do miasta, przyjść na wystawę i przypatrzyć się, lecz że to niejeden nie wiedział o tem, a inny znowu, zwyczajnie jak chudzina nie miał śmiałości iść między panów: więc nie zebrało się zbyt wielu włościan, choć i tak razem z wszystkiemi gośćmi, z panami i z paniami spora tego była gromada.

Więc najprzód odezwał się do włościan pan prezes Towarzystwa, a mówił, iż mu Towarzystwo im podziękować kazało, że także swoją chudobą na wystawę przyprowadzili. Dawniej — mówił pan prezes — byli panowie i poddani, a dziś jesteśmy wszyscy braćmi i sąsiadami, i obowiązkiem naszym jest wspierać się wzajemnie, a nagradzać tych, którzy gorliwą pracą koło roli ojczyźnie się przysługują. Powiedział wreszcie, iż zamiast pieniędzy przeznaczyli za główną nagrodę obraz Matki Boskiej Częstochowskiej; a były te obrazy pięknie na blasze malowane i wyzłacane, a w samej Częstochowie poświęcane, co na każdym z odwrotnej strony przez księdza pisemnie potwierdzone stało.

Po prezesie odezwał się ksiądz proboszcz z Zalasowej i mówił bardzo pięknie, a przypominał to ciągle, że jak inne narody pan Bóg nad morzami osadził i do handlu przeznaczał, tak nam w roli pracować kazał. W roli rodzinnej pracowoć nam też należy i kochać się jak rodzonym braciom.

Ale dopiero najwięcej rozczuliły się serca wszystkich, kiedy wystąpił gospodarz włościanin *Władyka Adam* ze Wzdowa, ze ziemi Sanockiej, a nieuczonym ale serdecznym głosem w te się odezwał słowa:

— Pozwólcie panowie, abym wam podziękował, żeście nas z pod słomianej strzechy przyjęli do swojej gromady; niech wam Bóg wynagrodzi, że nami nie gardzicie! Drukujcie książki dla ludu, ta łaska więcej od złota warta; z tych książek do-

wiedzieliśmy się, że król Piast i wielu jeszcze panów polskich z chłopów pochodzą, że kość z kości, krew z krwi długo się zapoznawać nie mogą. Szanowni księża nasi więcej teraz niż kiedykolwiek zajmują się nami; oby im pan Bóg dopomógł! My zaś chłopy zatrzymajmy dawną cnotę pracy i pamiętajmy, że grzechem to naszym, jeżeli zboże niezebrane spadnie z kłosa, że każde ziarnko stracone obciążać będzie sumienie nasze, bo głód nastąpić musi, a któż z głodu umiera, jeśli nie biedniejsi bracia nasi? Kochajmy więc naszą ziemię rodzinną! Ja mam tylko cztery morgi, a nie dałbym ich za czterdzieści morgów ziemi obcej, nieojczystej. Tak i my i wy panowie pracowitością i oszczędnością brońmy się od niedostatku i łupieży, byśmy matkę naszą, ziemię świętą dzieciom w całości zostawili; łączmy się razem pod znakiem krzyża i miłości bliźniego, a pełniąc wspólnie każdego stanu powinności, silnie się wesprzemy, i kto nam odebrał naszą ojcowiznę, oddać ją musi, bo Bóg sprawiedliwy.

Nie było końca radości i rozczuleniu po tej przemowie Władyki; rolnik z Grębowy wystąpił i uściskał publicznie mowcę ze Wzdowa, i wszyscy się ściskali i cieszyli. Niebawem nastąpiła też i dalsza radość, gdy zaczęto rozdawać nagrody włościanom w obrazach Matki Boskiej i w pieniądzach. Głośno wywoływali imię każdego co nagrodę odbiera, a po oddaniu tejże, grała zawsze muzyka od ucha.

I tak obraz i dwadzieścia reńskich w nagrodę otrzymał: *Piwowarski; Wódka Adam* obraz i 15 reńskich; po obrazie i po 10 reńskich nagrody otrzymali: *Duljusz, Kabat* i *Prażnowski;* po samym obrazie dostali: *Wiśniewski, Władyka, Mastalesz, Chwałek* i *Śmietana Kaźmierz;* nagrodę w pieniądzach, bez obrazu otrzymali: *Broda* 15 reńskich, *Muniga, Niedojadło, Wiszło* i *Wojciechowski* po 10 reńskich, a *Kuklewicz* 5 reńskich.

Radości więc było i z tych nagród nie mało, a już to najwięcej ze ślicznego obrazu Matki Boskiej; kobiety wybierały największe i najmiększe chusty, żeby to tylko bez uszkodzenia dowieść do domu, a tym co tylko same pieniądze dostali było conieco markotno, bo sobie poświęcany w Częstochowie obraz Matki Boskiej nad wszystkie skarby ważyli.

Jeden dzień jeszcze cieszyli się ludzie ze sobą, radzili i biedowali, jak komu co na sercu leżało, ale tego wam już opisywać nie będę, bo mało papieru, a potem skończyła się wystawa: jak wszystko na tej ziemi czy smutne czy wesołe. Boże daj, żeby tylko ludzie jak najczęściej tak pożytecznie się zabawiali.

Grześ z Mogiły.

RÓŻNOŚCI.

Pożar. W obwodzie kołomyjskim wydarzyły się w przeszłym miesiącu dwa pożary, przy których okazały się wyraźne poszlaki że ogień był umyślnie podłożony. Mianowicie 5. maja powstał ogień w Nowosielicy u tamtejszego włościanina Iwana P., a w pięć dni potem zniszczył pożar w Dżurowie pięć chałup włościańskich. Sprawców jeszcze nie odkryto.

Nieszczęsny wypadek. W pierwszy dzień Zielonych Świąt utonął przypadkiem w Hodowicach, w obwodzie lwowskim, kąpiąc się w tamtejszym stawie, Józef L., 19letni chłopak od rymarza, rodem ze Lwowa.

Z tym numerem kończy się znowu jeden tom **„Dzwonka“** *a chwała Bogu już* **szósty;** *od Lipca rozpocznie się tom siódmy, na który znowu o* **jeden nowy reński** *prosimy. Ktoby zaś chciał i ósmy tom zaraz zapisać, to* **dwa nowe reńskie** *musi odżałować. Z tą samą sumiennością i troskliwością pójdą i dalsze tomiki, a jako wszystko idzie naprzód, tak też i my radzi, żeby następne coraz lepsze od poprzednich były. Na dobrej woli i szczerej pracy nie zabraknie; reszta leży w Boskiej pomocy i opiece, której i Was mili bracia oddajemy.*

Wydawca odpowiedzialny za redakcję: E. Winiarz